

„Fantastyczny thriller,  
pełen napięcia  
i zwrotów akcji”  
**LEE CHILD**

# ZAMIANA

Uważaj, kogo wpuszczasz do domu...

**REBECCA FLEET**

# ZAMIANA

**REBECCA FLEET**

przełożyła Aga Zano

MARGINESY

Tytuł oryginału  
*THE HOUSE SWAP*

Przekład AGA ZANO

Wydawca KATARZYNA RUDZKA  
Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja MAGDALENA JANKOWSKA  
Korekta KAROLINA WĄSOWSKA, JAN JAROSZUK  
Projekt okładki Sarah Whittaker / TW  
Adaptacja projektu okładki AGNIESZKA WRZOSEK  
Zdjęcie na okładce © aaltair / Shutterstock Inc.; © Akabei / iStock  
/ Getty Images Plus  
Łamanie | manufaktu-ar.com

The House Swap  
Copyright © Rebecca Fleet 2018  
Copyright © for the translation by Aga Zano  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2019

Warszawa 2019  
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66140-08-0

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.  
ul. Mierosławskiego 11A  
01-527 Warszawa

tel. 48 22 663 02 75  
e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

## Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

\*\*\*

Poza domem

Dom

Poza domem

W domu

Poza domem

Dom

Poza domem

Dom

Poza domem

Dom

Poza domem

Dom

Poza domem

Dom

Poza domem

Dom

Poza domem

Dom

Poza domem

Dom

Poza domem

Dom

Poza domem

Dom

Poza domem

Powrót

Odejście

Podziękowania

---

*Klucz wsuwa się do zamka i obraca, gładki i śliski jak rybik. Wczoraj w nocy myśl o tej chwili nie dawała mi spokoju. Rozdygotane gałęzie skrobały o szybę, a wyobrażenia podsuwała mi najróżniejsze scenariusze, chociażby zgrzyty metalu i opór mechanizmu. Zapowiadało się trudniej. Po wszystkim, co mnie tu doprowadziło, to powinno wymagać więcej wysiłku. Rzeczywistość okazuje się wręcz rozczarowująco łatwa. Jak zgnieciona skorupka jajka, wyrzucona bez zastanowienia.*

*Drzwi otwierają się szeroko. Rozciąga się przede mną podłoga z czystych, wypolerowanych do połysku sosnowych desek. Przy wejściu stoi zdobiony wazon, z którego wystają sztywne zielone gałęzie upstrzone jaskrawymi jagodami. Wyglądają jak z plastiku. W lustrze odbija się rząd fotografii w ramkach, wiszących na przeciwległej ścianie. Wchodzę do środka, cicho zamykam za sobą drzwi. Prędko idę przez korytarz, plecami do ściany. Nie będę patrzeć na te zdjęcia. Jeszcze nie teraz. Wkrótce.*

*Rustykalna kuchnia zupełnie nie pasuje do mieszkania na trzecim piętrze w bloku – bladozielone akcenty, gustownie porozwieszane garnki i pęki ziół. Na dębowym stole leży wydarty z notesu kawałek papieru, zapisany czarnym tuszem. Witamy! Instrukcje obsługi wszystkich urządzeń są w zielonym segregatorze w kuchni. Chleb, mleko itp. w lodówce – częstuj się. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Miłego pobytu, czuj się jak u siebie! Caroline. Długo wpatruję się w jej podpis. Zamaszysta krzywizna C, rozbryzg atramentu*

*w miejscu kropki nad i. Gładzę plamę kciukiem, na wpeł spodziewając się, że zabrudzi mi skórę, ale oczywiście już dawno wyschła.*

*W końcu wstaję i parzę sobie kawę. Zrobię, jak radziła Caroline. Poczuję się tu jak u siebie. Piję przy stole, wyobrażając sobie, co zastanę w pozostałych pomieszczeniach. Mogą się w nich kryć różne sekrety czekające w ciasnych zwitkach między jej rzeczami. Przypominam sobie, że na poboczu drogi prowadzącej do jej bloku siedział dziś rano lis. Wgryzał się w jakieś bezkształtne truchło – wyszarpywał co lepsze kąski, jego pazury połyskiwały krwawym srebrem ścięgien. Tak właśnie będzie to wyglądać. Niemiło, paskudnie. Tak musi być. Właśnie tego chcę. Tylko w ten sposób mogę się znaleźć naprawdę blisko niej.*



## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

Wjeżdżamy w uliczkę i od razu zauważam, że wszystkie domy wyglądają tak samo. Schludne białe pudełka z kwadratowymi okienkami, o płaskich ukośnych dachach. Prawie każde okno zdobi zwisająca z parapetu donica wypełniona biało-fioletowymi bratkami, jakby obowiązywał tu jakiś dress code. Na oko domków jest ze trzydzieści, każdy jak świeżo zrzucony z taśmy produkcyjnej.

– Witamy na przedmieściach – odzywa się Francis. Mruży oczy. Ostre promienie zachodzącego słońca wpadają przez przednią szybę. – Mam nadzieję, że jesteś zadowolona – dodaje przesadnie naburmuszonym, kpiącym tonem.

– Nie jest tak źle – odpowiadam automatycznie, nie dając sobie szansy na zastanowienie się, czy rzeczywiście tak myślę.

Ostatnio często tak rozmawiamy: na skróty, raz-dwa, byle jak najszybciej odbić piłeczkę. Stoimy po przeciwnych stronach, ale sobie nie zagrażamy – jak dwoje dzieci sprzecających się na placu zabaw. Francis zerka na mnie kątem oka i robi głupią minę.

Jedziemy pomału, gapię się przez okno na domki. Przyglądam się uważniej – dostrzegam, że niektórzy mieszkańcy podjęli próbę nadania swoim posesjom bardziej indywidualnego charakteru. Tu drzwi od garażu pomalowane na krzykliwy kolor,

tam elegancka złota tabliczka. Dom z numerem czternastym jest nieco mniej zadbany od pozostałych. Na ścianach widać szarawe smugi brudu, niestrzyżony trawnik zarósł chwastami.

– Przynoszą hańbę całej ulicy. – Wskazują na podwórko. – Straż sąsiedzka dobierze im się do ogona.

Francis uśmiecha się słabo, nie słucha mnie.

– Dwadzieścia jeden, tak? – upewnia się i nie czekając na odpowiedź, skręca na podjazd.

Omiotam dom wzrokiem, szukam jakichś znaków szczególnych, ale nic nie dostrzegam. Starannie przystrzyżony trawnik, w oknach wiszą symetryczne śnieżnobiałe zasłony. Światła są pogaszone. Reflektory samochodu odbijają się od szyby, przez chwilę miga w niej auto i nasze ciemne sylwetki jedna obok drugiej. Nie wiem dlaczego, ale na ten widok przechodzi mnie dreszcz – lekkie, nieracjonalne ukłucie niepewności, które natychmiast znika.

– Wygląda w porządku – stwierdzam, wyplątując się z pasów.

Otwieram drzwi samochodu. Na zewnątrz jest zimniej, niż się spodziewałam. Od chłodnego wiatru jeżą mi się włoski na karku. Francis wysiada i robi całe przedstawienie z tego, jak bardzo zeszywniały mu nogi. Podróż z Leeds zajęła niewiele ponad cztery godziny – całkiem nieźle, ale to i tak wystarczy, by człowieka ogarnął zatęchły letarg po przebywaniu zbyt długo bez ruchu w ciasnej przestrzeni. Kiedyś prowadzilibyśmy na zmianę, ale w pewnym momencie przestałam proponować, że go zastąpię, a on wkrótce przestał o to pytać.

– Lepiej nie będzie. Jeszcze parę godzin i dojechalibyśmy do Paryża – stwierdza smętnie i posyła mi szeroki uśmiech. – Romantyczne spacerunki po Champs Élysées. Nie pogardziłbym filizanką café au lait i croissantem.

– Wiem – przyznaję. – Ale to byłoby trochę zbyt skomplikowane. Nie mogłabym wyjechać tak daleko bez Eddiego. Uznajmy to za jazdę próbną. Przekonajmy się, jak pójdzie tym razem. Może w przyszłym roku wybierzemy się gdzieś dalej.

Stara śpiewka. Plany Francisa na ten tydzień od początku miały o wiele większy rozmach niż moje. Mimo to kiedy tylko ostrożnie podsunęłam mu pomysł zamiany domów, natychmiast obudził się w nim niepohamowany entuzjazm. W kilka sekund przeszedł od apatii do niemal maniakalnej energii. Był tak przejęty moją inicjatywą, że nie miałam serca wyznać mu prawdy: zapisałam się na stronę do krótkoterminowej wymiany domów kilka miesięcy wcześniej i na śmierć o tym zapomniałam. Przypadkiem trafiłam na wiadomość z portalu, kiedy szukałam w spamie mejla od koleżanki. „Ktoś chce się z tobą zamienić!” Zaintrygowała mnie ta zajawka, połknęłam haczyk. Kliknęłam na link: uprzejma, bezpłciowa wiadomość od kogoś podpisanego S. Kennedy, wyrażająca zainteresowanie naszym mieszkaniem w centrum Leeds, z propozycją zamiany na dom w Chiswick, jeśli znajdziemy odpowiedni termin na wyjazd.

Przejrzałam zdjęcia domu pod numerem dwudziestym pierwszym przy Everdene Avenue – neutralny wystrój, chłodne białe ściany i zadbane trawnik – ale, szczerze mówiąc, mało mnie interesowały. Myślałam tylko o jednym: oto szansa na zmianę otoczenia minimalnym kosztem. Tygodniowy wyjazd tylko dla nas dwojga, jeśli moja mama zgodzi się zająć Eddie. Dość blisko Londynu na jednodniowe wycieczki i wystarczająco daleko od centrum, żeby zrobić sobie przerwę od miejskiego życia. Kilka miesięcy temu zastanawialiśmy się nad urlopem w Hiszpanii, ale zarzuciliśmy ten pomysł. Za drogo i za dużo zachodu, a przynajmniej tak to sobie uzasadniliśmy. Może Francis też

w głębi ducha czuł się nieco onieśmielony wizją egzotycznie gorącego pokoju i kolacji przy świecach na tarasie otoczonym kwitnącymi mimozami.

Teraz myszkuje pod doniczkami przy bocznej ścianie, wreszcie znajduje klucz.

– Gotowa? – Podrzuca go kilka razy. – To jest ta część, kiedy odkrywamy, że w kuchni gnije góra trupów.

Przewracam oczami, ignoruję dreszcz przebiegający mi wzdłuż kręgosłupa, tym razem o wiele bardziej intensywny. To absurdalny żart, ale nie mogę odpędzić myśli, że siedzenie w domu obcych ludzi to jednak dziwna sytuacja. Przypominam sobie program, który kiedyś oglądałam: jakaś naćpana wróżka snuła się po rzekomo nawiedzonym domu i gdała, że ściany są przesiąknięte dawnymi tragediami. Prychnęłam i zmieniłam kanał, ale potem śniło mi się, że chodzę po cichych pokojach i chłodnych, ciemnych korytarzach, wdychając ciężkie, zainfekowane powietrze.

Francis przekręca klucz w zamku i otwiera szeroko drzwi. Przez chwilę stoimy w milczeniu na progu.

– No – odzywa się w końcu. – Niepotrzebnie się martwiliśmy. Gliny już zdążyły wszystko wyczyścić.

Uśmiecham się lekko i rozglądam po wnętrzu. W życiu nie widziałam równie pustego domu. Na ścianach nie wisi nawet lustro. Blade sosnowe podłogi i gładkie drzwi z jednolitego drewna prowadzą do ledwo umeblowanych pokojów. W salonie stoi czarna skórzana kanapa, ciężka i surowa jak monolit, a przy niej regał z kilkoma książkami. Na końcu korytarza dostrzegam kuchnię – goły stół z sosnowego drewna i lśniący piekarnik, tak czysty, jakby dopiero go zainstalowano.

– Czy to... normalne? – pyta Francis. Niepewnie zagląda po kolei do wszystkich pomieszczeń, po czym rusza za mną na górę.  
– No wiesz, nie jest tu zbyt...

– Przytulnie – dopowiadam, kiedy docieramy do sypialni.

Wygląda jak ekspozycja w galerii sztuki nowoczesnej. Schludnie załane małżeńskie łóżko: narzuta w kolorze gorzkiej czekolady i dwie poduszki. Do tego szafka nocna i przyczajona w kącie szafa. Pokój jest równie pozbawiony osobistych akcentów jak reszta domu.

Na poduszce leży biała kartka, złożona idealnie na pół. Podchodzę do łóżka i otwieram liścik. Napisany na komputerze, drobnymi literami, wyśrodkowany.

*Droga Caroline, mam nadzieję, że będziecie zadowoleni z pobytu. Informacje są w teczce w kuchni. Korzystajcie śmiało ze wszystkiego. S.*

Czytam wiadomość Francisowi. Parska śmiechem, nie daje mi nawet dokończyć.

– Co cię tak śmieszy? – irytuję się.

Francis potrzebuje chwili na uspokojenie.

– Od czego by tu zacząć? Pisze tylko do ciebie – a ja to co, pies? Po drugie, ta propozycja, żebyśmy korzystali ze wszystkiego. Rzeczywiście, zajebicie dużo nam tu zostawili, z tego co widzę. I jeszcze ta wiadomość na łóżku, jak jakiś liścik miłosny, chociaż w życiu nie widziałem nic mniej romantycznego. To po prostu...

– Dobrze, dobrze. – Zgniatam kartkę w kulkę i rzucam w niego, śmiejąc się wbrew sobie. – Intencje na pewno mieli dobre. Owszem, trochę tu pustawo, ale przecież nie będziemy cały czas siedzieć w domu. Możemy przejechać się do Londynu, wyjść na kolację. O to chodziło, nie?

Francis wzrusza ramionami.

– No, tak. Między innymi o to.

Zerkam na niego z drugiego końca pokoju. Atmosfera się zmienia, śmiech ulega rozproszeniu w przestrzeni między nami. Cisza trwa nieco za długo, nie zdołamy niepostrzeżenie się z niej wycofać. Nawet nie próbuję. Opieram się o ścianę i przenoszę spojrzenie na chłodne, przenikliwe promienie słońca wpadające przez okno w dachu. Nie muszę na niego patrzeć. I bez tego wiem, że na jego twarzy maluje się pusty, zagubiony wyraz, dziwna mieszanka żalu i buntu.

– Okej... – mówię tylko po to, żeby się odezwać, bo czuję wzbierającą panikę.

Już tęsknię za Eddiem. On tworzy pomost między nami, wyzwala wspólną miłość i zainteresowanie, które możemy skoncentrować na nim. Teraz został nam tylko nagły, klaustrofobiczny horror. Jestem uwięziona w obcym domu z mężem na siedem dni, podczas których będziemy musieli chodzić na palcach wokół każdej godziny, jakby nieustannie groziło nam nadeptanie na minę, która rozerwie nasz kruchy pokój, zawarty zaledwie dwa lata temu. Ta pustka wydaje mi się dziwnie odpowiednią scenografią: nie ma tu gdzie się schować. Oczywiście właśnie o to chodziło. Jesteśmy już zmęczeni ukrywaniem się przed sobą. Prędzej czy później trzeba będzie wyjść na światło dzienne, spojrzeć na to, co nam zostało, i przekonać się, czy to wystarczy. Pocieram twarz otwartą dłonią. Czuję wilgoć na skórze.

– To co, rozpakujemy się? – zagaduje Francis niezobowiązująco pogodnym tonem. Kładzie walizkę na łóżku, rozpina zamek i zaczyna wyciągać ubrania. Strzepuje

energicznie każdą część garderoby. – Lepiej to zrobić od razu, żeby nie leżało.

Uśmiecha się, oczy ma pełne ciepła, ale chyba potrafię odczytać ukrytą w nich wiadomość. Czas ruszyć naprzód, zakopać ten moment z powrotem tam, skąd nadszedł.

– Idę do łazienki – oznajmiam. – Zaraz ci pomogę.

Potrzebuję kilku chwil na uspokojenie. Z bijącym sercem wychodzę na korytarz. Moje kroki odbijają się zaskakująco głośnym echem po wypolerowanym parkiecie, unoszą się w cichym powietrzu jak pękające bańki dźwięku. Mimowolnie przyspieszam. Przypominam sobie, jak w dzieciństwie starałam się możliwie najprędzej pokonać dystans między sypialnią rodziców a moim pokojem – zawsze ogarniało mnie mgliste, nadnaturalne wrażenie, że nie jestem sama.

Strząsam z siebie wspomnienie i otwieram drzwi do łazienki. Kolejne czyste, nieużywane pomieszczenie, wypolerowane na wysoki połysk: marmurowe posadzki, metalowe wykończenia. Okno jest lekko uchylone. Przez szparę wpada lekki podmuch powietrza i podwiewa mi kołnierz koszuli.

Chcę wejść do środka, ale jakaś siła zatrzymuje mnie w progu. Wpatruję się w stojący na parapecie wazon z pięknie zaaranżowanym bukietem ledwie rozwiniętych blad różowych róż. Próbuję odpędzić myśli, ale one są szybsze. Całe moje ciało desperacko pulsuje – na ułamek sekundy ogarnia mnie poczucie, że nadchodzi nieuniknione. Wspomnienie uderza, eksploduje, nie pozwala się zignorować. Po tylu miesiącach starannego tłumienia i negowania uczuć wystarcza widok pozwijanych różowych płatków. Tylko tyle i znów jesteś w mojej głowie.

## Dom

*Caroline, grudzień 2012*

Znów budzę się sama. Przez sen rozciągnęłam się na całym łóżku. Pościel jest gładka i zimna. Nie pamiętam, czy zasypialiśmy blisko siebie.

Na budziku za piętnaście siódma. Przez zasłony sączy się blade szare światło. Leżę bez ruchu przez pięć albo dziesięć minut, nasłuchuję dźwięków ukrytych w ciszy. Nic. Powoli wygrzebuję się z łóżka i wkładam szlafrok. Pulsujący ból już rozlewa się po skroniach. Sięgam na szafkę nocną po szklanę, ale jest pusta. Mimo to wygrzebuję niewielkie opakowanie tabletek przeciwbólowych. Połykam dwie, krzywiąc się, gdy drapią mnie w gardło. W wiszącym koślawo przy drzwiach lusterku miga moja twarz – na ten widok podłoga przez chwilę chybotze mi się pod nogami. Błada skóra, oczy upačkane rozmazanym tuszem. Przestałam już zawracać sobie głowę zmywaniem makijażu przed snem. Podobnie jak wiele innych czynności, ta też wydaje mi się kompletnie bez sensu. Wysilek potrzebny do dalszej wegetacji pochłania całą moją energię.

Po cichu wychodzę na korytarz. Teraz słyszę nieprzerwaną metaliczne fale dźwięku dobiegające z salonu: dramatyczną muzykę, staccato stłumionych dialogów. Popycham drzwi i zaglądam do środka. Z ekranu komputera sączy się do



ciemnego pokoju słabe światło. On siedzi na kanapie z głową podpartą na łokciu. Wpatruje się w monitor. Ogląda jakiś skandynawski serial policyjny: kremowe i beżowe meble, ogorzali mężczyźni w mundurach, mówiący językiem złożonym z krótkich smętnych gulgotów.

– Francis.

Nie reaguje.

Cała dygoczę. Przysiadam na skraju kanapy.

– Nie wróciłeś do łóżka.

Tylko zgaduję, ale on nie zaprzecza. Ledwo dostrzegalnie wzrusza ramionami.

– Zasnąłem tutaj – odzywa się wreszcie. – A potem się obudziłem.

Oczy ma puste i szkliste, nadal wpatrzone w telewizor. Ostatnio nie robi prawie nic poza spaniem, ale kiedy na niego patrzę, stają mi przed oczami czarno-białe zdjęcia ludzi, których torturowano wielodniowym brakiem snu.

– Szkoda – mamroczę bez sensu.

Jeśli coś nie pozwala mu zasnąć do późna, nie mam pojęcia, co to takiego. Jego umysł nie jest już dla mnie otwartą jaskinią. Kiedyś mogłam zaszyć się w środku w każdej chwili, to było równie naturalne jak oddychanie. Teraz odbijam się od murów niezdobytej fortecy. Spędzam długie godziny w ciemnościach, szukając po omacku klucza, którego nie ma.

Odcinek dobiega końca. Na spłowiałym szarym tle pojawiają się drobne rozmyte napisy. Za nimi nabrzmiewa fala dźwięku: złowieszcza, nieustępliwa muzyka, przy której zaczynam się dusić. Robi mi się gorąco. Przez chwilę obawiam się, że zemdleję. Kilka razy zaciskam mocno powieki i wbijam paznokcie we wnętrza dłoni.

– Pracujesz dzisiaj? Masz umówione jakieś wizyty?

Kiedy zadaję to pytanie, uświadamiam sobie, że nie kojarzę, kiedy Francis ostatnio na pewno był w klinice. Próbuję sobie wyobrazić, jak ten mężczyzna obok mnie siedzi w fotelu i słucha pacjentów, którzy przyszli do niego na terapię. Udaje mi się to z niepokojącym trudem.

Francis wydaje się lekko zirytowany, jakbym przypomniała mu o czymś nieprzyjemnym.

– Nie.

– Okej. – Chwilę się waham. Wiem, że nie powinnam ciągnąć tematu, ale już za późno. Słowa wypływają na powierzchnię i same wyrywają mi się z ust. – Więc co zamierzasz dziś robić? Masz jakieś plany?

Francis z trzaskiem zamyka laptopa, odcinając źródło światła. Toniemy w prawie zupełnej ciemności.

– Nie – mówi znowu po długim milczeniu.

Przez kilka minut obserwuję jego profil. Błagam w duchu, żeby odwrócił głowę i na mnie popatrzył, ale on trwa w bezruchu, aż w końcu po prostu wstaje i wychodzę.

Idę do łazienki, zmywam resztki wczorajszego makijażu i nakładam nowy. Koncentruję się na poszczególnych krokach, starannie szoruję i rekonstruuje kawałeczek po kawałeczku. Rozsmarowuję na skórze grubą warstwę podkładu, ostrożnie nakładam cienie na powieki, rysuję czarne kreski eyelinerem. Na koniec wybieram ciemnoróżową szminkę i rozprowadzam ją powoli na ustach, po czym zaciskam wargi, żeby kolor się wchłonał. Dopiero wtedy robię krok w tył i wpatruję się w swoje odbicie. Dobrze wyglądam. Lepiej, niż powinnam. Mimo to nie lubię patrzeć na swoją twarz. Boję się, że zobaczę w niej coś,

czego nie chciałabym pokazywać światu. Może rozczarowanie albo smutek – albo w ogóle cokolwiek.

– Mamo, mamo! – Z korytarza dobiega przyjaźnie marudny głos Eddiego.

Zerkam na zegarek. Już wpół do ósmej, mam godzinę na przygotowanie nas obojga do wyjścia. Potem pospieszna podróż do przedszkola, autobus do pracy, osiem godzin siedzenia przy biurku i wyobrażania sobie Francisa samego w domu. Osiem godzin rozmyślań: co robi, nad czym się zastanawia. Wykańczająca perspektywa.

Mogłabym wrócić do łóżka. Ten pomysł wypełnia mi umysł, jest czysty i kojący jak świeża woda. Otwieram drzwi do pokoju Eddiego. Wziąć dzień zdrowotnego, naciągnąć kołdrę na głowę i przespać jeszcze osiem albo dziewięć godzin. Nie, nie zrobię tego.

– Dzień dobry! – śpiewam, rozsuwając zasłony. Schylam się nad łóżkiem i przytulam synka, czuję na karku jego gorące drobne paluszki.

Zaczynam codzienny rytuał. Ubieramy się, jemy śniadanie, myjemy zęby. Jedna czynność po drugiej. Tak wygląda życie. Krok po kroku.

– Idziemy dziś do przedszkola. Jak myślisz, co będziesz robić?

Eddie przekrzywia głowę na bok w przesadnej parodii zamyślenia.

– Nie wiem – mówi powoli. – Pewnie się bawić.

– Na pewno. – Uśmiecham się. Eddie promienieje, widząc, że udało mu się zażartować. – Ale zabawa musi być dobra – dodaję.

O ósmej trzydzieści starannie czeszę jego blond włosy dwadzieścia razy, odliczając w myślach każde pociągnięcie

szczotką. Eddie mruczy coś cicho do siebie, porusza dwoma plastikowymi zwierzątkami w jakiejś skomplikowanej zabawie.

– Co one robią? – zagaduję, ale on nie odpowiada.

Podnosi na mnie szare oczy i mruży je w wyrazie rozbawionej nieufności. Czasami jego twarz wydaje mi się niezwykle dojrzała, jakby widziała więcej, niż to możliwe przez dwa i pół roku życia.

Odkładam szczotkę i poprawiam mu koszulkę.

– Idź, pożegnaj się z tatą.

Eddie pospiesznie drepcze do salonu. Francis chwali jego eleganckie ubranie, nakazuje, żeby był grzeczny, i życzy mu miłego dnia. Mówi to wszystko ciepłym, wręcz czułym głosem. Zupełnie normalnym. To dodaje mi otuchy. Pędzę przez korytarz, by do nich dołączyć. Rzeczywiście, Francis się uśmiecha i gładzi Eddiego po głowie otwartą dłonią.

– No to uciekamy – oznajmiam.

Eddie, przyzwyczajony do codziennego rytuału, biegnie z tupotem do drzwi wejściowych, żeby przy nich na mnie poczekać. Kiedy tylko zostajemy sami, atmosfera flaczeje, zapada się w sobie. Francis znów siada na kanapie, otwiera laptopa i koncentruje całą uwagę na ekranie.

– Mhm – mruczy pod nosem.

– Będziesz pamiętał, żeby odebrać Eddiego? Mam dziś wieczorem imprezę firmową.

– Wiem – ucina, spoglądając na mnie z rozdrażnieniem. – Już mi o tym mówiłaś. Trzy albo cztery razy.

Powstrzymuję cisnącą mi się na usta odpowiedź – oskarżenie, że ostatnimi czasy jego pamięć działa w zupełnie dowolnym porządku. Filtruje informacje przez jakiś niepojęty system, który z jednej strony przechowuje każde najdrobniejsze przewinienie i nieprzemyślane słowo, a z drugiej pozwala, by daty, godziny

i umówione spotkania przelatują przez niego jak cienkie nitki waty cukrowej.

– Dobrze. – Wiem, że mój głos brzmi ostro i nieprzyjaźnie. – Nie czekaj na mnie. – Małostkowa, wyświechtana fraza upada ciężko między nami.

Francis zapada się głębiej w kanapę i wydaje z siebie krótkie, zrezygnowane westchnienie, od którego stają mi włosy na karku.

– Na razie – rzuca bezbarwnym tonem.

Nagle mam ochotę go dotknąć, zastanawiam się, czy coś by się zmieniło, gdybym uklękła przed nim, przycisnęła mu dłonie do czoła, pogładziła po włosach i pocałowała prosto w usta. Ta myśl jest dziwnie pociągająca, ale nie ruszam się z miejsca.

Żegnaj się i szukaj jeszcze jakichś słów. Nie znajduję ani jednego.

W barze jest ciemno i gorąco, na ścianach jeżą się girlandy lampek choinkowych. Zerkam na zegarek: już prawie dziesiąta. Od tygodni bałam się tego przyjęcia. Nie wiedziałam, jak miałabym wykrzesać z siebie choćby odrobinę świątecznego entuzjazmu, ale teraz czuję ulgę. Mam wrażenie, że ostatnio jestem zajęta wyłącznie domem i pracą, bez końca, jak szczur w kołowrotku, co jakiś czas tylko wzbogacam ten cykl smętną kolacją z przyjaciółką – wypełniam rozmowę z nią uprzejmościami i kłamstwami, po czym zbieram się przed dziewiątą. Od dawna nie byłam nigdzie z grupą znajomych, ubrana w krótką błyszczącą sukienkę.

Zerkam w dół i wygładzam materiał na udach. Patrzę, jak migocze, i z jakiegoś powodu zaczynam chichotać. Uświadamiam sobie, że jestem już dość pijana. Głowę wypełnia mi miękka wata, alkohol skutecznie znieczula myśli.

Z przeciwnej strony stołu dobiega podniesiony głos Stevena, resztkami kierowniczego autorytetu próbującego wznieść bełkotliwy toast.

– Wszyscy ciężko pracowaliśmy... – Wychwytyję strzęp przemówienia. – Czas świętować... na następny rok pełen...

Nie dowiaduję się, czego ma być pełen przyszły rok, bo ostatnie słowa Stevena toną w natłoku zgodnych głosów i postukiwania kieliszków. To i tak nie ma znaczenia; w świecie mediów zawsze wiadomo, czego można się spodziewać. Chwytam kieliszek i dołączam do toastu, nie przejmując się, że płyn przelewa się przez krawędź i moczy mi dłoń. Dopijam drinka, alkohol pali mnie w gardle. Niewiele ostatnio piję. Kręci mi się w głowie. Postanawiam iść do łazienki. Trącam Julie na znak, że chcę się wydostać. Koleżanka przesuwa się po ławce, prawie wpadając na kolana młodszego kierownika sprzedaży, który nie wygląda na zbyt oburzonego.

– Nie spiesz się z powrotem! – woła Julie i mruga do mnie.

Z rozbawieniem przewracam oczami, ale nie potrafię powstrzymać ukłucia zazdrości.

Przeciskam się przez bar. Muzyka huczy i pulsuje wokół mnie, ale w głowie słyszę tylko ostry, rytmiczny stukot swoich obcasów na wypolerowanej posadzce. Z każdym krokiem moje ciało wibruje. Stroboskopy migają mi nad głową, oślepiające błyski padają na lśniącą metaliczną ladę. Kiedy się zbliżam, widzę czekającego przy barze Carla. Co chwila robi uniki w tłumie. Sprawdza coś w telefonie, głowę ma pochyloną, twarz zalewa mu niebieskawa poświata ekranu.

– W ten sposób nigdy cię nie obsłużą – rzucam w jego stronę, przechodząc.

Carl się śmieje i chowa telefon do kieszeni. Znów zerka w stronę baru.

– Racja – przytakuje. – Coś mnie zajęło. Zaraz tu zakwitnę. Nawet już nie pamiętam, co dla kogo miałem zamówić.

– Weź każdemu po lemoniadzie. – Wzruszam ramionami i posyłam mu szeroki uśmiech.

– Dobry pomysł. Są tak nawaleni, że i tak nie zauważą.

– W przeciwieństwie do ciebie – rzucam.

– I ciebie. My jesteśmy rozsądni. – Odbija piłeczkę.

– No jasne.

Przekomarzanki z Carlem są łatwe jak oddychanie. Po osiemnastu miesiącach wydeptywania ścieżki w tym samym kawałku dywanu przez pięć dni w tygodniu zawiązała się między nami przyjaźń, którą zaczęłam cenić. Jest ode mnie prawie o dziesięć lat młodszy, ale ma takie samo nastawienie do pracy jak ja – podchodzi do niej z mieszaniną znudzonego przyzwyczajenia, frustracji zachowaniem współpracowników i okazjonalnymi przebłyskami zainteresowania.

– Dobrze się bawisz? – Odwraca się do mnie. Już zapomniał, że miał przywołać barmana.

– Pewnie, świetnie – zapewniam, nachylając się nieco dla podkreślenia wagi swoich słów, ale ślizgam się obcasem po posadzce i lekko potykam. Wpadam na Carla, czuję rękaw jego marynarki na mojej nagiej skórze.

– Ostrożnie. – Pomaga mi się wyprostować. Kolorowe światła odbijają się w jego rozbawionych ciemnych oczach.

– Przepraszam. – Śmieję się. – Nie zamierzałam, eee, tak się na ciebie rzucać.

To miał być żart, kpiący komentarz podszyty lekkim flirtem, do którego zdążyliśmy już przywyknąć w biurze. Tutaj jednak

powietrze jest ciężkie od perfum, półmrok barwią czerwone światła reflektorów, tłum popycha nas ku sobie. W tym otoczeniu moje słowa brzmią inaczej. Jakby przekazywały coś więcej. Nagle martwieję z zażenowania. Przez sekundę albo dwie patrzę mu w oczy, dość długo, by zauważyć, że w naszym milczeniu kryje się coś dziwnego. W końcu jednak Carl wzrusza ramionami i uśmiecha się do mnie.

– Nie ma sprawy. O jedną lemoniadę za dużo.

Odwraca się ode mnie nagłym ruchem, przyzywa gestem barmana i wymienia długą listę drinków. Mam wrażenie, że zamawia pierwsze, co mu przychodzi do głowy. Kilka razy głęboko oddycham, próbując odzyskać kontrolę nad sobą.

– No to co u ciebie? – pyta Carl, kiedy barman odchodzi.

– Mmm. W porządku. – Pytanie jest zbyt ogólne, by odpowiadać na nie ze szczegółami. – Na skraju załamania nerwowego – nieco rozwijam wypowiedź. – Żartowałam – dodaję po chwili, choć to przecież prawda.

Carl opiera się plecami o bar, zaplata ręce na piersi.

– W domu dalej nieciekawie?

Wzruszam ramionami. Zawołane pytanie o Francisca kłuje mnie nieprzyjemnie. Uświadamiam sobie, że przez cały wieczór prawie o nim nie myślałam. Na chwilę miga mi przed oczami znajomy obraz: jego ciało zapadnięte apatycznie w kanapę, zatracone we śnie albo w chwili zapomnienia. Słabe światło lampy w rogu zimnego, szarego pokoju.

– Bywało lepiej – przyznaję.

Mam ochotę powiedzieć więcej, ale nie znajduję odpowiednich słów. Carl wie o mojej sytuacji więcej niż inni. Zawsze potrafiłam utrzymać równowagę między przyjacielską bliskością a odpowiednim dystansem, ale dziś nie mogę sobie



ufać. Ogarnia mnie mglisty niepokój, że jeśli zacznę mówić, to nie przestanę.

Carl przygląda mi się uważnie, ale kiedy się odzywa, jego ton jest lekki, swobodny.

– Cóż, gdybyś chciała się kiedyś wypłakać, daj znać.

Kiwam głową. Wiem, że powinnam coś powiedzieć, ale nagle mam pod czaszką pustkę.

– Muszę skoczyć do toalety. – Odwracam się gwałtownie. Trzęsą mi się nogi.

Zamykam się w łazience i ochlapuję twarz wodą. Wpatruję się w swoje odbicie. Zimne krople spływają mi po skórze. Oczy mam szeroko otwarte, pełne emocji, migoczące w czerwonym blasku. Przekręcam lekko głowę, oglądam się z profilu, oceniam pod jednym kątem, potem pod innym. Podłoga kołysze się jak na statku. Trzepoczę powiekami, próbuję zejść na ziemię. Jeszcze jeden drink i wracam do domu.

Następną godzinę spędzam w wąskim kręgu znajomych z pracy, jednym uchem słucham rozmów po obu stronach stołu, ale nie potrafię się skupić. Kiedy wstaję i żegnam się ze wszystkimi, Carl podchodzi, by życzyć mi wesołych świąt.

– Do zobaczenia po Nowym Roku – mówi. – Baw się dobrze.

Obejmuje mnie przyjaźnie. Dotyk trwa jakieś dwie sekundy, a mimo to wdziera się we mnie jakieś obce uczucie i odbija rykoszetem po moim wnętrzu. Nie potrafię go określić ani przeanalizować – znika równie nagle, jak się pojawiło.

– Ty też. No to na razie.

Wymykam się z baru, serce znów bije mi szybciej, kości grzechoczą z zimna pod cienkim płaszczykiem.

Całą drogę do domu bez przerwy odtwarzam w głowie te kilka minut w barze. Opieram czoło o zaparowaną szybę

autobusu. Nigdy nie myślałam o Carlu w ten sposób – nie tak na poważnie – ale teraz nie mogę się skupić na niczym innym. To tylko niewinna fantazja. Nikt nie mógłby mieć mi jej za złe. Aż nagle bramy wyobraźni otwierają się szeroko i zaczynam myśleć, jak by to było go pocałować – albo w ogóle kogokolwiek, po tak długim czasie. Ta myśl jest obca, agresywna. Przyciskam palce do czoła, już czuję narastający ból głowy. Nie ma szans, żebym jutro zdołała odgrywać rolę idealnej matki i żony.

Ostrożnie otwieram drzwi mieszkania. Natychmiast słyszę chrapanie Francisa. Podchodzę na palcach do salonu i zaglądam do środka. Leży rozwalony na kanapie: ubrany i martwy dla świata. Po cichu ruszam do sypialni i zamykam za sobą drzwi. Ściągam srebrną sukienkę; cekiny drapią skórę. Zdejmuję bieliznę i staję naga przy oknie. Waham się przez kilka sekund, po czym zaciągam zasłony. Gdzieś w tyle głowy czai mi się mroczna myśl: nagłe, lubieżne pragnienie bycia widzianą, obserwowaną.

Opadam na łóżko, sięgam po torebkę i wydaję telefon. Natychmiast zauważam światełko sygnalizujące nową wiadomość. Instynktownie wiem, czego się spodziewać. I rzeczywiście: na ekranie pojawia się numer Carla.

*Dobrze było cię zobaczyć. Będziesz ze mnie zadowolona – wyszedłem niedługo po tobie. Trzeba zachować trochę rozsądku, no nie?*

Staram się wymyślić jakąś odpowiedź, ale słowa prześlizgują mi się przez palce. Rzucam komórkę na nocną szafkę, gaszę lampkę, a potem wyciągam się na plecach i zamykam oczy. Łóżko kołysze się na wszystkie strony. Nie pierwszy raz do siebie piszemy, ale wiadomości o takiej porze to rzadkość.

W kontekście moich niedawnych fantazji odbieram to jako coś znaczącego. Oczywiście jestem w błędzie. To nic nie zmieni. Mimo to leżę w ciemności i myślę o nim, po czym zabieram się za coś, czego nie próbowałam od bardzo, bardzo dawna. A kiedy się budzę wiele godzin później i wypęłam z parnych, niepokojących snów, których prawie nie pamiętam, robię to jeszcze raz.

---

*Minęło półtora dnia, zanim wzięło mnie na oglądanie fotografii w korytarzu. Nic zaskakującego: rozświetlone obrazki małżeńskiego i rodzinnego szczęścia. Caroline z Eddiem na rękach na tle rozmigotanego śnieżnego krajobrazu, oboje w wełnianych czapkach i rękawiczkach; Caroline i Francis trzymający się za ręce na spacerze po piaszczystej plaży, wesolo mrużą oczy w słońcu – pewnie poprosili jakiegoś przechodnia, żeby pstryknął im to zdjęcie. Cała trójka usadowiona w centrum świątecznego chaosu, otoczona resztkami kolorowego papieru i wstążek. Jedenaście fotografii. Na każdej inna chwila, inne tło, ale coś je łączy: wszystkie zostały zrobione nie dawniej niż rok temu. Nie ma tu historii, przeszłości. Wszystko, co wydarzyło się wcześniej, znika w pustce.*

*Spędzam na oglądaniu zdjęć mniej czasu, niż można się było spodziewać. Ostatecznie to tylko obrazki. Nie sprawiają mi aż takiego bólu. Przedstawione na nich szczęście nie wydaje się prawdziwe. Ktoś, kto powiedział, że obiektyw nie kłamie, z pewnością nigdy nie był w tym mieszkaniu.*

*Wracam do jej sypialni i rozglądam się po świeżym bałaganie. Gdyby ktoś tu teraz wszedł, mógłby pomyśleć, że dokonano bezpardonowego włamania: wszystko leży rozwalone na podłodze, wypatroszone szafy i komody zioną pustką. Nie chciało mi się po sobie*

*sprzątać, ale poszukiwania zostały przeprowadzone z dużą starannością. Każdy idiota wie, że jeśli kobieta ma jakiś sekret, schowa go tam, gdzie śpi. Do tej pory nie udało mi się znaleźć zbyt wiele, ale wiem, że to się zmieni. Czuję, że Caroline nie jest typem osoby wymazującej przeszłość, choć próbuje budować taką fasadę. Ona nie podejmuje decyzji. Chce mieć wszystko naraz.*

*Nie da się mieć ciastka i zjeść ciastko. Co za dziwne wyrażenie. Bez sensu. Należałoby powiedzieć „zachować”, a nie „mieć”. Nie da się zachować ciastka i go zjeść. Nie można się czegoś kurczowo trzymać i to zniszczyć. Przechowywać wspomnień, a jednocześnie liczyć na to, że pewnego dnia obudzisz się z wymazaną pamięcią... Pielęgnować tego, co się ma, a przy tym chcieć potrząsnąć zapalką o draskę, zrobić krok w tył i patrzeć, jak wszystko płonie i eksploduje... Tak. To uczucie jest bliskie nie tylko Caroline.*

## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

Wstaję wcześnie rano i przygotowuję śniadanie w lśniącej kuchni. Z zaskoczeniem odkrywam, że jej pustka mnie uspokaja; w domu mam tyle rzeczy, że ledwo wygospodarowuję miejsce, by coś ugotować. Czasami snuję fantazje rodem z artykułów w magazynach: że wyrzucam wszystko, co posiadamy, i zaczynam od zera, z czystym kontem. Ludzie, którzy opowiadają o tym w mediach, zawsze wyglądają na tak wyzwolonych, jakby byli niemal w transie – uśmiechają się maniakalnie, w oczach mają ewangeliczny blask. Tak naprawdę jednak nigdy nie dałabym sobie z tym rady – Francis jest strasznym chomikiem. Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć.

W lodówce są jajka i mleko. Niewiele poza tym. Szybko przetrząsam minimalistyczne szafki i znajduję paczkę mąki, więc robię masę na naleśniki i rozgrzewam patelnię na gazie. Nie pozwalam sobie na chwilę przerwy, ale gdy wylewam kolejne porcje na skwierczący tłuszcz, i tak myślę o kwiatkach na parapecie w łazience. Ich obraz unosi mi się przed oczami jak uparte mroczki, różowe powidoki na peryferiach mojej świadomości.

Na początku często mi się to zdarzało. Wspomnienia dopadały mnie niemal bez przerwy: wystarczała piosenka płynąca ze sklepowych głośników, jakieś zdanie wypowiedziane przez nieznanego. Wszystko przypominało mi o tobie, bo łatwo było o katalizator: figurowałeś na szczycie listy moich codziennych priorytetów. Podobnie czułam się po zaręczynach z Francisem: wszędzie dostrzegałam kobiety, którym właśnie ktoś się oświadczył. Łatwo było je zauważyć, bo nosiły na serdecznym palcu tylko ten jeden pierścionek, często nieco za duży albo za ciasny, więc bez przerwy nim się bawiły. Tym razem było tak samo, tylko że uczucie paskudne.

Sądziłam, że mam to już za sobą. Może kwiaty po prostu mnie zaskoczyły. Podważam krawędzie naleśników na patelni, przyglądam się, jak ciasto wzdyma się i tężeje. Myślę o tamtym popołudniu na rynku, chwyciłeś bukiet róż ze stoiska i powiedziałeś, że chcesz mi je dać, nawet jeśli nie będę mogła ich zatrzymać. Pamiętam dotyk miękkich płatków. Były chłodne, aksamitne. Czułam ich zapach na skórze długo po tym, jak zostawiłam je na dworcowej ławce i wsiadłam w pociąg do domu.

Nadal wpatruję się w patelnię, pochłonięta wspomnieniami, lecz nagle ogarnia mnie niepokój, pełźnie po karku jak ciche ostrzeżenie. Rozglądam się po nagich, nieskazitelnie czystych powierzchniach, zerkam na równomiernie rozmieszczone lampy w suficie. Nie zauważam nic niezwykłego, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że ktoś mnie obserwuje. Niektóre rzeczy da się wyczuć instynktownie, tak jak obecność nieznanego w domu w środku nocy, mimo zamkniętych oczu.

Na zewnątrz.

Odwracam się do okna. Coś miga za szybą, jakiś cień gładko prześlizguje się i znika. Może to tylko gra światła, ale wystarcza,

żeby wytrącić mnie z równowagi. Wyglądam na dwór, szukam czegoś, czegokolwiek. Schludny splechetek trawy jest pusty, ale chyba dostrzegam delikatne drżenie liści, niespokojny ruch, jakby ktoś właśnie potrącił je w pośpiechu.

– Ja miałem to zrobić! – Na dźwięk głosu Francisa aż podskakuję. Mąż staje za mną, obejmuje mnie w pasie i przelotnie całuje w kark. – Nie możesz cały tydzień siedzieć w kuchni.

– Wiem. Nie przejmuj się. Obudziłam się wcześniej i nie mogłam zasnąć, więc uznałam, że równie dobrze mogę się czymś zająć.

– Wszystko w porządku? – Francis patrzy na mnie z troską. – Wyglądasz, jakby coś cię przestraszyło.

Znów zerkam w stronę okna. W ogrodzie nikogo nie ma, liście znieruchomiały. Kręcę głową.

– Nie, nic się nie stało.

– Dobrze. W takim razie może zjemy i wybierzemy się do Londynu? Moglibyśmy iść do muzeum, zjeść lunch, a potem, nie wiem, zrobić coś jeszcze. Masz na coś ochotę?

– Nie jestem pewna... Zastanowię się.

Minął już rok, a ja nadal nie mogę się przyzwyczaić, że Francis coś planuje, że sam z siebie wychodzi z inicjatywą. Dziwnie na to reaguję: mam ochotę zupełnie zrezygnować z jakiegokolwiek odpowiedzialności i dać się ponieść jego entuzjazmowi. Już nie muszę sterować naszym życiem i kontrolować każdego dnia. Nie chcę decydować, co i gdzie będziemy robić.

Jemy naleśniki przy drewnianym kuchennym stole, żartujemy, że Eddie pochłoniąłby je wszystkie, gdyby był tu z nami. Tęsknię za jego głosem. Mam ochotę zadzwonić do

mamy i upewnić się, że wszystko dobrze. Zrobię to po południu; teraz i tak jest w szkole, a ja przecież przyjechałam tu, żeby odpocząć i wyrwać się na chwilę z domu.

– Ja też za nim tęsknię – wyznaje Francis. Natychmiast odczytał moje milczenie. – Nic mu nie będzie. Kiedy wrócimy, pewnie oznajmi, że chce się przeprowadzić do twoich rodziców.

– Masz rację.

Nachylam się do jego ust. Pocałunek trwa dłużej, niż planowałam. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy wrócić do łóżka. Wczoraj byłam zmęczona po podróży i wstrząśnięta widokiem kwiatów w łazience, więc nie miałam ochoty na seks, ale teraz ta myśl wydaje mi się interesująca. Waham się jeszcze kilka sekund, chwila umyka bezpowrotnie. Francis zbiera talerze i wkłada je do zmywarki. Zaczyna opowiadać o wystawie światła i dźwięku, o której gdzieś przeczytał – może chciałabym się na nią wybrać? Muszę przyznać, że podoba mi się ten pomysł. Często oglądałam takie rzeczy, kiedy miałam dwadzieścia kilka lat, i zawsze ubierałam się w starannie skomponowane artystyczne stylizacje, próbując dopasować się do tego środowiska. Wiem też, że według Francisca to najbardziej niedorzeczny i nudny sposób na spędzanie wolnego czasu.

– Moglibyśmy zrobić coś, na co ty masz ochotę – próbuję.

Francis się śmieje.

– Wystarczy, żebyś była zadowolona. Tylko na tym mi zależy.

Odczekuję jeszcze chwilę na wypadek, gdyby chciał coś dodać, ale on tylko patrzy na mnie wyczekująco.

– Dobrze, w takim razie niech będzie wystawa – ustępuję w końcu.

– Świetnie.



Przez kilka sekund czuję, że wzbierają we mnie nudności – jakby pękała jakaś cienka fasada. Kim jest ten pan idealny, zajęty sprzątaniami po śniadaniu i zabierający mnie do galerii sztuki? W niczym nie przypomina mojego męża.

Biorę głęboki wdech i czekam, aż mi przejdzie.

– Wskoczę tylko do spożywczaka – mówię. – Kupię gazetę i kilka drobiazgów, a ty możesz w tym czasie wziąć prysznic.

– Jasne – zgadza się obojętnie Francis.

Ulżyło mi. Muszę wyrwać się stąd na kilka minut, przewietrzyć głowę. Chcę się nacieszyć tym tygodniem, a do tego potrzebny jest odpowiedni nastrój. To nie przychodzi mi jeszcze z łatwością, automatycznie. Może już nigdy tak nie będzie.

Niespieszno mi z powrotem do domu. Wiem, że Francis jeszcze szykuje się do wyjścia. Skręcam w Everdene Avenue i idę powoli chodnikiem, przyglądam się po drodze każdemu mijanemu szeregowcowi. Wszystkie są przysadziste i samowystarczalne, porozstawiane wzdłuż ulicy w zbitkach po trzy. Co jakiś czas dostrzegam cienie mieszkańców za oknami, prześlizgujące się tam i z powrotem jak ryby w słabo oświetlonych akwariach. Gdybym się nieco zbliżyła, mogłabym zajrzeć im prosto do salonów. W Leeds mieszkamy teraz w wysokim, wąskim bloku. Wisimy w powietrzu. Gdyby nie sporadyczne wybuchy głośniejszej muzyki i hałasy przenikające przez sufit i podłogę, myślałabym, że poza nami w budynku nikogo nie ma. Jakie to dziwne uczucie: mieć życie innych ludzi na wyciągnięcie ręki. Prawie mogę ich dotknąć.

Im bardziej się zbliżam do numeru czternastego, tym wolniej idę. To dom, który zauważyłam wczoraj – ten ze względnie zaniedbanym trawnikiem, z cienkimi smugami kurzu i brudu na

ścianach. Na ganku wisi srebrny łapacz snów. Wyraźnie, niemal złowrogo pobrzękuje na wietrze. Przez ułamek sekundy coś mi to przypomina. Nieprzyjemna, śliska myśl wymyka się jednak, zanim zdążę ją pochwycić.

Frontowe drzwi otwierają się gwałtownie. Na progu staje kobieta, wygląda na ulicę. Jest młoda, po dwudziestce. Ma na sobie ciemną sukienkę khaki. Długie potargane blond włosy spływają na obszerny czarny kardigan.

– Ty jesteś Heather? – pyta niespodziewanie.

– Ja... nie. – Uśmiecham się z zakłopotaniem i kręcę głową. Fala gorąca zalewa mi policzki. – Przykro mi – dodaję.

Kobieta śmieje się, splata ręce na piersi i opiera się o framugę.

– Spoko, to nie twoja wina. Czekam na kogoś ze Świętej Marii, mamy pogadać o imprezie charytatywnej. Myślałam, że to może ty.

– Aha – mamroczę i idę dalej. – Nie ma sprawy.

– A, czekaj – odzywa się kobieta. Zdążyłam już odwrócić się do niej plecami. – Chyba widziałam was wczoraj, jak przyjechaliście. Mieszkacie pod dwudziestym pierwszym, no nie?

Jeszcze nie dokończyła zdania, a już zdążyła zejść z ganku i przemierzyć boso pół trawnika. Ma szczerą, niewinną twarz, a mimo to dostrzegam w jej wielkich zielonych oczach przebiegły konspiracyjny błysk, jakby dla nas obu było oczywiste, że pierwsze pytanie zadała tylko na przynętę.

A więc tak wygląda życie na przedmieściach, myślę, zerkając jeszcze raz na uliczkę. Dziewczyna wydaje się trochę za młoda na przesiadywanie w oknie, ale pewnie i tak nie ma tu nic lepszego do roboty. Wyobrażam sobie lokalną gorącą linię: zakodowane sygnały radiowe przesyłane wzdłuż ulicy, pędzące od domu do domu – uwaga, obcy! – i nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Tak – przytakuje łagodnie. – Zatrzymaliśmy się na tydzień. Zajmujemy się domem.

Mam pewne skrupuły przed przyznaniem, że tak naprawdę to zamiana mieszkaniami, a nie opieka nad cudzą posiadłością. Nie wiem absolutnie nic o osobie, w której domu się zatrzymaliśmy. Nie mam pojęcia, czy życzyłyby sobie, żeby sąsiedzi dowiadywali się o jej decyzjach i miejscu pobytu.

Kobieta przysiada na skraju niskiego ceglanego murku okalającego trawnik, grzebie w kieszeni sukienki. Ten ruch sprawia, że materiał napina się na piersiach. Kiedy schyla głowę, zauważam długie gęste rzęsy i ostre kości policzkowe. Jest nieprzeciętnie ładna.

W końcu wygrzebuje paczkę papierosów i wyciąga ją ku mnie, unosząc pytająco brwi. Śmieję się niezręcznie.

– Nie, dzięki.

Nie wygląda, jakby jej to przeszkadzało. Wkłada jednego do ust i zapala.

Ten gest wydaje mi się naturalnym zakończeniem spotkania. Zbieram się do odejścia, ale ona podnosi wzrok.

– Cóż, jakby ci się nudziło, to nie mam w tym tygodniu zbyt wiele do roboty. Może miałabyś chęć na kawę albo coś? Dwie samotne laski, te klimaty.

W jej głosie pobrzmiewa lekka kpina. Przez jedną dziwną chwilę zastanawiam się, czy ze mną flirtuje. W jej propozycji jest coś niepokojącego – zaskakująca bezpośredniość, zaproszenie do gry. Przyglądam się jej uważniej. Siedzi na murku z kolanami podciągniętymi do piersi, przechyla z zaciekawieniem głowę. Przypomina mi o kims, o kimś. Nie udaje mi się pochwycić tego wspomnienia, ale czuję, że jest w nim coś istotnego. Znów

dopada mnie déjà vu, tak jak wtedy, gdy patrzyłam na jej ganek. Nie podoba mi się to.

– Jestem tu z mężem – wyjaśniam nieco ostrzej, niż zamierzałam. – Ale dziękuję za propozycję. Będę już lecieć.

Kobieta posyła mi lekki uśmiech. Zsuwa się z murku, wygładza sukienkę, po czym odwraca się na pięcie i bez słowa wraca do domu. Wchodzi do środka, nie odwracając się za siebie, i zamyka drzwi. Poczucie winy kłuje mnie jak gęsia skórka. Byłam dla niej trochę nieuprzejma. Przecież ona tylko chciała być miła, nawet jeśli wydało mi się to nieco absurdalne, bo przecież zupełnie się nie znamy. Zastanawiam się, czy jej nie przeprosić – może wsunąć karteczkę pod drzwi, ugodowo zaproponować spotkanie – ale to przecież głupie. Przyjechaliśmy tylko na tydzień, żeby spędzić czas ze sobą, a nie żeby zawierać nowe przyjaźnie.

Jestem tak pochłonięta rozmyślaniami, że nawet nie zauważam, kiedy stoję na progu i wsuwam klucz do zamka. Przychodzi mi to tak naturalnie, jakby to był mój dom. Gdy tylko otwieram drzwi, uświadamiam sobie, że coś jest nie tak. Instynktownie się wzdrygam, jeszcze zanim usłyszę pierwszą nutę. Ze schodów płyną dźwięki muzyki. Potrzebuję kilku chwil, by rozpoznać melodię, ale moje ciało już wie. Serce dudni mi w piersi, kolana miękną, nagle czuję się zupełnie rozbudzona.

Nie słuchałam tej piosenki, odkąd ostatni raz cię widziałam. Ale pamiętam zatłoczony bar, w którym po raz pierwszy usłyszeliśmy ją razem. Ogarnęło mnie magiczne wrażenie, że wszystko łączy się w doskonałą całość – muzyka była idealnym podkładem do tego, co działo się na tym małym skrawku przestrzeni, który zajmowaliśmy centymetry od siebie. Delikatnie ująłeś mnie w pasie i przyciągnąłeś.

Na szczycie schodów pojawia się Francis. Wyciera włosy ręcznikiem.

– Co się stało? – pyta natychmiast.

– Nic – zapewniam z wysiłkiem. – Dlaczego to włączyłeś?

– Co, muzykę? – Francis zerka pytająco za siebie. – Znalazłem kilka płyt w sypialni, leżały za wieżą. Ta była akurat na wierzchu. Pomyślałem, że sobie posłucham. Trochę mnie poniosło, kiedy je zobaczyłem. No wiesz, rzeczy! Przedmioty. Jeśli dobrze się rozejrzemy, może znajdziemy nawet jakąś książkę albo dwie.

– Mhm...

Nie jestem w nastroju do przekomarzanek. Prędko wchodzę po schodach i ruszam prosto do sypialni. Piosenka wybrzmiała zaledwie do połowy. Niewiarygodne, z jakim trudem przychodzi mi wyłączenie odtwarzacza. Kiedy muzyka milknie, przeszywa mnie gwałtowne poczucie straty.

Francis stoi tuż za mną, czujny i zaniepokojony.

– O co chodzi? Zrobiłem coś nie tak? Czy to... – Nie kończy myśli, ale wiem, o co chciał zapytać.

– Nie – ucinam.

Jestem pewna, że wie, jakie znaczenie ma dla mnie ta piosenka. Na pewno wspomniałam o niej w długich, wyczerpujących rozmowach, które prowadziliśmy przez wiele miesięcy, gdy dopadła mnie potrzeba szczerości, a jego masochizm dorównał mojemu brutalnemu pragnieniu oczyszczenia się ze wszystkich szczegółów. Czy mógłby zapomnieć coś takiego?

– To tylko... – bąkam niepewnie i patrzę na niego. Nie rusza się, nawet nie mruga. Czeka, aż dokończę. – To nic – mówię w końcu.

Przez chwilę stoimy w ciszy. Zarzucam mu ramiona na szyję, wtulam twarz w jego pierś, nasłuchuję bicia serca. Kiedy się odsuwam, łzy wzbierają mi pod powiekami. Nie mrugam. Czekam, aż wyschną.

– Skoczę jeszcze do łazienki, a potem możemy wychodzić, dobrze? Pojedziemy pociągiem do centrum i obejrzymy tę wystawę.

Twarz Francisa rozluźnia się w uśmiechu. Próbuję szukać w tym pocieszenia. Małe rzeczy wcale nie muszą się rozrastać. Nie muszą puchnąć, aż zmiażdżą wszystko dookoła.

Czuję się trochę pewniej. Przyciskam się ostatni raz do męża, po czym wyślizguję się z jego objęć i ruszam do łazienki. Wyrzuciłam kwiaty dziś rano – próbowałam sobie wmówić, że zaczęły brązowieć i więdnąć. Parapet jest teraz doskonale pusty. Podchodzę do okna i otwieram je szeroko. Wychylam się na zewnątrz, patrzę na zbitki identycznych domków. Nagle ktoś gdzieś trzaska drzwiami. Instynktownie spoglądam w stronę numeru czternastego, ale kiedy znajduję właściwy dom, wszędzie panuje już idealny, nieruchomy spokój.

## W domu

*Caroline, luty 2013*

Idę wzdłuż rzeki, mokry wiatr chłoszcze mnie po twarzy, włosy kleją mi się do czoła. Zaciskam zbielełe palce na ramie wózka, niezmordowanie popycham go przed siebie. Eddie wierci się niespokojnie pod folią przeciwdeszczową, odwraca buzię ku niebu, wpatruje się w strużki wody płynące po przezroczystym plastiku. Francis wlecze się obok, jakby nie mógł się obudzić. Twarz ma naburmuszoną, patrzy przed siebie. Ręce wcisnął głęboko w kieszenie. Zimny wiatr trzepocze brzegami jego koszuli.

– Zamarzniesz na śmierć – powtarzam drugi albo trzeci raz.

Kiedy wychodziliśmy z domu, Francis nie chciał włożyć kurtki. Wymamrotał tylko, że niczego nie potrzebuje. Zaprotestowałam, ale to sprawiło, że jeszcze bardziej się zawziął. W ponurej ciszy pokonaliśmy drogę do przystanku, unikaliśmy swojego wzroku. Wiedziałam, że ta wyprawa to błąd, jeszcze zanim na dobre straciliśmy z oczu naszą ulicę.

– Wcale nie – upiera się, posyłając mi nieufne spojrzenie, jakby podejrzewał, że moja troska bierze się z jakichś ukrytych motywów. – Czepiłabyś się czegoś innego, co?

– Uroczo – syczę i przyspieszam kroku, choć wiem, że nie będzie próbował mnie dogonić.

Maszeruję wzdłuż brzegu, starając się nadać moim krokom tyle uzasadnionego oburzenia, żeby rozgrzać się nim od środka. Ale ta metoda nie działa. Mam na sobie długi płaszcz, a mimo to cała dygoczę. Deszcz zaczyna przenikać przez ubranie i kleić mi się do skóry jak wilgotna folia. Wczoraj wieczorem, kiedy przyszedł mi do głowy ten plan, wyobraziłam sobie rześki spacer w ostrym zimowym słońcu. Uznałam, że wszyscy moglibyśmy się nieco przewietrzyć. Wypróbowuję takie strategie średnio raz na dwa tygodnie. Mniej więcej w połowie przypadków sprawy obracają się na moją korzyść. W pozostałych czuję się, jakbym próbowała ożywić zepsutą lalkę, z całych sił wyginała jej kończyny, by nadać kukielce pozory życia.

Po jakimś czasie orientuję się, że Francis już nawet za nami nie idzie. Odwracam się: stoi oparty o żelazną barierkę i spogląda na wzburzoną rzekę. Przez jedną obrzydliwą chwilę patrzę na niego jak na obcą osobę: widzę potargane włosy, niechlujne ubranie, dziwny, nieobecny wyraz twarzy. Prędko popycham wózek z powrotem i wyciągam rękę, żeby dotknąć mokrego rękawa jego koszuli.

– Co się dzieje? – Zamierzałam wyrazić troskę, ale mój głos brzmi szorstko i oskarżycielsko.

Francis wzrusza ramionami, nie odrywając wzroku od skotłowanych szarych fal unoszących się i opadających z wiatrem.

– Chyba pójdę do domu. Jestem wykończony. To i tak nie ma sensu.

Nie mogę zaprzeczyć, ale i tak wzbiera we mnie wściekłość, że tracę zaplanowany dzień. Patrzę na męża rozdarta między niepokojem a wściekłością. Przede wszystkim jednak czuję znużenie, opada na mnie jak ciężki koc. Wszystko się kumuluje:



nieprzespane noce, chwile irytacji, jego pusty wzrok, powiększający się dystans. Mieliśmy kilka dobrych tygodni, ale ostatnio widzę coraz wyraźniej, że nic się tak naprawdę nie zmieniło.

Wrócił do pigułek. Ta myśl spada mi do żołądka jak kamień. Staralam się to ignorować, ale nie mogę dłużej udawać. Znow jesteśmy na tej samej beznadziejnej karuzeli. Wszystko zaczyna się od nowa. Jego puste wymówki i coraz mniejsza kontrola nad sobą. Zawzięta odmowa przyznania, że nic się nie zmieniło. Moje łzy, oskarżenia i błagania, które gównem dają, bo próba dyskusji z uzależnieniem przypomina próbę zawrócenia rzeki dłonią.

– Wiesz co, chyba powinieneś iść jeszcze raz do lekarza. Może... może coś ci poradzi.

Oczywiście dostrzegam w tych słowach ironię. Przecież właśnie od tego się zaczęło, dobre trzy lata temu – kiedy zasugerowałam, że powinien iść do lekarza, poprosić o coś, co pomogłoby mu przetrwać kilka ciężkich tygodni w pracy. Miałam najlepsze intencje. Następnego dnia wrócił, wymachując beztrąsko receptą: „Dał mi tabsy na poprawę nastroju!”

– Mam na myśli terapię – dodaję ostrożnie. – Nie tylko pomoc doraźną.

Francis posyła mi ciężkie, niechętne spojrzenie.

– Spierdalaj – mówi ociężale.

Zszokowana otwieram usta. Nie chodzi o słowo. Przeraza mnie, że dryfowało tuż pod powierzchnią, w każdej chwili gotowe się wynurzyć, by mnie odepchnąć.

– „Spierdalaj”? – powtarzam. – Wierz lub nie, Francis, ale próbuję ci pomóc.

– Strasznie lubisz to słowo, no nie? Pomóc. Nie potrzebuję twojej zaszranego pomocy. Rozumiesz?

– Owszem, potrzebujesz – odpowiadam sztywno, starając się nie tracić panowania nad sobą. – Potrzebujesz. Całymi dniami snujesz się jak zombie. Rzygam tym już. Mam dość udawania, że nie widzę... – przerywam, bo zbliża się do nas para w średnim wieku.

Francis podąża za moim spojrzeniem. Jego wargi wykrzywają się w nieprzyjemnej parodii uśmiechu.

– Proszę się nami nie przejmować – niemal ryczy, wpatrując się w nieznanym. – Możemy rozmawiać jeszcze głośniej, jeśli jesteście ciekawi.

– Francis – syczę. – Zamknij się.

Zalewa mnie fala wstydu, policzki mi płoną, mokre ubranie drapie skórę. Para spogląda na nas z litością przemieszana z niepokojem i prędko odchodzi. Mamroczą coś do siebie.

– Zastrane gumowe uszy – prychna Francis. Odwraca się do mnie, unosi brwi.

On myśli, że jesteśmy po tej samej stronie, uświadamiam sobie z zaskoczeniem. Nic nie rozumie.

– Mam dosyć – oznajmiam. – Bez przerwy muszę za ciebie świecić oczami. Nie chce mi się tak dłużej żyć. Co byś zrobił na moim miejscu, Francis? Naprawdę, co ty... – Gdzieś po drodze straciłam kontrolę nad swoim głosem. Krzyczę w prędko rosnącą przestrzeń między nami.

Patrzę, jak Francis odchodzi ze zwieszoną głową. Stracił zainteresowanie. Przepycha się przez tłum turystów w drodze Bóg wie dokąd. Zaczynam płakać. Łzy płyną mi po twarzy, mieszają się z deszczem. Lewą ręką nadal automatycznie kołyszę wózkami. Zaglądam do środka. Eddie nie ma pojęcia, co się stało. Przyciska piąstkę do ust, oczy szklą mu się ze zmęczenia.

Mija prawie godzina, zanim udaje mi się dopchać wózek do domu. Po dziewięciu odrzuconych połączeniach mam pewność, że nie zastanę tam Francisa. I rzeczywiście, korytarz jest ciemny i zimny. Nawet nie próbuję wołać męża. Zerkam na Eddiego, żeby się upewnić, czy śpi. Leży zwinięty w kłębek, kolana podciągnął pod brodę, głowa opadła mu bezwładnie na bok, jasne włosy rozsypały się na materacyku. Kiedy śpi, tak bardzo przypomina Francisa, że ogarnia mnie dezorientacja: miłość miesza się z tęsknotą, żalem i poczuciem straty.

Zostawiam wózek w przedpokoju. Idę włączyć termostat i ściągam z siebie przemoczone ubranie. Wkładam puszysty szlafrok i zapalam świece w salonie, żeby zrobiło się trochę przytulniej. Zalewam wrzątkiem czekoladę. Piję powoli, skulona pod kocem, czując, jak stopniowo wypełnia mnie ciepło.

Gdy opieram głowę o poduszkę, dostrzegam coś kątem oka. Spod koszyka przy kanapie wystaje długa biała koperta. Coś mnie w niej zaniepokoiło – wygląda, jakby została tam schowana specjalnie. Schylam się i wyciągam ją z kryjówki. Jest grubsza, niż się spodziewałam. W środku znajduję kilka metalicznych listków, po dziesięć niebieskich pigułek w każdym. Bez recepty, bez opakowania. Źródło nieznane.

Ważę kopertę w dłoni. Nie czuję szoku ani zaskoczenia, tylko tępe, ciężkie mdłości, podchodzące mi rytmicznie do gardła. Nie, nie, nie. Przeczuwałam to od tygodni, spodziewałam się tego, a mimo to zderzenie z rzeczywistością boli.

Zastanawiam się, co zrobić. Mogłabym wyrzucić pigułki, skonfrontować znalezisko z Francisem, ale w końcu chowam kopertę tam, gdzie ją znalazłam. Znam sytuację dość dobrze, by wiedzieć, że wyrzuceniem leków niczego nie osiągnę; zawsze znajdzie się następna porcja. Poza tym jeśli on nie będzie

wiedział, że odkryłam kopertę, będę mogła monitorować sytuację. Przekonam się, jak szybko znikają kolejne pigułki.

Odpycham od siebie natrętne myśli. Zauważam, że komórka na kanapie miga zielonym światełkiem. W pierwszej chwili sędzę, że może Francis wreszcie napisał, i sztywną dłonią odblokowuję ekran, ale to wiadomość na WhatsAppie od Carla.

*Hej. Jak ci minął weekend? Pewnie już nie możesz doczekać się jutra?*  
:-\*

Wpatruję się w biały dymek. Nie jestem pewna, co mi w nim nie pasuje, wreszcie koncentruję wzrok na całusie na końcu wiadomości. Przewijam nasze wcześniejsze rozmowy, moje przypuszczenia się potwierdzają. Do tej pory żadne z nas nigdy nie zakończyło zdania w ten sposób. Wiem, że to idiotyczne, ale serce trzepocze mi lekko, jak u nastolatki. Nie powinnam tak się czuć. Przypomina mi to początki znajomości z Francisem, kiedy bez przerwy czekałam ze wstrzymanym oddechem na wiadomość od niego. Pamiętam tamte czasy – wspomnienie jest słodko-gorzkie, przesycone smutkiem i poczuciem winy.

Powoli odpisuję.

*Weekend do dupy. Pokłóciłam się z F i czuję się beznadziejnie. Ale cieszę się na jutro! Może być fajnie.*

Grant z biura gra jutro po pracy koncert ze swoim zespołem w lokalnym pubie. Carl i ja obiecaliśmy, że przyjdziemy go wspierać. Waham się, po czym dodaję: :-\*. Przed wciśnięciem „wyślij” niepewnie patrzę na buziaka. Nie wiem, czy dobrze robię, jaki komunikat przekazuję. Już zamierzam go skasować,

kiedy nagle słyszę chrzęst klucza w zamku, szelest otwieranych drzwi. Spanikowana wysyłam wiadomość, chowam telefon do kieszeni szlafroka i zrywam się z kanapy.

Przygotowuję się na konfrontację, zbieram się w sobie. Stoję bez ruchu na środku pokoju, czekając, co wyczytam z twarzy Francisa. Pojawia się w progu. W oczach ma oszołomienie i wstyd.

– Przepraszam – mamrocze.

– Wszystko dobrze – mówię bez zastanowienia.

To tylko puste słowa, ale zawsze coś. Wystarcza, żebym poczuła ukłucie winy na myśl o napisanej przed chwilą wiadomości, i już znowu chcę wyszarpać z tego dnia choć odrobinę normalności. Podchodzę do Francisa, biorę go za rękę, i tak się zaczyna.

Następnego dnia rano Grant miota się po biurze z nerwową energią. Wszystkim opowiada o koncercie i zwierza się, że nie wie, jak publiczność zareaguje na nowe kawałki. Kilka razy dopytuje, czy Carl i ja rzeczywiście zamierzamy się pojawić – zapewniamy, że nie rozmyślimy się w ostatniej chwili. Wbrew wszystkiemu jestem szczerze podekscytowana, zwłaszcza że Eddie zostaje na noc z moimi rodzicami. Nie muszę się dziś o nic ani o nikogo martwić. Ta myśl jest uwodzicielsko lekka. Czuję się wolna.

Nie potrafię skoncentrować się na pracy. Kiedy wybija południe, postanawiam wyjść na wczesny lunch. Wymykam się niezauważenie z biura i maszeruję główną ulicą, otulając się ciasno kurtką, opuszczam nisko głowę. Zaczyna kropić. Staję na przejściu dla pieszych. Już cała dygoczę. Nagle czuję czyjeś dłonie w talii – ktoś ściska mnie mocno i od razu puszcza.

– Hej.

Odwracam się gwałtownie i widzę szeroko uśmiechniętego Carla.

– Ty głupku, przestraszyłeś mnie! – Próbuję go skarcić, ale nie udaje mi się powstrzymać śmiechu.

– Wybacz – mówi, ale nie wygląda, jakby zamierzał okazać skruchę. – Zauważyłem, że uciekasz, i pomyślałem, że się przyłączę. Też bym coś zjadł.

– Jasne.

Ruszamy razem do pobliskiej kawiarni. Nadal czuję dotyk jego rąk, aż przeszedł mnie od niego prąd. Po tamtej nocy w barze mam wrażenie, że coś się między nami otworzyło. Częściej się dotykamy – przelotnie, mimochodem. Gdyby to był ktokolwiek inny, uznałabym to za przyjacielskie gesty. Mówię sobie, że jestem głupia. Mężatka z dzieckiem, osiem lat starsza – żaden materiał do fantazjowania. Za to dla mnie to nie pierwsza taka fascynacja, a Carl wpisuje się w mój typ. Wyszłam za mężczyzną osiem lat starszego ode mnie, nic więc dziwnego, że pociąga mnie nieskomplikowany urok młodszych facetów. Zawsze szybko mi przechodzi. Nie ma powodu do obaw – nic nie wskazuje na to, że tym razem mogłoby być inaczej.

Wchodzimy do kawiarni, wybieramy kanapki i płacimy przy kasie, po czym wybieramy stolik przy oknie i wpatrujemy się w przybierający na sile deszcz za oknem.

– Wspaniała pogoda – zauważa Carl. – Od razu lepiej się człowiekowi robi, nie?

– No – zgadzam się. – Nie zamieniłabym tej chwili na nic innego.

Codziennie przerzucamy się sarkastycznymi uwagami, ale tym razem uświadamiam sobie, że w moich słowach jest więcej

niż tylko ziarno prawdy. Nie przychodzi mi do głowy lepszy sposób na spędzenie popołudnia niż chwila w przytulnym kokonie, z dala od deszczu, z kimś, kto nadaje na tych samych falach.

– Muszę przyznać, że trochę się niepokoję o ten koncert – wyznaje Carl, zabierając się za kanapkę. – Nie wiem, czy słyszałaś już kiedyś muzykę Granta. Lokalna publiczność może się okazać nieprzygotowana na coś takiego.

– Czyli jest do dupy – podpowiadam.

– Nie. – Carl marszczy brwi, udaje urażonego. – No coś ty. To po prostu dość... alternatywne klimaty.

Patrzy mi kąpiąco w oczy i oboje wybuchamy niekontrolowanym śmiechem, z uciechy aż zginamy się nad stołem. Całe ciało boli mnie od spazmów.

– Na litość boską – chichoczę, wycierając oczy. – Teraz nie ma szans, żebym zachowała przed nim powagę. Dobra, kończ tę kanapkę. Musimy wracać, mam dziś jeszcze kupę roboty do odwalenia.

Wracamy spokojnie do biura. Kiedy docieramy na miejsce, coś każe mi powiedzieć, że skoczę najpierw do łazienki. Nie mam ochoty przyznawać się do tego nawet przed sobą, ale nie chcę, żeby ktoś zobaczył, jak wchodzimy razem. Staję nad umywalką i patrzę sobie w oczy w lustrze. Ogarnij się, nakazuję. Nikt nawet nie zwróciłby na nas uwagi. Kogo to obchodzi, że wyszłam z Carlem na lunch? Przyjaźnimy się. To tylko koleżeńska znajomość.

Wracam do biurka. Popołudnie wlecze się w nieskończoność. Pracuję na autopilocie, myślami jestem gdzie indziej: analizuję, szukam wymówek. Dochodzi czwarta, kiedy wreszcie podnoszę głowę i spoglądam w stronę jego biurka. On już na mnie patrzy.

Kiedy nasze oczy się spotykają, nie odwraca wzroku. Nie uśmiecha się.

Grant stawia na stole dwie szklanki piwa i kieliszek białego wina, po czym opada na krzesło naprzeciwko mnie. Jest zaczerwieniony od wysiłku, krople potu błyszczą mu na czole.

– Wiecie co, całkiem dobrze nam poszło. Ludzie nieźle się bawili, co?

– Też mi się tak wydaje – przytakuję.

Czuję, że Carl trąca mnie lekko kolanem pod stołem. Kiedy odwracam głowę w jego stronę, pociąga łyk piwa i uśmiecha się kpiąco do szklanki. Dziesięć minut wcześniej śmialiśmy się z tego, że nigdy dotąd nie widzieliśmy równie zagubionej barowej publiczności. Jak zapowiadał Carl, zespół Granta okazał się radykalnie różny od łagodnych folkowych grajków, jakich zazwyczaj ściągają takie miejsca. Było dużo wrzasku bez słów, rozstrojonych gitar i przypadkowego tłuczenia w perkusję.

– Nam też się podobało – dodaję.

– I to jak! – wtrąca Carl. – Kiedy następny koncert? Musimy kupić bilety, zanim się rozejdą.

– Och, nie ma potrzeby – zapewnia skromnie Grant. – Po prostu wpadnijcie. W przyszły piątek gramy chyba w Kentish Town. A potem...

Grant zaczyna recytować kolejne punkty z kalendarza, odhaczając daty i lokale na palcach, uzupełniając wypowiedź o precyzyjne informacje, czego można się spodziewać po każdym wieczorze i jakie jeszcze zespoły będą grać z nimi. Staram się słuchać, ale nie mogę się skupić na niczym poza nagłym odczuciem ciepła cudzego ciała tuż przy lewej ręce, opartej o ławkę pod stołem. Dłoń Carla pojawia się tuż obok, milimetry



od mojej skóry, aż ktoś się porusza – nie mam pojęcia, które z nas – i nasze palce lekko się dotykają.

Delikatny, lecz stanowczy dreszcz przebiega mi przez całe ciało. Tym razem jest inaczej niż w poprzednich sytuacjach. Znow na niego patrzę. Drapie się leniwie po twarzy wolną ręką, mierzwi palcami ciemne włosy. Wydaje się, że całą uwagę koncentruje na Grancie. Kiwa głową, co jakiś czas wtrąca jakąś żartobliwą uwagę. Słowa przepływają przede mną jak woda. Jedyne, na czym udaje mi się skupić myśli, to maleńki krążek ciepła w miejscu, którego dotyka jego dłoń. W jednej chwili dociera do mnie z wstrząsającą jasnością, że to się może naprawdę wydarzyć. Nawet dziś.

Zastanawiam się, jakie uczucia wzbudza we mnie to odkrycie. Próbuje pamiętać o Francisie i życiu, które dzielimy z naszym dzieckiem. Ale szczęśliwe obrazki, które staram się przywołać, wydają się bardzo odległe. Gdy wyobrażam sobie powrót do domu, czuję tylko bolesny ucisk w piersi. Myślę o bałaganie, którego żadne z nas nie ma siły ogarnąć, o naszych postrzępionych nerwach, aż iskrzących za każdym razem, kiedy przebywamy w tym samym pomieszczeniu dłużej niż kilka minut. O niemożliwej do sforsowania ścianie, którą budują między nami jego pigułki.

Zawsze zakładałam, że jeśli sytuacja z kimś takim jak Carl wymknie się kiedyś spod kontroli, gładko i stanowczo zrobię krok w tył i wrócę do dawnego życia. A teraz, gdy to naprawdę się dzieje, jestem bezradna. Zerkam na Carla, a on odwzajemnia spojrzenie z taką intensywnością, że oddech na chwilę więźnie mi w gardle. Jestem już pewna, że szykują się kłopoty. Wzbierają niczym fale, pochłaniają mnie i ściągają w głąb. Nie mogę im się oprzeć.

Grant pakuje swoje rzeczy i niezdarnie wkłada płaszcz.

– No, mniejsza z tym – kończy przyjaźnie. – Chrzanię jak potłuczony. Pewnie już zdychacie z nudów. Będę się zbierał. Jutro ciężki dzień, nie? To co, idziecie?

Waham się.

– Chyba też powinnam już iść. Carl? Jak uważasz?

Carl wzrusza ramionami i dopija piwo.

– Pewnie. Ale jeśli masz ochotę, mógłbym zostać na jeszcze jednego.

Orientuję się, że kiwam głową. Automatycznie, swobodnie.

– Okej.

– Dobra. Ja uciekam – oznajmia Grant, zapinając płaszcz, po czym zarzuca gitarę na ramię. – Dzięki, że przyszliście. Do zobaczenia jutro. – I już go nie ma.

Przez kilka chwil siedzimy w ciszy. Pomimo niedawnych deklaracji żadne z nas nie rusza do baru. Serce tłucze mi się natrętnie w piersi. Carl przykrywa moją dłoń swoją, nasze palce się splatają. To najniewinniejsza możliwa pieśczoć, ale wydaje mi się tak intensywna, że niemal nieprzyzwoita. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej była tak świadoma czyjś dotyku, nagości własnej skóry.

– Robi się ciekawie – odzywa się w końcu Carl.

Kiwam głową, nie odrywając wzroku od stołu. Widzę jego odbicie w brudnej szklance: linie ramion, twarz odwróconą do mnie profilem.

– Ciekawie – zgadzam się. – I niezbyt rozsądnie, co?

– Możemy to przerwać, jeśli chcesz.

– A ty chcesz? – pytam natychmiast.

Carl wzdycha, odchyła głowę na oparcie ławki.

– Och, Caro. A jak myślisz? Wiesz, że ja...

Celowo przerywa zdanie, pozwala, by zawisło między nami echo jego słów. A kiedy to mówi, dociera do mnie, że przecież wiem, że okłamuję się od tygodni. Jego wilgotna dłoń przeczy obojętnemu tonowi, podobnie jak błysk niepewności w jego oczach. Patrzy na mnie, czeka na reakcję. Uświadamiam sobie, że on też nie jest pewien, co tu się dzieje i dokąd to zmierza.

– Nie wiem, co robić – wyznaję cicho. Mówię prawdę, choć wiem, jak żałośnie to brzmi.

– Ja też nie.

Jego głos jest niski i łagodny, pobrzmiwa w nim niemal smutek. Dla niego to też może być trudne.

Przez ostatnich kilka tygodni wielokrotnie próbowałam wybić sobie z głowy nieposłuszne fantazje. Za każdym razem powtarzałam, że to tylko młody seksualny drapieżnik, który chce odhaczyć kolejne doświadczenie na liście. Teraz jednak wydaje mi się, że nie mogłabym bardziej mijać się z prawdą. On się o mnie troszczy – zależy mu na mnie. To prosty, uderzający fakt. Zalewa mnie fala gorąca. Rumienię się, nagle kręci mi się w głowie. Mam wrażenie, że muzyka płynąca zza baru wzbiera na sile, wibruje przez ściany.

– Nie słyszę tu własnych myśli – mówię. – Chodźmy stąd.

Idziemy razem do stacji metra. Zaplatam ręce na piersi, dygoczę z zimna. Od czasu do czasu rzucamy jakąś uwagę o Grancie i jego zespole albo śmiejemy się z czegoś, co wydarzyło się w tym tygodniu w pracy. Jakby ta rozmowa w pubie w ogóle się nie odbyła. Dociera do mnie, że wcale tego nie chcę. Chcę wrócić do tamtej chwili. Pragnę tej intymności i niewypowiedzianych słów, które drżały między nami, gdy wziął mnie za rękę. Nie widzę nic więcej, nie mogę o tym zapomnieć. Nie zdołam skupić się na czymkolwiek innym.

Zatrzymujemy się przed wejściem do metra. Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu.

– Idziesz? – pyta w końcu.

Kręcę głową.

– Przejdę się do następnej, stamtąd jeździ też Northern.

Stoimy na zimnie, wiatr hula między nami. Jest mi słabo od pożądanego, świat rozmywa mi się przed oczami. Carl coś mówi. Nie słyszę, ale domyślam się, że to pytanie. Kiwam głową, wpadam w jego ramiona i odchylam głowę ku jego twarzy. Przeczesałam jego włosy palcami, on przyciąga mnie do siebie. Ma zimne wargi. Całujemy się jakieś dwadzieścia sekund. Mija nas grupka nastolatków. Na nasz widok gwizdzą i pokrzykują z uciechy.

Carl wypuszcza mnie z objęć. Na sekundę pozwalam sobie spojrzeć mu w oczy.

– Nie czuj się zbyt winna – mówi cicho.

– Postaram się.

Ledwo udaje mi się uformować jakieś słowa w głowie, a co dopiero wypowiedzieć je na głos. Mamrocę coś na pożegnanie i odwracam się na pięcie, szybko odchodzę. Nadal trzęsę się od uderzenia adrenaliny. Bez przerwy obracam te kilka sekund w głowie, próbując zrozumieć, co właściwie czuję. Rozlewa się we mnie dziwne rozczarowanie. Cokolwiek to było, tyle mi nie wystarczy. I już zniknęło.



*W końcu go znajduję. Kryjówka jest tak oczywista, że w pierwszej chwili nawet nie przyszło mi do głowy tam sprawdzić: ciemnoczerwony notes bez nadruku na grzbiecie stoi wciśnięty między dwie powieści na*

regale w sypialni. Pod latarnią zawsze najciemniej – jakie to do niej podobne. Trzeba było trochę bardziej się wysilić, spróbować myśleć jak ona, ale to nie jest dla mnie zbyt łatwe.

Przysiadam na jej łóżku i kartkuję notes od tyłu, patrzę, jak daty w górnych rogach przeskakują w przeszłość, aż dochodzę do stycznia, a następnie czytam każdą stronę, którą zapisała przez kolejne sześć miesięcy. Słowa tłoczą się, niemal wpadają jedno na drugie, jakby miała trudności z wciśnięciem swoich myśli w wąskie linijki. Pisze prosto z serca, nic nie ukrywa. Mimo to gdy kończę lekturę, ogarnia mnie miazdzące rozczarowanie. Jakie to wszystko banalne. Jest inteligentna, bez trudu potrafi znaleźć dobrą ripostę, ale gdy w grę wchodzi emocje, nie ma w niej ani odrobiny wyrafinowania. Niektóre zwroty są tak wyświechtane i uniwersalne, że mogłaby je napisać każda kobieta w tym kraju. Ciekawe, czy Caroline zdaje sobie z tego sprawę. Bez przerwy o nim myślę. Tęsknię za nim, gdy tylko znika mi z oczu. Nie potrafię skupić się na czymkolwiek innym ani nawet zastanowić się, co robię i dlaczego. Przeraża mnie to, jak bardzo go potrzebuję. Takie rzeczy. Przepisane na dziesiątki sposobów, ujęte nieco innymi słowami, strona po stronie przez pół roku.

Jak można się było spodziewać, ostatni wpis pochodzi z 8 lipca. Dalej nic. Pustka. Czytam całość jeszcze raz, a potem robię to, co ona powinna była uczynić dawno temu. Wyrrywam kartki jedna po drugiej, przykładam do każdej zapałkę i wyrzucam przez okno sypialni, patrząc, jak zwęglone kawałki papieru spływają na chodnik i zmieniają się w popiół. Zajmuje mi to dużo czasu. Mniej więcej w połowie lekko gryzie mnie sumienie – nie czuję się dobrze z myślą, że niszczę coś, co ma dla kogoś wartość, nawet jeśli tym kimś jest Caroline. Spokojnie, zaraz mi przejdzie.

Gdy wyrzucam ostatnią stronę, siadam na łóżku i znów myślę o jej prozaicznych słowach, banalnych wynurzeniach, które nie mają nic

*wspólnego z tym, co naprawdę się liczy. To chyba nie powinno mnie zaskakiwać. Kiedy się nad tym zastanowić, Caroline nie pisała o niczym ważnym. To nie kwestia życia i śmierci. To tylko miłość.*

## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

Widzę ją już z drugiego końca ulicy: wysoka smukła postać w dzinsach i jaskrawoniebieskim podkoszulku. Idzie w moją stronę swobodnym krokiem, ręce trzyma w kieszeniach. Wracam ze sklepu, niosę gazetę i drobne zakupy. Nie unikniemy spotkania – nasze ścieżki muszą się przeciąć.

Postanawiam, że po prostu szybko ją wyminę. Plastikowa siatka robi się śliska, płoną mi policzki. To idiotyczne – przecież nawet jej nie znam. Może mnie uważać za najbardziej nieuprzejmą osobę, jaką w życiu spotkała, albo nawet rozesłać ostrzeżenie do wszystkich sąsiadów, żeby omijali mnie szerokim łukiem i zabarykadowali się w domach. Przyjechałam tu tylko na tydzień.

– Hej, jak tam? – Słowa same wyrywają mi się z ust, niemal bez udziału świadomości. Nie potrafię stwierdzić, jaki niuans konwenansów społecznych nakazał mi się odezwać.

Ona posyła mi promienny uśmiech, jakby szczerze się ucieszyła.

– Wszystko w porządku, dzięki. – Zatrzymuje się tuż przede mną, uniemożliwiając natychmiastową ucieczkę. – A co u ciebie?

– Dobrze, dobrze. – Nagle zaczynam trajkotać bez opamiętania. Wiem, że i tak będę musiała to z siebie wyrzucić,

więc nie ma sensu zwlekać. – Słuchaj, przepraszam, jeśli wczoraj byłam trochę niemiła. Nie jestem przyzwyczajona do sąsiedzkich rozmów. – Próbuję zaśmiać się nonszalancko, ale brzmię jak osoba bardziej niż trochę nie zrównoważona. – W mieście ludzie raczej nie wchodzi z sobą w takie interakcje.

Kiwa głową. Omiata mnie prędko wzrokiem, dyskretnie i z zaciekawieniem.

– Nie przejmuj się. To rzeczywiście mogło dziwnie wyglądać. Szczerze mówiąc, po prostu się nudzę. Nie znam tu zbyt wielu ludzi, chwilowo nie pracuję. Kiedy zobaczyłam kogoś nowego, trochę za bardzo się podekscytowałam – wyjaśnia. Jej śmiech przypomina szczeknięcie, nie ma w nim ani odrobiny rozbawienia.

– Rozumiem – mówię, żeby wypełnić czymś ciszę.

Przyglądam się jej diamentowym kolczykom na sztyfcie i blad różowej szmince. Często maluję się podobnym odcieniem, ale do mnie on chyba aż tak nie pasuje. Od nieznamomej bije swobodna elegancja, równie rzadka, co wyrafinowana. Wygląda, jakby wyszła prosto z lśniącej rozkładówki ekskluzywnego magazynu o modzie. Nie uznałabym jej za osobę, której dokucza samotność.

– Idę do kawiarni – oznajmia, przerywając moje myśli. – Nie masz przypadkiem ochoty na kawę?

Podobnie jak wczoraj jej propozycja wytrąca mnie z równowagi – zaproszenie jest bezpośrednio i nieco dziwne. Drugi raz nie zdołam odmówić. W domu czeka na mnie Francis, ale kiedy wychodziłam, jeszcze nawet nie wstał z łóżka. Nie ma szans, żeby był już gotowy na wycieczkę do Greenwich, którą zaplanowaliśmy na dziś. Wyślę mu esemesa z kawiarni, dam znać, że wrócę trochę później.



– Okej – zgadzam się.

Kobieta natychmiast rusza żwawo przed siebie. Ewidentnie spodziewa się, że pójdę za nią.

– Świetnie – rzuca przez ramię. – A właśnie, jestem Amber.

– Caroline – odpowiadam, próbując dotrzymać jej kroku. – Miło mi cię poznać – dodaję niepotrzebnie.

Dociera do mnie, dlaczego sytuacja wydaje mi się tak dziwna – nie jestem przyzwyczajona do zawierania nowych znajomości. W dorosłym życiu rzadziej zawracamy sobie głowę żmudnym procesem obnażania przed obcą osobą swoich dziwactw i słabostek, by się przekonać, czy je zaakceptuje. Przez ostatnie kilka lat zrobiłam to tylko raz. Na samą myśl krzywię się i wbijam paznokcie we wnętrza dłoni, próbując skoncentrować się na czymś innym. Zanim jednak zdążę zatrzaskać drzwi za wspomnieniem, znów leżę w twojej sypialni tuż przy tobie, patrząc, jak mi się przyglądasz. Serce podchodzi mi do gardła, a twoje oczy mówią mi, że naprawdę mnie widzisz. Że dobrze mnie znasz.

Ślepo podążam za Amber. Nie mam pojęcia, dokąd mnie prowadzi. Skręcamy w wąską zadbaną uliczkę. Pełno tu małych prywatnych butików i sklepów charytatywnych. Amber otwiera drzwi kawiarni z zielonym frontem.

– Co chcesz? – pyta.

– Och, ja sta... – zaczynam, ale ona potrząsa głową.

– Nie wygłupiaj się. Zaprosiłam cię, więc płacę. Odwdzięczysz się następnym razem.

Zerka na mnie prowokująco, niemal z kokieterią. Bije od niej jakaś trudna do określenia charyzma, której nie potrafię się oprzeć, może przez to, że jest podszyta lekko maniacką nutą.

– Okej, dzięki. W takim razie poproszę filtrowaną.

Zapadam się w jeden z foteli ustawionych przy oknie, a ona idzie do lady. Gdy zamawia kawę, przetrząsam torebkę. Nie wzięłam telefonu. Żołądek zmienia mi się w bryłę lodu. Francis nie będzie zadowolony, że zniknęłam bez słowa wyjaśnienia. Czuję ukłucie winy i zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby przeprosić i wrócić do domu.

Nie mam jednak czasu na podjęcie decyzji. Amber przynosi kawę do stolika i z teatralną przesadą stawia filiżanki na blacie, wskazując na precyzyjnie narysowany geometryczny wzór z pianki.

– Ładne, co? – komentuje. – W życiu liczą się drobne przyjemności.

Chyba puszcza do mnie oczko, ale robi to tak szybko, że nie mam czasu zareagować.

– To co was tu sprowadza, hm? – Sadowi się w fotelu naprzeciwko. – To dość nietypowe miejsce na urlop.

Chwilę się waham. Nie jestem pewna, ile mogę jej wyznać ani jakiej właściwie odpowiedzi powinnam udzielić. Ostrożnie dobieram słowa, ważę każde zdanie.

– Może rzeczywiście jest trochę nietypowe – przyznaję. – Ale mieliśmy ochotę wyrwać się na tydzień z domu, a wyjazd za granicę to spore koszty i dużo zachodu. Nie znam tej okolicy, ale jest blisko centrum Londynu, no i... trafiła się okazja.

– Jasne. – Amber wzrusza ramionami. – Dlaczego nie. W sumie całkiem tu przyjemnie, po prostu zbyt się przyzwyczaiłam, żeby zwracać na to uwagę.

– Od dawna tu mieszkasz?

Podnosi wzrok do góry i w lewo – jak ktoś, kto próbuje dokopać się do odległego wspomnienia.

– Jakieś... dziesięć miesięcy. Czyli nie aż tak długo – dodaje z szerokim uśmiechem. – Czas strasznie mi się tu dłuży. – Nachyla się nad stołem i zniża głos do cichego pomruku, by nie usłyszeli nas inni goście. – Jak w więzieniu.

Wiem, że powinnam się roześmiać, ale na dźwięk tych słów coś we mnie przeskakuje, więc tylko kiwam głową.

– Na pewno nie jest aż tak źle – udaje mi się wydusić.

Amber potrząsa głową i opiera łokcie na stole.

– Nie, pewnie, że nie. Raczej mi się tu podoba. Po prostu czasami trochę się duszę. Dziwne, kiedy się nad tym zastanowić. Bardzo szybko zaczęłam rozpoznawać wszystkich sąsiadów. Ciągłe widuję tych samych ludzi, uśmiechamy się i mówimy sobie dzień dobry. W końcu zaczynasz się zastanawiać, co oni o tobie myślą, bo przecież tak naprawdę wcale się nie znacie. Widzisz tylko to, co możesz zobaczyć. Codziennie te same migawki. Matki prowadzą dzieci do szkoły, starsze panie pielą ogródki, mężowie w niedzielę myją samochody. Takie skrawki życia. Czasami zastanawiam się, co oni dostrzegają w moim i co o nim myślą. To wszystko.

Mówiąc to, znów odchyła się w fotelu i ostrożnie dmucha na kawę. Pianka rozstępuje się na boki i zapada do środka.

– Rozumiem – mówię, by przerwać milczenie. Z jakiegoś powodu włoski na przedramionach stają mi dęba, dreszcz przebiega mi po plecach. – To znaczy, że nie codziennie zapraszasz przechodniów na kawę? – Próbuję rozładować atmosferę.

– Nie, zazwyczaj tego nie robię. Może jestem już trochę zdesperowana – dodaje z niezręcznym uśmiechem.

– Znasz może ludzi z domu, w którym się zatrzymałam? Spod numeru dwadzieścia jeden? – wyrywa mi się. Nagle wydaje mi się

kompletnym absurdem, że mieszkam w domu osoby, o której nic nie wiem.

Amber zerka na mnie z zaskoczeniem. Przez jej doskonale czoło przebiega zmarszczka.

– A ty nie?

Zbyt późno przypominam sobie, co jej wczoraj powiedziałam: że przyjechałam zaopiekować się domem przyjaciół.

– Niezupełnie – wykręcam się. – To raczej znajomi znajomych.

Kiedy to mówię, zauważam, że nie odpowiedziała na moje pytanie. Tym razem specjalnie pozwalam, by cisza się przeciągnęła.

– A, tak – odzywa się w końcu Amber obojętnym tonem. – Nie, raczej nie. Tak jak mówiłam, mijam się z sąsiadami na ulicy, ale to tyle.

Zaplata ramiona na piersi i wbija spojrzenie w okno, przygląda się samochodom jadącym powoli, z nieproporcjonalną do sytuacji ostrożnością. Mam wrażenie, że przygryza słowa, jakby uważała, by nie powiedzieć za dużo. Unoszę brwi i posyłam jej lekki uśmiech. Patrzy na mnie beznamiętnie, ale się nie odzywa.

Jest zaskakująco opanowana. W przeciwieństwie do mnie nie targają nią żadne nerwowe tiki, nakazujące jej natychmiast wypełnić każdą chwilę milczenia. Może powinnam uznać jej samokontrolę za cechę godną podziwu, ale tak naprawdę uważam, że to dość dziwne. Wystarcza kilka sekund, żebym pękła.

– Okej – mówię pogodnie. – Pewnie...

Prowadzę nas z powrotem na bezpieczniejsze wody. Przez jakiś czas rozmawiamy o tym, co warto zobaczyć w sąsiedztwie,

po czym Amber opowiada o kościelnej zbiórce charytatywnej, w którą została wmanewrowana wbrew swojej woli. Kilka minut później uznaje, że może już zerknąć na zegarek i oznajmić konieczność powrotu do męża. Ona przyjmuje tę informację ze spokojem, dopija kawę i wstaje, zanim zdąży choćby sięgnąć po kurtkę. Wychodzimy na słońce.

– Dzięki, że znalazłaś chwilę. – Uśmiecha się z zadowoleniem.  
– Od razu inny początek dnia. Może spotkamy się jeszcze, zanim wyjedziesz?

Przez chwilę czuję dziecinne rozczarowanie: jej słowa są obojętne i ogólnikowe, wymówione bez żadnych prawdziwych emocji.

– Pewnie – przytakuję. – Dobry pomysł.

– Okej. – Amber robi krok w tył i wskazuje na ulicę. – To ja uciekam, mam parę rzeczy do załatwienia. Na razie!

Podnosi rękę na pożegnanie i macha palcami, po czym odwraca się i rusza prędko przed siebie. Blond włosy powiewają na lekkim wietrze. Jej krok jest swobodnie uwodzicielski, mężczyźni odwracają się za nią jak w reakcji łańcuchowej. Z czymś mi się to kojarzy.

Idę powoli na Everdene Avenue, zastanawiając się, kogo ona mi przypomina. Jestem już prawie w domu, kiedy wreszcie to do mnie dociera, i aż prychem z rozbawieniem. Mnie. Mamy podobny kolor włosów i fryzurę, choć wątpię, żebym kiedykolwiek wyglądała równie atrakcyjnie i efektownie, nawet gdy byłam w jej wieku. Tutaj chodzi jednak o coś więcej niż tylko wygląd; jej ruchy emanują pewną energią, płynną pewnością siebie, którą miałam, kiedy byłam z tobą, jakby wypełniał mnie czysty prąd, widoczny w każdym geście. To światło zgasło prawie dwa lata temu, ale nadal doskonale pamiętam, jak się wtedy

czułam. Gdybym mogła wślizgnąć się w ciało Amber, przywróciłabym do życia tamtą Caroline.

Ta myśl jest równie kusząca, co smutna. Ostatnie dwadzieścia dwa miesiące spędziłam na odzyskiwaniu stabilizacji i odbudowie własnego życia, ale też na tłumieniu swojego „ja”. Straciłam dawną Caroline – kobietę z wbudowaną pewnością siebie, z niezłomną wiarą, że wszystko będzie dobrze – tamtej nocy, kiedy widziałam cię po raz ostatni. Teraz już na nią nie zasługuję.

Gdy tylko otwieram drzwi wejściowe, Francis pojawia się w korytarzu. Jest już ubrany, nie ukrywa wzburzenia. Podrzuca moją komórkę w dłoni jak odbezpieczony granat. Serce podchodzi mi do gardła, ogarnia mnie duszące, mdlące uczucie, że zaraz wszystko się wyda. Dopiero po kilku sekundach przypominam sobie, że przecież nie mam nic do ukrycia.

– Gdzie byłaś? – pyta natychmiast. – Zostawiłaś telefon i zniknęłaś na prawie godzinę. Naprawdę się zaniepokoiłem.

– Przepraszam – bąkam, wchodząc do środka. Ściągam kurtkę. – Wpadłam na tę kobietę z sąsiedztwa, o której ci wczoraj mówiłam. Wskoczyłyśmy na szybką kawę. Wiem, że to brzmi trochę dziwnie, ale... – Urywam. Nie mam nic więcej do dodania.

Patrzę Francisowi w oczy. Widzę w nich niewypowiedziane pytanie, którego nie potrafi przestać zadawać, choć minęło już tyle czasu. Pochłania mnie wszechogarniające znużenie. Wysysa ze mnie całą energię. Może nie mam do tego podstaw, ale czuję zniecierpliwienie, wręcz złość. Jakbyśmy raz na zawsze uznali za niepodważalny fakt, że kiedy tylko tracimy się z oczu, biegnę dać dupy komuś innemu. Z początku próbowałam się bronić, zaprzeczać. „To już skończone. Skończone” – powtarzałam

w nieskończoność. Za każdym razem moje zapewnienia brzmiały coraz bardziej fałszywie, choć to najprawdziwsza rzecz w moim życiu. Czasami chciałam wszystko mu wyjaśnić – znaleźć słowa, które by go przekonały – ale kiedy tylko otwierałam usta, myślałam, jak zmieni się jego twarz, jak na mnie spojrzy, kiedy uświadomi sobie, kim naprawdę jestem. Więc milczałam.

Teraz jednak patrzę mu prosto w oczy i odzywam się cicho i wyraźnie.

– Nie ma o co się martwić. Wpadłam na sąsiadkę. Poszliśmy na kawę. To wszystko.

Pozwalam, by moje słowa otoczyła pusta przestrzeń. Uważam, żeby się przesadnie nie tłumaczyć.

Francis kiwa głową. Jego twarz tężeje z wysiłku. Wiele energii kosztuje go ta odrobina wiary.

– Wiem.

– Cóż, dziękuję za zaufanie.

Jadowita, nieprzemyślana myśl wyrywa mi się zupełnie mimowolnie, jakby wypchnięta przez niewielką zawziętą część mnie, która nie potrafi przestać walczyć. Kiedy tylko słyszę nieprzyjemny ton własnego głosu, chcę natychmiast cofnąć te słowa.

– Caroline, dlaczego tak się zachowujesz? – Twarz Francisa przybiera zraniony wyraz, nie rozumie. – O nic cię nie oskarżam. Po prostu się martwiłem. Przyjechałem tu, żeby spędzić z tobą miło urlop. Dobrze się bawić. Czy to naprawdę zbyt wiele?

– Oczywiście, że nie – zapewniam, próbując złagodzić ton.

Stoimy na korytarzu blisko siebie, nasze twarze niemal się dotykają. Zarzucam mu ramiona na szyję i chowam twarz w zagłębieniu jego ramienia, wdycham jego zapach, przekonując samą siebie, że przesadzam. To naturalne, że nadal jest

podejrzliwy, że się niepokoi i potrzebuje uwagi. Moją zdradę można zrozumieć, ale to nie znaczy, że da się ją usprawiedliwić. Nie mogę oczekiwać, że jej skutki znikną z dnia na dzień.

– Wszystko w porządku – wzdycha. – Przepraszam.

Odsuwa się nieco i uśmiecha znajomymi wargami, które całuję od piętnastu lat. Już niemal zapomniałam ich zawzięty, ponury wyraz, choć jeszcze czasami zaciskają się w złości. Tamte usta należały do kogoś innego.

– Ja też przepraszam – mamroczę. Usiłuję zdusić nieuzasadnione, palące uczucie w piersi. Czasami im lepszy jest dla mnie Francis, tym większa wściekłość mnie ogarnia.

Trwamy objęci jeszcze przez minutę, luźno przytuleni, wsłuchani w rytm swoich oddechów. Jego serce bije prędko i mocno. Bliskość powoli mnie uspokaja. Kładę mu głowę na ramieniu i wpatruję się bezmyślnie w ścianę.

Tuż za drzwiami wejściowymi znajduje się niewielkie zagłębienie. Wygląda, jakby miał się tam znajdować wieszak na płaszcze, ale na białej ścianie nie ma nic poza niewielkim obrazkiem w ramce. To stylizowana fotografia widoczku w parku, z wijącą się po skosie rzeką i ozdobnym ogrodem w tle. Gapię się na zdjęcie całą wieczność, zanim uświadamiam sobie, co właściwie widzę. Kiedy to do mnie dociera, miękną pode mną kolana. To Hyde Park, tuż przy jeziorze Serpentine, w pobliżu Kensington Gardens. Dokładnie to miejsce, które kiedyś odwiedziłam z tobą. Nie udaje mi się odpędzić wspomnienia. Znów leżę tuż przy tobie, trawa łaskocze moje nagie ramiona. Czuję na zamkniętych powiekach słoneczny żar. Twój cień nagle przesłania mi światło.

Ogarniają mnie mdłości. Myślę o kwiatach w łazience, o muzyce płynącej wczoraj z sypialni, kiedy wróciłam ze sklepu.



Przez tyle miesięcy omijałam podobne powidoki wspomnień, niepozorne pułapki, które miały znaczenie tylko dla nas dwojga. Teraz jednak otaczają mnie tak gęsto, że nie pozwalają trzeźwo myśleć. Nie rozumiem, jaki mają ze sobą związek i dlaczego atakują mnie akurat teraz, w tym nieznanym miejscu. Przyjechałam tu, żeby na chwilę uciec od swojego życia. Teraz jednak wydaje mi się, że zapadam się w nie głębiej, do miejsca, którego nie chcę sobie przypominać.

Nie chcę tu być. Ta myśl uderza mnie bez ostrzeżenia. Jest nieracjonalna, ale bardzo silna.

– Caro? – Francis robi krok w tył. Zauważył, że zaczęłam inaczej oddychać. – Dobrze się czujesz?

Nie potrafię stwierdzić, czy na jego twarzy maluje się fałszywa troska czy szczerą naiwność. Kątem oka nadal widzę obrazek. Jak mogłam go dotąd nie zauważyć?

– Tak – mówię powoli, słowa z trudem przechodzą mi przez ściśnięte gardło. – Nic mi nie jest.

## Dom

*Francis, marzec 2013*

Każdy dzień zaczyna się tak samo. Przebłyski świadomości wyrrywają mnie brutalnie z kiepskiej parodii snu. Zerkam na świecące pomarańczowe cyfry na tarczy budzika. Czwarta rano plus minus kilka minut. Powietrze jest gęste od cudzego snu i strzępów moich koszmarów.

Łupie mnie w głowie, pulsowanie przenika aż do piersi. Z początku to tylko nienazwany instynkt, agresywny i zwierzęcy. Później jednak uczucie się przerzedza, klaruje. Za każdym razem to samo. Rozłazący się po ciele efemeryczny strach, że za chwilę wydarzy się coś potwornego – a może już się wydarzyło, tylko jeszcze o tym nie wiem. Każdego ranka budzę się gotowy na cios. Jeszcze nie spadł, ale to tylko kwestia czasu. Przez kilka minut leżę w ciemności, zgarniam wszystkie myśli, próbuję je okiełznać, ale one natychmiast rozbiegają się znów na wszystkie strony jak śliskie jaszczurki.

Tego ranka zwlekam się z łóżka i idę do salonu, żeby włączyć komputer. Oglądam kilka popołudniowych programów, żaden mnie specjalnie nie interesuje. Staram się skoncentrować, bo nie znam innego sposobu na zagłuszenie myśli, ale przychodzi mi to z nieopisanym trudem. Mam wrażenie, że wszyscy mówią jakimś tajemniczym językiem, którego rozszyfrowanie i zrozumienie

wymaga ode mnie świadomego wysiłku. Zanim treść zdania wreszcie do mnie dotrze, akcja posuwa się już o krok dalej i znów nie wiem, co się dzieje na ekranie.

Co jakiś czas zerkam na zegar w rogu. 4.46. 4.59. 5.23. 6.32. Ta ostatnia godzina szybko zleciała. Może przysnąłem, choć trudno mi to stwierdzić. Granica między jawą a snem dawno się zatarła. Jako dziecko często lunatykowałem. Pamiętam to nierealne, mgliste wrażenie bycia w znajomym pomieszczeniu, półświadome wyczuwanie otaczających mnie w ciemności przedmiotów. Od lat o tym nie myślałem, ale przez ostatnie kilka miesięcy często nawiedza mnie to wspomnienie. Chemiczne, zapisane w mięśniach. Codziennie przenika mnie aż do kości.

Czaszka napiera od wewnątrz na skronie. Cienka warstwa lepkiego potu zbiera się na karku. Kiedy podnoszę rękę, żeby go wytrzeć, zauważam, że drżą mi palce. Łatwo byłoby sobie z tym poradzić, ale mam dziś pacjenta o jedenastej, więc muszę trzeźwo myśleć. Będzie trzeba to wziąć na przetrzymanie. Jest już po siódmej, robi się jasno. Zza ściany dobiega głos Eddiego, podśpiewuje tę swoją śmieszoną piosenkę bez słów, jak zawsze tuż po przebudzeniu. Postanawiam, że pójdę do niego i pomogę mu wstać – udaje mi się nawet wyciągnąć rękę i zatrzymać program na laptopie. W tej samej chwili słyszę jednak dźwięk otwieranych drzwi sypialni i prędkie kroki Caroline na korytarzu. Nie pozostaje mi więc już nic innego, jak tylko zapaść się jeszcze głębiej w kanapę i czekać. Słyszę ich głosy: moja żona i syn, szykujący się do wyjścia w pomieszczeniach wokół mnie. Dzieli nas zaledwie kilka metrów, ale równie dobrze mogliby znajdować się na drugim końcu świata.

Tuż przed nadejściem Caroline wstaję i patrzę w lustro wiszące nad kominkiem. Nie wiem, kogo spodziewam się w nim

zobaczyć, ale na pewno nie tego mężczyznę o poszarzałej, opuchniętej skórze, z głębokimi bruzdami wokół oczu. Twarz jest znajoma i obca zarazem, jakbym patrzył na własną karykaturę. Przez chwilę wyobrażam sobie, że stukam palcem w szkło, sięgam do środka i ciągnę go ku światłu, próbuję zgadnąć kto to. Nagle uświadamiam sobie, jak widzą mnie inni. Przyjaciele patrzą na mnie ze zdumieniem, próbują zlokalizować w pamięci ten moment, w którym zacząłem mieć wyjebane. „Wszystko w porządku, stary? Dawno się nie widzieliśmy...” Inni terapeuci w klinice dyskretnie zbacząją z kursu, gdy widzą mnie na korytarzu, chcą uniknąć pogawędek, choć dawniej jakimś cudem zawsze mieli na nie czas. I jeszcze Greg. „Francis, ledwo cię poznaję” – westchnął podczas ostatniej wizyty. „Co zrobiłeś z moim bratem?” Co chwila zerkał przez okno na swoje pozerskie bankierskie porsche lśniące zarozumiale na chodniku, jakby się obawiał, że ktoś mu je porysuje. A potem zaczął grzebać w portfelu, rozkładał platynowe karty kredytowe jak iluzjonista. „No, a jak tam w pracy?”

Złość wybucha we mnie gwałtownym płomieniem i natychmiast gaśnie, jak w zepsutej zapalniczce. Nie mam już na to siły. Znów siadam. W tej samej chwili Caroline otwiera energicznie drzwi. Przechodzi przez pokój i staje przed lustrem, w tym samym miejscu, które zajmowałem chwilę wcześniej, sprawdza makijaż i poprawia dopasowaną sukienkę do połowy uda. Przyglądam się, jak materiał napina się na jej skórze. Przebiega przeze mnie krótki, pusty impuls pożądania.

– Zaraz wychodzę – oznajmia. Jej odbicie spogląda na moje. Ostatnio często rozmawiamy w ten sposób. Patrzymy na siebie, ale ona nawet nie stoi przodem do mnie. – Zabieram Eddiego. Odbiorę go po południu, a potem znów wychodzę, okej?

– Dokąd idziesz? – pytam, ale niespecjalnie mnie to obchodzi. Pięć minut później już nawet nie pamiętam, co powiedziała.

Dwadzieścia po dziesiątej wychodzę na mróz. W pierwszym odruchu mam ochotę cofnąć się po cieplejszy sweter albo kurtkę, ale uznaję, że to zbyt wielki wysiłek. Zanim udaje mi się podjąć jakąś decyzję, jestem już w połowie drogi na stację. Słońce świeci zbyt jasno. Drzewa tak ostro rysują się na tle nieba, że robi mi się niedobrze. Budynki tłoczą się wokół mnie z mdlącą wyrazistością. Czuję w ustach gorzki, metaliczny posmak. W takie dni jak ten wszystko jest już z góry przesądzone. Jedyne, co mogę zrobić, to jakoś dotrzeć do wieczora.

Podróż zazwyczaj trwa około dziesięciu minut, ale dziś wystąpił jakiś problem na torach i pociąg wlecze się niemiłosiernie, co chwila hamuje z gwałtownym szarpnięciem. Naprzeciwko mnie siedzi kobieta z puchatymi słuchawkami na uszach. Układa czerwone, lepkie od błyszczyka wargi do słów piosenki. Jest w tym widoku coś obrzydliwego. Raz czy dwa podnosi wzrok i przygląda mi się niechętnie. Wiem, że się nie uśmiecham. Mógłbym rozładować napięcie, odwrócić twarz albo przynajmniej złagodzić grymas marszczący mi czoło, ale zwyczajnie mi się nie chce. Nie mam dziś siły na uprzejmości.

Gdy dojeżdżamy do przedostatniej stacji, dziewczyna chwytając torebkę i wychodzi z przedziału, mamrocząc coś pod nosem. Jakaś stara baba na siedzeniu po drugiej stronie przejścia posyła jej współczujące spojrzenie, po czym patrzy na mnie wymownie przez kilka sekund. Coraz częściej zauważam, że opinia publiczna zwraca się przeciwko mnie, choć nie odzywam się ani

słowem. To nawet zabawne. Z pewnością nie zamierzam z tym walczyć, a nawet dorzucam do pieca.

Pamiętam, że czytałem kiedyś o kimś sławnym, chyba o Madonnie: ponoć potrafi włączać i wyłączać swoją rozpoznawalność, jak jej się podoba. W jednej chwili idzie ulicą i nikt jej nie zauważa, a w następnej zaczyna emanować jakąś niepojętą aurą supergwiazdy i nagle wszystkie głowy odwracają się w jej stronę. Ja też tak mam, tylko że ode mnie bije jadowite, duszące niezadowolenie ze świata, pociągające ludzi za płaszcze, aż wreszcie nie mogą się powstrzymać i patrzą na mnie niechętnie. W tej chwili promieniuję nim na na maksa.

– Cześć, Francis – odzywa się dźwięcznie Sara, kiedy wchodzę. Ledwo podnosi głowę znad papierów.

Podobnie jak kilkoro innych terapeutów Sara bywa w tej klinice regularnie. Czasami patrzę w jej przenikliwe lisie oczy i zastanawiam się, jak wiele dostrzega pod maską, którą zawsze wkładam na twarz przed wejściem. Wolę o tym nie myśleć.

– Cześć – rzucam przez ramię i ruszam do gabinetu.

Wyciągam swoje notatki i próbuję skupić się na czekającym mnie zadaniu. Nowy pacjent, mężczyzna po czterdziestce. Informacje z wstępnej konsultacji tańczą mi przed oczami, nie udaje mi się skupić wzroku na żadnym słowie. W końcu się poddaję i rzucam kartki na biurko. Zacznę z nim od początku. Tak będzie najlepiej.

Znów trzęsą mi się ręce. Nalewam wody do szklanki, klęk cicho, kiedy wychlapuję trochę na stolik obok fotela. Muszę wziąć się w garść. Ta praca przychodzi mi łatwiej niż oddychanie. Kiedyś ją uwielbiałem. Teraz znajduję w niej znacznie mniej sensu niż kiedyś. Tak bardzo ograniczyłem obowiązki zawodowe, że Caroline zarabia trzy albo cztery razy więcej ode mnie. Moja

wypłata jest warta niewiele więcej niż papier, na którym spisano ze mną umowę.

Toksyczne myśli dźgają mnie boleśniej jak dziesiątki cienkich igiełek. Znam tylko jeden sposób, żeby je przepędzić, ale jeszcze nie mogę po niego sięgnąć. Skoncentruj się, Francis.

Facet staje niepewnie w drzwiach. Niski, niepozorny, o rzednących włosach. Na nosie ma okrągłe okulary w bursztynowożółtych oprawkach. Twarz dość przyjemna, ale nawet stąd widzę, że została bezlitośnie podeptana szpilkami jakiejś kobiety – choć tylko w przenośni. Ruszam ku niemu z wyciągniętą dłonią.

– Mark? Zapraszam. – Mój głos jest wyważony, nasączony lekarskim autorytetem. Mam dość doświadczenia, by kontrolować swój ton, kiedy mi to potrzebne.

Pierwsze spotkanie zazwyczaj polega głównie na słuchaniu i naprowadzaniu pacjenta. Tym razem jest tak samo. Zagłębienie się w rozmowę przynosi mi ulgę, na chwilę mogę wyłączyć wszystko inne. Mark okazuje się nieskory do zwierzeń, często przerywa w połowie zdania albo drapie się z zażenowaniem po twarzy, ale kiedy wreszcie się rozkręca, słowa zaczynają płynąć wartkim strumieniem, na wpół szeptaną lawiną niezadowolenia. Raczej w niczym nie odbiega od normy – nieciekawa praca, brak życia towarzyskiego, rozczarowania w relacjach z rodziną. Mija dobre pół godziny, zanim wreszcie wspomina o żonie, co kilka sekund bawiąc się obrączką na serdecznym palcu. Z początku mówi z wahaniem, owija w bawełnę, każde zdanie fortyfikuje przypuszczeniami i założeniami.

– Ona już chyba nie chce spędzać ze mną czasu. – Mruga szybko, nierówno, jakby ta myśl poraziła go prądem. – To znaczy, nie wiem. Ma stresującą pracę, często nie wraca do późna. To

chyba zrozumiałe, jeśli chce po prostu odpocząć. Ale czasami się zastanawiam, czy tu nie chodzi o coś więcej. Czy czegoś nie ukrywa. Pewnie tylko sobie wmawiam.

Mark potrzebuje jeszcze dziesięciu minut, by wyznać całą prawdę: żona dostaje wiadomości późnym wieczorem, w jej szafie pojawiły się nowe ubrania, których nigdy nie nosi przy mężu, a do tego wykazuje coraz mniejsze zainteresowanie seksem i bliskością. Każdy kolejny szczegół zdaje się zasysać go coraz głębiej w dziurę, którą starał się omijać, a mimo to nie potrafi przerwać. Jakby zbierał wszystkie dowody i czekał na werdykt. Gdy kończy, rozkłada bezradnie ręce, wnętrzami dłoni do góry. Koniuszki palców ma miękkie i różowe jak dziecko.

– Nie wiem – wzdycha. – Myśli pan, że ona ma romans?

Odpowiedź jest łatwiejsza niż upadek z klifu. Ale nie wolno mi wykraczać poza obowiązki terapeuty.

– A pan? – pytam zamiast tego i przyglądam się, jak pacjent analizuje wewnętrzną pewność i perspektywę rzeczywistości, z którą będzie musiał się zmierzyć, kiedy wypowie to na głos.

– Tak – odzywa się w końcu. Chyba nie ma zamiaru dodawać nic więcej.

Mógłbym teraz podsunąć jakieś pytanie, zachęcić go, żeby rozwinął temat. Czasami jednak cisza działa lepiej niż słowa, a poza tym w głowie brzęczą mi teraz własne myśli. Mam przed oczami obraz Caroline szykującej się dziś rano do pracy. Przypominam sobie, jak obracała się przed lustrem w obcisłej krótkiej sukience, oceniając swoje odbicie. Jakie to dziwne, że potrafię tak przenikliwie oceniać cudze relacje – nawet w obecnym stanie – a kiedy w grę wchodzi moje życie, tyle rzeczy zamiatam pod dywan, że nie dostrzegam najbardziej oczywistych sygnałów.



Lekarzu, wylecz się sam. Nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

Po kilku minutach Mark decyduje się na szczerość.

– Tak naprawdę chyba już dawno to wiedziałem. Ale nie chciałem się przed sobą przyznać. Teraz muszę coś zrobić, ale nie wiem, jaka decyzja będzie właściwa.

Kiwam głową. Patrzymy sobie w oczy, na krótką chwilę łączy nas coś więcej niż umowa, zgodnie z którą ja siedzę w fotelu, a on płaci mi za spotkanie.

– Cóż – zaczynam łagodnie. – Czasami przydaje się przez jakiś czas nic nie robić.

– Też tak sędzę – przytakuje skwapliwie, chwyta się koła ratunkowego, które mu podsunąłem.

Już widzę, do czego to zmierza. Pięć do dziesięciu sesji wylewania coraz intensywniejszych lęków i narastających podejrzeń, które następnie będzie gasić nadzieją i zaprzeczeniami, aż w końcu jakieś objawienie albo życiowy przełom zmusi go do zaakceptowania rzeczywistości i będziemy musieli zacząć całą robotę od początku. Czasami lepiej po prostu udać, że się czegoś nie widzi, by zachować resztki normalności.

– Kocham ją – oznajmia na koniec, wstając. – Naprawdę.

W jego głosie pobrzmiewa jakaś duma, niemal hardość. Mam ochotę powiedzieć mu, że w miłości nie ma nic szlachetnego. Albo się kogoś kocha, albo nie. Przydarza się i znika. Próby wybicia sobie uczuć z głowy są równie skuteczne jak sikanie pod wiatr. Zamiast tego jednak kiwam głową, poważnie i z szacunkiem, i mówię, że zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

Kiedy wychodzi, staję na chwilę przy oknie. Znów myślę o Caroline. Tym razem przypominam sobie wczorajszy wieczór. Leżałem na kanapie, drzemałem. Próbowwała rozpiąć kozaki,

oparła się jedną ręką o ścianę, żeby się nie przewrócić. Potem się wyprostowała i przez chwilę patrzyła na mnie w półmroku. Widziałem, że się zastanawia, czy mnie obudzić. Spodziewałem się, że podejdzie bliżej, ale ona tylko zaplotła ręce na piersi i oparła się o ścianę, odchyłając głowę do góry, jakby czegoś uważnie nasłuchiwała. Po kilku sekundach wyszła tak cicho, że w słabym świetle wpadającym przez okno nie mogłem nawet stwierdzić, czy na pewno już jej nie ma, dopóki nie poczułem, jak zimny i pusty zrobił się salon bez niej. Gdy zasnąłem, przyśnił mi się dzień naszego ślubu. Jej promienna twarz na tle letniego nieba, jej oczy wpatrzone w moje, drżenie w głosie, gdy powiedziała, że mnie kocha. To było prawdziwe i nieprawdziwe jednocześnie. Jaka cienka jest granica między snem a wspomnieniem.

Nie chcę znów nad tym się zastanawiać. Pora jechać do domu.

Caroline wraca z Eddiem kwadrans przed szóstą, robi mu obiad i siada razem z nim przy stole, żeby patrzeć, jak synek je. Co jakiś czas wymyka się z kuchni, po czym wraca lekko odmieniona. Nowy lakier na paznokciach, chmurka perfum. Wydaje się jej, że tego nie zauważam, ale wszystko widzę. Zawsze.

– No, czas się zbierać – stwierdza, spoglądając na zegarek. – Połóż go do łóżka na czas, okej? Będę pod telefonem. Gdyby coś się działo, od razu dzwoń.

– Przypomnij mi, dokąd idziesz? – Z trudem miele słowa. Umysł już zachodzi mi mgłą, myśli gniotą się miękko jedna przy drugiej jak wełniane kłaczki.

Caroline odwraca się do mnie, marszczy nos.

– Umówiłam się z Jess. Przecież wiesz.

– A, tak. Rzeczywiście.

– Mówiłam ci co najmniej kilka razy.

W jej spojrzeniu jest coś takiego, że mam ochotę ją zranić. Wściekłość wzbiera we mnie jak kipiąca piana.

– No – przytakuję w zamyśleniu. – Cóż, nie zawsze cię słucham. Chyba po prostu większość rzeczy, które mówisz, nie jest zbyt... – starannie szukam odpowiedniego określenia. Ważna. Interesująca. – ...warta uwagi – kończę.

Nie mogę powstrzymać cichego zadowolenia na widok jej reakcji. Krzywi się lekko, czym zdradza, że moje słowa trafiły w punkt.

– Okej. Dzięki. To wychodzę.

Zwleka jeszcze chwilę, przygryza wargę, zastanawia się, czy zostało coś do powiedzenia. Nie mogę na nią patrzeć, bo natychmiast zaczynam się zastanawiać, co właściwie dla mnie znaczy. To wytrąca mnie z równowagi. Czasami jest mi tak droga, że łzy napływają mi do oczu i chcę ją chronić przed całym złem tego świata. A czasami myślę, że mogłaby umrzeć i gównem by mnie to obeszło.

Caroline spuszcza wzrok, wzrusza ramionami i zbliża się prędko do Eddiego, by pocałować go na dobranoc. Robi nieokreślony gest dłonią w moim kierunku i pośpiesznie wychodzi z kuchni. Kilka sekund później słyszę trzask drzwi.

– No to zostaliśmy sami – odzywam się do małego, przerywając ciszę.

Synek podnosi głowę i patrzy na mnie uważnie, z niepewnym uśmiechem. Nie potrafi zinterpretować mojego tonu. Przebieram go w piżamę i otwieram książkę na stronie, na której skończyliśmy wczoraj.

– Książkę wyciągnął swój magiczny miecz, a zamek zamigał tysiącem barw.

– Zamigotał – poprawia mnie cicho Eddie.

Zerkam do tekstu.

– Zamigotał, rzeczywiście. – Jaskrawe obrazki i koślawe słowa rozmywają mi się przed oczami. Nagle robię się straszliwie śpiący.

Brnę jeszcze przez kilka stron, po czym zwlekam się z kanapy i zabieram Eddiego do jego pokoju. Kładę go do łóżeczka i wciskam mu w ramiona ulubioną zabawkę.

– Kolorowych snów – szepczę i schylam się, żeby pocałować go w czoło.

Eddie popiskuje na zgodę i zwija się w maleńki kłębek. Dzięki Bogu, dziś poszło łatwo. Ostrożnie uwalniam dłoń z jego zaciśniętych palców. Gdzieś głęboko wzbiera we mnie fala miłości, ale to nie jest przyjemne uczucie. Kurewsko boli. Nie chcę się zastanawiać dlaczego.

Wracam do salonu, gaszę górne światło, siadam na kanapie i sięgam po opakowanie pigułek. Dziś wezmę jeszcze tylko jedną. Folia trzeszczy i pęka pod naciskiem paznokcia, wydaje przy tym prawie niesłyszalny odgłos, który zawsze mnie uspokaja. Wytrząsam z listka małą niebieską pigułkę i biorę ją w palce. W tyle głowy iskrzy mi myśl, że może wcale tego nie potrzebuję. Mógłbym ograniczyć dawki albo zupełnie sobie odpuścić. Ale wcześniejsze otępienie zaczyna już ustępować. Pod spokojną powierzchnią wzbierają coraz ostrzejsze nerwowe mdłości. Wrzucam pigułkę do ust i przetykam bez popijania, a potem jeszcze jedną, i jeszcze. To wszystko na dziś. Wylogowuję się.

---

Laptop Caroline jest czerwony i błyszczący, cały w naklejkach z wozami strażackimi pod dziwnym kątem – zakładam, że to dzieło jej syna. Trzyma komputer w szufladzie przy łóżku. Była tak pomocna, że zapisała nawet hasło na tylnej okładce kalendarza. Kryły się w nim jeszcze większe banały niż w pamiętniku, który wczoraj poszedł z dymem. Otwieram. Na pulpicie prawie nic, tylko kilka zdjęć, które zrobiła sobie z bliska i upchnęła w nienazwanym folderze. Przez jakiś czas przyglądam się jej nieprzeniknionej twarzy – powieki maźnięte ołowianym cieniem, lekko rozchylone ciemnoróżowe wargi. Wątpię, żeby te fotografie były przeznaczone dla męża. Przypuszczam, że zrobiła je dla siebie.

W internecie mam więcej szczęścia. Caroline nie zawraca sobie głowy wymyślaniem dziesiątek haseł; wprawdzie nie udaje mi się zalogować na skrzynkę mejlową, ale profil na Facebooku staje przede mną otworem po wprowadzeniu danych użytych wcześniej przy logowaniu na laptopa. Przeglądam jej prywatne wiadomości, każdą czytam z uwagą. Skasowała wszystkie treści sprzed dwunastu miesięcy, ale udaje mi się znaleźć małą kopalnię złota: rozmowy z jej najlepszą przyjaciółką, Jess. Dowiaduję się z nich, że Francis zasadniczo dotrzymuje złożonych obietnic i bardzo się między nimi poprawiło, lecz mimo to Caroline nie jest do końca przekonana, że podjęli właściwą decyzję. Źle sypia, a koszmary przenoszą ją w miejsce, o którym nie może zapomnieć.

Kilka razy wspomina nawet o wydarzeniach z 9 lipca 2013 roku. Oczywiście nic konkretnego. Nie jest głupia i wie, że nikomu nie można ufać. To jednak dla mnie dostateczne potwierdzenie, że desperacko potrzebuje z kimś porozmawiać. Powinna wiedzieć lepiej, a mimo to nadal w głębi duszy ma nadzieję, że ktoś ją otworzy i wypuści z niej wszystkie sekrety. Chce się ich pozbyć. Wyrzucić je z głowy.

*Przed wylogowaniem postanawiam zmienić jej zdjęcie profilowe. Dotychczasowe przedstawiało ją na spacerze z synkiem, idą za rękę po zalanej słońcem plaży. Po kilku minutach poszukiwań znajduję wreszcie idealny zamiennik. Zapisuję fotografię na pulpicie i wysyłam na Facebooka. Ciekawe, ile czasu minie, zanim ludzie to zauważą, zaczną komentować, snuć domysły. O co chodzi, Caroline? Wszystko w porządku? Z tego, co udało mi się dotychczas zaobserwować, Caroline dobrze się kryje. Dba o swój wizerunek, bo się boi. Ktoś musi jej pomóc, zdjąć ludziom klapki z oczu i pokazać, jakim człowiekiem jest naprawdę.*

## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

Niełatwo stworzyć tu przytulny nastrój. Zbieramy wszystkie poduszki, które udaje nam się znaleźć w całym domu, i rzucaamy je na kanapę. Zapalamy kilka świeczek, włączamy muzykę w tle. Robię krok w tył i rozglądam się po pokoju. Drobną zmianą, a jednak zrobiła sporą różnicę: w pomieszczeniu panuje teraz zupełnie inna atmosfera, wrażenie nieprzyjemnej anonimowości nieco zelżało. Wreszcie mogę zapomnieć o dręczących mnie myślach i niepokojących wskazówkach. Gdyby tylko był tu Eddie, można by uznać, że spędzamy niemal normalny rodzinny wieczór.

Zerkam na zdjęcie, które wysłała mi dziś mama: Eddie uśmiecha się szeroko do obiektywu, wskazując naklejkę z napisem „Dobra robota!” na kurtce. Bardzo chciałabym tam być, ale odpycham tę myśl od siebie. Nie pozwolę, żeby coś zepsuło mi najbliższe godziny.

Francis ugotował curry. Podczas nakładania wyjaśnia w najdrobniejszych szczegółach, jakich przypraw użył i dlaczego. Na mój gust jest nieco zbyt ostre, ale jem mimo to, co chwila popijając łąpczywie wodą, choć Francis ostrzega, że to nie pomoże. Po kolacji zbieramy talerze i decydujemy, że skorzystamy z którejś z przywiezionych z domu gier. Zgodnie

z moimi przewidywaniami Francis wybiera scrabble. Rozkładamy planszę na doskonale czystym szklanym stoliku kawowym.

– Uważaj, żeby nie porysować – ostrzega. – Pewnie jest podpięty do gorącej linii na komendzie. Jeden fałszywy ruch i zamkną nas za wandalizm.

– Oooch – podejmuję grę i przygryzam wargę z udawaną trwogą. – Lepiej włóżmy rękawiczki.

Francis dotyka stołu jednym palcem, otwiera szeroko oczy i prędko zabiera rękę, jakby kopnął go prąd. Trochę przeciągamy żart, ale to pierwszy wieczór od przyjazdu, kiedy wszystko toczy się tak naturalnie. Nieco ponad rok temu mój mąż był zupełnie innym człowiekiem. Tamten mężczyzna nadal wstępuje w niego od czasu do czasu – z bezlitośnie nieprzewidywalną częstotliwością. Alarmujące przeskoki od euforii do letargu jeszcze się zdarzają, ciągną go z powrotem w objęcia choroby. Wiem, że nie powinnam tak na to patrzeć, ale przez te nawroty dobre chwile się wyostrzają, niosą ulgę. Bardziej je cenimy, uderzają nam do głowy jak szampan.

Zaczynamy grę i już po pięciu minutach staje się oczywiste, że nie mam szans na zwycięstwo. Jestem przeciętnie dobrą zawodniczką, a Francis przejawia irytujący talent do takich gier, choć twierdzi, że nie grał nigdy więcej ode mnie.

– Ej – protestuję, gdy z błyskiem w oku kładzie X na potrójnie punktowane pole. – „Xu” to nie słowo, tylko dwie przypadkowe litery.

– Ojej, rzeczywiście! – Odchyła się i z udawaną powagą przygląda się planszy. – Przepraszam... Chociaż nie, Caroline, mylisz się. Tak się składa, że xu to jednostka monetarna używana w Wietnamie.



– Każdy głupi to wie – przytakuje sarkastycznie, potrząsając głową.

– To jedna setna donga – odpowiada cierpliwie, jakby rozmawiał z małym dzieckiem.

– Że co? – Pomimo narastającej frustracji nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Dodaję jedną literę do istniejącego już słowa, jak frajerka, i czekam na jego następny manewr. – O, nie, teraz już chyba robisz sobie ze mnie jaja! – protestuję, gdy bez wahania dokłada H do obecnej już na planszy litery E. – „He”?! Co to niby jest?

– Okrzyk – wyjaśnia zarozumiale Francis – wyrażający zdziwienie lub uznanie. Lepiej zacznij już trenować, bo jeśli się nie myślę, puszcze cię zaraz w skarpetkach.

– Wydaje ci się, że jesteś taki sprytny – mamrocze, popatrując na niego z ukosa.

Francis odwzajemnia spojrzenie. Drżące płomienie świec podkreślają jego kości policzkowe, pogłębiają cienie pod zielonymi oczami. Przebiega mnie lekki dreszcz zaskoczenia, gdy uświadamiam sobie, że to przecież mój mąż – i że przez ostatnie dwa lata powoli zmieniał się z powrotem w mężczyznę, który kiedyś tak mnie zachwycił, że godzinami patrzyłam, jak śpi, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

– Twój ruch – mówi wreszcie.

Nachylam się nad stołem i go całuję. Najpierw delikatnie, ale on przyciąga moją twarz bliżej, wplata mi palce we włosy. Zaczynam szybciej oddychać. Nasze wargi naciskają na siebie mocniej. Podnoszę się z krzesła i siadam mu pospiesznie na kolanach, oplatom jego szyję ramionami i wyginam plecy, by mógł wsunąć mi ciepłą dłoń pod bluzkę. Przez ostatnie piętnaście lat robiliśmy to już tysiące razy, aż staliśmy się w tym dobrzy –

jak w każdej powtarzanej przez dekady czynności. Tak dobrzy, że nie musimy się nawet zastanawiać. Umysł mam pusty, wypełnia go trzeszczący biały szum. Francis rozpina mi stanik, ciągnę za rozporek jego dżinsów, potem za własny. Chcę zrobić to szybko i bez ceremonii, ale on nagle się odsuwa i patrzy w jakiś punkt nad moim ramieniem. Na jego twarzy maluje się niepokój.

– Słyszałaś to?

– Co takiego? – Kręcę głową z zaskoczeniem. – Nic nie słyszałam, nie przejmuj się.

Znów zaczynam go całować, ale kilka sekund później ja też to słyszę – nieśmiałe, ciche postukiwanie do drzwi. Spoglądam na zegar na ścianie: dochodzi dwudziesta druga.

– Kurwa mać – mamroczę. – Kogo tam niesie?

Francis wstaje z krzesła, zapina dżinsy i rusza do drzwi wejściowych.

– Poczekaj na mnie – instruuje, posyłając mi wymowne spojrzenie spod zmrużonych powiek. – Sprawdź kto to i zaraz się go pozbędę.

Wzdycham i wyciągam się w fotelu. Całe moje ciało aż wibruje od frustracji, jak swędzący punkt, którego nie da się podrapać. Kątem oka dostrzegam swoje odbicie w lustrze – rozchełstana bluzka, spodnie zawinięte na udach. Gdzieś w tyle głowy wykluwa się mroczna myśl: twoje dłonie na moim ciele, ściągające materiał. Natychmiast duszę w sobie ten obraz, ale to wystarcza, by urok chwili przeleciał mi przez palce.

Słyszę dźwięk otwieranych drzwi wejściowych i zdziwione „Dobry wieczór?” Francisa. Następnie rozlega się kobiecy głos, niski i uwodzicielsko przeprasający. Nie rozpoznaję słów, ale głos jest znajomy. Zrywam się na równe nogi, poprawiam ubranie i wybiegam na korytarz. Tak jak się spodziewałam, na

progu stoi Amber. Ma na sobie krótką czarną sukienkę i wojskową kurtkę zapiętą aż pod szyję. Długie blond włosy spływają gładką falą na ramiona. Uśmiecha się do Francisca z tym samym swobodnym urokiem, którym emanowała w kawiarni. Kiedy mnie dostrzega, cała aż promienieje. Macha do mnie lekko, na wpół radośnie, na wpół ze skruchą.

– Caroline, dobrze cię widzieć. Siedziałam w domu i umierałam z nudów, więc pomyślałam, że może zajrzę do was się przywitać. Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłam.

– Nie... – odpowiadam odruchowo, widząc, że Francis odsuwa się na bok i zaprasza ją gestem do środka.

– To świetnie. Wczoraj się zorientowałam, że nie umówiliśmy się na następne spotkanie, i uznałam, że to byłaby straszna szkoda, gdybym nie zobaczyła cię już przed wyjazdem. Jesteście tu jeszcze przez kilka dni, prawda?

– Do weekendu – przytakuję.

Uświadamiam sobie, że w tej rozmowie nie byłoby nic dziwnego, gdyby odbywała się o trzeciej po południu zamiast po dziesiątej wieczorem. Amber pewnym krokiem idzie przez korytarz i otwiera drzwi do salonu. Prędko rozgląda się po pokoju.

– Chyba nie przyszłam za późno? – pyta, jakby czytała mi w myślach.

– Nie, nie – zapewniam z przesadnym entuzjazmem.

Francis patrzy na mnie zza pleców Amber. „Kim jest ta wariatka?” – pyta mnie wzrokiem, ale mimo to zauważam, jak na nią patrzy, kiedy dziewczyna przysiadła na kanapie, a krótka sukienka jeszcze bardziej odsłania jej długie, smukłe nogi. Jest ubrana jak na wieczór w barze, nie na spontaniczną sąsiedzką wizytę. Czuję ukłucie seksualnej zazdrości. Od bardzo dawna nie

doświadczylaam czegoś takiego w stosunku do męża i innej kobiety. Odkrywam, że sprawia mi to perwersyjną przyjemność.

– Przyniosę ci coś do picia – oferuje Francis i znika w kuchni.

Przysiadam obok Amber na kanapie. Gdy dostrzegam nasze odbicie w lustrze, znów dopada mnie to samo znajome wrażenie, które ogarnęło mnie wczoraj przy pożegnaniu. W korzystnym blasku świec nasze podobieństwo jeszcze bardziej rzuca się w oczy. Ciekawe, czy ona też to zauważyła.

Amber nachyla się lekko w moją stronę, zniża głos do intymnego szeptu.

– Twój mąż jest bardzo miły.

– Och. Tak, dzięki – bąkam głupio.

W jej szczerości tli się coś rozbijającego. Nie jestem nawet pewna, czy mówię prawdę. „Miły” nie jest słowem, jakie wybrałabym na określenie Francisa. Nieprzewidywalny, zmienny, zaskakujący, czarujący, denerwujący, obcy. Wszystkie pasują, tylko ich hierarchia zmienia się każdego dnia.

– Brakuje mi męskiego towarzystwa – wyznaje Amber, posyłając mi kolejne spojrzenie spod rzęs. – Mój chłopak często pracuje poza domem. Dlatego nie wiem, co ze sobą zrobić w tym tygodniu.

Kiwam głową, wydając z siebie odgłos mgliście sugerujący współczucie. Jestem zaskoczona informacją, że ma chłopaka, pomimo jej oczywistych atutów. Sprawia wrażenie atrakcyjnie samowystarczalnej, zdolnej do trzymania innych na odległość ramienia, by móc ich przeanalizować. Obserwuje mnie. W miękkim świetle jej źrenice wydają się bardzo ciemne i przepastne. Mam wrażenie, że wie, o czym myślę. To wytrąca mnie z równowagi.

– Wybacz, nie mamy zbyt dużych zapasów – oznajmia Francis, wracając do salonu z kieliszkiem wina, który podaje Amber. – Na zdrowie. Miło mi cię poznać. Caroline wspominała, że byliście wczoraj na kawie.

Jego spojrzenie na chwilę tężeje w oczekiwaniu na potwierdzenie. Kiedy Amber przytakuje, Francis natychmiast się rozluźnia. Ze smutkiem uświadamiam sobie, że nadal nie do końca mi wierzył.

– Tak. Przepraszam, to wyszło dość spontanicznie. Pewnie myślisz, że ci ją podkradam. I to na wakacjach.

– No coś ty – kłamie gładko Francis. Siada naprzeciwko nas.

Amber podnosi kieliszek i wypija połowę zawartości jednym swobodnym łykiem, chyba nawet nie zauważając, że to zrobiła.

– Widzicie, mnie po prostu bardzo interesują inni ludzie – wyznaje nieco konspiracyjnym tonem. – Może wręcz za bardzo. Parę razy już narobiłam sobie przez to kłopotów – dodaje, zerkając na mnie z uśmiechem. – Nigdy się nie nauczę.

Na chwilę pochmurnieje, ale potem wybucha śmiechem, dopija wino i delikatnie ociera dłonią wargi. Pomalowane na czerwono paznokcie połyskują w słabym świetle.

Francis natychmiast podchwytuje temat i rozpoczyna zawikłany monolog o mediach społecznościowych oraz ich wpływie na to, jak otwarcie dzielimy się z nieznajomymi swoim życiem, choć jednocześnie zachowujemy bezpieczny dystans. Okazuje się, że oboje mają sporo do powiedzenia na ten temat. Nie wtrącam się, rozmowa przelatuje mi koło uszu. Rozmyślałam o Amber – zachowuje się, jakby była otwartą księgą, a mimo to pod każdym jej słowem migocze jakiś ledwie dostrzegalny podtekst, którego nie potrafię wyłowić. Nie zdołam zinterpretować jej słów i gestów, bo przecież wcale jej nie znam.

Powoli orientuję się, że dyskusja traci tempo, a Francis zerka na mnie dyskretnie z prośbą o interwencję.

– Powiedz, Amber – odzywam się bez zastanowienia. – Czy ten dom jest bardzo podobny do twojego? Z zewnątrz wszystkie wyglądają praktycznie tak samo.

Jakie to banalne, aż krzywię się w duchu. Jednak ku mojemu zaskoczeniu Amber się ożywia. Wstaje z kanapy i wygląda na korytarz.

– No, rozkład jest podobny, ale u mnie panuje o wiele większy bałagan. Ale plan się zgadza, tak. – Na chwilę milknie, jakby nad czymś się zastanawiała. – Zaraz wracam, muszę skoczyć do łazienki – oznajmia nagle i wymyka się z pokoju, zanim zdążę jakoś zareagować.

Przez minutę siedzimy w ciszy i nasłuchujemy jej ruchów: wchodzi po schodach, później rozlega się trzeszczenie desek na suficie. Robi niewiele kroków, ale słychać je na dużej przestrzeni, jakby Amber chodziła po korytarzu tam i z powrotem.

– Nie idzie do łazienki – szepczę. – A przynajmniej nie od razu. – Uśmiecham się niepewnie, próbując obrócić to w żart, ale jestem już cała spięta. Orientuję się, że wstrzymałam oddech.

Francis milczy, słucha. Przez kilka sekund nic się nie dzieje. Aż w końcu: skrzypienie ostrożnie otwieranych drzwi. Bez zastanowienia zrywam się na nogi i ruszam ku schodom. Pójdę na górę i sprawdzę, co ona tam robi. Ale kiedy staję na korytarzu i patrzę w górę, na gładko wypolerowane drewniane stopnie znikające w ciemności, ogarnia mnie dziecinny strach. Nie mogę się ruszyć. To chłodne anonimowe miejsce za bardzo kojarzy mi się z horrorem.

Znów słyszę kroki, tym razem szybsze i bardziej stanowcze, kierują się ku schodom. Uciekam z powrotem do salonu, gdzie

czeka na mnie Francis. Po chwili Amber pojawia się na progu i posyła nam pogodny uśmiech. Kurtkę znów ma zapiętą, torebka zwisa jej z ramienia.

– No, nie będę wam dłużej zawracać głowy. Dziękuję za gościnność. Caroline, spotkamy się jeszcze, prawda? Może wyskoczmy na jakąś kawę, zanim wyjedziecie.

– Tak, oczywiście – zgadzam się słabo.

Amber spędziła u nas zaledwie dwadzieścia minut i dość nagle postanowiła się pożegnać, ale mam wrażenie, że zupełnie straciłam kontrolę nad sytuacją. Posłusznie podążam za nią na korytarz, naciskam klamkę i wypuszczam ją na zewnątrz, machając na pożegnanie.

Zamykam drzwi, opieram się o drewnianą powierzchnię i unoszę wysoko brwi. Francis wzrusza ramionami i idzie do schodów.

– Ludzie są dziwni – stwierdza lekceważąco, ale widzę, że to zdarzenie wytrąciło go z równowagi.

– Jedni mniej, inni bardziej – dodaję.

Zastanawiam się nad tym, co zaszło przed chwilą. Nie potrafię znaleźć w zachowaniu Amber nic szczególnie podejrzanego – poza instynktownym wrażeniem, że większość ludzi tak by się nie zachowała. Coś mi tu nie gra.

Na stoliku wciąż leżą scrabble.

– Nie chcesz dokończyć gry? – wołam za Francisem.

Kiedy odpowiada, jest już na piętrze.

– Innym razem. Mamy lepsze rzeczy do roboty...

Z pewnym trudem przypominam sobie, co przerwała nam swoją wizytą Amber. Próbuję na nowo obudzić w sobie pożądanie, które czułam jeszcze tak niedawno. Nie do końca mi się to udaje, ale wiem z doświadczenia, że wróci, jeśli mu na to

pozwolę, więc ruszam na górę. Francis czeka w sypialni. Jest już na wpół rozebrany, leży na łóżku i leniwie rozpina spodnie.

– Chodź do mnie – mówi.

Kiwam głową. Staję przy łóżku i zaczynam ściągać ubranie, rozglądając się jednocześnie po sypialni. Mam dziwne wrażenie, że jakiś element otoczenia zniknął, a może został przełożony na inne miejsce. Przyglądam się wszystkiemu uważnie, próbując namierzyć źródło swojego niepokoju, ale nie zauważam nic konkretnego. Mimo to nie potrafię pozbyć się mglistego uczucia, że coś jest nie tak.

Zdarza się, że przez wiele godzin szukamy w pamięci zapomnianego nazwiska, a potem budzimy się i od razu przychodzi nam ono na myśl. Tak samo czuję się następnego dnia rano. Kiedy tylko otwieram oczy, natychmiast wiem, co się zmieniło. Zniknęła mała fioletowa parasolka, która wisiała na haczyku obok lustra. Rozglądam się po pokoju – może sama ją przełożyłam i zapomniałam? Nic z tego, nigdzie jej nie widzę. Wracam myślami do kroków, które słyszeliśmy wczoraj wieczorem na suficie. Próbuję sobie wyobrazić, jak Amber przemyka się do sypialni i omiata pomieszczenie wzrokiem w poszukiwaniu czegoś interesującego. Pomimo surowego minimalizmu dostrzegam w sypialni kilka przedmiotów, po których na pierwszy rzut oka widać, że mają wyższą wartość. Dlaczego zabrała akurat parasolkę? To bez sensu.

Wchodzę do łazienki, by powiedzieć o tym Francisowi.

– Może jest kleptomanką albo coś – woła spod szumiącego prysznicza. Wzrusza ramionami i energicznie wciera szampon we włosy. – Przecież nie musiała mieć konkretnego powodu.



– Może i racja. – Jak na terapeutę Francis zaskakująco często ignoruje zachowania ludzi w swoim otoczeniu. – Ale to trochę dziwaczne – dodaję.

On jednak zdążył już się odwrócić. Nadstawia twarz pod strumień wody i nic nie słyszy.

Jeszcze przez chwilę sterczę w łazience, a następnie wychodzę po cichu i idę do kuchni. Znowu zaskakuje mnie jej nienaturalna perfekcja: nieskazitelnie czyste powierzchnie, naczynia i przyrządy kuchenne rozmieszczone z chirurgiczną precyzją. Przez okno wpada złoty prostokąt porannego słońca, oświetlając blat niczym starannie wyregulowany reflektor. Jedyny element, który nie pasuje do reszty, to ja.

Próbuję znowu obudzić w sobie to uczucie swobody, które ogarnęło mnie wczoraj przed wizytą Amber, ale już przepadło. Całe ciało mam napięte jak struna, jakbym czekała na uderzenie. Napełniam czajnik wodą, pstrykam włącznik i gapię się na urządzenie. Ledwie kojarzę, co mam przed oczami.

Nagle, bez ostrzeżenia, umysł zalewają mi obrazy i wspomnienia. Przeskakują tak prędko, że kręci mi się w głowie. Otwieram szafkę, wyciągam kubek i słoik kawy rozpuszczalnej. Idę do lodówki po mleko. Zalewam kawę wrzątkiem, ostry syk parującej wody zaburza ciszę.

Moje ciało wykonuje po kolei wszystkie czynności, ale mnie nie ma w środku. Idę ciemną ulicą do twojego samochodu, powietrze jest ciepłe i przesiąknięte zapachami, trzymam cię za rękę, patrzę na twoją uśmiechniętą twarz i mówię: „Chcę to zapamiętać, niech to będzie noc, której nigdy nie zapomnimy”.

– Nie – odzywam się.

Dźwięk własnego głosu z gwałtownym szarpnięciem ściąga mnie z powrotem na ziemię. Powtarzam to jeszcze raz, głośniej.

Serce wali mi w piersi, dłonie mam mokre od potu. Po kręgosłupie przebiega mi dreszcz, dostałam gęsiej skórki. Zamykam oczy i liczę. Nie musiałam tego robić od miesiący – sądziłam, że mam to już za sobą. Zablockowanie niepożądanych myśli przychodzi mi z nieopisanym trudem.

W końcu znów podnoszę powieki. Nagle wzbiera we mnie zimny, ostry strach. Wszystko przez to, że tu przyjechałam. Kwiaty, muzyka, zdjęcie w przedpokoju... iskierki wspomnień wzniciły pożar, który teraz muszę ugasić. Bez względu na to, co próbuję sobie wmówić, to nie może być przypadek. Rozglądam się po obcej kuchni, aż nagle coś we mnie pęka. Zaczynam chodzić po pokojach, szukać jakiegoś pęknięcia także na anonimowej fasadzie. To dom na pokaz, pusta skorupa. Otwieram szafki, przetrząsam skromne wyposażenie. Nie znajduję żadnych wskazówek.

Muszę poszukać jeszcze głębiej. Przesuwam dłońmi pod meblami i kanapą, odchylam zasłony. Klękam przy łóżku w sypialni i wsuwam rękę pod spód. Nagle czuję pod palcami coś twardego i gładkiego tuż przy ścianie. Wyciągam przedmiot do światła. Trzymam w dłoni niewielką szklaną butelkę z wodą po goleniu. Poznaję ją, gdy tylko mój wzrok pada na zamaszyste czarne logo na etykiecie. Przykładam flakon do nosa i wciągam głęboko zapach. Nostalgia spływa mi prosto do serca.

Mam sucho w ustach, szalone myśli wirują mi w głowie. Muszę coś zrobić, cokolwiek, żeby je powstrzymać. Przypominam sobie niezobowiązujące wiadomości, które sobie przestaliśmy na stronie z domami do zamiany. Nie pamiętam, co dokładnie pisaliśmy. Rozmowa była praktyczna i formalna. Koncentrowaliśmy się na kwestiach technicznych.

S. Kennedy. To tylko nazwisko. Nie musi nawet być prawdziwe.

Łapię za telefon i wpisuję adres strony na pasku przeglądarki. Pamiętam swoją nazwę użytkownika i hasło, mogę znów przeczytać rozmowę. Ale strona nie chce się załadować, telefon się zawiesza, odmawia współpracy.

Z trudem oddycham. Próbuję myśleć logicznie. Otwieram listę sieci i znajduję dostępny router, ale jest zabezpieczony hasłem. Przypominam sobie o liściku, który czekał na mnie na poduszce. „Wszystkie informacje są w teczce w kuchni”. Biegnę przez korytarz. Natychmiast dostrzegam granatową teczkę opartą o mikrofalówkę. Nie chciało mi się jej dotąd otwierać, ale może znajdę w środku hasło do wi-fi. Przechodzę szybkim krokiem przez kuchnię i otwieram teczkę. Wyciągam papiery, szukam interesującego mnie podpunktu. Internet, s. 4. Papier gniecie się i szeleści mi pod palcami. Drżącą ręką wygładzam odpowiednią stronę, a potem długo wpatruję się w niewielkie drukowane litery. Coś eksploduje mi w głowie. Czas się zatrzymuje. Wszystko staje się bardzo ciche i wyraźne.

„Hasło do wi-fi: srebrnebrzozy”

Słowa rozmywają mi się przed oczami. Nie mogę dłużej udawać – wiem, co znaczą. Doskonale pamiętam tę noc, kiedy ostatni raz widziałam litery ułożone w tym samym porządku. Wtedy wszystko się zmieniło. Sięgam po telefon, wstukuję hasło, podpinam się do internetu. Otwieram skrzynkę mejlową i wpisuję adres, przez który miałam się kontaktować w razie problemów. Umysł zachodzi mi mgłą, która dławi wszystkie myśli. Wystukuję jedyne słowa, jakie przychodzą mi do głowy.

*Jesteś tam?*

Wyślij wiadomość.

## Dom

*Caroline, kwiecień 2013*

Wtorkowe poranki w biurze zawsze są trochę przygaszone: wspomnienie weekendu zdążyło się już rozpląnąć, a do następnego jeszcze bardzo daleko. Wszyscy piją kawę za kawą, garbią się nad laptopami i telefonami, bez entuzjazmu mamroczą zdawkowe odpowiedzi. Steven co jakiś czas rzuca przez otwarte drzwi bon motami albo pytaniami, próbując tchnąć w nas odrobinę życia, ale to nierówna walka. Gdyby biura mogły mówić, nasze w każdy wtorek rano oznajmiałyby, że nie chce tu być.

Tylko mnie to nie dotyczy. Weekendy w domu stały się bardziej przykrym obowiązkiem niż przyjemnością: nadzieja nieubłagane przechodzi we frustrację, która następnie przeradza się w rozczarowanie i rozpacz. Powrót do biura to wręcz uskrzydlająca ulga. Staram się trzymać emocje na wodzy, ale każdy dzień w pracy wypełnia mnie energią. Czuję się jak pijana, z tą różnicą, że wszystko odbieram jako krystalicznie czyste i wyraźne – świat wokół mnie jest jasny i pełen barw. Nie potrafię skupić się na pracy dłużej niż minutę, a mimo to wykonuję swoje obowiązki prędzej i wydajniej niż w ostatnich latach. Praca mnie rozprasza – im szybciej wszystko załatwię, tym więcej czasu zostanie mi na rozmyślanie o Carlu.

W rogu ekranu migocze ikonka nowej wiadomości na czacie. Rozglądam się, czy nikt mi akurat nie patrzy na ręce, po czym otwieram okno.

„Straszna nuda, co? Ale jeszcze tylko dwadzieścia minut do...”

„Odliczasz już minuty?” – odpisuję.

Prześlizguję się wzrokiem po pokoju. Carl odchyła się na krześle i wpatruje w komputer z wyrazem wystudiowanego znudzenia na twarzy. Przeciąga się leniwie i wystukuje kilka słów. Zerkam na ekran.

„No jasne. Nie udawaj, że ty nie”.

Kiedy podnoszę wzrok, on robi to samo i przez kilka sekund patrzymy sobie w oczy. Mam wrażenie, że przebiega przeze mnie prąd. Nie mogę uwierzyć, że wokół nas wszystko toczy się swoim torem, że ludzie przewalają smętnie papiery i nie mają pojęcia, co tu się dzieje. Odsuwam krzesło i podchodzę prędko do jego biurka, przyciskając notes do piersi.

– Miałbyś coś przeciwko, gdybyśmy omówili te rozliczenia teraz? – pytam lekko. – Wiem, że umawialiśmy się na południe, ale przed lunchem chciałabym wyskoczyć na pocztę, więc im wcześniej to załatwię, tym lepiej.

Carl posyła mi spojrzenie bez wyrazu.

– Jasne. Daj mi pięć minut, okej?

Zgrzytam zębami.

– Oczywiście – mówię słodko.

Wracam do biurka, siadam i otwieram notes, schylając głowę, jakbym bardzo się na czymś koncentrowała. Biorę w dłoń ołówek i zaczynam rysować wzorek między linijkami. Palce mam śliskie od potu. Kątem oka zauważam kolejne migające powiadomienie na ekranie, ale je ignoruję, udając, że jestem pochłonięta pracą. Wiem, że mi się przygląda, i rzeczywiście, nie mijają nawet dwie

minuty, a wstaje i idzie w moją stronę – tak się wlecze, jakby chciał doprowadzić mnie do szału.

– Wiesz co, już jestem gotowy.

Trzyma laptopa pod pachą, wolną rękę wkłada obojętnie do kieszeni. Wstaję i podążam za nim do sali konferencyjnej. Od rana nie byliśmy tak blisko siebie. Czuję zapach jego wody kolońskiej, mojej ulubionej. Wciągam głęboko powietrze, aż kręci mi się w głowie.

Zamykam drzwi, odgradzając nas od reszty biura. Odkłada laptopa na biurko, starannie podłącza i otwiera prezentację, którą mieliśmy omówić. Następnie odwraca się do mnie i uśmiecha szeroko.

– Daj mi pięć minut – zaczynam.

Nie zdążyłam dokończyć zdania. Carl szybko przechodzi przez pokój i przyciska mnie do ściany obok drzwi, tak mocno, że tracę oddech, kiedy się nachyla, żeby mnie pocałować. Próbuję go odepchnąć, ale jest znacznie silniejszy.

– Nie – szepcze ochryple, zwiększając nacisk.

Pożądanie rozgrzewa mnie od środka, chwytam go palcami za włosy, zupełnie się w tym zatracam. Jedyne, czego pragnę, to żeby zdarł ubranie z mojego ciała i rzucił mnie na podłogę. Znów mnie całuje, tym razem mocniej. Czas skręca się i rozciąga. Nie mam pojęcia, jak długo to już robimy. Chciałabym, żeby to nigdy się nie skończyło.

W końcu jego ciało się rozluźnia i czuję, jak uchodzi ze mnie napięcie. Obejmuje mnie delikatniej, odgarnia mi włosy z twarzy. Zaczyna się uśmiechać dokładnie wtedy co ja, i już po chwili wybuchamy cichym śmiechem, nadal luźno spleceni ze sobą. Całujemy się jeszcze przez kilka minut, już wolniej, jego wargi ledwo muskają moje usta.

– Że też jeszcze nam się nie znudziło – odzywa się po jakimś czasie.

Kiwam głową, bo też o tym pomyślałam. To trwa już prawie osiem tygodni. Wymykamy się tu ukradkiem na kwadrans albo dwa, czasami wychodzimy razem na lunch – nie za często, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Kilka drogocennych wspólnych wieczorów, kiedy gapiliśmy się na siebie jak nastolatki, rozmawialiśmy, żartowaliśmy i wymienialiśmy się pocałunkami. Nic więcej. Nie mam odwagi przekroczyć tej fizycznej i psychicznej bariery, wiedząc, że musimy spędzać osiem godzin dziennie w swoim towarzystwie.

Carl wygładza mi pognieciony kołnierz bluzki, przesuwa długimi palcami po moim ramieniu.

– Wczoraj Steven znów rozmawiał ze mną o przeniesieniu – oznajmia, jakby czytał mi w myślach. – Wszystko wygląda dobrze. Za parę tygodni zaczynam w oddziale w Bishopsgate. Już nie będziemy razem pracować. – W jego głosie pobrzmiewa żal przemieszany z nadzieją.

– Przyda nam się trochę przestrzeni. Możemy na tym skorzystać – mruczę.

– Owszem. – Znów ściska mnie w talii, niezbyt mocno, ale to wystarcza, żebym przywarła do jego piersi i zarzuciła mu ramiona na szyję. – Tylko jeśli tego chcesz – szepcze, całując mnie w szyję. – I jeżeli uznamy, że to dobry pomysł.

– Zobaczymy.

To najbliższy substytut rozmowy o przyszłości, na jaki dotychczas sobie pozwoliliśmy. Kiedy jestem sama, godzinami analizuję każde słowo – próbuję zrozumieć, co my właściwie wyprawiamy, po co to robimy, czego chcemy, dokąd to zmierza. Ale gdy się spotykamy, wszystkie te myśli kruszą się w pył.



Jego dłonie wślizgują mi się pod spódnicę, powoli suną wzdłuż ud, zatrzymując się dokładnie w miejscu, gdzie zaczyna się materiał majtek. Wiem, że nie zpuści się dalej, nie tutaj – ani nigdzie indziej – dopóki mu na to nie pozwolę. Czasami wydaje mi się, że ma nad sobą o wiele większą kontrolę niż ja. Bez przerwy walczę z impulsem, by położyć jego ręce dokładnie tam, gdzie chcę go poczuć, pokazać mu, że nie zamierzam dłużej czekać. Delikatnie gładzi mnie palcami. Opieram głowę o ścianę, oddycham szybciej, znów zaczynamy się całować. Przygryza moją dolną wargę – najpierw delikatnie, a później tak mocno, że wciągam gwałtownie powietrze i drapię go po plecach, przyciągając jeszcze bliżej.

Odsuwa się nieco. Dostrzegam w jego ciemnych oczach zamyślony błysk.

– Naprawdę ci się podoba.

Mówi niskim głosem, który przyprawia mnie o dreszcz. W milczeniu kiwam głową. Przez chwilę stoimy bez ruchu, regulujemy rytm naszych oddechów. Opieram mu głowę na piersi, chłonę jego ciepło.

– Powinniśmy wracać – odzywam się po chwili.

– No – wzdycha Carl, robi krok w tył. – Lepiej idź pierwsza. Przyda mi się kilka minut... na uspokojenie.

– Okej.

Wyplątnę się z jego objęć i kładę dłoń na kłamce. Odwracam się na sekundę. Carl uśmiecha się do mnie, wokół oczu robią mu się drobne zmarszczki.

– Powinnaś nałożyć świeżą szminkę.

Przytakuję. Znów dociera do mnie ta dziwaczna swoboda między nami, brak gierki i konfrontacji, czyste szczęście. Nie czułam się tak od bardzo dawna, ale natychmiast rozpoznaję ten

stan. Zaufanie, które zbudowaliśmy jako przyjaciele, niespodziewanie i płynnie przeszło w ten nowy kontekst. Wszystko dzieje się naturalnie, jakby to była najwłaściwsza rzecz na świecie, choć oboje wiemy, że jest zupełnie na odwrót. Jeśli jednak mam być szczerą, nic mnie to nie obchodzi. Wiem tylko, że tego potrzebuję – i nie zamierzam rezygnować.

O osiemnastej skręcam w naszą ulicę i idę w stronę domu. Liczę mijane budynki i wypatruję światła w oknie salonu. Jest zimno jak na kwiecień, zbyt zimno na tak krótką sukienkę, ale to nie dlatego trzęsą mi się nogi. Odtwarzam w myślach rozmowę telefoniczną, którą odbyłam z Francisem podczas przerwy na lunch. Próbuję sobie przypomnieć ton jego głosu. Nie mam zbyt wiele materiału do analizy, bo prawie się nie odzywał. Ostatnio mój mąż ma tylko dwa tryby komunikacji: długie pokrętne monologi, wygłaszane w maniakałnym tempie, albo enigmatyczne, monosylabiczne pomruki, bardziej przypominające hasła w krzyżówce niż rozmowę.

Kiedy przekręcam klucz w zamku, wzbiera we mnie roztrzępotana fala nudności. Biorę kilka głębokich oddechów. To jakiś obłąd: przeraża mnie perspektywa wejścia do własnego domu. Zaciskam zęby, przemierzam korytarz i staję w drzwiach do salonu. Eddie siedzi przed telewizorem, pochłonięty oglądaniem bajki Disneya. Macha mi na powitanie, po czym znów przenosi uwagę na ekran.

– Cześć! – Francis się uśmiecha, ale na jego widok czuję zimny ucisk w żołądku.

Patrzy na mnie zbyt przytomnie, jego ruchy są nerwowe i przesadnie energiczne. Próbuje coś ukryć, przekonać mnie, że

wszystko jest w porządku. Rozczarowanie wbija mnie w podłogę. Stoję nieruchomo, podczas gdy on zrywa się z kanapy i obejmuje mnie na powitanie.

– Patrz, Eddie! – mówi głośno do synka. Zbyt głośno. – Mama wróciła.

– Nie na długo. – Wyślizguję się z jego objęć. – Wykąpię Eddiego i położę go spać, a potem znowu wychodzę, pamiętasz?

– Tak, tak, wiem – zapewnia pospiesznie Francis, ale w jego oczach na chwilę pojawia się niepewność.

Zerkam w stronę kanapy, szukając wzrokiem długiej białej koperty. Zaglądam do niej prawie codziennie, odkąd znalazłam pigułki. Znikają w zastraszającym tempie, choć w jakiś cudowny sposób równie szybko są zastępowane kolejnymi listkami. Mnożą się i dzielą jak komórki nowotworu.

– Mam wrażenie, że nie jesteś sobą – mówię, choć w tej samej chwili uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, czy to nadal prawda. Sama już nie wiem, kim jest mój mąż. – Posłuchaj, Francis... – Biorę głęboki wdech. Nie ma odwrotu. – Wiem, że znów bierzesz pigułki. Uważam, że powinieneś...

– O czym ty mówisz? – przerywa mi, marszcząc twarz w wyrazie zaskoczenia.

– Będziesz teraz zaprzeczać?

Mój wzrok znów wędruje ku skrytce z kopertą. Wiem, że Francis to zauważa, ale uparcie kiwa głową.

– Owszem! – Deklaruje, szeroko otwierając oczy. Nawet nie mruga, tak bardzo usiłuje mnie przekonać. – Nie wygłupiaj się. Nic mi nie jest!

Otwieram usta, ale znów je zamykam. Wiem, że kłamię, ale w jego uporze jest coś tak potężnego i koszmarnie znajomego, że żadna odpowiedź nie przychodzi mi do głowy. Mam wrażenie, że

pojawiła się między nami gruba, niemożliwa do pokonania ściana.

– Nic mi nie jest – powtarza.

Szarpie kołnierzyk, bawi się materiałem, skrobie po nim paznokciem. Znam ten stan: dziwna nadaktywność, która tak często przechodzi w pobudzenie, paranoję i niepokój. Francis rzuca się ku mnie, próbuje pocałować w policzek, ale ja instynktownie się odsuwam. Nie wierzę, że coś, czego kiedyś tak bardzo pragnęłam, teraz przepelnia mnie obrzydzeniem.

Na chwilę pochmurnieje. Sekundę później już odwraca się na pięcie, zgarnia Eddiego z podłogi i z wesołym okrzykiem podrzuca go do góry. Eddie oczywiście nie posiada się ze szczęścia, gdy tata jest w takim humorze. Przyglądam się rozchichotanemu, piszczącemu synkowi i dociera do mnie, dlaczego Eddie tak lubi te chwile: bo go rozumie, a przynajmniej tak mu się wydaje. Francis zachowuje się teraz jak dziecko, bez żadnych dorosłych myśli i ograniczeń.

Prędko zabieram mu Eddiego.

– Przygotuję go do kąpieli – mówię szeptem, unikając wzroku męża.

– No proszę! – woła za mną Francis, wymachując przesadnie rękami. – Znowu zrobiłem coś nie tak! – W jego głosie pobrzmiwa teraz nowa, nieprzyjemna nuta, ale zamykam za nami drzwi do łazienki, odcinając się od jego krzyków.

Napuszczam wodę do wanny i kąpię synka. Nabieram pełne ręce piany i rozprowadzam mu ją na skórze. Jest zadowolony, trajkocze z ożywieniem, wylewając z siebie bezsensowny strumień świadomości, streszczający bajkę.

– Chłopiec poszedł do lasu i zrobiło się jasno, a potem zobaczyłem potwora, ale on miał niebieskie oczy i nie mogłem

sobie przypomnieć...

– Brzmi bardzo ciekawie, kochanie – przytakuję, gładząc go po mokrych włoskach.

Jego obecność mnie uspokaja, pomaga mi wrócić do rzeczywistości. Wycieram go i przebieram w piżamę, a potem kładziemy się do łóżka i czytamy mu przed snem.

– A potem syrenki popłynęły w srebrzystą głębinę, śpiewając swoją piękną pieśń.

Próbuję się skoncentrować, ale nie mogę przestać myśleć o Carlu i rzeczach, które robiliśmy zaledwie kilka godzin temu, o jego słowach, dłoniach na mojej nagiej skórze. Dziwnie się czuję, wracając do tego teraz, gdy Eddie leży zwinięty w kłębek tuż przy mnie, ale te wspomnienia to moje talizmany. Chronią mnie przed innymi, gorszymi myślami.

– Dobranoc, mamó – szepcze Eddie, kiedy kończę.

Jego poważne szare oczy lśnią w półmroku, nachyliłam się, żeby go przykryć. Dopada mnie piekące poczucie winy – jest tyle rzeczy, o których nie ma pojęcia, przez które nie potrafię w pełni cieszyć się chwilami spędzonymi razem, bo tak bardzo pragnę znaleźć się gdzie indziej.

Łzy wzbierają mi pod powiekami. Całuję synka w czoło, wdycham zapach świeżo umytych dziecięcych włosów.

– Dobranoc – szepczę. – Kocham cię.

Eddie uśmiecha się słabo i odwraca na bok. Sięga po ukochanego pluszowego królika i wtula w niego buzię.

Przyglądam mu się przez chwilę, czując, jak wzbiera we mnie niepokój, zbyt znajomy, bym musiała go nazywać. Mówię sobie, że przecież za kilka minut zaśnie, że zawsze przesypia całą noc; że zawsze mam włączony telefon i znajomych mieszkających

niecałe pięć minut samochodem od nas, gdyby coś się stało. Że Francis to jego ojciec i naprawdę go kocha.

Wstaję ostrożnie i po cichu wymykam się na korytarz. Nagle uświadamiam sobie, że po przyjściu z pracy nawet nie zdjęłam butów. Nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak mi się spieszy.

– Wychodzę – zaczynam.

Francis siedzi bezwładnie na kanapie. Energia skończyła mu się równie szybko, co w nim wezbrała. Oczy ma zamknięte, głowę przechyloną bezwładnie na bok. Nie potrafię stwierdzić, czy śpi, czy tylko nie zwraca na mnie uwagi. Tak czy inaczej, na jedno wychodzi.

Stoję na progu i przyglądam mu się przez minutę, może dwie, próbując doszukać się w nim śladów tego mężczyzny, którego kochałam tak bardzo, że kiedy się rozstawaliśmy, nie potrafiłam niczym się zająć. Siedziałam beczynn timer i rozmyślałam o nim, czując jego brak jak straconą kończynę. Teraz jego nieobecność doskwiera mi najsilniej, gdy jest tuż przy mnie. W samotności mogę go wspominać takim, jaki był dawniej, ale gdy jesteśmy razem, nie da się uciec od prawdy: cokolwiek było między nami, już zniknęło, a ja tkwię w próżni, nierozzerwalnie i nieszczęśliwie połączona w jedną całość z człowiekiem, którego nie potrafię naprawić.

We śnie jego twarz jest niemal pogodna. Byłam niewierna, oznajmiam w myślach. Zdradzam cię. Te słowa rozbrzmiewają we mnie od tygodni z monotonną regularnością. Może mam nadzieję, że w którymś momencie coś we mnie odblokuje, znajdą dość siły, by przebić mi się aż do serca. Do tej pory nic takiego jednak się nie wydarzyło. Odwracam się i zostawiam go samego. Nie chce mi się nawet gasić światła.

Spotykam się z Jess w małej pizzerii. Kuszący zapach oregano i ciasta z opalanego drewnem pieca unosi się w powietrzu. Później idziemy na drinka do gorącego, zatłoczonego baru. Na stolikach tańczą błyski kolorowych świeczek. Rozmawiamy o pracy i dzieciach, o tym, co widziałyśmy ostatnio w telewizji. Jess kilka razy pyta o Francisa. Najpierw tylko wzruszam ramionami i mówię, że wszystko w porządku, ale kiedy powtarza pytanie, nie mogę dłużej się powstrzymać i wyznaję, że nic się nie poprawiło. Jess wie o naszym małżeństwie więcej niż reszta przyjaciół i ma wiele powodów, by uważać, że nasz związek wszedł na grząski grunt. Nigdy jednak nie wspominałam o pigułkach. Czasami podsuwam jej drobne wskazówki, licząc w duchu, że wyczyta prawdę między wierszami, ale kiedy tylko zaczyna coś sugerować, natychmiast się wycofuję i udaję, że temat nie istnieje.

– Przykro mi to słyszeć. – Jess patrzy na mnie z troską. – Myślisz, że da się to jeszcze jakoś naprawić? Dalej ogranicza godziny w pracy?

Kiwam głową.

– Nie wiem już nawet, jak często tam bywa. Czasami wychodzi z domu, ale nie wiem, dokąd tak naprawdę się wybiera. – Tak czy inaczej, dawno przestałam widzieć jego wyplatę. Znika w czarnej dziurze, gdy tylko się pojawia.

Przyjaciółka patrzy na mnie z niedowierzaniem, jakby nie rozumiała, co do niej mówię. Nie mam do niej pretensji. Do niedawna Francis i ja byliśmy najzgodniejszym małżeństwem wśród wszystkich naszych znajomych. Spędzaliśmy razem tyle czasu, że zawsze wiedzieliśmy, gdzie jest i co robi to drugie.

– To nie brzmi dobrze – ocenia.

– Bo nie jest dobrze – przyznaję. Zastanawiam się, ile mogę jej powiedzieć. – Szczerze mówiąc, czasami nie wiem nawet, czy jest szansa na poprawę.

Jess trzepocze powiekami. Na jej twarzy maluje się zaskoczenie.

– Boże, nie wiedziałam, że...

– Złapałam doła, to wszystko – przerywam, uznając nagle, że nie mam ochoty dłużej rozmawiać o Francisie. – Wiesz, jak jest. Pewnie niedługo przejdzie.

– Okej – mówi powoli Jess. Skubie wosk ze świeczki stojącej między nami, jej czerwone paznokcie połyskują w świetle ognia. – A mogę zapytać, jak ci się układa z Carlem? – Zmienia temat, starannie podtrzymując neutralny ton. – Coś się rozwiązało?

Wystarcza dźwięk jego imienia, żebym się ożywiła. Mam ochotę mówić o nim bez przerwy, nawet jeśli każde słowo spowijają strach i niepewność.

– Nie bardzo – przyznaję. – Oczywiście to nie może trwać wiecznie, ale trudno nam to przerwać, skoro codziennie się widzimy. Pewnie prędzej czy później będziemy musieli się pożegnać. – Wiem, że to prawda, ale przeganiem te myśli, owijam się w zgrabny mały kokon, odgradzam się od rzeczywistości.

Jess kiwa głową, wydymając wargi w zamyśleniu.

– A co tak naprawdę do niego czujesz? No wiesz, czy wy...

– Nie – ucinam prędko, bo wiem, o co chce zapytać, a nie zamierzam o tym myśleć. – Świetnie się dogadujemy. Niesamowicie. Jak bratnie dusze. Ale on jest ode mnie o wiele młodszy, no i na logikę to nie miałyby prawa się udać... Nie potrafię tego wytłumaczyć – kończę bezradnie.



Mam ochotę powiedzieć, że świetnie się bawię. Chciałabym zrelacjonować jej z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co robiliśmy dziś rano; rumieniłabym się przy tym i chichotała jak nastolatka odurzona nowym romanssem. Ale absolutnie nie mogę sobie na to pozwolić. W mojej sytuacji dobra zabawa jest czymś nieprzyzwoitym; według norm społecznych jedyną właściwą postawą byłyby psychiczne tortury i samobiczowanie.

Przyjaciółka wzdycha i znów przytakuje.

– Mam nadzieję, że znajdziesz jakieś rozwiązanie. Myślę tylko, że to strasznie smutne. Naprawdę.

Jess mówi prosto i szczerze, bez ukrytych intencji, nie potępia mnie, nie ocenia. Nie mogę tego znieść – wystarczy kilka słów, by poruszyć cienką zasłonę złudzeń i pokazać mi, że ma rację. Nie pozwolę, żeby ogarnął mnie ten smutek. Wykręcam się na krześle, dopijam drinka i sięgam po płaszcz.

Na stacji obejmuję Jess i macham jej na pożegnanie, kiedy wsiada do swojego pociągu. Następnie przechodzę z powrotem przez barierki i wyciągam telefon z kieszeni. „Masz ochotę na drinka przed snem?” – piszę. Znajduję się zaledwie kilka minut spacerem od domu Carla. Wprawdzie postanowiłam, że dziś się z nim nie spotkam, ale teraz, kiedy trafiła się okazja, nie mogę się powstrzymać. Wyobrażam sobie, jak leży na łóżku, którego nigdy nie widziałam, z rękami założonymi za głowę, i myśli o mnie, tak samo jak ja o nim. To zbyt kuszące, żeby zrezygnować.

Odpowiedź przychodzi niemal natychmiast.

„Gdzie jesteś? :-\*”

„Przed stacją. Zmarznięta i samotna! :-\*”

„Nie musisz nic dodawać. Będę za dziesięć minut :-\*”

Chodzę w tę i z powrotem nocą po ulicy, dygoczę z zimna. Żołądek skręca mi się z nerwów i podekscytowania. Na jego

widok nie mogę powstrzymać promiennego uśmiechu. Bez zastanowienia biegnę w jego stronę i niemal skaczę mu w ramiona. Mocno obejmuję go za szyję, a on całuje mnie na powitanie. Czuję smak pasty do zębów. Ma na sobie inną koszulę niż wcześniej w biurze. Przebrał się, postarał. Dla mnie. To cudowna, elektryzująca myśl.

– Cześć – piszczę, przytulając go z całych sił.

– Jesteś pijana? – pyta ze śmiechem. Odsuwa się nieco i przygląda mi się uważnie, z rozbawieniem.

– Może troszeczkę. – Odrobinę kręci mi się w głowie i nieco chwieję się na nogach, jakbym stała na trampolinie. – Chodź na drinka. O, do tego baru. – Ciągnę go za rękaw.

Wskazuję ręką miejsce, z którego dopiero co wyszłam z Jess. Carl zgadza się bez wahania i bierze mnie za rękę, kiedy przechodzimy na drugą stronę ulicy.

– A ty znowu tutaj? – pyta bramkarz.

Chyba dostrzegam w jego oczach jakiś błysk zrozumienia: na pewno wie, że jeśli kobieta wychodzi z baru około dziesiątej w nocy z przyjaciółką, a kilka minut później wraca z facetem, to prawdopodobnie ma coś na sumieniu.

Bez zastanowienia puszczam do niego oko. Taka zmowa milczenia między dwojgiem nieznajomych powinna budzić we mnie wstręt, ale zamiast niego czuję tylko ekscytację.

Następna godzina upływa nam na wzajemnym zachwycie – zapominamy o drinkach i bez reszty oddajemy się żartobliwej rozmowie, przerywanej co jakiś czas pocałunkami i pieszczotami.

Co chwila go dotykam, niemal wbrew własnej woli – to silniejsze ode mnie. Ma zmierzwione włosy, więc wyciągam rękę, żeby je przyglądzić, potem wsuwam mu palce pod kołnierzyk

i ciągnę ku sobie. Mam wrażenie, że robię coś takiego pierwszy raz w życiu. W obłokach alkoholowego upojenia wydaje mi się, że wszystko trafia na swoje miejsce – ogarnia mnie dziwne, magiczne uczucie pragnienia dokładnie tego, czego właśnie doświadczam. Carl nie przestaje się do mnie uśmiechać – ten widok przywodzi mi na myśl nieco surrealistyczne wspomnienie czasów, kiedy byliśmy tylko przyjaciółmi, znajomymi z pracy. Zawsze wydawał mi się atrakcyjny, ale nieco zdystansowany i podchodzący do ludzi z rezerwą, mimo że nie stronił od żartów. Odkryłam coś niewiarygodnie cennego. To więcej niż odkrycie: sama to stworzyłam. Uszczęśliwiam go tak, jak nigdy nie uszczęśliwiam własnego męża – bez względu na to, jak bardzo się staram.

Jak na zawołanie czuję w torebce brzęczenie telefonu. Z roztargnieniem sięgam po komórkę. Francis się obudził.

*Jeszcze nie w domu? Daj znać, kiedy będziesz wracać. Byłoby miło, gdybyś powiedziała, że zostaniesz do późna, ale w sumie nie powinienem być zaskoczony, skoro przed wyjściem byłaś taką suką.*

Czytam wiadomość kilka razy. Nie wiem, jak się zachować.

– Coś się stało? – chce wiedzieć Carl.

Wzruszam ramionami. Pod wpływem impulsu odwracam ekran w jego stronę, żeby pokazać mu wiadomość, po czym wrzucam telefon z powrotem do torebki.

– Hmm. – Carl marszczy brwi. – Cóż. Nie jestem pewien, jak to skomentować. Chyba zna inną Caro niż ja.

Mówi to niezobowiązującym tonem, ale coś sprawia, że jego słowa trafiają mnie prosto w serce. Uświadamiam sobie, że to prawda. Mój nowy stan ducha to coś więcej niż tylko wypadkowa

różnych zmiennych. To transformacja. Jest we mnie ktoś, kto od lat próbował się wydostać. Carl wylamuje zamek i otwiera szeroko drzwi, wyciągając tę nową Caroline na światło dzienne, razem ze wszystkimi nowymi pragnieniami i potrzebami.

---

*Z początku źle mi się spało w łóżku Caroline – wprawdzie zostawiła mi świeżo wypraną pościel, ale mimo to wyobrażam sobie, że leży tuż obok, jak duch. Wczoraj wieczorem jednak zmęczenie prędko wzięło górę. Mocny sen trzymał mnie aż do dziesiątej rano, a po przebudzeniu wydawało mi się, że wynurzam się z czegoś o wiele głębszego. Wydawało mi się, że wracam do życia.*

*Przez jakiś czas leżę w łóżku i wpatruję się w chaos, którego do tej pory nie chciało mi się posprzątać: kotłowanina ubrań i papierów na podłodze przypomina o niedawnym śledztwie. Minie jeszcze pół godziny, zanim zwlokę się z łóżka; biorę prysznic i się ubieram. Dopiero potem sięgam po telefon i sprawdzam nowe wiadomości. Kiedy dostrzegam jej imię na szczycie listy, czuję, że coś się we mnie przestawia, reguluje – jak miękkie uderzenie w serce od środka. Jesteś tam? Owszem, to było do przewidzenia, choć nie dało się ocenić, jak wiele czasu jej to zajmie i która z moich subtelnych wskazówek ostatecznie wytrąci ją z równowagi. To tylko kwestia czasu. Mimo to jest w tej wiadomości coś poruszającego: jej bezpośredniość, potrzeba uwagi, hektary pozornie pustej przestrzeni wypełnione niewidzialnymi komunikatami.*

*Zwlekam kilka godzin z odpowiedzią. Wiem, że będzie co chwila sprawdzać telefon. Ze wszystkich lekcji, których mogę jej udzielić, tę uważam za jedną z najcenniejszych: świat nie zawsze kręci się wokół ciebie, Caroline. Nie wszystko musi być dopasowane do twoich potrzeb, poukładane tak, żeby było ci wygodnie. Nie jesteś centrum niczego poza*

własnym życiem. Nie masz podstaw, by uważać się za wyjątek od reguły, tragedie i osąd otoczenia dotyczą cię w równym stopniu co ludzi, którzy według ciebie tylko krążą po twojej orbicie.

Caroline nie zawsze dostaje to, czego chce. A mimo to kiedy wreszcie odpowiadam, wbrew własnej woli dostosowuję się do jej tonu. Moja odpowiedź jest krótka i prosta, choć i tak wychodzi dwa razy dłuższa niż jej pytanie.

Jeśli właśnie tego chcesz.

## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

Metro jest zatłoczone i przegrzane, choć dopiero dochodzi jedenasta rano, i to w środku tygodnia. Stoimy już od ponad piętnastu minut. Przy każdej stacji pociąg hamuje tak gwałtownie, że ledwo łapię równowagę. Co chwila mówię sobie, że powinnam trzymać się uchwyty, ale informacja nie dociera do mózgu. Nie potrafię skupić się na niczym dłużej niż kilka sekund. Ludzie wokół mnie mają miękkie, rozmyte kontury, unoszą się na peryferiach mojego wzroku i zmieniają w bezkształtne plamy. Francis stoi obok i beztrąsko bawi się słuchawkami, podkręca muzykę.

Pod ziemią przynajmniej przez kilka minut nie mogę sprawdzać wiadomości. Już zapomniałam, jakie to uczucie – kompulsywna, chora potrzeba zerkania co pięć sekund na telefon, jak igła wpadająca niezmordowanie w ten sam rowek. W międzyczasie kilka razy zdołałam uwierzyć, że wszystko sobie wymyśliłam. Zaraz potem przypominam sobie jednak o teczce i hasle do internetu i znów stoję w kuchni, ściskam kartkę w drżących dłoniach, i mam wrażenie, że zapadam się w nieskończoną pustkę. Nie mogę tego udowodnić, ale wiem, że to ty wymyśliłeś hasło. A jeśli to prawda, jesteś teraz w moim

domu. Przeglądasz moje rzeczy, dotykasz ich. Śpisz w moim łóżku. Znalazłeś sposób, by wrócić do mojego życia.

Ta myśl wyzwala we mnie nawałnicę skłębionych emocji. Czuję zagubienie, chorą ekscytację, a nawet strach. Nie rozumiem, dlaczego postanowiłeś zrobić to w ten sposób. Nie mogę tego powiązać z tobą, którego znałam – zawsze byłeś bezkompromisowo szczery i tak bezpośredni, że aż obcesowy. Jeśli chciałeś się ze mną spotkać, dlaczego nie wysłałeś mi esemesa? Albo mejla? Coś mi się tu jednak nie zgadza. Przecież wcale się ze mną nie spotkałeś – wręcz przeciwnie. Przyglądasz się mojemu życiu beze mnie. Tylko dlaczego?

– Chodź, wysiadamy. – Francis trąca mnie lekko, wskazując na otwarte drzwi.

Bezmyślnie przepycham się przez tłum ludzi i wypadam na peron. Chyba jesteśmy już na South Kensington.

Próbuję zebrać myśli, skupić się na czekającym nas dniu. Wczoraj postanowiliśmy wybrać się do Muzeum Nauki – na wpół ironicznie, ale jednak z pewną dozą nostalgii. Zerkam na Francisa, idącego przy mnie peronem. Uśmiecha się pogodnie bez konkretnego powodu. Nieprzyjemny dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa. Kocham go, przypominam sobie. Wiele się między nami zmieniło przez ostatnie dwa lata. Jeśli naprawdę wierzę w to, co myślę, to nawet wysyłając jedno pytanie, przekroczyłam granicę nie do zaakceptowania. Muszę od siebie odsunąć przeszłość, przynajmniej na razie. Jestem nam to winna.

Nawet nie zauważyłam, kiedy przeszłam cały tunel prowadzący od stacji metra do muzeum. Odwracam się za siebie, czując ukłucie niepewności na myśl o tych straconych minutach. To też dobrze pamiętam. Poświęcałam ci swój czas nawet wtedy, kiedy cię przy mnie nie było. Bez reszty oddawałam się

fantazjom, a rzeczywistość znikła w czarnej dziurze. Nie podoba mi się to. Mam wrażenie, że jakaś niewidzialna siła zręcznie i stanowczo odbiera mi kontrolę nad moim życiem.

– Co chcesz zobaczyć najpierw? – pyta Francis, gdy wchodzimy do muzeum.

Już idzie przed siebie, prosto do słabo oświetlonej sali na parterze. Nad naszymi głowami wije się gęstwina kolorowych rurek pełnych rozpędzonych światełek. W powietrzu unosi się ciche buczenie.

– Wszystko jedno – mamroczę nieprzytomnie, rozglądając się po labiryncie korytarzy. Francis zatrzymuje się przed wielką makietą Układu Słonecznego: światełka reflektorów padają na trójwymiarowe modele planet i kraterów. Ich powierzchnia jest poznaczona czerwonymi liniami i wzorami. Gapię się na nie bezmyślnie. Nie mam pojęcia, na co patrzę.

– Przeczytaj – podpowiada Francis, wskazując na małą nieoświetloną tabliczkę obok ekspozycji. – Niesamowite, co?

Przygląda się planetom jak urzeczony, jego twarz promieniuje żywym entuzjazmem. Zwróciłam na to uwagę, gdy tylko się poznaliśmy: zachwyciła mnie jego zdolność wykrzesania z siebie szczerego zainteresowania niemal każdą dziedziną wiedzy. Przez długi czas nie sądziłam, że jeszcze kiedyś to w nim zobaczę.

– Tak. Niesamowite – powtarzam.

Na tabliczce jest coś o powstawaniu gwiazd. Obłokach molekularnych. Zapadaniu grawitacyjnym. Nie przyswoję sobie tych wszystkich informacji, ale wzrusza mnie jego ciekawość. Biorę go za rękę. Jest ciepła i twarda, odruchowo zaciskam mocniej palce.

– A ty co chciałbyś zobaczyć najpierw?



– Na drugim piętrze jest taka wystawa, chyba o matematyce.

– Okej... – Robię niepewną minę, ale on tylko się śmieje i przewraca oczami.

– Jest ciekawa, zaufaj mi.

Słowa z łatwością padają z jego ust, posyła mi uśmiech, aż czuję lekkość w sercu, jakby uwierzyło, że to naprawdę jest takie proste, że możemy żyć razem w naszej małej bańce, a ja mogę udawać, że wiadomość od ciebie nic nie znaczy.

Ruszam za nim do odizolowanego skrzydła otoczonego ścianami z pofalowanego niebieskiego szkła. Na błyszczącej podłodze stłumiony odgłos moich kroków odbija się echem jak szelest deszczu.

Idziemy w stronę potężnego, misternie rzeźbionego zegara zwisającego ze ściany naprzeciwko.

– To astrolabium. Astronomowie używali go do ustalania pozycji gwiazd i planet na niebie – wyjaśnia uczenie Francis, zerkając na mnie z ukosa, by się upewnić, że słucham.

Kiwam głową.

– Trochę jak zegar słoneczny.

– No tak... – zgadza się Francis. – Tylko, wiesz, nocą.

Patrzemy na siebie i nagle z jakiegoś powodu oboje zaczynamy cicho się śmiać. Zostawiamy astrolabium za sobą i przechodzimy do kolejnego eksponatu. Bezmyślnie sięgam do kieszeni, znów wyciągam telefon i włączam ekran. Tym razem widzę małą migającą kopertę. Nowy mejl.

Przesuwam palcem po ekranie. Dostałam odpowiedź. S. Kennedy. Cztery słowa.

Podłoga zaczyna się kołysać. Wprawdzie nigdy w życiu nie zemdlałam, ale teraz jestem absolutnie pewna, że jeśli zaraz nie usiądę, to stracę przytomność. Opieram się plecami o chłodną

szklaną ścianę i ześlizguję na ziemię, chowam głowę między kolanami i wsłuchuję się puls dudniący mi w skroniach.

– Caroline? Caro, nic ci nie jest? Co się stało? – Francis klęka obok mnie, kładzie mi rękę na ramieniu, próbuje zajrzeć mi w twarz. – Zrobiło ci się niedobrze?

Potrząsam głową, choć mdłości rzeczywiście na chwilę podchodzą mi do gardła. Przyciskam pięści do oczu – tak mocno, że kiedy puszczam, otaczające mnie błękitne światło eksploduje barwami jak kalejdoskop, aż znów zbiera mi się na wymioty. Próbuję wziąć głęboki oddech, ale czuję taki ucisk w piersi, że z trudem w ogóle wciągam powietrze. Chcę znów przeczytać wiadomość. Chcę cofnąć się w czasie i w ogóle jej nie odebrać.

Nagle orientuję się, że jestem sama. Zwiedzający snują się po sali, co jakiś czas zerkając na mnie z lekką obawą, ale Francis zniknął. Zrywam się na nogi, ignorując wirowanie w głowie, i rozglądam gorączkowo po galerii. Nigdzie go nie widzę. Bluzka klei mi się do spoconych pleców, puls tłucze jak oszalały.

Wreszcie zauważam go w oddali. Wlecze się z mozołem w moją stronę, ale zamiast ulgi ogarniają mnie niewyjaśnione złość i panika.

– Dokąd poszedłeś? – pytam sztywno, kiedy znajduje się dość blisko, by mnie usłyszeć.

Spogląda na mnie z troską i wyciąga przed siebie butelkę wody.

– Do kawiarni. Pomyślałem, że jeśli zrobiło ci się słabo, to powinnaś się napić.

– Dzięki – udaje mi się wykrztusić. – Nic mi nie jest.

Francis robi krok w tył. Na jego twarzy nadal maluje się niepokój.

– Nie wyglądasz dobrze. Jesteś strasznie blada, cała się trzęsiesz. Może lepiej, żebyś jeszcze na chwilę usiadła...

Kładzie mi dłonie na ramionach i naciska łagodnie, ale ja nagle czuję, że nie zniosę tego dłużej – jego bliskości, troski – to zbyt wiele, duszę się.

– Zostaw! – syczę. – Nie dotykaj mnie. – Słyszę, jak to brzmi, ale nie mogę już cofnąć tych słów.

– Co? Przecież próbuję ci pomóc.

Patrzy na mnie wielkimi, nierozumiejącymi oczami. Jego ręce nadal unoszą się milimetry nade mną. Przygryzam wargę. Mam ochotę je z siebie strząsnąć. Z trudem się powstrzymuję. Wiem, że powinnam przeprosić, ale twoje słowa nadal brzęczą mi w głowie. Patrzę na męża i czuję piekące wyrzuty sumienia – przecież mieliśmy być tu na wakacjach. Nie mogę znieść jego widoku.

– Nie chcę żadnej pomocy – wyrywa mi się, choć wiem, że to niewdzięczne. – Nic od ciebie nie chcę.

Na chwilę zapada cisza. Jego twarz przybiera zupełnie inny wyraz.

– Jebać to – odgryza się. – Nie wygram z tobą. Myślałem, że będziemy dobrze się bawić. Ale wiesz co? Jak dotąd przebywanie z tobą to jakiś zaszary koszmarny. W jednej chwili jesteś miłą i kochaną, a minutę później odlatujesz na inną planetę. Nie mam pojęcia, co ci siedzi w głowie, Caro, ale zaczynam myśleć, że cokolwiek zrobię, i tak nigdy nie będziesz zadowolona. Staję na rzęsach, a tobie dalej mało.

Francis podnosi głos. Przechodnie zwalniają, spoglądają w naszą stronę. Daję mu znak, żeby się uciszył, ale on mnie ignoruje.

– Staralem się wynagrodzić ci ostatnie kilka lat, bo wiedziałem, że to konieczne, ale wiesz co? Czasami naprawdę zajebicie mnie boli, że to ja muszę tak się wysilać, mimo że to nie ja...

Nagle milknie. Stoimy kilka centymetrów od siebie, jest mi gorąco i cała dygoczę w oczekiwaniu na jego słowa.

– Mimo że to nie ty... co? – pytam cicho, gdy cisza się przeciąga. – No proszę, powiedz.

Francis patrzy mi prosto w oczy. Coś podrywa się we mnie, po raz pierwszy tego dnia czuję się obecna razem z nim w jednej przestrzeni.

– Mimo że to nie ja – kontynuuje Francis, umyślnie cedząc słowa – postanowiłem rozwiązać problemy w małżeństwie, dając dupy komuś innemu.

Powietrze między nami rzednie, napięcie osiągnęło już szczytowy punkt i eksplodowało – ale zostawia po sobie smutek, z którym nie potrafię się zmierzyć. To uczucie jest zbyt surowe, zbyt intymne, by dało się udźwignąć. Francis odwraca się na pięcie i przepycha przez tłum z rękami w kieszeniach, opuszczając nisko głowę. Kiedyś pobiegłabym za nim, chwyciła za rękaw i błagała, żeby wrócił, zrobiłabym scenę – wiedząc, że to i tak nic nie da. Teraz jednak ledwo stoję na miękkich, drżących nogach. Od błękitnego światła znów robi mi się słabo, ogarnia mnie niepewność. Chcę być sama równie mocno jak on. Stoję więc w miejscu i patrzę za nim, aż znika.

Chodzę jeszcze przez jakiś kwadrans po muzeum, gapiąc się na gładkie krzywizny metalowych konstrukcji i migoczące mapy Galaktyki. Kiedy odwiedziłam to miejsce po raz pierwszy, uderzyła mnie nagła świadomość, że znajduję się na skraju

czegoś potężnego i niedosiętego – pojęłam, jak małe jest moje życie w porównaniu z ogromem kosmosu. Tym razem jest na odwrót. Nie widzę nic poza tym, co dzieje się tu i teraz. Moje problemy nabrzały do rozmiarów wszechświata.

Wracam na Turnham Green, siadam na zimnej ławce na przystanku autobusowym i znów czytam mejla. Jeśli właśnie tego chcesz. Jeśli właśnie tego chcesz. Zawsze taki byłeś: odbijałeś pytania z powrotem, zmuszałeś mnie do autorefleksji, twierdząc, że chcesz tylko jak najlepiej dla mnie. Twoje uczucia były nieuchwytnie jak rtęć. Rzucalam się na każdą wskazówkę, desperacko próbując zgadnąć, o czym tak naprawdę myślisz, ale zawsze wpadałam w pustkę i nie byłam ani odrobinę mądrzejsza niż wcześniej.

„Nie rozumiem” – odpisuję, choć zdaję sobie sprawę, jak boleśnie niewystarczające są moje słowa. – „Dlaczego to robisz? Dlaczego teraz? Czego chcesz?”

Zbyt wiele pytań. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Gdzieś w głębi duszy zawsze kurczowo trzymałam się tej małej osobistej fantazji – że jeśli jeszcze kiedyś się z tobą skontaktuję, nasze spotkanie będzie podszyte czułością i nostalgią. Nie spodziewałam się, że zechcesz grać ze mną w kotka i myszkę. Przez chwilę widzę cię tak wyraźnie, jakbyś stał tuż przy mnie. Tak bardzo bym chciała, żeby to była prawda – mam ochotę rzucić ci się na szyję i poprosić, byś zapewnił, że wszystko w porządku, że robisz to, bo masz rozsądny powód.

Podpisuję wiadomość „C”, dodaję całusa. Wpatruję się w niego przez chwilę i kasuję. Wyślij. Już odliczam sekundy, nie mogę się doczekać odpowiedzi. Nie wytrzymam tego. Żałuję, że w ogóle to zrobiłam – nie jestem pewna, czy to było właściwe posunięcie – ale już za późno. Wiadomość poszła w świat, a ja

zafundowałam sobie kolejną torturę. Moje nerwy zmieniły się w drut kolczasty.

W drodze powrotnej przyciskam czoło do szyby autobusu i przyglądam się drzewom i domom przepływającym za oknem, próbuję pozbyć się dręczących myśli. Nie mam czym ich zastąpić. Jedyne, co wypełnia mi umysł, to twarz Francisa i bolesna mieszanka złości, żalu i cierpienia w jego oczach. Już dawno tak się nie pokłóciliśmy. W pierwszych tygodniach po tym, jak powiedziałam mu o tobie, takie plucie jadem wydawało się zbyt niebezpieczne – jakby każde ostre słowo mogło przechylić szalę i doprowadzić do ostatecznego rozpadu naszego małżeństwa.

Sądziłam, że teraz już możemy sobie pozwolić na kłótnie, ale nic z tego. Nasze małżeństwo stoi na kruchym lodzie. Walczyliśmy o nie wbrew wszystkiemu – perspektywa utraty świeżo odzyskanej stabilności jest nieznośnie przykra. Taki wysiłek, tyle poświęceń, a mimo to nadal nie mamy gwarancji na związek do końca życia. Wsiadam na swoim przystanku i prędko mijam kolejne skrzyżowania, skręcam w lewo w stronę Everdene Avenue. Wtem przypomina mi się nasza noc poślubna. Leżałam w łóżku przed świtem i patrzyłam na śpiącego tuż obok Francisa. Ogarnęły mnie niezmierna czułość i przekonanie, że znalazłam swoje miejsce na świecie. Przeróżające, jak łatwo taka pewność może obrócić się w nicość. Jak niewiele potrzeba.

Drzwi wejściowe otwieram trzęsącymi się rękoma. Nasłuchuję znaków życia w środku. Kiedy tylko przekraczam próg, wiem już, że dom jest pusty, ale na wszelki wypadek i tak zaglądam do wszystkich pomieszczeń. Nic. Dzwonię na jego komórkę, ale jest wyłączona. Nie mam pojęcia, gdzie jest i co robi. Po takim czasie powinnam już umieć sobie z tym radzić, ale czuję większy niepokój niż kiedykolwiek. Francis nawet bez

leków jest impulsywny. Nie potrafię przewidzieć, co mu strzeli do głowy.

Idę do kuchni, nalewam sobie szklankę wody i wypijam całą duszkiem w kilka sekund. Uderzenie zimna na chwilę mnie otępia, oczyszcza umysł. Stoję nieruchomo, wpatrując się bezmyślnie w szklankę. Jest wysoka i zakrzywiona, wzdłuż krawędzi biegnie zielonkawa linia. Sama bym taką kupiła. Kiedy o tym myślę, dociera do mnie fakt, który powinnam była uświadomić sobie już dawno. Skoro ty jesteś w moim domu, to ja jestem w twoim.

Czuję przypływ adrenaliny. Znow zaczynam obchód po pokojach, tym razem w poszukiwaniu wskazówek. Wszystko, co widzę, jest frustrująco anonimowe. Nagie drewniane meble, żadnych zdjęć, prawie puste szafki. Przypominam sobie, jak śmialiśmy się z tego z Francisem po przyjeździe i zastanawialiśmy się, kto może mieszkać w tak dziwacznie minimalistycznym domu. Teraz dociera do mnie, że nikt tak nie mieszka, chyba że ma coś do ukrycia. Nie chciałeś, żebym zorientowała się od razu. Woląłeś dozować mi informacje kropla po kropli, aż wreszcie przebiją się do środka.

Ten dom jest... złowrogi. To słowo przychodzi mi na myśl bez ostrzeżenia. Sprawia, że nieruchomieję, zamieram w połowie otwierania szafki w korytarzu.

Spędziłam ostatnie dwa lata w przekonaniu, że odciąłeś się ode mnie, bo ci na mnie zależało; bo nie dałoby się tego zrobić inaczej. Nawet jeśli wydawało się to brutalnym rozwiązaniem, zdecydowałeś się na takie poświęcenie, bo było konieczne, żeby zacząć wszystko od nowa. Nie wyobrażam sobie, jakie zdarzenie mogłoby przekreślić wszystko, co się wydarzyło podczas naszego ostatniego spotkania. Dlaczego zmieniłeś zdanie?

Coś mi się kłębi w tyle głowy. Mroczne cienie tańczą na końcu długiej drogi. W pustce rozbrzmiewa twój głos. Przyciskam dłonie do skroni, próbuję przepędzić koszmary obraz. Nie zamierzam o tym myśleć. Ani teraz, ani nigdy.

Nagle słyszę głośny szloch i uświadamiam sobie, że płaczę, gorące łzy spływają mi po policzkach i kapią na bluzkę. Na ślepo rzucam się ku drzwiom wejściowym, otwieram je szeroko i wychodzę na zewnątrz. Nie mam dokąd iść, ale nie mogę tu zostać. Przez łzy widzę rzędy domów z identycznymi czystymi oknami i zadbanymi ogródkami. Po drugiej stronie ulicy mężczyzna w średnim wieku wystawia kosz do recyklingu. Przygląda mi się spod zmrużonych powiek, marszczy czoło, ocenia.

– Caroline?

Na dźwięk głosu Amber aż podskakuję. Pojawiła się za mną nie wiadomo kiedy. Niepewnym gestem kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Dobrze się czujesz?

Płonąc ze wstydu, ocieram oczy rękawem. Próbuję wziąć się w garść, ale nic z tego. W milczeniu kręcę głową. Amber wpatruje się we mnie z lekko rozchyłonymi ustami, na jej gładkim czole pojawia się głęboka bruzda. Otwiera szeroko oczy, aż przypominają dwie szklane kulki. Nagle dopada mnie myśl, że tak intensywna koncentracja nie jest czymś normalnym. A mimo to nie mogę się powstrzymać od reakcji. Kiedy znajdujemy się w centrum uwagi, bardzo trudno to zignorować.

– Dostałam wiadomość – wyjaśniam niemal wbrew sobie. Ogrom tej sytuacji nie mieści mi się w głowie. Muszę wyrzucić z siebie choć odrobinę. – Od byłego – dodaję z trudem.



Amber powoli kiwa głową, zachęcając wzrokiem, bym mówiła dalej.

– Nie jestem... – Każde słowo kosztuje mnie wiele wysiłku. – Nie jestem pewna, co to ma znaczyć.

Łzy nagle wysychają. Przysiadam na murku i gapię się przed siebie. Kątem oka widzę, że mężczyzna z naprzeciwka prostuje się, otrzepuje ręce i posyła mi jeszcze jedno spojrzenie, po czym odchodzi z powrotem do domu.

Amber zauważa, że na niego patrzę.

– Nie przejmuj się nim – radzi, podnosząc nieco głos, akurat tyle, by miał szansę dotrzeć na drugą stronę ulicy. – To twoja sprawa, a nie wszystkich dookoła.

Mężczyzna nieco sztywnieje. Zatrząskuje drzwi bez oglądania się za siebie.

Amber przysiada obok mnie.

– Słuchaj. Chcesz, żeby ten był wrócił do twojego życia czy nie?

– Nie – mówię prędko. Zdradliwe słowo, sama nie daję mu wiary. – Nie.

– W takim razie zignoruj tę wiadomość – radzi, wzruszając ramionami. – To proste.

W jednej chwili cała troska znika z jej twarzy. Amber uśmiecha się szeroko, jakby rozwiązała skomplikowany problem, znalazła ostatnie słowo do hasła w krzyżówce, które dopiero teraz nabrało sensu.

Kiwam głową, bo nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić. Nie mam jak wyjaśnić, że jest już za późno, by cię po prostu zignorować. A poza tym pytanie, które mi zadała, w ogóle nie ma przełożenia na tę sytuację. Nie można wrócić do czyjegoś życia, jeśli już się w nim jest. Tego, co nam się przytrafiło, nie da się

odkręcić ani zamieść pod dywan. Minęło tyle czasu, a ja nadal się nie otrząsnęłam.

## Dom

*Caroline, maj 2013*

Budzimy się w sobotni poranek i wszystko jest jasne, miłe i proste. Noc upłynęła w ciszy, bez chaotycznych ruchów i hałasów przed świtem, sygnalizujących, że Francisowi dokucza bezsenność. Całą noc przespał w naszym łóżku. Wpatruję się w jego twarz – to tak cudownie nowy widok, jakbyśmy byli młodą parą, która po raz pierwszy budzi się obok siebie.

Eddie też dobrze spał. Przy śniadaniu trajkocze jak najęty, wylewając z siebie ledwo zrozumiałe potoki słów, które równie dobrze można uznać za próbę rozmowy, jak i powidoki na wpół zapamiętanego snu.

– No już – zarządzam, przynosząc mu ubranie. – Ręce w górę.

Synek posłusznie wyciąga ramiona, rozcapierza palce, jakby próbował chwycić kawałek nieba. Spod wkładanej koszulki dobiega jego stłumiony głos.

– Chcesz iść na plac zabaw – mówi, a ja nie mogę powstrzymać uśmiechu. Eddie stale miesza pierwszą osobę z drugą, jakbyśmy byli dwiema identycznymi połówkami jakiejś całości.

– Dobrze, możemy iść. Nie wiem, czy tata będzie chciał... – Zerkam na Francisa, spodziewając się, że usłyszę jakąś wymówkę, ale on uśmiecha się z zadowoleniem.

– Dlaczego nie? Taki ładny dzień. Moglibyśmy się wybrać na ten nad rzeką.

– Proszę bardzo, Eddie. – Trącam go lekko w żebra. – Pójdiesz z mamą i z tatą. Brzmi dobrze?

– Tak! – woła rozpromieniony i rzuca się między nas na kanapę, rozpościerając szeroko ramiona, by objąć nas oboje jednocześnie.

Gdyby ktoś zrobił nam teraz zdjęcie, wyglądałibyśmy jak szczęśliwa rodzina. Wprawdzie doskonale wiem, że fotografie kłamią, a chwile są ulotne, ale mimo to w tej znajduję pocieszenie: wszystkie fragmenty naszej małej układanki wskoczyły na swoje miejsce tak, jak zawsze miało być.

– Może wyjdziemy teraz? – sugeruję ostrożnie. Gdzieś w tyle głowy świta mi pewna myśl: chyba nic dziś nie brał, więc jeśli wyciągnę go z domu...

Francis marszczy lekko brwi, rozważając moją propozycję. Atmosfera na chwilę tężeje. Czekam ze wstrzymanym oddechem, aż wreszcie kiwa głową, a ja pędem ciągnę Eddiego na korytarz, wkładam mu buty i kurtkę, ubieram się i przygotowuję wózek. Wypełnia mnie idiotyczne, rozwibrowane uniesienie.

Jedziemy autobusem na plac zabaw. Eddie całą drogę głośno śpiewa, wymachując dłońmi w powietrzu, jakby dyrygował pasażerami. Czasami ludzie są niemili, ale dziś wszyscy posyłają nam rozbawione spojrzenia i przyjazne uśmiechy.

– Jaki uroczy chłopiec – komentuje starsza pani, wysiadając z autobusu.

Wydaje mi się, że to nagroda, oznaka akceptacji. Zrobiliśmy coś właściwie. Francis gładzi moją dłoń koniuszkami palców. Łzy napływają mi do oczu.

Gdy docieramy na plac zabaw, Eddie pędzi przed siebie i rzuca się na ścianę do wspinaczki, choć podeszwy tenisówek ślizgają się na podłożu. Kupuję kartonik soku w kawiarence i roześmiana patrzę, jak niechętnie przyjmuje pomoc starszego chłopca, a kilka chwil później idzie za nim do piaskownicy i staje nieśmiało nad kupką piasku, czekając na zaproszenie do zabawy.

Francis siedzi na ławce za mną i też się śmieje. Z zaskoczeniem uświadamiam sobie, że od dawna nie słyszałam tego dźwięku. Odwracam się do męża, próbując spojrzeć na niego ze świeżej perspektywy. Przez ostatnie kilka miesięcy często dopadała mnie ostra, nieprzyjemna myśl, że zmienił się we wrak dawnego siebie: blada, opuchnięta twarz, szkliste oczy. Dziś jednak późnowiosenne słońce oświetla mu policzki i bije od niego radość na widok Eddiego. Wygląda niemal zdrowo. Zauważa, że mu się przyglądam, wstaje i podchodzi do mnie z rękami w kieszeniach.

– Dobrze się bawi – stwierdza. Waha się przez chwilę, po czym obejmuje mnie w tali. – Ja też.

Kiwam głową. Boję się odezwać.

– Posłuchaj – mówi cicho, nachylając się ku mnie. – Przepraszam. Wiem, że ostatnio byłem do niczego. To się zmieni.

Po raz pierwszy od miesiący słyszę od niego te słowa. Mam wrażenie, że napięcie między nami pęka i znika. Czuję ciepłe promienie słońca na twarzy, przyglądamy się naszemu dziecku, i choć przeproszał już wcześniej, w tej chwili wydaje mi się, że wszystko jest dobrze i żadna przeszkoda nie stoi na drodze do naszego szczęścia.

Słowa, które powstrzymywałam przez wiele tygodni, wyrywają się na powierzchnię.

– Francis, pigułki... Twierdzisz, że je odstawiłeś, ale wiem, że to nieprawda. Bierzesz. – Waham się. – Za dużo.

Francis pochmurnieje. Spodziewam się, że wzruszy ramionami i znów schowa się za murem zaprzeczeń i wymówek. On jednak kiwa głową, krótko i stanowczo.

– Tak. To głupie. Nawet nie wiem, dlaczego to robię.

– Rozumiem – mówię łagodnie i naprawdę w to wierzę.

Kiedyś szukałam powodów. Próbowалаm to rozebrać na części pierwsze, uzasadnić, prześledzić wstecz do pierwszych kilku tygodni, kiedy miał stresujący okres w pracy. Gdy doszło do tego kilka rodzinnych konfliktów, zasugerowałam, żeby poszukał pomocy. Minęło wiele czasu, zanim zrozumiałam, że mimo wysiłków nie zdołam zapakować wszystkiego w schludne małe pudełko na przyczynę i skutek. To o wiele bardziej skomplikowane. Bezsensowne, nieracjonalne, potężne.

– Z początku naprawdę pomagały – ciągnie Francis. – Aż za dobrze. Kiedy przyzwyczajasz się do takiego napięcia, a potem udaje ci się je uwolnić, to niesamowita ulga. Nie do opisania. Oczywiście potem chcesz to poczuć jeszcze raz i jeszcze. Wszystko staje się łatwiejsze do zniesienia, nie tylko duże sprawy, te małe też. Ale właśnie na tym polega problem. Im więcej bierzesz, tym więcej... – Przerzywa, marszczy brwi, jakby zaskoczyło go to odkrycie. – Tym więcej potrzebujesz – przyznaje w końcu, a jego twarz na chwilę przybiera wyraz niemal dziecięcego zdumienia.

– Wiem – przytakuję.

To też już słyżałam, ale tym razem w jego głosie pobrzmiewa nowa nuta. Dzień jest słoneczny, ale cała lekko dygoczę. Jakbym szła po linie, niepewnie utrzymując równowagę. Nie mogę zbyt szybko zaryzykować następnego kroku. Gryzę się w język

i zerkam na Francisa. Patrzy na Eddiego w piaskownicy. Nasz synek schyla w skupieniu głowę, wiatr mierzwi jego miękkie włosy.

– Tym razem rzucę na poważnie – odzywa się w końcu. Jego głos jest ciężki i stanowczy. – Nawet nie chcę ich już brać. Kiedy się dzisiaj obudziłem, byłem czysty i wspaniale się z tym czułem. Tylko rozpieprzają mi mózg. – Francis na chwilę milknie, jego ramiona podrygują jak w nerwowym tiku albo w krótkim napadzie dreszczy; odrzuca tę myśl od siebie. – Poczuję się wspaniale – powtarza. W jego zielonych oczach widzę spokój i skupienie.

Przez dobre dziesięć sekund patrzymy sobie w oczy. To co najmniej o dziewięć więcej niż przez ostatnie kilka miesięcy. Wszystko będzie dobrze. Ta myśl rozkwita mi w głowie.

Eddie krzyczy coś z placu zabaw. Zerkam w jego stronę, gramoli się z piaskownicy i wskazuje na huśtawkę, chce, żeby go posadzić.

– Poczekaj – wołam i ruszam w jego stronę, ale Francis mnie zatrzymuje.

– Nie, ja pójdę.

Idzie do Eddiego, podrywa go z ziemi i sadza ostrożnie na jednym końcu huśtawki, po czym siada po przeciwnej stronie. Serce bije mi gwałtownie. Nagle staje mi przed oczami Carl. Siedzę mu na kolanach w barze, do którego poszliśmy w zeszłym tygodniu. Zarzucam mu ręce na szyję, a on kładzie mi dłonie nad biodrami. Szepczemy coś do siebie, on słucha uważnie, na jego twarzy malują się czułość i zainteresowanie.

Nie potrafię połączyć tego obrazu z rzeczywistością. Ogarnia mnie dziwne poczucie obcości: moje dwa życia toczą się równolegle do siebie, suną gładko jedno przy drugim, ale nigdy

się nie dotykają. Bardzo rzadko – o ile w ogóle – mówię sobie, że prędzej czy później będę musiała wybrać jedno z nich. Teraz jednak dociera do mnie smutna, niepodważalna prawda, które życie powinnam zatrzymać.

Eddie zsuwa się z huśtawki i biegnie do mnie. Jego krótkie nóżki podskakują w górę i w dół, jego twarz rozpromienia szeroki uśmiech. Francis idzie tuż za nim. Promienie słońca padają im na plecy, oświetlają ich jak aureola. Znowu czuję pieczenie pod powiekami. Tak łatwo mogłabym ich stracić. Nie chcę tego zaprzepaścić. Nie chcę.

– Jak ty szybko biegasz! – wołam, gdy Eddie znajduje się tuż przede mną, i klękam, żeby móc mnie objąć.

Zanurzam twarz w jego włosy, wdycham zapach miętowego szamponu i świeżo skoszonej trawy. Kiedy wrócę do domu, napiszę do Carla. Odwołam nasze dzisiejsze spotkanie. Na samą myśl czuję ukłucie żalu, ale staram się nie zwracać na to uwagi. Dam sobie trochę czasu i przestrzeni na zastanowienie, spędzę wieczór z Francisem. Obejrzymy film, może zamówimy jedzenie na wynos. Tak normalnie. Niewiarygodne, jak bardzo pociąga mnie ta wizja.

Zostajemy na placu zabaw jeszcze dwadzieścia minut, a potem wracamy na przystanek. W drodze do domu powieki same mi opadają, jakby całe napięcie zgromadzone przez ostatnie kilka miesięcy nagle zniknęło i każdy mięsień w moim ciele się rozluźnił. Co chwila prześlizguję się między jawą a snem. Francis kładzie mi luźno rękę na ramionach. Opieram głowę o ciepłą szybę i rozkoszuję się tą odrobiną luksusu.

– Caro. – Głos dociera do mnie jak przez zbitą watę. Francis trąca mnie lekko, próbuje wybudzić. – Marudzi. Nie wiem, o co może mu chodzić.



Z wysiłkiem podnoszę głowę i patrzę na Eddiego przypiętego do wózka przed nami. Rzeczywiście: popiskuje z niezadowoleniem bez wyraźnego powodu, wcześniejszy dobry humor zniknął bez śladu. Półprzytomna nachylam się ku niemu i próbuję wziąć go za rękę, ale robię to zbyt niezgrabnie i wytrącam mu z dłoni wafel ryżowy. Autobus skręca, przysmak leci po podłodze daleko pod siedzenia. Eddie wpatruje się w swoją pustą piąstkę, zaciska mocno powieki i zaczyna wrzeszczeć. Pasażerowie krzywią się i szepczą coś do siebie.

– Wszystko dobrze – uspokajam go, ale bez skutku. – Przepraszam, nie chciałam. Zaraz dostaniesz następny. – Grzebię w torbie w poszukiwaniu wafli, ale kiedy chwytam foliowe opakowanie, orientuję się, że nic w nim nie zostało. Zaczyna wzbierać we mnie panika. – Przepraszam, synku, nie mam więcej wafli. Kiedy wrócimy do domu, dam ci coś innego, dobrze?

Eddie mnie ignoruje. Wrzeszczy coraz głośniej, na policzkach wykwitają mu wściekle czerwone plamy. Moje ciało już zapomniało o niedawnym spokoju, napinam się, zaczynam dygotać. Nie zniosę tego. Wiem, jak wyglądają jego histerie. Nie ma szans, żeby się uspokoił. Musi się po prostu wykrzyczeć, aż będzie zbyt zmęczony na dalszą awanturę. Kłopot w tym, że jesteśmy uwięzieni w autobusie dobre piętnaście minut od domu.

Kątem oka zauważam, że Francis patrzy na nas uważnie, lecz bez emocji. Taki sam wyraz twarzy przybiera podczas oglądania średnio interesujących go wiadomości.

– Do jasnej cholery, może byś mi pomógł? – rzucam bez zastanowienia.

Na jego twarzy malują się zaskoczenie i uraza. Już widzę, że zamyka się w sobie.

– Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić.

– Jezu, bardzo mi pomogłeś. Wielkie dzięki.

Żałuję tych słów, zanim zdążą wybrzmieć. Poczucie bliskości pęka i znika. Francis odchyła się na siedzeniu, przymyka powieki i odwraca twarz.

– Przepraszam – zaczynam, ale nie wiem, co dalej.

Eddie nadal wrzeszczy, dla podkreślenia złości waląc piąstkami w wózek. Moje słowa giną w hałasie.

Gdy wysiadamy na naszym przystanku, Eddie jest już zmęczony. Napad szału przygasa, zmienia się w ciche popiskiwanie, od czasu do czasu punktowane łzawą czkawką. Idziemy w milczeniu do domu. Niebo się zachmurzyło, wciąż jestem spięta. Zmuszam się do uśmiechu i patrzę na Francisą wlokącego się przy mnie.

– No, niezły stres – oznajmiam lekko, gdy wchodzimy do środka. – Przepraszam. Zrobię lunch, co ty na to?

– Pewnie – odpowiada nieobecny tonem, wyłaniając się z salonu. – Skoczę tylko do sklepu po sok.

– Nie idź. – Słowa wyrrywają mi się z ust tak prędko, że nie mam czasu się nad nimi zastanowić. – Proszę.

Francis unosi wysoko brwi i zakłada ręce na piersi. Na chwilę zapada cisza, napięcie znów wzrasta.

– Co, nie mogę już nawet wyjść z domu? Zamierzasz mnie teraz kontrolować dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– Nie... – Szukam jeszcze jakichś słów, ale mam w głowie pustkę.

– Nic mi nie będzie – mówi, ale w jego głosie pobrzmiwa teraz chłód, którego nie słyszałam rano.

Patrzę przez okno, jak odchodzi powoli ulicą, schylając nisko głowę. W głowie włącza mi się zegar. Jeśli wróci za kwadrans,

prawdopodobnie wszystko będzie w porządku. Bezmyślnie robię Eddiemu kanapkę i zabieram go na drzemkę.

Dwadzieścia minut. Dwadzieścia pięć. Pół godziny.

Francis wraca po prawie dwóch godzinach, idzie prosto do sypialni, zasłania okno i pada na łóżko. Nie ma sensu krzyczeć, ale i tak to robię. Stoję w zaciemnionym pokoju, wywrzaskuję każdą obelgę pod słońcem, a łzy ciekną mi strumieniami po twarzy. Próbuje wszystkiego – bez skutku.

Dzwonek u Carla nie działa, więc staję przy drzwiach i wysyłam mu wiadomość.

*Już jestem ;-\**

Kilka sekund później słyszę zbliżające się kroki. Carl wciąga mnie do słabo oświetlonego przedpokoju i całuje na powitanie, a drzwi zamyka nogą.

– Dobry wieczór – mruczę.

Już czuję, że uchodzi ze mnie stress, i nie mogę powstrzymać uśmiechu. Traumatyczne przeżycia z całego dnia natychmiast uchodzą w niepamięć. Carl nigdy nie mówi, że cieszy się na mój widok, ale nie ma takiej potrzeby – jego entuzjazm jest zaraźliwy. Ma na sobie czarne dżinsy i spłowiałą czerwoną koszulę. Chcę mu powiedzieć, że wygląda seksownie, ale chyba też nie muszę. Od jakiegoś czasu prawie czytamy sobie w myślach. Pewnie dlatego, że zazwyczaj myślimy o tym samym.

– Wejdz. – Carl bierze mnie za rękę i prowadzi w głąb mieszkania. – Masz ochotę na oprowadzanie z przewodnikiem? Pewnie nie – odpowiada sam sobie, uśmiechając się szeroko.

Przyglądam się wypolerowanej podłodze, nielicznym jasnym meblom, pustym ścianom. Już po chwili znajdujemy się za zamkniętymi drzwiami jego sypialni. Nie ma tu nic do oglądania: przypadkowy gość nie zdołałby wywnioskować, kto tu mieszka. Może Carl właśnie tego chciał. Ceni sobie swoją prywatność, jest ostrożny. Wiele razy widziałam, jak przygląda się ludziom, mierzy ich wzrokiem i wyciąga w sekrecie własne wnioski. Na nikogo innego nie patrzy tak jak na mnie.

– Nie mogę uwierzyć, że już za tydzień cię nie będzie – wzdycham. Stoimy bardzo blisko siebie na środku pokoju. Carl obejmuje mnie w talii. – Będzie mi cię brakowało w biurze.

– Mnie ciebie też – odpowiada, mrużąc ciemne oczy. Przesuwa dłonią po twarzy, zastanawia się nad czymś. – Ale przecież dalej będziemy się widywać.

– Oczywiście.

Nigdy dotąd nie rozmawialiśmy o tym, co zrobimy po jego odejściu do innego biura, nie licząc bardzo mglistych sugestii, że prędzej czy później trzeba będzie sobie odpuścić. Przytakuję, ale chyba jeszcze nie wierzę. Łatwo sobie wmówić, że nasze spotkania istnieją w małej zakładce czasu i przestrzeni, chroniącej nas przed osądami i rzeczywistością. Nie wyobrażam sobie, że mogłyby się skończyć. Nie widzę innego rozwiązania. Przyszłość to niedostępne, puste płótno. Na samą myśl strach kłuje mnie jak impuls elektryczny. Zarzucam mu ramiona na szyję, żeby odpędzić to uczucie.

– Powinniśmy o tym porozmawiać – zgadza się Carl, odczytując moje milczenie. – Ale może jeszcze nie teraz, co?

– Pewnie.

Nie mam ochoty rozmawiać o czymkolwiek, a on natychmiast to zauważa. Znowu mnie całuje, przyciąga do siebie, jego ciepłe

dłonie przesuwają się po moim ciele. Chwyta za brzeg sukienki i ściąga mi ją przez głowę jednym płynnym ruchem. Czuję na sobie jego wargi, wciągam gwałtownie powietrze i drzę, gdy zaczynają wędrować po mojej skórze. Niecierpliwie rozpinam jeden po drugim guziki jego koszuli. Carl kładzie swoją dłoń na mojej, zatrzymuje mnie.

– Powiedz: proszę – nakazuje niemal bezgłośnie, a ja posłusznie wykonuję polecenie.

Powoli odsuwa rękę, pozwalając mi dokończyć. Gładzę mięśnie na jego piersi, zsuwam mu koszulę z ramion, a on rozpinam mi stanik, bez ostrzeżenia podnosi mnie z podłogi i rzuca na łóżko. Przez chwilę stoi nade mną, przygląda mi się z góry.

– Chodź do mnie – wzdycham. – Proszę.

Dopiero wtedy kładzie się przy mnie, podpira głowę na łokciu.

– Niebezpieczna zabawa – stwierdza.

Czuję jego gorący oddech na szyi. Znow przesuwam rękę po moim ciele, zahacza palcem o majtki i zsuwa mi je powoli z ud. Nie odrywa ode mnie wzroku, a ja pragnę go tak bardzo, że nieprzekraczalna granica, którą sobie wyznaczyłam, rozmywa się i znika. Sięgam mu do spodni, ciągnę za pasek, ale on znow mnie zatrzymuje i potrząsa głową.

– O, nie – mówi cicho. – Nie wydaje mi się. Chciałaś zaczekać, pamiętasz? To zaczekamy.

Przygryzam mocno wargę, nie odpowiadam. Znow się całujemy, przywieram do jego twardego, gorącego ciała, oplatam go ramionami w pasie i przesuwam mu paznokciami po plecach. Wiem, że to lubi, ale strząsa z siebie moje ręce i znow kręci głową. Wychyla się i podnosi z podłogi szalik. Nie dając mi czasu

na reakcję, sprawnie i szybko związuje mi nadgarstki. Wydaję z siebie stłumiony okrzyk zaskoczenia. Carl uśmiecha się z zadowoleniem.

– Proszę bardzo. Teraz jesteś na właściwym miejscu.

Patrzemy na siebie. Chwila się przeciąga, staje się tak intymna, że już prawie nie mogę tego znieść, pożądanie zgniata mi serce jak wielki ciężar, od którego aż tracę dech. Carl wsuwa mi dłoń między nogi, najpierw dotyka mnie powoli i łagodnie, potem mocniej, wsuwa we mnie palce i nie obchodzi mnie, czy sąsiedzi usłyszą odgłosy, które wyrywają mi się z ust, bo nie mam już nad niczym kontroli, unoszę biodra, ale on wolną ręką wciska je z powrotem w materac. To boli, nie wiem nawet, czy mi się podoba czy nie. Ale to prawie bez znaczenia, przez kilka palących sekund mam w głowie absolutną pustkę, spoglądam mu w oczy i już całkiem zapominam, kim jestem.

Później ubieramy się i wychodzimy z mieszkania, przez jakiś czas pijemy drinki w zatłoczonym barze zalanym czerwonym światłem. Rozmawiamy o pracy i planach na weekend. Przychodzi nam to bez wysiłku, bez zahamowań, i wbrew wszystkiemu nie potrafię zdusić buzującego we mnie szczęścia. To uczucie jest zbyt łatwe, zbyt odurzające. Pochłania mnie bez reszty, a ja pragnę mu się oddać każdą komórką ciała.

Żegnamy się na stacji, przy niskim ceglany murku tuż przed wejściem. Obejmujemy się mocno, wtulam twarz w jego szyję.

– Boże – szepcze Carl. – Chcę cię pieprzyć.

To jest jak elektryczny wstrząs – jakby moje ciało przypomniało sobie, że można tego słowa używać w innym kontekście niż jako wyraz agresji, sposób na zakomunikowanie, że bym zamilkła i sobie poszła. Czuję pulsującą euforię. Splatamy

dłonie, ściskam go mocno za rękę. Nie udaje mi się wydusić z siebie żadnego dźwięku, ale wiem, że on rozumie.

– Ale wiesz, że nie tylko o to mi chodzi, prawda? – dodaje, odsuwając się nieco. – Ja naprawdę... – Przerzywa, marszczy lekko brwi, jakby sam nie wiedział, co czuje. – Naprawdę mi na tobie zależy.

Wprawdzie zakamuflował wyznanie, owinął je w niezobowiązujące słowa, ale i tak ściska mnie za serce.

Stoimy tak jeszcze chwilę i patrzymy na siebie. Jego oczy są dobre i miękkie, chłoną każdy skrawek mojej twarzy. Całujemy się na pożegnanie, aż nagle ziemia usuwa mi się spod nóg i w jednej krótkiej chwili uświadamiam sobie, że zadurzyłam się bez pamięci. Nie wiem, co tu się dzieje i czy w ogóle zdołam to jakoś kontrolować. Chyba przegapiłam moment, w którym mogłam się jeszcze wycofać. Teraz jest już za późno.



*Ostatnimi czasy bywam w niszczycielskim nastroju – nie mogę nic na to poradzić. Jeśli te kilka lat mnie czegoś nauczyło, to że większość dóbr materialnych jest kompletnie pozbawiona wartości. Nieważne, czy się zepsują, podrą czy spalą. Można je zastąpić. Zazwyczaj nawet nie zawracam sobie tym głowy – to pokazuje, jak mało dla mnie znaczyły.*

*Kiedy trzymam coś w rękach i wiem, że mogę zrobić z tym, co tylko zechcę, czuję prawdziwą władzę. Tyle rzeczy w życiu uderza człowieka bez ostrzeżenia między oczy. Jeśli potrafisz wyznaczyć sobie odrobinę przestrzeni, nad którą panujesz, i jeśli to pomaga ci nie oszaleć, z pewnością robisz coś dobrego. A więc się za to nie biczuje. Ludzie robią gorsze rzeczy.*

*Dziś znowu ogarnia mnie potrzeba destrukcji. Podchodzę do szafy Caroline i otwieram szeroko drzwi, ściągam z wieszaków wszystkie spódnice i sukienki, rzucam je na podłogę. Pracuję metodycznie, jak jednoosobowa linia produkcyjna. Biorę w dłoń duże metalowe nożyce kuchenne. Z satysfakcją obserwuję migotanie srebrnych ostrzy. Wystarcza chwila, żeby znaleźć rytm. Podnieść, rozciąć, odrzucić, materiał rozciąga się i mnoży w skrawki, aż z ubrań zostaje tylko wielobarwna sterta bezużytecznych szmat. Akryl, poliester, jedwab, aksamit. Tanie i drogie, wszystkie przemieszane i zredukowane do tego samego poziomu.*

*Gdy kończę, szum w mojej głowie cichnie, ból w skroniach ustępuje, ale nie nadchodzi spodziewana ulga. Może dlatego, że nieważne, co robię, nie udaje mi się do niej zbliżyć. Nie mogę przeniknąć do jej wnętrza. Przebywam w jej domu, w centrum jej życia, a mimo to największą więź z nią czuję, gdy widzę na ekranie jej słowa, napisane setki kilometrów stąd. Wstaję i otrzepuję ręce. Czas na kolejną wiadomość.*



## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

*Chyba naszła mnie ochota zobaczyć, gdzie mieszkasz, ale tak, żeby się z tobą nie widzieć. Mam nadzieję, że cię tym nie obrażę ani nie przestraszę. Od dłuższego czasu zastanawiam się nad pewnymi sprawami. Wiem, że to dziwne. Nie martw się za bardzo. Pewne rzeczy po prostu trzeba zrobić.*

Czytam wiadomość kilka razy, czując narastającą frustrację. Każde zdanie kładzie na komunikat nową warstwę. Widzę związki między jednym zdaniem a drugim, ale jednocześnie wydaje mi się, że są absurdalnie od siebie oderwane. To seria myśli, z których wycięto wszystkie ważne elementy, zostawiając jedynie haczyki, by zbić mnie z tropu. Jakie rzeczy? Czy już martwię się „za bardzo”, czy jeszcze nie? Kto i co musi zrobić? Mogłabym cały dzień łamać sobie nad tym głowę, a i tak nie byłabym ani odrobinę mądrzejsza.

Z tobą zawsze tak było. Twierdziłeś, że jesteś prosty i bezpośredni, ale prawdziwe znaczenie swoich słów zagrzebywałeś niemożliwie głęboko. Kiedyś myślałam, że jeśli dostatecznie się wsłucham i skoncentruję, to je dostrzegę – że wyskoczy z pustki w chmurze konfetti jak biały królik z kapelusza

iluzjonisty. Nigdy jednak mi się to nie udało, może zabrakło mi talentu. Widzę, że to się nie zmieniło.

Mam ochotę odpisać natychmiast, ale zmuszam się do odłożenia telefonu i kontynuuję nakładanie makijażu. Rozprowadzam aksamitny podkład na policzkach i w kącikach oczu. W bezkompromisowym świetle słońca wyglądam na starszą i bardziej zmęczoną. Jakbym miała czterdzieści pięć lat, nie trzydzieści pięć. Wybieram cień do powiek, przesuwam pędzelkiem po skórze. Najpierw warstwa bladej szarości, później podkreślam załamane nad rzęsami ciemniejszym kolorem. Mam wrażenie, że moja twarz składa się z oddzielnych elementów. Maluję po cyferkach, wypełniam kolorem jedno pole po drugim. Rysuję czarne kreski eyelinerem, nakładam tusz na rzęsy i bladą różową szminkę na wargi. Dopada mnie nieprzyjemne wspomnienie z najgorszych czasów, kiedy tak samo stałam przed lustrem w łazience, próbując jakoś ułożyć ten niepewny domek z kart.

Ale przecież teraz jest inaczej. Francis wrócił wczoraj kilka minut po dziewiątej. Był przygaszony i mało mówny, ale zachowywał się normalnie. Nie sądziłam, że poczuję aż taką ulgę – jak łatwo znów zaczęłam spodziewać się najgorszego. Przez cały wieczór rozbrzmiewało mi w głowie echo słów terapeutki: „To długa droga. Niepewność zawsze będzie ci towarzyszyć. Tak wygląda życie z osobą uzależnioną. Przyjdą lepsze i gorsze dni, a podczas tych lepszych będziesz się zastanawiać, czy to już na zawsze. Niektórzy ludzie potrafią sobie z tym radzić, inni nie”. Czasami wydaje mi się, że od dwóch lat szukam odpowiedzi na pytanie kryjące się za tymi słowami. Czy udźwigniesz coś takiego, Caroline? Nadal nie wiem. Może nigdy się nie dowiem,

aż do śmierci – a wtedy odpowiedź znajdzie się sama, choć wtedy na nic mi się już nie przyda.

Chwytam szczotkę i metodycznie rozczesuję włosy, starannie rozplątuję każdy supeł. Mój mózg pracuje na pełnych obrotach, niemal szumi jak przegrzany dysk. W głębi duszy zastanawiam się, czy nie powinnam wyjść z domu i pojechać pierwszym pociągiem do Leeds. Wyobrażam sobie, jak wchodzę do mieszkania i znajduję cię w środku, patrzę ci prosto w oczy. Na samą myśl zalewają mnie tęsknota i przerażenie. Nie mogę tego zrobić. Nie powinnam w ogóle tego pragnąć.

Znów czytam wiadomość. Po raz kolejny czuję, że coś jest nie tak. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego chciałbyś przebywać w moim domu bez mnie. Choć przecież to nie tylko moje mieszkanie. W nagłym przypiływie niepokoju pojawia się podejrzenie, że może próbujesz zbliżyć się do mojego życia z Francisem i Eddiem. Kiedy byliśmy razem, zupełnie się od niego odcinaliśmy. Rzadko pytałeś, a ja sądziłam, że wolisz się zachowywać, jakbyśmy istnieli niezależnie od mojego małżeństwa, w małej gorącej bańce ekscytacji i pożądania. Mnie też to odpowiadało. Ale może zmieniłeś zdanie... Może zmieniłeś się w kogoś innego.

Gdy tylko rodzi się ta myśl, zaczynam się jej przyglądać, analizować, zastanawiać, czy mam rację. Minęło dużo czasu. Tyle się wydarzyło od tamtej koszmarnej nocy, kiedy widziałam cię po raz ostatni. Wyobrażam sobie, jak przetrząsasz rzeczy mojego męża, chcesz jak najwięcej się o nim dowiedzieć. Wyciągasz jego ubrania z szuflad, przeglądasz papiery. Próbujesz zrozumieć nasze małżeństwo, szukasz odpowiedzi na pytanie, dlaczego w nim trwam. Chcesz wiedzieć, czy rzeczywiście jesteśmy

szczęśliwi, i zastanawiasz się, czy na to zasługuję – po wszystkim, co ci zrobiłam.

Mogłabym porozmawiać z Francisem. To świeża, kusząca myśl, ale już po chwili uznaję, że równie dobrze mogłabym podłożyć mu pod nogi bombę atomową. Kilka mejli wystarczyło, żeby wytrącić mnie z równowagi, i doprowadziło do sceny w muzeum. Całą noc leżeliśmy obok siebie w ciszy, czekając na nadejście świtu. Nie mogę tak po prostu do niego pójść i oznajmić, że chyba jesteś właśnie w naszym mieszkaniu. Zbyt ciężko pracowałam na odbudowanie naszych relacji. Nie zaszłam tak daleko po to, żeby teraz wszystko spieprzyć. Po raz pierwszy wzbiera we mnie złość: na ciebie i na mnie. Moje techniki obronne okazały się przerażająco kruche.

Wiedziona impulsem chwytam za telefon i odpowiadam na mejla.

*Nie wiem, czego się po mnie spodziewasz. Minęły już prawie dwa lata. Nie mam pojęcia, po co tak naprawdę to robisz ani dlaczego w ogóle chcesz się ze mną kontaktować po tym, co się wydarzyło. Nie rozumiem. Tęsknię za*

W pośpiechu przesuwam palcem po ekranie i niechcący wysyłam niedokończoną wiadomość. Przełykam ślinę i z przerażeniem wpatruję się w ostatnie zdanie. Zamierzałam napisać „Tęsknię za normalnością”. To chciałam powiedzieć. Znow otwieram okno odpowiedzi, ale bez kontekstu to zdanie wygląda zbyt ostro, zbyt bezpośrednio. Nie jestem pewna, co tak naprawdę czuję.

„Nie zdążyłam dokończyć wiadomości. Nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego”.

Gdy czytam ostatnie zdanie, aż się krzywię. Nie. To brzmi lekko i kokieteryjnie, a ja czuję coś zupełnie przeciwnego. Kasuję. „Nieważne” – piszę tylko. Wyślij. Bezużyteczna wiadomość. Co za idiotyzm.

Rzucam telefon na stolik, chowam twarz w dłoniach, oddycham głęboko, próbując się uspokoić. Wszystko dobrze. Nic się nie dzieje. Kłopot w tym, że nic nigdy nie uspokajało mnie tak jak ty.

Podnoszę głowę, drzwi do sypialni otwierają się szeroko. Francis zagląda ostrożnie do środka. Widząc, że siedzę przy toalecie, zbliża się do mnie niepewnie. Opiera się o ścianę.

– Hej – mówi. Też wygląda na zmęczonego, ale nie czuję od niego wrogości. – Słuchaj, powinniśmy porozmawiać. Przepraszam, że wczoraj tak zniknąłem. Wiedziałem, że będziesz się martwić, ale potrzebowałem trochę czasu, żeby pomyśleć. Gdybym został, jeszcze bardziej byśmy się pokłócili. Nie chciałem, żebyśmy powiedzieli więcej rzeczy, których moglibyśmy żałować.

Milknie na chwilę, jakby chciał dać mi szansę na wyliczenie kilku z nich, ale myśli nadal kotłują mi się w głowie i nawet nie pamiętam, co wczoraj nawygadywałam. Francis wzdycha, odsuwa się od ściany i przysiada na skraju toaletki.

– Nie powinienem był tego mówić. O tobie i Carlu. – To imię upada między nami jak kamień, aż mrugam kilka razy, zaskoczona. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz je od niego słyszałam. Co najmniej kilka miesięcy temu. – Naprawdę nie myślę o tym tak często. Już nie – dodaje cicho.

Kiedy wczoraj wyrzucił z siebie te słowa, jego twarz przybrała bolesny, rozżalony wyraz. Posypały się tak prędko i gwałtownie, jakby przez lata hodował je w jakiejś starannie pielęgnowanej

szklarni z pretensjami. Nie wątpię, że ma ich tam o wiele więcej: czają się cierpliwie w zakamarkach jego umysłu i czekają na swoje pięć minut. Ale jego propozycja zawarcia pokoju wystarcza, bym poczuła wdzięczność. Opieram głowę o jego żebra i zamykam oczy, pozwalając, by pogładził mnie po włosach.

– Nie szkodzi – mówię, chowając twarz w jego koszuli. – Ja też przepraszam. Spróbujmy o tym zapomnieć, dobrze? Życie toczy się dalej.

– Też tak uważam. – Francis bierze mnie pod brodę i lekko unosi moją głowę, by spojrzeć mi w twarz. – Pomyślałem, że moglibyśmy dziś przejechać się nad morze, jeśli nie masz nic przeciwko. Jest piękna pogoda. Sprawdziłem na mapie, dojechalibyśmy w okolice Brighton w godzinę, może półtorej. Co ty na to?

– Chętnie.

Perspektywa zmiany miejsca przynosi mi niespodziewaną ulgę. Może właśnie to jest mi potrzebne – popołudnie w miejscu nienaznaczonym żadnymi wspomnieniami. Oczyszczę umysł, pooddycham morskim powietrzem. Zarzucam Francisowi ramiona na szyję i wstaję, żeby go objąć.

– Daj mi dziesięć minut i będę gotowa, dobrze?

– Jasne. – Francis postanawia zakończyć rozmowę, póki wszystko idzie dobrze, i prędko wychodzi z sypialni. Słyszę, jak na schodach podśpiewuje jakąś triumfalną melodię.

Gryzą mnie wyrzuty sumienia. Nie powinnam w ogóle odpowiadać na te wiadomości. Patrzą sobie w oczy w lustrze. Mam własne życie. Nie jesteś jego częścią. Właśnie tego chciałeś, mówię bezgłośnie. Moje odbicie wiernie powtarza każde słowo.

Wtem mój telefon ćwierka i wibruje, wytrąca mnie z równowagi. Esemes od nieznanego numeru. Serce na sekundę

podchodzi mi do gardła, ale okazuje się, że niepotrzebnie.

*Hej, Caroline. Wybacz, że piszę, ale trochę się o ciebie wczoraj martwiłam. Może chciałabyś wpaść do mnie na kawę? Amber*

Marszczę brwi. Skąd ona ma mój numer? Nie jestem nawet pewna, czy powiedziałam jej, jak się nazywam. Kilka lat temu rozważałam przejście na freelance i założyłam stronę internetową. Chyba wspomniałam o tym przelotnym romansie z nową ścieżką kariery, kiedy poszłyśmy do kawiarni, ale i tak musiałyby się nieźle naszukać, żeby coś znaleźć w internecie. Wyobrażam sobie, jak siedzi zgarbiona nad klawiaturą i w skupieniu wpisuje kolejne zbitki słów w pasek wyszukiwania, a światło ekranu zalewa jej twarz. Z łatwością przywołuję ten obraz i znów uświadamiam sobie, że jest mną trochę za bardzo zainteresowana.

Odkładam telefon. Nie będę odpisywać tak od razu. Nie jestem pewna, czy mam ochotę na spotkanie. Poza tym im szczelniej zamknę przeszłość w sobie, tym skuteczniej będę mogła ją zdławić. Od lat żyję według tej zasady. Jeśli coś istnieje tylko w mojej głowie, to prawie tak, jakby w ogóle tego nie było.

Kiedy przyjeżdżamy do Brighton, na dworze jest już dwadzieścia stopni. Na plaży panuje spory tłok jak na popołudnie w środku tygodnia: majowe słońce przyciągnęło grupki miejscowych i turystów. Spacerujemy bez celu po promenadzie. Nie mamy pomysłu, co ze sobą zrobić, i wcale nam to nie przeszkadza. Tak jak się spodziewałam, czyste morskie powietrze mnie uspokaja. Czuję się wyprana z emocji, ale czysta, ręce i nogi

bolą mnie lekko, jakbym właśnie pozbyła się z organizmu resztek przewlekłej choroby.

Francis trąca mnie łokciem, wskazuje na grupkę dziewczyn po dwudziestce paradujących w krótkich szortach i stanikach od bikini.

– To się nazywa optymizm, co? Nie jesteśmy na Ibizie.

Gdy podchodzimy nieco bliżej, zauważam, że ich twarze błyszczą od brokatu, a najwyższa i najbardziej roznegliżowana ma na sobie satynową szarfę.

– Panieński – mamroczę. Dziewczyny zanoszą się śmiechem, wymachują kolorowymi drinkami w butelkach i posyłają zalotne spojrzenia każdemu, kto stanie im na drodze. – Dopiero się rozkręcają.

– Twój chyba tak nie wyglądał, co? – komentuje Francis, kiedy się z nimi mijamy.

Ledwo sobie przypominam. Osiem lat temu. Względnie trzeźwe i powściągliwe spotkanie w barze w centrum Londynu, wyjście do restauracji z kilkunastoma koleżankami i kilka zorganizowanych naprędce rozrywek.

– Wtedy było trochę inaczej – mówię, ale nie jestem pewna, co właściwie się zmieniło: normy społeczne, oczekiwania, a może ja.

– Cóż, wróciłaś nieźle nawalona. Chyba przewróciłaś się o wieszak na płaszcze, pamiętasz?

Francis ciągnie wspominki, ale ja nadal obserwuję zbliżające się dziewczyny. Jego głos przechodzi w jednostajny szum.

Przenoszę uwagę na jedną z mniej rozkrzyczanych dziewczyn. Trzyma się z tyłu grupy. Długie ciemne włosy powiewają za nią na lekkim wietrze, szyję ma przewiązaną szyfonową apaszką. Jest w jej wyglądzie i sposobie poruszania się coś takiego, że dreszcz przebiega mi po plecach. Niebezpieczne,



mroczne wspomnienia zaczynają kłębić się wokół mnie jak gęste czarne chmury. Nie mogę im na to pozwolić.

Odwracam się do Francisa i chwytam go mocno za rękę.

– Chodźmy na molo – proponuję i prowadzę go jak najdalej od dziewczyn, w stronę zalanego białym światłem horyzontu.

Nie będę o tym myśleć. Nie mogę. Powtarzam te słowa przy każdym kroku. I rzeczywiście, po chwili wspomnienia stają się coraz bardziej odległe, aż wreszcie znikają.

– Moglibyśmy to powtórzyć – odzywa się Francis po jakimś czasie, gdy zbliżamy się do parku zabaw. Patrzą na niego pustym wzrokiem. – Nie paniński. Ślub. Odnowienie przysięgi albo coś w tym rodzaju. – Rzucił tę propozycję lekkim tonem, jakby bez zastanowienia.

Nie potrafię stwierdzić, czy to żart. Odnowienie przysięgi małżeńskiej kojarzy mi się z parami u schyłku życia, które potrzebują jakiejś rozrywki albo czegoś, co na chwilę nada ich życiu sens. Są też ludzie, którzy próbują nabrać samych siebie i wmawiają sobie, że ich miłość nadal jest warta celebrowania, choć zdążyli już zniszczyć sobie życie.

– Nie patrz tak na mnie, nie mówiłem poważnie. No... – Francis macha ręką, odpędzając na wpół ukształtowaną myśl.

– Pewnie – przytakuje mimo to.

Idziemy wzdłuż lewego brzegu mola. Wychylam się przez barierkę i wpatruję w łagodnie rozkołysaną wodę, na której wiatr stroszy grzebienie białej piany tylko po to, by je za chwilę wygładzić. W powietrzu unosi się ostry, słony zapach morza. Mewy pokrzykują nam nad głowami i zataczają szerokie kręgi w powietrzu. Jedna przysiada na poręczy kilka centymetrów ode mnie i przechyla z zaciekawieniem głowę. Jej czarne oczka przypominają dwa szklane koraliki.

– Przykro mi. – Uśmiecham się. – Nie mam nic do jedzenia.

– Nie tylko ona jest głodna. – Francis bierze mnie za rękę. – Przejdźmy się jeszcze kawalek, a potem chodźmy na rybę z frytkami. Moglibyśmy zjeść na plaży, jeśli masz ochotę.

Tracimy kilka funtów na automatach z grami. Wrzucamy drobniaki do świecących maszyn, bez nadziei, że dostaniemy coś w zamian. Francis szczęśliwym rzutem przewraca piramidę z puszek i wygrywa małego pluszowego delfinka.

– Proszę – oznajmia, wręczając mi zabawkę. – I nie mów, że nigdy nic ode mnie nie dostajesz.

– Dziękuję, ale Eddie chyba bardziej się z niego ucieszy.

Patrzę na fioletowego delfinka i wyobrażam sobie drobne rączki Eddiego, wyciągnięte chciwie ku zabawce. Czuję ukłucie żalu. Dziwnie się tu czuję bez niego. Wyobrażam sobie, jak biegałby po promenadzie, domagając się lodów albo waty cukrowej.

– Może do niego zadzwonisz? – sugeruje Francis, odczytując moje milczenie.

– Tak, to dobry pomysł.

Idziemy z powrotem do baru z jedzeniem na wynos, który zauważyliśmy wcześniej. Po drodze dzwonię do mamy. Kiedy odbiera, przez chwilę słyszę szumy i trzaski, a potem jej stłumiony głos w tle: „Przywitać się, to mama”. Eddie milczy. Wsłuchuję się w jego ciężki, niepewny oddech po drugiej stronie.

– Cześć, kochanie! – wołam. – Jestem nad morzem z tatusiem. Wygrał ci zabawkę.

– Zabawkę? – Jego głos nagle robi się głośniejszy i wyraźny, podszyty zainteresowaniem. – Jaką zabawkę?

– Delfina. – Nie jestem pewna, czy zrozumie. – Taką rybkę... tylko większą. Dam ci ją, kiedy wrócimy. Dobrze się bawisz?

– Tak... – Odpowiada w zamyśleniu. – Poszliśmy na plac zabaw. Tęsknię za tobą.

Jego głos jest pogodny i opanowany, ale mimo to czuję piekące łzy pod powiekami.

– Ja za tobą też, skarbie. – Chcę dodać coś jeszcze, ale oddech Eddiego już się oddala, słyszę trzask telefonu odkładanego na stół. Jest jeszcze za mały, żeby skoncentrować się dłużej na rozmowie. Nagle dociera do mnie, w jak wielkim stopniu nasza więź jest zależna od przebywania jednocześnie w tym samym miejscu.

Znów rozlega się chrobotanie. Mama podnosi słuchawkę.

– Dobrze się bawicie?

– Tak – odpowiadam powoli. – Ale trochę mi ciężko. Tyle czasu bez niego i... – Jakaś mglista, nieukształtowana myśl unosi mi się w głowie; jesteś bliżej mojego dziecka niż ja.

– Daj spokój – ucina mama. – Nic mu nie jest. Powinnaś odpoczywać.

Wiem, że ma dobre intencje, ale w jej głosie pobrzmiewa ostra nuta. Może ma już trochę dość. Wydaje mi się, że za serdecznymi słowami kryje się niewypowiedziane pytanie: czego jeszcze chcesz? Nie wiem nawet, czy znam odpowiedź.

Francis wychodzi z baru. W jednej dłoni trzyma dwie pękate papierowe torebki, w drugiej butelkę wina. Unosi pytająco brwi.

– Dobrze, będę już lecieć. Właśnie idziemy na obiad.

– Wszystko dobrze? – pyta, kiedy się rozłączam.

Kiwam głową.

Idziemy przez kamienistą plażę, aż znajdujemy dobre miejsce do siedzenia. Kiedy rozkładamy nasz spontaniczny piknik, znów się rozluźniam, wciągam w płuca rześkie morskie

powietrze. Wkładam gorącą frytkę do ust, sól kłuje mnie w język. Kamyki na plaży lśnią lekko od wilgotnej bryzy.

– Moglibyśmy się tu przeprowadzić – odzywam się nagle.

Francis leży obok mnie z twarzą zwróconą ku słońcu. Patrzy na mnie spod zmrużonych powiek.

– Co? Ale... Przecież dopiero co przeprowadziliśmy się do Leeds. Jakies osiem miesięcy temu. Nie podoba ci się tam?

– Nie o to chodzi. – W Leeds nadal nie czuję się jak w domu, ale nie liczyłabym na to po tak krótkim czasie. Zastanawiam się, jak mu to wyjaśnić, aż uświadamiam sobie, że to głupota. Chcę po prostu bez przerwy czuć się, jakbym była poza swoim życiem. Wyjechać na wieczne wakacje. Odkładam pogniecioną gazetę z niedojedzoną rybą i wpatruję się w morze. – Nieważne, tak tylko mi się pomyślało.

Francis kiwa niechętnie głową i dopija wino z plastikowego kubeczka. Zerkam na prawie pustą butelkę obok niego.

– Może nie powinieneś już więcej pić? Przecież jesteś kierowcą.

Kiedy czuję na sobie jego wzrok, dopada mnie nieprzyjemne przeczucie, co za chwilę usłyszę.

– Chyba już o parę kieliszków za późno. Może lepiej, żebyś ty prowadziła.

Kręcę głową. Od nagłego powiewu zimnego wiatru dostaję gęsiej skórki.

– Nie. Przecież ja też piłam.

– Raptem pół kieliszka – nalega Francis. – No weź, Caro. Przecież tak będzie rozsądniej.

Żołądek podchodzi mi do gardła. On mówi poważnie.

– Nie – powtarzam.

Czuję dudnienie w skroniach, wszystko wokół zasnuwa się drżącą bladoniebieską mgiełką. Już nawet nie pamiętam, jakie to uczucie trzymać dłonie na kierownicy, jak to jest, kiedy silnik charczy i wibruje po przekręceniu kluczyka w stacyjce. Wspomnienia wracają do mnie jak migawki – wstrętne przebłyski w gęstym mroku. Długa, wąska droga, ostatnia, po jakiej jechałam. Oślepiające światło reflektorów na asfalcie. Twoja ręka na moim udzie, tuż przy podciągniętym materiale sukienki. Ostatnie kilka minut cudownej wolności od konsekwencji.

Niebo ciemnieje. Kładę się, zamykam oczy. Cała dygoczę, nagle dopadają mnie zawroty głowy.

Czuję na sobie wzrok Francisa. Przez kilka chwil milczy, po czym znów się odzywa.

– Wiesz, naprawdę nie ma żadnego powodu, żebyś tak się upierała.

To nie w porządku, ale wzbiera we mnie złość. On nie ma o niczym pojęcia. Nie rozumie. Powtarzam sobie, że przecież nie mogę tego oczekiwać. Powstrzymanie gniewu przychodzi mi z niewyobrażalnym trudem, jakbym próbowała zamknąć eksplozję do małego pancernego pudełka.

Kolejna długa pauza. Francis wzdycha. Słyszę, jak kładzie się z powrotem na kamykach.

– Dobra. W takim razie musimy tu zostać jeszcze kilka godzin. Poczekamy, aż trochę ze mnie zejdzie.

W milczeniu kiwam głową. Nie otwieram oczu.

## Dom

*Francis, maj 2013*

Pociągi znów się rozjechały. Gdy tylko przychodzę na stację, patrzę na tablicę odjazdów: opóźniony, odwołany, brak informacji. Na peronie jest gęsto od ludzi: łażą niespokojnie tam i z powrotem, mamroczą do siebie jak psychiczni, dziabiają kciukami w ekrany telefonów i siorbią kawę za kawą.

Co jakiś czas przez dworcowy szum przedziera się znudzony komunikat. Połączenia do stacji Londyn Waterloo są opóźnione, mogą też zostać w ostatniej chwili odwołane. Zakłócenia spowodował wypadek na trasie. Za utrudnienia przepraszamy. Jakiś cwany chujek rzucił się pod pociąg. Ze wszystkich sposobów na skończenie ze sobą ten najtrudniej mi sobie wyobrazić. To bardzo filmowa śmierć, niemal komiczna – nagłe uderzenie, ekstrawagancka plama czerwieni. Kiedyś czytałem, że kończyny potrafią wylądować parę kilometrów od miejsca wypadku. Obrzydliwe. A jednak jest w tej wizji coś pociągającego: chyba nie ma lepszego sposobu, by przez swoją śmierć pokazać systemowi środkowy palec. Kilkaset spasionych szczurów spóźnionych na codzienny wyścig w swoich miejscach pracy to całkiem niezły efekt uboczny samozagłady. W innych okolicznościach pierwszy bym mu przyklasnął, tylko że dziś oczywiście ja też na tym ucierpiałem.

Ogłoszenie rozlega się jeszcze raz. Za utrudnienia przepraszamy. Bardzo agresywnie podkreślają te swoje przeprosiny. Powiedzieliśmy, że nam przykro, więc spierdalaj. Czekam jeszcze dziesięć minut, po czym wracam do domu po samochód. Zazwyczaj unikam tego środka transportu, bo w okolicy kliniki nie ma gdzie zaparkować, a korki o tej godzinie potrafią być nie do przebycia, ale nie mam wielkiego wyboru. O dziwo, jestem w całkiem niezłym nastroju. Włączam radio i koncentruję się na drodze. Trzęsą mi się ręce i czuję znajome pulsowanie w skroniach, ale to drobiazgi. Nie brałem dziś pigułek. Może nawet wytrzymam do wieczora. Śpiewam ile sił w płucach do melodii piosenki. O niczym nie myślę.

Podróż mija mi szybciej niż zazwyczaj, ale ponad dziesięć minut krążę po ulicach wokół kliniki, wypatrując wolnego miejsca. Nie mam szczęścia, więc w końcu się poddaję i parkuję na zakazie. Takie zasady wydają mi się ostatnio jeszcze głupsze niż dawniej. Mam lepsze rzeczy do roboty niż przejmować się ludźmi zarabiającymi na życie plątaniem się po ulicach w poszukiwaniu ofiary, której mogliby wlepić mandacik. To tak banalne i durne, że nie warto zawracać sobie tym głowy. Poza tym jeśli nie pojawię się zaraz w klinice, będę musiał iść na sesję bez chwili na przygotowanie. Nie zdążę nawet wypić kawy, a tego sobie nie wyobrażam.

Kiedy przebiegam przez ulicę, zza zakrętu wyłania się jakieś wielkie bydlę z napędem na cztery koła i pruje w moją stronę. Pajac za kierownicą wciska hamulec i trąbi na mnie, jakby to on miał pierwszeństwo. Pokazuję mu środkowy palec i gapię mu się przez chwilę prosto w twarz, po czym ruszam dalej. Życie jest pełne takich uroczych małych interakcji. Aż się robi ciepło w brzuszku, co? Z drugiej strony to mój pierwszy od dawna

kontakt z drugim człowiekiem, jeśli nie liczyć godzin spędzanych w gabinecie terapeutycznym. I rzadkich chwil mijania się z kobietą, która chyba nadal jest moją żoną, chociaż od tygodni prawie się do mnie nie odzywa i nie pamiętam, kiedy ostatni raz ze sobą spaliśmy. Ba, nie przypominam sobie nawet ostatniej nocy spędzonej w tym samym łóżku. Noc to teraz dla mnie sztuczny wynalazek. Gdy człowiek śpi za dnia, a po zmierzchu nie może zmrużyć oka, wszystkie dni zlewają się w całość i coraz trudniej stwierdzić, kiedy jeden się kończy, a drugi zaczyna.

Do czasu, kiedy wchodzę na recepcję, nalewam sobie kawy i sprawdzam notatki, namiastka dobrego humoru już wisi na włosku, który pęka ostatecznie, kiedy widzę, kogo dziś mam na liście. Kiedyś nie przyjmowałem pacjentów na ślepo, ale ostatnio planowanie przychodzi mi z coraz większym trudem. Jak dotąd nie zaliczyłem wtopy, tym razem jednak przydałoby mi się trochę czasu na przygotowanie. Czeka mnie sesja z parą – Markiem i Kirsten, dwójką czterdziestoparolatków, którzy od dobrych trzech lat zaczynają terapię i z niej rezygnują. Mąż pije, żonie się to nie podoba. On ciągle obiecuje, że rzuci alkohol, ona mu wierzy, a potem ma pretensje, kiedy on uznaje, że jednak dobrze mu tak, jak jest.

Czasami praca daje mi stanowczo zbyt wiele okazji do autorefleksji. Równie dobrze mógłbym zawiesić nad fotelami klientów wielki neon: PRZYPOMINA CI TO COŚ? Nikt nie rozumie – a już na pewno nie Caroline – że problem nie tkwi w braku świadomości. Wszyscy przeżywamy obrzydliwe chwile jasności umysłu, ponure godziny olśnienia tuż przed szarzejącym świtem. Ale życie toczy się dalej i prędzej czy później znowu wpadamy w rytm codziennych obowiązków, a ucieczka z tego kołowrotka wydaje się nieosiągalnym marzeniem w obliczu



niepowstrzymanych nawyków i potrzeb zakodowanych przez lata.

Mark i Kirsten siedzą w poczekalni, pokaszają dyskretnie i wiercą się na krzesłach, by uświadomić mi, że jest już prawie dziesięć minut po czasie.

Zapraszam ich do gabinetu.

– Rozgośćcie się.

Oboje wyglądają okropnie, jakby od tygodni nie zmrużyli oka, a dni upływały im na wywrzaskiwaniu pretensji z przerwami na papierosa i twarde dragi. Oni patrzą na mnie, jakby myśleli to samo. Nie spojrzałem dziś rano w lustro. W sumie od dawna tego nie robię. Nie ma sensu fundować sobie takich doznań.

– No dobrze – zagajam, kiedy już siedzimy. – Opowiedzcie, jak minęły wam ostatnie tygodnie. Jak się między wami układa?

Mark tylko wzrusza ramionami i gapi się na własne stopy. Z początku często zdarzały nam się chwile niezręcznego, lecz szczerego porozumienia – nietrudno było zobaczyć, co w nim tkwi. Już widzę, że te czasy minęły. Zamknął się w sobie, schował się w fortecy otoczonej ze wszystkich stron pustynią tak rozległą, że inni ludzie stali się rozmytymi punktami na horyzoncie.

Kirsten wylewa z siebie niepowstrzymane potoki słów.

– Nic się nie zmienia. W kółko słyszę te same obietnice, na chwilę mu się poprawia, a potem wracamy do punktu wyjścia. Jakby to przez niego przelatywało. Jednym uchem wpada, drugim wypada.

Ma poobgryzane paznokcie, pokryte resztkami wściekle różowego lakieru. Od dawna niemyte włosy błyszczą od tłuszczu. Z tego, co pamiętam, kiedyś bardziej o siebie dbała. Zastanawiam się, czy to jakaś taktyka, próba pokazania Markowi, że ją wykańcza. Jeśli tak, z doświadczenia wiem, że to nic nie da.

Proponuję, żeby Mark odpowiedział na zarzuty żony, ale on tylko znów wzrusza ramionami i mamrocze, że przecież się stara. Odbijamy piłeczkę jeszcze przez dwadzieścia, może trzydzieści minut. To absurdalne zadanie – jemu każde słowo trzeba wyciągać z gardła, a jej słowotoki przypominają tsunami. Kirsten ma dosyć. To już koniec. Ta deklaracja robiłaby większe wrażenie, gdyby Kirsten nie wygłaszała jej po raz setny. Widzę, że Marka w ogóle już to nie rusza, jeśli kiedykolwiek się przejmował. Nie sądzę, żeby teraz był pijany. Jest tylko otumaniony. W sumie na jedno wychodzi.

– Wiesz co – mówi w końcu Kirsten, kiedy litania przewinień Marka się wyczerpuje – trafiłam ostatnio w telewizji na to stare nagranie, w którym księżna Diana opowiada o swoim małżeństwie. Wiesz, kiedy mówi, że były w nim trzy osoby, więc zrobiło się ciasno. – Zaczyna płakać, ale żaden z nas nie daje po sobie poznać, że to zauważył. Kirsten nie sięga po chusteczkę i nie próbuje ocierać łez. – I pomyślałam: jasna cholera, już wolałabym coś takiego. W moim małżeństwie jest tylko jedna osoba. U nas wcale nie jest ciasno. Jest... pusto.

Ostatnie słowa przerywa nierównym rytmem jej szloch. Mark zerka na nią. Mam wrażenie, że w jego oczach pojawia się jakiś błysk, pierwsze oznaki zrozumienia, może współczucia. Wiem, że powinienem zareagować, otworzyć te nowe drzwi, ale jej słowa coś we mnie obudziły. Nagle tracę kontakt z rzeczywistością, zapominam, kim jestem i co tu robię... Wiem tylko, że oni radzą sobie lepiej od nas, bo w moim małżeństwie nie ma już chyba nikogo.

Ciągniemy jeszcze przez dziesięć minut, ale moją głowę wypełnia coraz gęstsza mgła spowijająca wszystkie bodźce. Widzę, że ruszają ustami, i odpowiadam automatycznie, ledwo

rejestrując własne słowa. Wyrosła między nami szklana bariera nie do pokonania. Bładożółte ściany gabinetu migają jak szum na ekranie telewizora.

Kiedy para w końcu wychodzi, otwieram szufladę biurka i wyciągam schowaną głęboko kopertę. Zamierzałem nie brać nic aż do wieczora, ale nad tym nie da się zapanować. Chcę tylko powstrzymać otępienie rozlewające się po moim ciele i zrobić sobie chwilę przerwy. Wytrząsam kilka pigułek i je połykam. Kiedyś kontrolowałem codzienne spożycie, ustaliłem sobie nieprzekraczalną dawkę i nie brałem więcej, ale ostatnio nie mam pojęcia, gdzie przebiega granica. Już dawno przestałem liczyć. Poza tym, jak wspomniałem, dni już niewiele dla mnie znaczą. Niektóre są dłuższe od innych. Coś mi mówi, że dziś szykuje się jakiś zasrany rekord. Lepiej się przygotować.

Nie jestem pewien, ile czasu spędziłem w klinice, zanim przypomniałem sobie, że zaparkowałem na zakazie. Kiedy to sobie uświadamiam, zrywam się z fotela, wypadam z gabinetu i pędzę na ulicę. Świeże powietrze wytrząsa mnie z dusznych zakamarków mojej głowy. Nie wiem, czy powinienem prowadzić, podobnie jak nad ranem nie wydaje mi się jednak, żebym miał wybór. Nie mogę tu zostawić auta na cały dzień. Idąc do samochodu, myślę, że życie po prostu mi się przytrafia – o niczym tak naprawdę nie decyduję, moje decyzje podejmują się same. Balansuję na granicy jakiegoś głębokiego, doniosłego odkrycia, ale tracę wątek. Często mi się to zdarza – poczucie, że coś ważnego pojawia się tuż poza zasięgiem moich myśli.

Na szybie nie ma mandatu – to małopostkowe, ale pokazuję środkowy palec wyobrażonemu frajerowi, który miał mnie złapać. Wskakuję do samochodu, przekręcam kluczyk w stacyjce

i ostrożnie wyjeżdżam na główną ulicę. Wystarczająco dwie, może trzy minuty, bym uświadomił sobie, że popełniłem błąd. Droga rozmywa się w kolorowe plamy. Dłonie mam tak śliskie, jakbym zanurzył je w oleju. Znaki drogowe i lampy pędzą w moją stronę z prędkością światła, odskakują i znikają. Jak w grze komputerowej, w jakimś cyfrowym koszmarze.

Zwalniam. Strzałka prędkościomierza twierdzi, że pełnę w ślimaczym tempie, ale szum w uszach i zawroty głowy mówią mi coś zupełnie innego. Koncentruję wzrok na środku drogi. Znam tę trasę tak dobrze, że mógłbym ją pokonać z zamkniętymi oczami. Może tak byłoby łatwiej. Wyprzedzający mnie kierowcy trąbią i migają reflektorami. Jeszcze dziesięć minut do domu, może piętnaście. Blisko, ale serce wali mi jak oszalałe i czuję się tak, jakbym patrzył prosto w lufę pistoletu. Boję się bardziej, niż mógłbym się spodziewać po kimś, komu zostało tak niewiele do stracenia. Przetykam wzbierającą w gardle panikę. Zaciskam ręce na kierownicy. Nagle po mojej prawej pojawia się samochód, wyjeżdża z ronda. Zbyt późno się orientuję, że miał pierwszeństwo. Na ślepo zjeżdżam na lewo, pruję naprzód, nie mam pojęcia, co robię i czy to w ogóle bezpieczne, klakson ryczy mi do ucha, czuję ból rozlewający się w ramionach, ale jakimś cudem dalej żyję.

Zjeżdżam na pobocze i wysiadam. Twarz mam mokrą od łez. Powietrze jest słodkie i czyste. Zamykam samochód i resztę drogi do domu pokonuję piechotą. Jestem rażąco przytomny. Mam wrażenie, że leki wyparowały mi z krwiobiegu w tej samej chwili, w której zarzuciłem autem na bok. Słowa spadają mi do mózgu jak deszcz. Wystarczy, mówię sobie. Nie mogę dłużej tego robić. Boję się. Czas wytrzeźwieć. Powtarzałem to już tyle razy, ale

wszystkie obietnice sypały się jak kostki domina przy najlżejszym powiewie dyskomfortu. Nie tym razem. Nie tym razem.

Chwiejnym krokiem wtaczam się do mieszkania, idę do salonu. Caroline siedzi na kanapie z kolanami podciągniętymi pod brodę, skupiona na ekranie smartfona. Zapomniałem, że ma dziś wolne. Pisze wiadomość, w pierwszej chwili nawet mnie nie zauważa. Kiedy podnosi głowę, krew odplywa jej z twarzy. Natychmiast chowa telefon do kieszeni i wbija we mnie spojrzenie, jakby nie była pewna, kim jestem. Rozmawia z nim. Z tym Carlem z pracy. Nie jestem idiotą, już dawno się domyśliłem, ale ostatnio coraz mniej rzeczy mnie obchodzi, a suma moich przemyśleń na ten temat sprowadza się zasadniczo do wniosku, że jakoś szalenie mnie to nie zaskoczyło. Łatwiej uznać ją za puszczalską kurwę niż porządnie się nad wszystkim zastanowić, ale teraz chcę tylko zapaść się w jej ramiona, poczuć jej ciepły policzek tuż przy swoim i usłyszeć, że wszystko będzie dobrze.

– Caro. – Gdy tylko otwieram usta, dociera do mnie, że wcale nie jestem trzeźwy, ani trochę. Moja głowa znów mnie nabrała. Nie udaje mi się wykrztusić ani słowa.

Caroline patrzy na mnie z nieskrywanym obrzydzeniem.

– Nawet nie poszedłeś do pracy, co?

– Nie – zaczynam. Chciałem zaprzeczyć, ale to źle zabrzmiało. Pokój zapada się i wiruje. Próbuję sobie przypomnieć, ile pigułek wziąłem w klinice i dlaczego czuję się tak dziwnie, inaczej niż zwykle.

– Ty gnoju.

Jej głos jest już nabrzmiały od łez. Nic dziwnego, ostatnimi czasy zawsze czekają tuż pod powiekami, bez względu na to, gdzie jesteśmy i co robimy. Ona też nie ma już nic do

powiedzenia, więc powtarza w kółko to samo. Chcę jej przerwać, wyznać, że wreszcie rozumiem i się z nią zgadzam, ale nie potrafię dobrać odpowiednich słów. Moje myśli rozdymają się i pękają w powietrzu jak bańki mydlane.

– Powinniśmy porozmawiać – oznajmiam, ale z jakiegoś powodu wpędza ją to w furję.

Uderza mnie na wpół otwartą pięścią i wrzeszczy coś niezrozumiale, po czym wypada z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, zanim zdążę pojąć, co się właściwie dzieje. Słyszę, jak wkłada buty, szlocha, wali pięściami w ścianę i wrzeszczy, jakby oszalała.

To brzmi jak obłąd, ale jej zazdroścę. Potrafi się wyżyć. Jest świetna w byciu wkurwioną, a ja potrafię tylko stać i się zastanawiać, jak to możliwe, że wszystko tak nagle trafił szlag.

Drzwi wejściowe zamykają się z hukiem. Zostaję w domu sam. Trzęsą mi się ręce, nie tylko od pigułek. W kółko odtwarzam w pamięci ten moment w samochodzie, to uczucie, gdy maszyna wyrwała mi się spod kontroli. Nadal nie wierzę, że żyję. A mimo to żałuję, że nie zdjąłem rąk z kierownicy i nie zamknąłem oczu. Nie wiem, co mnie powstrzymało. Nieprzytomnie chodzę po pokoju. Zauważam, że Caroline zapomniała torebki: nadal wisi przerzucona przez oparcie kanapy. Bez zastanowienia otwieram jej portfel. Niewiele mi zostało do końca miesiąca. Będę potrzebować trochę kasy. Wyciągam dwa banknoty dziesięciofuntowe. Chowam do kieszeni. No jasne, że czuję się jak kutas, ale drobnych nie miała. Zresztą, to niewiele zmieni – tylko podkreśli wydany już wyrok. Czasami mam wrażenie, że został zapisany krwią, jakbym wycinał go sobie na własnej skórze.

---

Często przesiaduję w fotelu przy oknie w salonie Caroline. Rozciąga się stąd najlepszy widok na ulicę trzy piętra niżej. Wprawdzie patrzę na szary przemysłowy krajobraz, ale obserwacja naprzemiennego ruchu samochodów i przechodniów działa na mnie dziwnie kojąco. Jest późne popołudnie. Nie wiem, jak długo już tu siedzę. Zastanawiam się, jak odpisać na jej ostatnią wiadomość, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Wbrew własnym przewidywaniom nie czerpię satysfakcji z jej cierpienia. Tak jak wtedy, gdy łapiemy motyla pod szklankę i dopiero z bliska uświadamiamy sobie, że nie jest tak piękny, jak się spodziewaliśmy. Zresztą teraz, kiedy już go uwięziliśmy, cała zabawa niemal traci sens.

Gapię się na ulicę niewidzącym wzrokiem, kiedy nagle dostrzegam coś dziwnego – nieruchomy punkt w morzu przechodniów. Kiedy się na nim koncentruję, widzę kobietę z małym dzieckiem. Stoją przed budynkiem, chłopiec wskazuje palcem na moje okno, jego wargi się poruszają. Ma niebieską szkolną bluzę i szare spodnie, włosy rozczesane na środku w schludny przedziałek, buzię w kształcie serca. Jest w niej coś znajomego. Idę na korytarz i przyglądam się zdjęciom porozwieszonym na ścianie, przyciskam nos do szybki i porównuję obraz sprzed chwili do dziecka na fotografiach. To on. Eddie.

Ogarnia mnie silny, niemal pierwotny instynkt, wymazujący wszystkie myśli. Wciągam buty, łapię klucze i zbiegam na parter. Kiedy wypadam na ulicę, oni już powoli odchodzą. Kobieta – pewnie matka Caroline – trzyma dziecko mocno za rękę. Na ten widok budzi się we mnie jakieś uczucie, tak złożone i niezrozumiałe, że gorące łzy napływają mi do oczu.

Idę za nimi aż do przystanku, pilnując się, żeby mnie nie zauważyli. Czekają przez kilka minut na autobus. Eddie siedzi na czerwonej plastikowej ławeczce, kopie w szybę i głośno śpiewa pozbawioną sensu

*piosenkę, zapewne wymyśloną na poczekaniu. Wreszcie przyjeżdża autobus, a kobieta znów chwyta dłoń wnuka. Wsiadają, kasują bilety i zajmują miejsca. Kiedy autobus odjeżdża, mogę przysiąc, że Eddie przez sekundę patrzy mi prosto w oczy. Wiem, że dla niego to nic nie znaczy, a mimo to mam wrażenie, że coś nieodwracalnie się zmieniło. Udało mi się wejść w jego orbitę. Widział mnie. Moja twarz na zawsze zapisała się w zakamarkach jego pamięci. Nikt nigdy jej stamtąd nie wymaże.*



## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

Wsluchuję się w głos Eddiego w słuchawce. Synek opowiada mi jakąś zabawną, nieskładną historię z dzisiejszego dnia. Muszę się skoncentrować, by połączyć wszystkie elementy jego sprawozdania w logiczną całość. Wyobrażam sobie, jak siedzi na schodach z jedną nogą przerzuconą przez drążki poręczy i niezdarnie przykłada telefon do zagłębienia w szyi, tłumiąc własne słowa.

– Tęsknię za tobą – mówię.

Jego głos jest jednocześnie bliski i odległy, nagle znowu czuję w nozdrzach zapach miętowego szamponu, którym myję synkowi włosy. Chciałabym, żeby pojawił się tuż przy mnie.

– Tęsknię za tobą – papuguje mnie swoim wyraźnym, nieskomplikowanym głosikiem. Przyciskam telefon do ucha, chłonę każdy jego oddech, próbuję zgadnąć, o czym myśli. – Wracacie niedługo?

– Za trzy dni, skarbie. Bardzo niedługo.

Nie tak miał wyglądać ten urlop. Nie spodziewałam się, że będę odliczać dni do powrotu.

– Babcia ma ciastka – oznajmia Eddie z roztargnieniem. – Czekoladowe. Jak myślisz, mogę zjeść jedno? Chcesz też?

– Pewnie, że chcę. Ale nie mogę go teraz zjeść, bo...

Przerywam w połowie zdania. Uświadamiam sobie, że Eddie porzucił telefon i wyruszył na poszukiwanie ciastek. Tupot małych stóp cichnie stopniowo w głębi korytarza. Babcia strofuje go żartobliwie, gdzieś daleko rozlega się jego śmiech. Wytężam słuch, by jeszcze chociaż przez chwilę uczestniczyć w ich rozmowie, aż wreszcie się poddam i rozłączam. Kilka minut później przychodzi esemes:

*Wybacz! Herbatniki w czekoladzie wygrały. Zadzwoń do nas później albo jutro, jeśli będziesz chciała. Wszystko dobrze. Mama.*

Wyobrażam sobie, że siadają razem przed telewizorem albo nad grą planszową – po czym puszczam wodze fantazji i wychodzę ze swojego pokoju do nich, w ciepłe pomarańczowe światło salonu, pozwalam sobie poczuć prostą, silną więź łączącą mnie z matką i synkiem. Zamykam oczy. Prawie tam jestem. Po chwili myślę o własnym mieszkaniu: jak otwieram drzwi wejściowe i widzę cię przy oknie. Odwracasz się, żeby mnie przywitać, wpadam w twoje ramiona, pozwalam się pocałować. Czuję twój szorstki zarost na policzku, twoje mocne ręce wokół talii. Przyciągasz mnie bliżej, nasze ciała przylegają do siebie tak doskonale jak dwa precyzyjnie zaprojektowane puzzle.

Wizja zgrzyta i iskrzy, znika. Miewam czasami takie myśli – nie uniknę ich, bez względu na to, czy tego chcę czy nie. Nigdy dotąd nie czułam jednak tak złożonej mieszanki emocji: pożądanie zlewa się ze strachem. Mimo to gdzieś w głębi duszy jestem podekscytowana odkryciem, że znów pojawiłeś się w moim życiu, choć wybrałeś tak niezrozumiały sposób, by to osiągnąć. Zdaję sobie jednak sprawę, że to nie powinno tak wyglądać – coś jest nie tak, czuję jakiś dziwny, wręcz

niebezpieczny dysonans. Nadal nie do końca rozumiem, co się dzieje.

Znów zerkam na telefon. Wciąż nie odpowiedziałeś na moją ostatnią wiadomość. Po powrocie z Brighton za dużo wypiałam, przez co zafundowałam sobie niespokojną noc. O trzeciej zesłam do kuchni, usiadłam po ciemku przy stole i zaczęłam wylewać z siebie wszystkie myśli, którymi chciałam się z tobą podzielić.

Kiedy o tym myślę, nachodzi mnie koszmarne podejrzenie. Prędko przewijam wiadomości i oddycham z ulgą, widząc, że tekst nadal jest w szkicach. Nie poznaję własnych słów.

*Dlaczego nie odpowiadasz? Czemu robisz to w taki sposób? Masz w ogóle pojęcie, jak długo czekałam na jakąś wiadomość od ciebie?? Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo wtedy za tobą tęskniłam, jak cię potrzebowałam – myślałam, że to mnie zabije. A teraz wróciłeś, ale nie sądziłam, że to będzie tak wyglądać, i nie rozumiem*

Wiadomość nagle się urywa – jakby ktoś brutalnie przeciął rozwijającą się prędko nić. Czytam ze zgrozą i aż się krzywię. Chyba byłam bardziej pijana, niż sądziłam.

Przypominają mi się słowa Francisa z zeszłego roku. W pierwszych dniach odstawienia, kiedy dopiero zaczynał się budzić i wszystko rozumieć, powiedział mi, że powrót do normalności każdego dnia zaczyna się na nowo. Wtedy uznałam to za dołującą perspektywę. Przecież to znaczy, że nigdy nie będę mogła spać spokojnie, zaprotestowałam. Jeśli dla ciebie każdy dzień będzie pierwszym, nigdy nie zrobimy prawdziwych postępów. Teraz jednak uświadamiam sobie, że wystarczyło

czterdzieści osiem godzin, by nałóg wyrwał się spod kontroli i pociągnął mnie za sobą. Prawie dwa lata na nic.

Dzień pierwszy, myślę. Zaczynamy od nowa.

– Wszystko w porządku?

Głos Francisca tak mnie zaskoczył, że aż się wzdrygnęłam. Odwracam się gwałtownie.

Stoi w drzwiach i przygląda mi się podejrzliwie. Od powrotu z Brighton atmosfera znów jest napięta. Drogę do domu pokonaliśmy w milczeniu: Francis prowadził samochód gładko i spokojnie w zapadającym zmroku, a ja gapiłam się przez okno, obserwując migające za szybą widoki, ledwie świadoma, gdzie jesteśmy. Nie udało mi się zamknąć oczu – za bardzo się bałam tego, co mogłabym zobaczyć pod powiekami.

Z trudem koncentruję na nim uwagę.

– Jasne, wszystko okej.

– Zastanawiałaś się, co chciałabyś dziś robić?

W jego głosie pobrzmiewa ledwo słyszalna wyzywająca nuta. Od początku tygodnia to on siedzi w fotelu kierowcy, dosłownie i w przenośni. Organizuje wszystkie nasze działania, podejmuje decyzje – a teraz zastanawia się, czy mam cokolwiek w zanadrzu i czy w ogóle chce mi się cokolwiek zaproponować.

Rozważam pomysły, które od kilku dni chodzą mi po głowie: wycieczka do oceanarium, wystawa w Muzeum Brytyjskim, która mogłaby mu się spodobać, wypad do kina. Nie wiem, którą wybrać.

– Myślałem, żeby pójść dziś rano na spotkanie – oznajmia Francis po chwili ciszy. – Na dziesiątą.

– Tutaj? – pytam głupio.

– Owszem – wyjaśnia łagodnie. – Wierz lub nie, ale w Chiswick też żyją ludzie z uzależnieniami.

– No tak. Jasne, oczywiście.

Francis od dwóch lat z mniejszą lub większą regularnością chodzi na spotkania Anonimowych Narkomanów. Nie powinnam być zaskoczona, że chce iść. Kiedy strząsam z siebie dyskomfort wywołany odkryciem, że potrzebuje wsparcia nawet na wakacjach, uznaję to za dobry znak.

– Moglibyśmy porobić coś po południu – proponuje. – Jeśli chcesz.

– Tak – odpowiadam prędko. – Chętnie.

– Czyżby. – W jego zielonych oczach nagle pojawia się sceptyczny chłód. To nie było pytanie. Jego głos jest płaski i suchy, podszyty niedowierzaniem.

– Tak – powtarzam łagodniej.

Wiem, że szuka sygnałów, które przekonałyby go o mojej szczerości, ale chyba przychodzi mu to z trudem, bo po kilku sekundach wzrusza ramionami i odwraca się ode mnie.

Po jego wyjściu parzę kawę i postanawiam coś obejrzeć, ale nie potrafię skupić się na nieznanach telenowelach i paplaninie talk show. Po jakimś czasie rezygnuję i wyłączam telewizor, ale cisza wytrąca mnie z równowagi. Gdy siedzę bez ruchu, wychwytyuję różne słabe dźwięki – bulgotanie rur, trzeszczenie podłóg. Jakby dom oddychał, pulsował wokół mnie. Kątem oka zauważam jakiś ruch i tężeję w napięciu. Po chwili orientuję się, że to moje odbicie po drugiej stronie pokoju. Przyglądam się sobie. Siedzę skulona w fotelu, twarz mam ściągniętą niepokojem. Zrywam się z miejsca i idę do kuchni, ale nie czuję się lepiej. Tu jest za spokojnie, za cicho – nie mogę patrzeć na szponiaste gałki szuflad, zlew szczyrzy się w ślepym uśmiechu.

Nagle ciszę przerywa jazgotliwy dźwięk dzwonka. Przestraszona zrywam się na nogi, ale jestem wdzięczna. Nie chcę być tu teraz sama.

Otwieram drzwi i widzę na progu Amber. Ma dziś na sobie bawełnianą czerwoną sukienkę – kolejna zdradliwie prosta stylizacja, która na mało kim wyglądałaby tak dobrze jak na tej dziewczynie. Odgarnia włosy za uszy, odsłaniając drobne diamentowe kolczyki.

– Uznałam, że łatwiej będzie po prostu do ciebie zajrzeć – wyjaśnia.

Zbyt późno przypominam sobie, że nie odpisałam na jej wczorajsze zaproszenie.

– Przepraszam – bąkam, choć właściwie nie wiem dlaczego. Mało kto fatyguje się osobiście, gdy nie otrzymuje odpowiedzi na wiadomość; to dość ekstremalna zagrywka. – Byłam trochę zajęta – dodaję słabo.

– Nie ma sprawy – rozgrzesza mnie wielkodusznie Amber. – A może chciałabyś teraz wpaść do mnie na kawę?

Myślę o filiżance zostawionej w salonie i kiwam niepewnie głową.

– Albo na herbatę...

Coś w jej zachowaniu znów sprawia, że nie potrafię odmówić. Wkładając buty, przyznaję jednak sama przed sobą, że w tej chwili wyszłabym z tego domu z kimkolwiek. Poza tym nikt od dawna nie był mną aż tak zainteresowany. Nie potrafię tego kompletnie zignorować.

Gdy wstaję, czuję zapach jej perfum. Z zaskoczeniem odkrywam, że to zapach, którego używałam kilka lat temu albo bardzo podobny. Uwielbiałam ten mocny aromat róż i korzennych przypraw. Przypomina mi o barach tonących

w zmysłowym półmroku i o beztrosce, którą już dawno zostawiłam za sobą. Wyrzuciłam flakon po powrocie ze Srebrnych Brzóz, podobnie jak wiele innych rzeczy. Teraz jednak znów wracam myślami do tamtych czasów. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że znajduję w tej kobiecie zbyt wiele ledwo uchwytnych śladów dawnej mnie.

Idę za nią na drugą stronę ulicy. Znów zwracam uwagę na jej trawnik wyłamujący się z reżimu schludnej elegancji. Wzdłuż jego krawędzi posadziła rozłożyste krzewy dzikich róż. Nieregularne plamy pomarańczowych płatków agresywnie kontrastują z grzecznymi rządkiem bratków i peonii u sąsiadów. Białe ściany domu są tu i tam poznaczone trudnymi do zidentyfikowania smugami, jakby ktoś umazał je sadzą. W pojedynkę wyglądałby niepozornie, ale w takim towarzystwie niemal kłuje w oczy.

Wchodzimy do domu. Amber prowadzi mnie do kuchni – kubki już czekają na stole.

– Weź sobie ciastko, jeśli masz ochotę – rzuca lekko i zabiera się za przygotowanie herbaty. – Większość już zjadłam, ale chyba zostało jeszcze kilka.

Zerkam na opakowanie herbatników porzucone na podłokietniku krzesła. Wyobrażam sobie, jak Amber siedzi z podciągniętymi nogami i podjada leniwie jedno za drugim. W tej wizji jest coś niewypowiedziane dekadentckiego, a mimo to dobrze pamiętam, że przed Eddiem też spędzałam tak wolne poranki.

– Dzięki, nie trzeba – mówię, ale odruchowo sięgam po jedno.

– No – zagaja Amber, z głośnym stuknięciem stawiając przede mną kubek. Opada na krzesło naprzeciwko mnie. – Dobrze się

czujesz? Kiedy cię ostatnio widziałam, wyglądałaś... nieciekawie. A na pewno nie jak na wakacjach z mężem.

Obserwuje mnie uważnie, nawet nie mruga. Uznaję, że na swój sposób jest taką samą podglądaczką jak sąsiedzi, o których wyraża się z taką pogardą – z tą różnicą, że ona zagląda za firanki moich emocji, szuka prześwitów w nadziei, że coś mignie po drugiej stronie.

– Mammy za sobą kilka ciężkich dni – wyznaję w końcu. – Albo raczej lat.

– Ja też – przytakuje prędko Amber.

Niewykluczone, że się pomyliłam. Może wcale nie zamierzała wyciągać ze mnie informacji, lecz szukała słuchaczki do własnych zwierzeń. Ona jednak nie rozwija tematu. Unosi lekko brwi, czeka na dalszy ciąg.

Znów zaskakuje mnie niezwykłość tej sytuacji – przecież właściwie nie znam tej kobiety, a mimo to ona oczekuje, że zacznę się zwierzać. Nie wiem, czy jej ufam, ale perspektywa przebywania z osobą tak obojętną na konwenanse jest kusząca. To pozwala mi zachowywać się tak samo. Jestem już zmęczona ukrywaniem myśli kotłujących mi się w głowie.

– Kocham Francisa, ale nasze małżeństwo jest... skomplikowane. – Waham się.

– Jak każde – zauważa łagodnie Amber. – Nie uważasz?

– Niektóre bardziej niż inne. – Nagle chcę wszystko jej wytłumaczyć. – Kilka lat temu wyszedł z uzależnienia. Sam nie wie, czego się spodziewać z dnia na dzień. Czasami, tak jak w tym tygodniu, jest ożywiony i pozytywny, wychodzi z inicjatywą, stara się. Ale bywa też nieobecny. Prawie nieprzytomny. W takich chwilach mam wrażenie, że niewiele trzyma nas razem.



Kiedy wreszcie wypowiadam wszystkie bolączki na głos, odkrywam, że sprawia mi to jakąś niepojętą przyjemność. Nie pozwalam sobie na taką szczerość przed nikim, nawet przed najbliższymi przyjaciółmi.

– Potrafię to zrozumieć. – Amber starannie dobiera słowa. – Trudno żyć z czymś takim.

– Cóż, to nie tylko jego wina. – Znowu milknę, ale już wiem, że dokończę wątek. – Kilka lat temu miałam romans. – Zerkam na nią ostrożnie, ale jej twarz nie zdradza żadnych emocji. – Trwał jakieś sześć miesięcy. Wprawdzie nigdy nie zostawiłam dla niego męża, ale naprawdę go kochałam. Nie rozmawialiśmy od bardzo, bardzo dawna. Umówiliśmy się, że zerwiemy kontakt. To... strasznie się skończyło. Nie między nami, niezupełnie, ale...

Biorę głęboki oddech. Do tego momentu zdania wylewały się ze mnie łatwo i szybko jak krew upuszczana z żyły. Teraz jednak czuję ucisk w gardle, a dłonie trzęsą mi się, jakbym doświadczała opóźnionego wstrząsu. Kiedy wypowiedziałam to wszystko na głos, sprawiłam, że się urzeczywistniło, ale nie pozbawiło słów ich mocy. Teraz wydają się wręcz jeszcze bardziej niebezpieczne – unosi się nad nimi cień wszystkiego, czego nie wyjawiałam. Mroczne sekrety napierają na zamknięte drzwi i tylko czekają, aż je wypuszczę.

Amber przytakuje i miesza herbatę w kubku, jakby próbowała wyczytać z fusów jakąś radę na moje problemy.

– Ale powiedziałaś, że ostatnio się odezwał.

– Mhm. Tak mi się wydaje.

Rozglądam się po kuchni, nagle tracę wątek. Wciskanie wszystkich myśli z powrotem do pudełka to wykańczające zajęcie, od którego robię się przygaszona i bierna. Wpatruję się w zastawę na kredensie: granatowa porcelana z białą obwódką.

– Nic dziwnego, że tak cię to rozstroiło – ciągnie Amber. Z trudem przenoszę na nią uwagę. – Odnowienie kontaktów z kimś, kto pomógł ci w trudnych chwilach, może być kuszące. Ale jeśli mogę coś powiedzieć, Caroline... Nie wyglądasz, jakby to cię uszczęśliwiało. Chyba i bez niego masz dość zmartwień na głowie.

W milczeniu kiwam głową. Myślę o pierwszych kilku tygodniach po tamtym wydarzeniu. Nagle nie było cię po drugiej stronie telefonu. Potrzebowałam cię, musiałam z tobą porozmawiać, jakoś to przetrwać, zrozumieć coś tak pozbawionego sensu. To była prawdziwa agonia. Teraz już się tak nie czuję. Ponoć osoby po amputacji często czują obecność utraconej kończyny – twierdzą, że to wrażenie jest mgliste i dziwnie prawdziwe zarazem. Czasami nadal wydaje mi się, że znajdujesz się tuż obok mnie. W tej chwili czuję twoją obecność silniej niż kiedykolwiek.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć o swoim małżeństwie. Zwłaszcza kiedy opowiadasz, że Francis jest trochę nieobecny... Z moim chłopakiem jest tak cały czas.

Spoglądam na nią z zaskoczeniem.

– Naprawdę?

Amber się waha, jakby analizowała trafność własnych słów.

– Tak. Oczywiście jego nieobecność jest często dosłowna. Dużo pracuje w drugim biurze, więc często zdarza mu się wyjeżdżać na tydzień.

– Na pewno nie jest ci z tym łatwo. – Jakiś element układanki wskakuje na swoje miejsce. Jej słowa wyjaśniają tę bezcelowość, otaczając ją mglistą aurę oczekiwania i izolacji, którą wyczułam przy pierwszym spotkaniu. – Masz wrażenie, że kiedy nie jesteście razem, tylko wypełniasz czas do następnego spotkania –

dodają i znów nie mogę odpędzić myśli o tobie. Przypominam sobie, jak przyciskałam się do ciebie tuż przed pożegnaniem, próbując odbić twój ślad na moim ciele, choć i tak zawsze znikał już po kilku minutach. Nie dało się go zachować.

– No właśnie – przytakuje Amber. – Więc kiedy już jesteśmy razem, czuję dużą...

– Presję? – podsuwam.

Amber kiwa nieznacznie głową, pociąga łyk herbaty.

– Może raczej potrzebę kontroli. Wszystko jest... wyolbrzymione. Łapię się na tym, że chcę bez przerwy wiedzieć, o czym myśli i co czuje, a wtedy on się... – Amber nagle zdejmuje dłonie z kubka i splata je razem z głośnym, wręcz agresywnym klaśnięciem. – Zamyka.

Przyglądam się jej pomalowanym paznokciom, wbijającym się mocno w skórę. W tym geście jest coś szokująco surowego.

– Rozumiem – bąkam.

Amber rozluźnia dłonie i opiera się na krześle, odchyła głowę do góry.

– No cóż – mówi sucho. – Tacy są mężczyźni. Osobiście uważam, że to wina jego bylejk. Tamten związek bardzo go skrzywdził. Opowiedział mi o wszystkim jakiś czas temu. Nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek się z tego otrząśnie. Dużo dla niej poświęcił, był powiernikiem jej sekretów. A ona chyba nawet nie zdaje sobie sprawy, jak to na niego podziałało.

Nagle kuchnia staje się klaustrofobicznie ciasna. Ta rozmowa jest zbyt głęboka, robi mi się duszno i czuję mrowienie na skórze, niewypowiedziany, instynktowny sygnał, którego nie potrafię zinterpretować. Odsuwam krzesło i zabieram kubek do zlewu, odkręcam kran.

– Ja pozmywam – oferuję.

Ale ona chyba mnie nie słucha. Odwraca się na krześle, zaplata ręce na oparciu. Odchyła twarz w moją stronę.

– Wiesz co, to zabawne, ale ona też miała na imię Caroline.

Nie jestem pewna, co przychodzi najpierw: jej słowa czy błysk kolorów i kształtów, który dostrzegam kątem oka, kiedy odwracam się od zlewu i sięgam po ścierkę zwisającą z haczyka na lodówce. Tuż pod haczykiem znajduje się kolaż fotografii w małych magnetycznych ramkach. Amber na piaszczystej plaży, w bikini i ciemnych okularach, osłaniająca oczy dłonią. Roześmiana Amber z nosem przy pyszczku łaciatego kota. Amber wystrojona na imprezę. A w centrum zdjęcie Amber z rękami zarzuconymi na szyję mężczyzny, z twarzą przyciśniętą do jego policzka i współprzymkniętymi ze szczęścia oczami. Ten mężczyzna to ty.

Próbuję coś powiedzieć, a może tylko mi się wydaje. Słowa więzną mi w gardle.

Nie mogę oderwać oczu od zdjęcia. Uśmiechasz się, w kącikach oczu robią ci się radosne zmarszczki. Masz na sobie koszulę, której nigdy wcześniej nie widziałam. Zmieniłeś się w kogoś zupełnie obcego.

– Caroline – odzywa się Amber.

Zmuszam się, żeby na nią spojrzeć. Jej twarz jest tak blada, że widzę żyłki pulsujące pod skórą. Przyglądamy się sobie przez długą chwilę.

– To ty – stwierdza w końcu.

Stoimy nieruchomo naprzeciwko siebie, dzieli nas niecały metr. Mam wrażenie, że jesteśmy w teatrze. Scenariusze wypadły nam z rąk i żadna nie wie, co powinna teraz powiedzieć.

Amber pierwsza znajduje słowa. Wysuwa hardo podbródek i patrzy mi prosto w oczy.

– Co tu się, kurwa, dzieje?

Wciągam gwałtownie powietrze, próbując ułożyć myśli w jakimś logicznym porządku. Znów zerkam na zdjęcie. Tym razem wydaje mi się, że widzę w twoich oczach błysk zimnej kalkulacji. Mam dziwne wrażenie, że jesteś tu z nami i przyglądasz się rozwojowi wypadków.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam drżącym głosem. – To nie mnie powinnaś o to pytać.

– Co? – Amber podnosi głos, splata ręce na piersi. – O czym ty mówisz?

– Gdzie on jest? Co ci powiedział?

– On nie... To nie jest coś, co mi powiedział, to prawda. Pracuje w drugim biurze, często mu się to zdarza. Mówiłam ci już wcześniej. Jest w Cambridge, w...

– Okłamał cię – wtrącam prędko, nie dając sobie ani chwili na zastanowienie, czy rzeczywiście chcę to powiedzieć. – Wątpię, żeby był w biurze. Obawiam się, że pojechał do mojego mieszkania.

– Słucham? – Amber potrząsa głową. – Caroline, to jakiś obłąd. Mam uwierzyć, że mój chłopak...

– Carl – przerywam jej znowu. – Możesz go nazywać po imieniu. Nie rozpadnę się na kawałki, kiedy usłyszę jego imię.

A jednak mówię coraz głośniej, zdradza mnie niepowstrzymane drżenie w głosie. Łzy wzbierają mi pod powiekami i przyciskam mocno pięści do oczu, żeby nie musieć już dłużej na nią patrzeć.

## Dom

*Caroline, czerwiec 2013*

Kiedy wychodzę z metra, on już czeka na peronie. Stoi oparty o ścianę, ma na sobie koszulę z krótkim rękawem i okulary przeciwsłoneczne – przez Londyn przechodzi kolejna fala upałów. Dostrzegłam go już z daleka, ale udaję, że go nie widzę. Idę powoli, opanowanym krokiem, czując, jak lycrowa sukienka rozciąga mi się na udach. Wiem, że przygląda mi się. Dopiero gdy znajduję się kilka metrów przed nim, pozwalam, by mój wzrok powędrował mu na spotkanie, i przyspieszam, prawie wbiegając mu w ramiona. Obejmuje mnie i podrywa z ziemi, przyciska mocno do siebie i całuje prosto w usta. Moja dłoń wślizguje się na chwilę pod kołnierzyk jego koszuli, gładzę ciepłą, gładką skórę i czuję, jak wnętrzości ściskają mi się z pożądania.

– Seksownie wyglądasz – stwierdza bez owijania w bawełnę.

Robi pół kroku w tył, by obejrzeć opinającą mnie ciasno sukienkę. Gorset w różowe i czerwone kwiaty ściska mi piersi, krótka czarna spódniczka idealnie przylega do moich krągłości. Znalazłam ją dziś rano na dnie szafy. Nie nosiłam jej od lat – ostatni raz miałam ją na sobie, chyba kiedy byłam w jego wieku. Przymierzyłam ją i obejrzałam się ze wszystkich stron w lustrze. Z początku miałam wątpliwości, ale im dłużej na siebie patrzyłam, tym bardziej mi się podobała: jest bezwstydnie

ostentacyjna, wręcz krzyczy do mężczyzn, żeby odwracali głowy i się na mnie gapili. Zapomniałam, że mam taką moc, ale teraz, kiedy znów ją odkryłam, przekonuję się, że nie jest mi potrzebna – pragnę tylko jego.

– Dzięki. Ty też.

Carl wodzi dłońmi po mojej talii, jakby nie miał nad nimi żadnej kontroli. Mógłby z łatwością ściągnąć mi sukienkę przez głowę i wziąć mnie tu i teraz. Przez jedną obłądną chwilę mam nadzieję, że to zrobi – na stacji metra, zalanej słońcem wpadającym przez szklany dach.

– Chodźmy coś zjeść – proponuję zamiast tego. – Jestem strasznie głodna.

On bierze mnie za rękę i wychodzimy na ulicę, po czym kierujemy się w stronę zadaszzonego targowiska. Prawie nigdy nie bywam w tej części miasta i musiałam tu jechać prawie godzinę, ale na tym polega cała przyjemność. Nikt nas tu nie zna. Jesteśmy zwyczajną parą, spojrzenia przechodniów prześlizgują się po nas obojętnie, bez zastanowienia.

Mocniej ściskam jego dłoń. Nie potrafię powstrzymać rozlewającej się po mnie radości i podekscytowania. To prawie jak nagroda. Po raz pierwszy spędzamy wspólnie cały dzień – wprawdzie o piątej będę musiała odebrać Eddiego z przedszkola, ale przed ósmą znów będziemy razem. Zasłużyłam na to. Cały tydzień odgrywałam dobrą żonę. Gotowałam Francisowi obiady, wysłuchiwałam jego tyrad. Trzymałam Eddiego z daleka, kiedy jego ojciec był zbyt naćpany, żeby go zauważyć. Kiedy myślę o tym wszystkim, ogarnia mnie przemożne uczucie, że coś mi się za to należy. Zerkam na Carla. Wystawia twarz do słońca, jego okulary odbijają ostre białe światło. Jest zrelaksowany, swobodny.

W tej chwili tego właśnie chcę. Tylko tego. Nie zamierzam zastanawiać się nad czymkolwiek innym.

– Jak ci się podoba w nowym biurze? – zagaduję, gdy wędrujemy między budkami z jedzeniem, próbując na coś się zdecydować. – Życie nabrało barw?

Carl wzrusza ramionami.

– Praca jest taka sama jak wcześniej. Nie muszę cały dzień wysłuchiwać, jak Steven chrzani od rzeczy, ale oprócz tego bez większej różnicy.

– Wspominałeś, że ludzie są mili? – Ostrożnie badam grunt. – Z kim siedzisz w pokoju?

– Z taką jedną dziewczyną. – Carl zerka na mnie z poważną miną, ale widzę, że kąciaki warg drżą mu z rozbawienia. – Jest bardzo miła i niezbyt ładna.

Zanoszę się śmiechem i przywieram do niego. Głupio mi, że od razu dałam się przejrzeć, ale zażenowanie ustępuje miejsca zadowoleniu, że on tak łatwo potrafi odczytać moją nierozsądną zazdrość.

– Za dobrze mnie znasz.

– Uznałem, że ucieszy cię ta informacja – przytakuje i całuje mnie w czubek głowy. – A tak na poważnie, wszystko w porządku, chociaż muszę przyznać, że nie jestem zbyt produktywny. Chyba nie powinienem spędzać tyle czasu na pisaniu z tobą, ale trudno mi się powstrzymać.

Odsuwa się i posyła mi szybki uśmiech, ale chyba zauważam w jego oczach niepewny błysk. Przypomina mi się to dziwne, obezwładniające uczucie, które ogarnęło mnie przy pożegnaniu kilka tygodni temu, wrażenie, że nasz romans wymknął mi się spod kontroli. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że on czuje to



samo. Nikt nie steruje tym statkiem. Oboje straciliśmy grunt pod nogami.

– Cóż, jak mawia Steven, wszystkiemu można się oprzeć, oprócz pokusy – stwierdzam lekko, próbując odpędzić poczucie dyskomfortu. – Chociaż nie wydaje mi się, żeby sam to wymyślił.

Ostatecznie decydujemy się na meksykańskie wrapy i idziemy je zjeść do pobliskiego parku. Wybieramy miejsce na zalanym słońcem trawniku. Carl wyciąga się na plecach i zaplata ręce za głowę. Kładę się przy nim, opieram mu głowę na piersi i wsłuchuję się w rytm jego serca.

– To miłe – szepczę po jakimś czasie. – Nie musimy się spieszyć.

– No właśnie. – Carl wzdycha, jego zebra unoszą się i opadają. – Czasami mam ochotę po prostu posiedzieć z tobą wieczorem w domu i... Nie wiem, pooglądać telewizję. Zamówić jedzenie na wynos. Tak normalnie.

– Przecież mogliśmy to zrobić – mówię.

Doskonale zdaję sobie sprawę, co ma na myśli, ale już kiedy wypowiadam te słowa, wiem, że to się raczej nie wydarzy. Czas spędzany we dwoje jest zbyt cenny, zbyt krótki, upływa nam głównie w łóżku. To przeciwieństwo normalności.

Carl nie odpowiada, tylko gładzi mnie po włosach. Przesuwa leniwie dłonią w górę i w dół, lekko ciągnie, oplata kosmyki wokół palców.

– W nowym biurze jest taka para – odzywa się w końcu. – Mają po dwadzieścia kilka lat, chyba spotykają się dopiero od kilku miesięcy. Zabawne, w pracy prawie ze sobą nie rozmawiają. Nawet nie chodzą zbyt często razem na lunch. Kiedy na nich patrzę, myślę sobie, że ja w takiej sytuacji nie dałbym rady trzymać się od ciebie z daleka.

– Całkiem nieźle sobie radziłeś, kiedy pracowaliśmy razem.

– No, niezupełnie – prycha z rozbawieniem. – A na pewno nie pod koniec. Nieważne. Po prostu... Na ich widok nie mogłem powstrzymać myśli, że ze mną to by tak nie wyglądało.

Przesuwam delikatnie paznokciami po jego brzuchu, rozmyślam nad jego słowami. Ostatnio coraz częściej próbuję sobie wyobrazić, jak by to było, gdybyśmy zostali prawdziwą parą. Wyobrażam sobie wyprawy do supermarketu, obowiązki domowe, bezcelowe deszczowe popołudnia, kiedy nie ma nic do roboty.

– Nie wyglądałoby też zawsze tak jak teraz – zauważam. – Przecież wiesz.

On wciąga głęboko powietrze, zastanawia się.

– Nie – mówi wreszcie. – Nie mam pojęcia, jak by to było. Szczerze mówiąc, w ogóle nie lubię takich spekulacji. Przyjmuję wszystko takie, jakie jest. Praca, rodzina, przyjaciele... Moje życie nie jest zbyt skomplikowane.

Odwracam twarz, przykładam policzek do jego ciepłej piersi, wsłuchuję się w miękki rytm jego oddechu.

– Poza mną.

Carl wydaje z siebie nieokreślony odgłos na potwierdzenie.

– Nasza sytuacja na pewno nie jest oczywista. Ale nie ma sensu nad tym się zastanawiać, prawda? Nie warto rozmyślać, jak by to było, gdybyśmy zostali parą. Jesteś mężatką, więc nie ma o czym dyskutować. Tak jest i już, od początku zdawałem sobie z tego sprawę.

W jego głosie nie czuć złośliwości. I mówi rozsądnie, ale coś we mnie buntuje się przeciwko temu, jak łatwo strzepnął z siebie tę myśl. Czasami zastanawiam się, czy on w ogóle ma pojęcie, jak rzadko między dwojgiem ludzi zdarza się taka dynamika. Jeszcze

nawet nie przekroczył trzydziestki, nigdy dotąd nie był w poważnym związku: spotykał się z różnymi dziewczynami miesiąc albo dwa, żadna raczej nie wywarła na nim większego wrażenia. Nie potrafię powstrzymać westchnięcia.

– No, łatwo poszło.

– Nie – odpowiada sucho. – Wcale nie.

Chmura przesłania słońce. Wtulam twarz w jego koszulę, nagle czuję chłód.

– Chodźmy na spacer – odzywa się Carl po dłuższej chwili.

Przez jakiś czas snujemy się po parku i rozmawiamy, aż w końcu robi się późno i muszę wracać na metro, żeby odebrać Eddiego z przedszkola. Carl przyciska mnie do ściany przed wejściem na stację i całuje mocno. Przygryza mi wargę, porusza biodrami. Zapominamy o wcześniejszej rozmowie, razem zatracamy się w tej chwili, nie widzimy nic innego.

– Trzy godziny – mruczy. – Nie wiem, czy tyle wytrzymam.

– Nie masz wyboru.

Tak naprawdę ja też nie jestem pewna, czy dam radę. Ogarnia mnie pożądanie tak silne i gwałtowne, że niemal odbiera mi mowę. Gładzę go po plecach, rozkoszuję się jego ciałem, drażnię. Wyobrażam sobie, co będziemy robić później, gdy zostaniemy tylko we dwoje.

– Niczego tak nie pragnę jak ciebie – szepczę, zahaczając palce o szlufki jego spodni.

Przyciągam go mocno do siebie. Na dźwięk własnych słów czuję odurzającą przyjemność. Nigdy z nikim nie byłam aż tak szczerą. To uzależnia... Tak bardzo, że kiedy odrywam się od niego i ruszam na peron, natychmiast chcę wrócić i powtarzać te słowa w nieskończoność.

Eddie jest nadąsany i grymasi przez całą drogę z przedszkola. Kiedy pytam, jak minął mu dzień, krzywi się i wbija obrażony wzrok w ziemię, marudzi w autobusie bez widocznego powodu i wlecze się noga za nogą całą drogę z przystanku. Pięć kroków przed drzwiami potyka się i przewraca na twarz, co wywołuje taki napad hysterii, jakby obdzierano go żywcem ze skóry. Zbieram go z ziemi i wnoszę do środka. Oglądam mu buzię, ale widzę tylko maleńki, ledwie widoczny czerwony ślad.

– Nie płacz – staram się go uspokoić. – Nic ci się nie stało. Wszystko dobrze.

Nic z tego. Chwilę później słyszę trzask zabawki rzuconej o ścianę i długi, piskliwy wrzask frustracji, po którym Eddie zaczyna mnie wołać raz za razem. Pędzę do jego pokoju, ale moja obecność w niczym nie pomaga. Kiedy próbuję wziąć go na kolana, prawie warczy i odpycha mnie agresywnie drobnymi rączkami. Ostro wciągam powietrze i liczę do dziesięciu. Mój próg tolerancji na jego napady złości staje się coraz niższy. Serce wali mi wściekle w piersi, ostrzegając, że tracę nad sobą kontrolę.

Zaciskam zęby i idę do salonu w nadziei na kilka chwil ciszy i spokoju. Francis jak zwykle póллеży na kanapie przed laptopem, ze słuchawkami w uszach; ledwo podnosi wzrok, kiedy mnie zauważa. Jest, ale go nie ma. Oczy ma szkliste, nawet nie mruga, tylko wpatruje się w rozświetlony ekran spod w półprzymkniętych powiek.

– Dobry wieczór – mówię z sarkazmem, choć wiem, że mnie nie słyszy.

Na jego twarzy pojawia się wyraz nieskończonego znużenia. Powoli podnosi rękę i wyciąga słuchawki.

– Co?

– Jakie miłe powitanie.

Wystarczyło kilka sekund, by mój dobry nastrój prysł. Rozglądam się po pokoju. Wszędzie leżą zabawki, na stole piętrzą się brudne talerze, podłoga jest brudna i zakurzona. Wiem, że Francis nie miał dziś żadnych pacjentów. Po prostu przesiedział tak cały dzień, obserwując ten bajzel.

– Tak się cieszę, że wróciłam – rzucam.

– Nikt ci nie kazał – zauważa Francis i wzdycha, jakby wypowiadając te cztery słowa, wręczał mi wbrew sobie jakiś drogocenny podarunek.

– Jasne, bo na pewno świetnie poradziłbyś sobie z całą sytuacją, gdyby mnie tu nie było – odgryzam się, wskazując głową w stronę pokoju Eddiego. Ze środka nadal dobiegają stłumione wrzaski.

Mój mąż odwraca lekko głowę i nasłuchuje. Wzrok ma tak nieobecny, jakby te odgłosy pochodziły z innej planety.

– To przez ciebie – komentuje. – Przy tobie robi mu się gorzej. Nakręcasz go.

Następnie znów wtyka słuchawki w uszy i przenosi uwagę na ekran. Zmarszczka między jego brwiami się pogłębia, a wargi poruszają się niemo do słów piosenki, nastawionej na taką głośność, że chyba zaraz rozwali sobie bębenki.

– Pierdol się – syczę – ty bezużyteczny kutasie.

Odwracam się na pięcie i wychodzę z pokoju, dygocząc od nagłego przyływu adrenaliny – ostatnio wszystko dzieje się tak szybko, wystarczy ułamek sekundy, żeby zniknęły jakiegokolwiek pozory uprzejmości. Własne ohydne słowa huczą mi w głowie. Pod nimi pojawia się nieprzyjemna mała myśl: może Francis ma rację. Rozglądam się po otaczającym mnie chaosie i czuję wzbierającą rezygnację: rodzina, którą próbowaliśmy stworzyć,

jest zdeformowana i zupełnie nie taka, jaka miała być. Nie mam pojęcia, jak to naprawić.

W końcu udaje mi się uspokoić Eddiego. Przeprowadzam go przez codzienny rytuał kolacji i kąpieli, a potem przytulamy się na kanapie i czytamy jego ulubioną bajkę. Teraz jest spokojny i posłuszny, z uwagą wpatruje się w obrazki i przekrzywia głowę na bok, chłonąc każde słowo. Mam wrażenie, że Francis w ogóle nie ma z nami w pokoju. Zszokowana zauważam, że Eddie go ignoruje: już rozumie, że próby nawiązywania kontaktu są bezcelowe.

– Dobranoc – szepczę, kładąc synka do łóżka.

Włączam błękitną lampkę nocną i przystaję na chwilę w drzwiach. Patrzę, jak odwraca się na bok i wzdycha cicho. Nigdy nie wątpiłam, że Francis go kocha, ale muszę przyznać przed sobą, dlaczego zawsze wracam do domu, żeby położyć Eddiego spać. Nie ufam jego ojcu na tyle, by zostawić go samego z małym. Chcę czuwać nad synkiem, dopóki nie będzie leżeć bezpiecznie w swoim pokoju. Kiedy to sobie uświadamiam, czuję bezbrzeżny smutek.

Idę do łazienki, biorę szybki prysznic, po czym siadam w wannie i golę starannie nogi od góry do dołu, wcieram truskawkowy żel pod prysznic i przesuwam żyletką po skórze. Już prawie kończę, kiedy wchodzi Francis. Na mój widok przystaje, zakłada ręce na piersi i przygląda mi się przez chwilę. Jego twarz wykrzywiają pogarda i obrzydzenie. Patrzymy sobie w oczy. Po raz pierwszy dociera do mnie, że Francis doskonale wie, co się dzieje i dlaczego nadal jestem taka gładka i pachnąca. A już na pewno zdaje sobie sprawę, że nie dbam o siebie dla niego.

– Mam nadzieję, że twoja przyjaciółka Milly doceni ten wysiłek – mówi w końcu.

Mam ochotę jakoś się odgryźć, lecz nie wiem, co powiedzieć. Po kilku sekundach ciszy Francis odwraca się i wychodzi. Trzęsą mi się ręce. Robię kolejny ruch maszynką, ostrze skręca i rozcina mi skórę. Hamuję krwawienie palcem, kręci mi się lekko w głowie. Muszę stąd wyjść.

Czterdzieści minut później biegnę po ulicy prowadzącej do mieszkania Carla, nowa jedwabna bielizna ślizga mi się pod ubraniem. Wyłączyłam telefon. Carl otwiera mi drzwi, a jego widok działa szybciej niż jakikolwiek narkotyk. Jestem szczęśliwa do nieprzytomności, rzucam mu się w ramiona i oplatom wokół jego ciała. Całuje mnie mocno i już wiem, że dziś jest ta noc. Mam dość roztrząsania, czy to powinno się wydarzyć i kiedy. Chcę to zrobić teraz. Biorę głęboki oddech, żeby mu to powiedzieć, ale kiedy patrzymy sobie w oczy, rozumiem, że nie muszę.

Niesie mnie do sypialni – ściąga ze mnie ubranie i zrzuca je na ziemię, rozpina spodnie i strząsa z ramion koszulę, wreszcie jesteśmy nadzy, splątani w gorący, spocony węzeł – czuję na szyi jego gorący oddech, rozkładam nogi i oplatom mu je wokół pasa. Wchodzi we mnie natychmiast, nie mam czasu, żeby zarejestrować ten nagły szok. Uświadamiam sobie, że to najważniejsza rzecz, jaką mogliśmy zrobić, i nie pojmuję, dlaczego tak długo zwlekaliśmy. Przywieram do niego całym ciałem, tracę oddech między pocałunkami, przelewają się przez mnie fale ciepła. On pieprzy mnie mocno i szybko, wyginam pod nim plecy i prawie krzyczę, bo pragnę tego tak mocno, że nawet teraz, kiedy to robimy, myślę, że chcę to zrobić jeszcze raz.

Mówi do mnie, szepce rzeczy, które prowadzą mnie na granice obłądu, w jakieś niezwykle, nowe miejsce. Patrzymy sobie w oczy, on dochodzi w środku, a wtedy nagle, po raz pierwszy, brutalnie i zupełnie bez ostrzeżenia eksploduje mi w głowie myśl: kocham cię, kocham cię, kocham cię.

Gdy jest już po wszystkim, żadne z nas się nie odzywa. Leżymy przytuleni. On znów gładzi mnie po włosach, w łagodnym, kojącym rytmie. Z łatwością mogłabym tu zasnąć, ale wiem, że nie mogę, i kiedy to do mnie dociera, łyzy wzbierają mi pod powiekami i spływają niespodziewanie po twarzy.

– Nie płacz – szepcze Carl, ale kiedy podnoszę głowę, widzę, że jego policzki też są wilgotne.

Trwamy tak przez kilka minut. Patrzę na jego łyzy, dotykam ich koniuszkami palców, jakbym w ten sposób mogła je zatrzymać. I właśnie w tej chwili uświadamiam sobie, że on też mnie kocha, nawet jeśli nie zdaje sobie z tego sprawy. Nigdy nie byłam niczego tak niewzruszenie pewna.

– Boże – wzdycha po chwili. – Nie spodziewałem się, że będzie aż tak wesoło.

I mimo wszystko nie potrafimy powstrzymać uśmiechów.

Przez resztę wieczoru niewiele rozmawiamy. O dwudziestej trzeciej wstaję i się ubieram, a on odprowadza mnie do drzwi wejściowych i całuje na pożegnanie. Na zewnątrz jest zaskakująco chłodno. Nie wzięłam kurtki, więc trzęsę się z zimna całą drogę na stację. Stawiam jedną nogę przed drugą jak automat, z każdym krokiem myśląc: mogłabym odejść. Mogłabym zakończyć to małżeństwo. Ta wizja jest zupełnie nowa i przytłaczająca. Nigdy dotąd nie rozważałam takiej opcji na poważnie. Teraz jednak wyrwała się z pudełka i nagle wypełnia każdy centymetr mojego ciała. Wsiadam do pociągu, wyglądam



pogniecione ubranie, poprawiam rozmazaną szminkę i z absolutną pewnością stwierdzam, że mogłabym to zrobić.

---

*Caroline dowiedziała się o Amber i zapchała mi skrzynkę. Powtarza jej imię w nieskończoność, raz za razem. Niektóre wiadomości są krótkie, tragiczne i pełne pytań – choć wiem, że przecież nie liczy na odpowiedź. Właśnie byłam na kawie z twoją dziewczyną. Czy to jakiś chory żart? Inne, dłuższe i chaotyczne, skomponowała tak, by sprowokować jakąś reakcję. Jeśli kiedykolwiek coś dla Ciebie znaczyła, musisz mi odpowiedzieć i wyjaśnić, co tu się dzieje. Boję się, nie wiem, co robić. Proszę, odezwij się i wytłumacz mi to wszystko, zanim kompletnie oszaleję... I tak dalej, cały ocean bełkotu w podobnym tonie. Kilka razy wspomina o Amber i komentuje jej urodę w słabo zawoalowanej próbie wyciągnięcia ze mnie potwierdzenia własnej atrakcyjności. Nie ma w tym żadnej myśli, żadnego porządku. Tylko zawartość jej umysłu, wywalona na ekran z oczekiwaniem, że po niej posprzątam.*

*Czytając mejle od niej, nie potrafię powstrzymać złości. Wylewa z siebie hektolitry zwątpienia i niepewności, ale wszystko opiera na przekonaniach i wnioskach wyciągniętych bez chwili namysłu. Jest taka pewna, że wszystko rozumie, tak przyzwyczajona do oglądania świata przez pryzmat własnych kaprysów. Nawet nie przyszło jej do głowy, że coś może nie być tym, czym się wydaje.*

*Przez jakiś czas dokarmiam swój gniew, aż zaczyna grozić eksplozją. Gdy dochodzi do tego punktu, znów sięgam po długie, ostre kuchenne nożyce i idę na korytarz. Zdejmuję ze ściany jedną fotografię po drugiej, odchylam haczyki z tyłu i podnoszę szybki. Trzęsą mi się ręce, a moje zadanie wymaga precyzji, więc siadam i czekam na powrót chłodnej koncentracji. Zawężam pole widzenia do zdjęć ułożonych w równych*

*rządkach na dywanie. Podnoszę każde po kolei i nacinam je starannie, wbijam czubki nożyc w jej twarz i zataczam kręgi, aż zupełnie znika z fotografii.*

*Po zakończonej pracy ponownie wkładam każde zdjęcie do ramki i odwieszam na właściwe miejsce. Robię krok w tył, by przyjrzeć się skończonej pracy. Podoba mi się. Z każdej fotografii zionie owalna czarna plama bez treści, oznaczająca jedynie brak czegoś innego. Nie ma jej. Wszystko, co po niej zostało, to poszarpana kupka ścinków pod moimi stopami. Myślę, żeby ją wyrzucić, ale przypominam sobie, co napisała w mejlu. Że jeśli komuś na tobie zależy, to ma obowiązek się z tobą skontaktować. Zostawiam resztki zdjęć tam, gdzie leżą.*

## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

Siedzę na ławce na skraju placu zabaw i patrzę na dzieci wspinające się jak mrówki po niebieskiej metalowej konstrukcji. Jest chłodno jak na maj, a dziecięce piski i wrzaski tylko mnie irytują, ale nie znam tej okolicy. Jedyne inne miejsce, które zdążyłam odkryć, to kawiarnia, do której poszłam z Amber – nie chciałam ryzykować, że się na nią tam natknę. Tutaj nie przychodzi nikt bez dzieci. Co jakiś czas zauważam, że inne matki zerkają na mnie podejrzliwie i próbują ustalić, które dziecko jest moje. Dwie z nich zaczynają mnie obgadywać i nawet się z tym specjalnie nie kryją. Ich uważne, podejrzliwe oczka aż błyszczą na widok obcej kobiety w ich gronie. W innej sytuacji poczułabym się niezręcznie, ale dziś nic mnie to nie obchodzi. Umysł nadal mam otępiały, jeszcze nie otrząsnęłam się z szoku. Wszystko inne to tylko szum.

Znów czytam wiadomość, którą Amber wysłała mi kilka godzin temu.

*Caroline, przepraszam, że kazałam ci wczoraj wyjść. Ja też nie wiedziałam, jak się zachować. To zbyt wielki zbieg okoliczności. Szczerze mówiąc, dalej w to nie wierzę. Oddzwoń do mnie, proszę.*

Przypominam sobie, jak przyglądała mi się wczoraj: w napięciu i z niedowierzaniem, niewzruszona moimi łzami. Nie poprosiła, żebym wyszła. Kazała mi się wynosić.

Wydzwania do mnie, odkąd wysłała tę wiadomość. Z początku mój telefon brzęczał tylko raz na jakiś czas, ale z każdą godziną dzwonki robią się coraz częstsze i krótsze – rozłącza się już po kilku sekundach, jakby zdawała sobie sprawę, że i tak nie odbiorę.

Wiem, że powinnam do niej oddzwonić – w końcu będę musiała z nią porozmawiać – ale jeszcze nie teraz. W mojej głowie panuje zbyt wielki chaos. Znów czytam jej esemesa. Słowa „zbieg okoliczności” kłują mnie w oczy. Amber rozumie, że to nie mogło być jakieś dziwaczne zrządzenie losu, ale nie zdaje sobie sprawy, że to nie ja za nim stoję. Wszystko zaplanowałeś i zorganizowałeś – z pewnością spodziewałeś się, że prędzej czy później na nią wpadnę. Nie mam pojęcia, czy uznałeś to za nieuniknione ryzyko, czy może taki był twój cel od początku.

Biorę głęboki wdech, towarzyszy mu przeszywający ból. Nie wiem, dlaczego miałbyś chcieć, żebym ją zobaczyła. Teraz nie zdołam już pozbyć się obrazów krążących w mojej głowie jak zwoje taśmy filmowej. Stoisz w oknie i patrzysz, jak idzie przez ulicę, chłoniesz ten widok, podoba ci się. Starannie zaaranżowane pierwsze spotkanie, flirt ukradkowych spojrzeń. „Właśnie się wprowadziłaś? Daj znać, gdybyś czegoś potrzebowała...” Świeży zachwyty pierwszych randek, elektryzujący pierwszy pocałunek. Film przeskakuje w przyszłość. Leżycie wygodnie objęci na twojej kanapie, oglądacie telewizję albo opowiadacie sobie, jak wam minął dzień. Siedzicie przy jej kuchennym stole nad kolacją i kieliszkiem wina. Wieszacie pranie albo sprzątacie łazienkę w niedzielny poranek.

Wszystkie te swobodne domowe zajęcia, których nigdy razem nie robiliśmy. I nawet nie doszłam jeszcze do najbardziej bolesnej części – twoje dłonie na jej smukłej talii, wargi całujące zagłębienie jej szyi, długie nogi splątane z twoimi i twój głos szepczący jej do ucha rzeczy, których to ja kiedyś słuchałam. Przez ostatnie dwa lata zawsze wyobrażałam sobie, że jesteś sam. Nie poradziłabym sobie z myślą, że kogoś znalazłeś.

Myślę o liście, który wysłałam ci kilka dni po nocy, kiedy widziałam cię po raz ostatni – tym nabazgranym na żółtym papierze w linie, wyrwanym z biurowego notesu. W idiotycznej próbie rozbudzenia w tobie jakiejś iskry nostalgii opisałam wszystkie nasze wspomnienia i co dla mnie znaczyły. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy – dodałam na końcu – wiem, że ty życzysz mi tego samego. Teraz jednak nie jestem już taka pewna. Wizja twojego szczęścia u jej boku sprawia, że serce ściska mi niemal nieznośny smutek. Poza tym coraz wyraźniej dociera do mnie, że wcale nie chcesz, bym znalazła szczęście. To bardziej przypomina torturę – jakbyś próbował mnie ukarać.

Kiedy to sobie uświadamiam, coś się we mnie budzi, niepokój wibruje mi w żołądku. Wbrew sobie przywołuję wspomnienie ostatniej chwili, kiedy cię widziałam. Odwróciłam się i zostawiłam cię samego. Gdy spojrzałam za siebie, stałeś bez ruchu w tym samym miejscu. Nigdy nie udało mi się przywołać z pamięci nic poza tym przebłyskiem, nie pozwalałam sobie na wspomnienie całej sytuacji. Odeszłam i już nigdy nie obejrzałam się wstecz. Wepchnęłam cały ból i wyrzuty sumienia w najgłębszy zakamarek pamięci, desperacko dławiłam każdy przebłysk świadomości. Wiem, że ty nie mogłeś tak postąpić. Musiałeś z tym żyć. Nie mam pojęcia, jak bardzo cię to zmieniło.

Jest czternasta trzydzieści, siedzę tu już kilka godzin. Zmuszam się, żeby wstać, i ruszam z powrotem przez park. Skręcam w ulicę prowadzącą do domu. Przyspieszam kroku, owijam się ciasno płaszczem, drżąc na zimnym wiosennym wietrze.

Jestem tak pochłonięta myślami, że prawie nie zauważam hałasu za sobą: nagła fala dźwięku, pisk hamulców. Aż wtem, w ułamku sekundy, dostrzegam rozpedzoną plamę koloru. Uświadamiam sobie, że to auto przejeżdżające zbyt blisko chodnika – tak blisko, że niemal czuję wstrząs fizycznego kontaktu, drętwieję od nagłego szoku. Kierowca skręca i pruje dalej ulicą. Odskakuję na żywopłot. Samochód zdążył już zniknąć, ale mój umysł i ciało dopiero rejestrują, co się wydarzyło. Było blisko. Bardzo blisko. Zginam się wół, nogi uginają się pode mną, kucam na chodniku, chowam głowę między nogami i próbuję się uspokoić.

Mija dobre pięć minut, zanim udaje mi się wyprostować i iść dalej. Nie bądź głupia, perswaduję w myślach. To tylko chwila bez głębszego znaczenia. Nie doszukuj się w niej niczego więcej.

Gdy docieram na Everdene Avenue, pada już lekki deszcz. Stawiam kołnierz płaszcza i opuszczam nisko głowę. Jeśli Amber patrzy przez okno, natychmiast mnie rozpozna. Nikt jednak nie wyskakuje gwałtownie na próg, nie woła za mną płaczliwie przez ulicę. Prędko otwieram drzwi do domu numer dwadzieścia jeden i wślizguję się do środka.

Na widok białej kartki leżącej na kuchennym stole czuję ulgę. „Wyskoczyłem po parę rzeczy do supermarketu. Może w drodze powrotnej zajrzę do kina i sprawdzę, czy grają coś ciekawego wieczorem. Wrócę przed czwartą. F.” Mam jeszcze godzinę, żeby zebrać myśli, ale nie mogę sobie znaleźć miejsca. Już po kilku

minutach kręcę się po domu, chodzę od jednego pokoju do drugiego, oglądam nieliczne przedmioty zostawione tu i ówdzie – szukam śladów twojego życia. Chcę się dowiedzieć, jak mieszkasz, kim jesteś, na czym ci teraz zależy.

Im dłużej krążę po anonimowych pomieszczeniach, tym większa bezradność we mnie wzbiera. To bez sensu. Już raz wszystko przeszukałam, kiedy natrafiłam na flakon wody po goleniu. Nie zajrzałam tylko w jedno miejsce: do małej szafki pod biurkiem w gabiniecie. Jest zamknięta na klucz. Wtedy odpuściłam, ale teraz ogarnia mnie pewność: muszę zajrzeć do środka. Pędzę do gabinetu i opadam na kolana przed pustym biurkiem. Ciągnę za szufladę, ale oczywiście nadal jest zamknięta. Zaglądam pod spód, szuram dłońmi po podłodze w nadziei, że natrafię na klucz. Potem przetrząsam resztę pokoju, przeczesuję każdy centymetr przestrzeni, zaglądam w każdy możliwy zakamarek. Bez skutku.

Sfrustrowana znów przyklekam i ciągnę za gałkę szuflady. Czuję opór, ale mechanizm jest tani, trzeszczy pod naporem. Wzbiera we mnie złość. Bez zastanowienia opieram jedną dłoń o biurko, a drugą szarpię z całej siły – raz, drugi. Zabezpieczenie pęka, szuflada wysuwa się gładko na szynach, moim oczom ukazuje się jej zawartość.

W środku leży niepodpisana zielona teczka. Otwieram ją i wyjmuję zawartość: kilka kartek zadrukowanych materiałami z internetu, wokół których ktoś naniósł nieczytelne notatki ciemnym długopisem. Zerkam na pierwszą stronę i żołądek podchodzi mi do gardła. To wydruk ze strony 192.com, na której można znaleźć informacje o każdej nieruchomości w Wielkiej Brytanii. Wynik wyszukiwania pokazuje mieszkanie

zarejestrowane na mnie i Francisa. Adres zakreślono żółtym flamastrem.

Serce omal nie wyskoczy mi z piersi. Rozkładałam przed sobą wszystkie kartki. Zdjęcie ze strony ogłoszeń nieruchomości przedstawiające blok, w którym mieszkamy, z innym mieszkaniem na sprzedaż. Strona domowa firmy, w której obecnie pracuję, razem z podstroną „Nasz zespół” – moja twarz uśmiecha się nijako z miniaturowej fotografii. Kilka zrzutów ekranu przedstawiających moje profile w mediach społecznościowych, mimo że moje ustawienia prywatności ujawniają tylko najbardziej podstawowe treści. To wszystko informacje dostępne publicznie, ale zadałeś sobie trud, żeby je wszystkie zebrać i wydrukować. Dziwnie się z tym czuję. Jakbyś naruszył jakieś granice.

Na ostatniej kartce znajduję profil, który założyłam kilka miesięcy temu na stronie do zamiany mieszkaniem: wnętrze naszego domu, obszerny opis lokalizacji i zaproszenie do kontaktu ze mną. Wcześniej się nie zastanawiałam, jak go znalazłeś, ale teraz uświadamiam sobie, że pewnie ustawiłeś Google alert na wyłapywanie mojego nazwiska i adresu. Każdy by tak zrobił, gdyby chciał coś obserwować na bieżąco. Ale mimo że próbuję to jakoś zracjonalizować, zdaję sobie sprawę, że między czymś a kimś jest wielka różnica, zwłaszcza jeśli miałeś z tym kimś taką przeszłość jak ze mną. Zainteresowanie to zupełnie coś innego niż obsesja.

Pokój wiruje wokół mnie. Niezdarnie zbieram papiery, wpycham je z powrotem do teczki i chowam pospiesznie do szuflady, jakby ktoś miał mnie zaraz nakryć. Opieram się o biurko, myśli kłębią mi się w głowie.



Światelko telefonu miga rytmicznie, sygnalizując nową wiadomość. Byłam wczoraj tak zagubiona i oszołomiona, że wysłałam ci co najmniej kilkanaście mejli. Na żaden nie odpowiedziałeś. Aż do teraz.

Komunikat jest krótki. „Nie martw się. Mam co robić”. Kiedy przewijam w dół, uświadamiam sobie, że odpisałeś na jedną z bardziej agresywnych wiadomości: „Po co to wszystko robisz? Czym się tam zajmujesz, w moim mieszkaniu? Co ty odpierdalasz?”. Enigmatyczna, zwięzła i anonimowa odpowiedź. Wydaje się wręcz niewarta zachodu. Dopiero po chwili dostrzegam załącznik.

Otwieram plik; oddycham szybko, płytko. W pierwszej chwili nic nie rozumiem. Widzę słabo oświetlone zdjęcie korytarza zrobione od strony kuchni. Nie ma na nim nic szczególnego, nic się nie dzieje. Nagle zauważam zdjęcia. Wiszą tak samo jak przed naszym wyjazdem, ale coś się w nich zmieniło. Widzę. Wyciąłeś ze wszystkich moją twarz, została tylko czarna pustka.

Jestem tak zszokowana, że przez moment nie mogę się ruszyć, w jednej chwili robi mi się słabo. Ten gest świadczy o pewnej dyscyplinie, wymagał wysiłku i złośliwej precyzji. Wpatruję się w zdjęcie, próbuję zrozumieć. Dlaczego to zrobiłeś? Coś mi tu nie pasuje – coś więcej niż tylko oczywisty surrealizm tego czynu. Gdzieś w głębi duszy kurczowo trzymałam się myśli, że bez względu na motyw, jakim się kierujesz w całym tym przedsięwzięciu, u jego podłoża kryje się miłość. Mogłabym zrozumieć symboliczne usunięcie mojego męża, pragnienie, by się go pozbyć. Ale to nie jest miłość; wręcz przeciwnie. Mówisz mi, że mnie nienawidzisz.

## Dom

*Caroline, czerwiec 2013*

Przez ostatnie kilka tygodni Carl i ja wypracowaliśmy pewien rytm, choć niczego nie próbowaliśmy ustalać. Piszemy do siebie sporadycznie w ciągu dnia, żeby opowiedzieć zabawną historię albo ponarzekać na nawał pracy. Wieczorami zwykle pisze do mnie koło dwudziestej, kiedy Eddie leży już w łóżku, i korespondujemy przez pół godziny, czasem trochę dłużej. Przyłapuję się na tym, że czekam na jego wiadomości, co chwila zerkam na telefon podczas robienia kolacji i nawigowania między nieprzewidywalnymi zmianami nastroju Francis'a. Kiedy Carl wreszcie się odzywa, zaszywam się w sypialni i kontynuuję rozmowę stamtąd. Francis zresztą zwykle i tak jest już nieprzytomny, a nawet gdyby nie był, właściwie przestałam wierzyć, że w ogóle by go to obchodziło. Niewidzialne nici, które kiedyś trzymały nas razem, strzępią się i rwą jedna po drugiej. Nawet nie wiem, czy on zdaje sobie z tego sprawę.

Siedzę przy biurku, pracuję odruchowo – porządkuję rzędy danych i liczb. To bezmyślna czynność, przy której myśli mogą swobodnie błędzić. Przywołuję w pamięci wczorajszy wieczór – Francis i ja na kanapie, rozmawiający przyjaźnie o nadchodzącym weekendzie. Coraz rzadziej zdarzają się takie skrawki zwyczajności, kiedy udaje nam się przez kilka godzin

utrzymać pozory bycia rodziną, a on zachowuje się prawie normalnie. Te chwile nie działają na mnie już tak jak kiedyś. Dawniej chwyciłam się ich kurczowo, jak człowiek spadający z klifu trzyma się ostatniej kępkę trawy. Wiem, że pomagają doraźnie – już kiedy zaciskam na nich palce, rozsypują się w pył, a ja dalej spadam, czy mi się to podoba czy nie.

W dolnym rogu monitora miga sygnał nowej wiadomości. Uśmiecham się, bo już wiem, co w niej zobaczę. I rzeczywiście, Carl potwierdza plany na wieczór i dodaje, że nie może się doczekać. Zawsze spotykamy się w piątki wieczorem, a dziś jest dopiero środa. Powiedziałam mu jednak, że muszę zostać w pracy do późna, więc przychodzi mi odwiedzić po godzinach. Nigdy dotąd nie podjęliśmy takiego ryzyka. Mam wrażenie, że to znak: robimy postępy, zwłaszcza że w tym tygodniu spotykamy się dwa razy. Coraz częściej rozmyślam o tym, co czułam, gdy wyszłam z jego domu i zaczęłam rozważać możliwość zostawienia Francisa. O niczym nie powiedziałam Carlowi – nie zamierzam o tym wspominać, dopóki nie będę pewna, czego chcę – ale przy każdym spotkaniu ta wizja rozwija się we mnie i rozkwita jak kwiat z maleńkiego ziarenka. Nie potrafię jeszcze myśleć o Eddiem ani wyobrazić sobie, jak siadam naprzeciwko męża i oznajmiam, że zamierzam go porzucić właśnie wtedy, kiedy najbardziej mnie potrzebuje. Kłopot w tym, że nie pamiętam czasów, kiedy Francis nie oczekiwał ode mnie wsparcia – a moje potrzeby głównie go obchodzą. Na tę myśl ogarnia mnie złość. Potrząsam głową i wyrывam się z zamyślenia. Zauważam, że źle przeliczam wartości na ekranie – w ogóle nie koncentrowałam się na pracy.

„Do zobaczenia o szóstej trzydzieści” – odpisuję Carlowi, a wszystkie inne sprawy ulatują mi z głowy. „Będę czekać...”

„Lepiej, żebyś czekała” – odpowiada.

Waham się przez chwilę, moje palce zatrzymują się centymetr nad klawiaturą. Mam ochotę napisać coś sprośnego, wyrzucić z siebie choć ułamek myśli, które zawsze kotłują się we mnie przed spotkaniem, ale ostatecznie wysyłam mu tylko całusa i zamykam okienko. Nie mogę sobie pozwolić na rozkojarzenie, jeśli chcę skończyć pracę na czas. O ironio, to właśnie on uczy mnie samokontroli. Jest świetny w poskramianiu mojego temperamentu, prowadzi nas przez cały tydzień po cienkiej linii pożądania, uważając, żebyśmy nie pozwolili sobie na przedwczesną ekscytację. Z początku nie przychodziło mi to naturalnie: chciałam wszystkiego, jak najszybciej. Teraz rozumiem przyjemność płynącą z czekania i zaczynam robić to samo.

O szóstej współpracownicy jeden po drugim zaczynają odklejać się od biurek, pakują swoje rzeczy i wychodzą, rzucając szybkie pożegnania. Wkrótce zostaję sama ze Stevenem. Jako nasz szef często wychodzi ostatni. Marszczy brwi nad jakąś prezentacją – przygotowuje się do wystąpienia, porusza bezgłośnie wargami. Co jakiś czas zerkam na niego i zastanawiam się, czy nie napisać do Carla, żeby poczekał gdzieś w pobliżu.

– Chcesz, żebym zamknęła biuro, czy zostajesz do późna? – zagaduję w końcu.

Steven wzdryga się z zaskoczeniem i podnosi głowę: dopiero teraz zauważa puste biurka.

– Och. Nie, nie zamierzałem siedzieć po godzinach – mówi mgliście i zaczyna układać papiery, zamyka laptopa. – Ty jeszcze nie idziesz?

– Nie, muszę dokończyć kilka rzeczy – wyjaśniam prędko.

– Okej. – Wkłada marynarkę i zarzuca torbę na ramię, ale nie rusza się z miejsca. – Wszystko dobrze? – Przygląda mi się uważnie.

– Jasne! – Uśmiecham się pogodnie, patrzę mu prosto w oczy. – Doskonale, a co?

– Sam nie wiem – przyznaje, drapiąc się po brodzie. – Wydajesz się trochę... nerwowa. Jakbyś nie była sobą – dodaje niezdarnie i zażenowany odwraca twarz.

W naszej zawodowej relacji nigdy nie było miejsca na osobiste uwagi. Kiedy się nad tym zastanowić, on chyba nawet mnie nie zna, a już na pewno nie wie, kiedy jestem „sobą”.

– Wszystko w porządku – powtarzam. – Jestem trochę zmęczona i zestresowana, ale nic poza tym.

– Rozumiem. – Steven kiwa głową i rusza ku drzwiom, ewidentnie czując ulgę, że nasza rozmowa dobiegła końca.

Przez kilka minut siedzę sama w biurze. Serce wali mi jak oszalałe i nagle czuję uderzenie gorąca, jakbym miała zemdleć.

Wstaję i idę do łazienki, otwieram szeroko drzwi i wpatruję się w niewielkie lusterko na ścianie. Policzki mam zarumienione, oczy lśnią w półmroku. Steven ma rację. Nie jestem sobą. Ta kobieta ma władzę i charyzmę, jakiej nie czułam od lat. Przypominam sobie spotkanie z Jess w zeszłym tygodniu. Na mój widok zatrzymała się w miejscu i zmierzyła mnie wzrokiem, nie kryjąc zdumienia. Muszę przyznać, że chyba służy ci ta sytuacja, oceniła. Przeczesuję włosy palcami i przyglądam się swojemu odbiciu. Ostatnimi czasy przeskakuję od depresji do ekstazy z przerażającą szybkością i bez ostrzeżenia. Jeśli rzeczywiście tak mi z tym do twarzy, to nie wiem, jaką jestem osobą. Wracam do pokoju.

Drzwi za moimi plecami otwierają się cicho. Odwracam się gwałtownie. Carl wślizguje się do środka i zamyka za sobą wejście do biura. Przygląda się mojej białej bluzce, zapiętej aż pod szyję, i krótkiej czarnej spódnicy, odsłaniającej gołe nogi na wysokich obcasach. Szybkim krokiem podchodzimy do siebie, nasze ciała się zderzają, Carl obejmuje mnie mocno i cała mięknę, wtapiam się w niego. Całujemy się powoli, głęboko. Stoimy przed rzędem wysokich okien. Doskonale nas widać z biurowca naprzeciwko, ale nie ma tam nikogo, kto mógłby nas zauważyć.

– Zdejmiesz płaszcz? – mruczę w końcu.

On śmieje się i zerka w dół. Nawet nie ściągnął torby z ramienia.

– Jasne. Wybacz. Cześć.

– Nie musisz przeproszać. – Rozpinam guziki płaszcza i zsuwam mu go z ramion, pozwalając, by spadł na podłogę. – Napijesz się czegoś?

Carl potrząsa głową. Chodzi między pustymi biurkami, zatrzymuje się przy swoim dawnym miejscu.

– Dziwnie być tu z powrotem. Prawie wpadłem na Stevena przy wejściu. Zauważyłem go w ostatniej chwili, musiałem uskoczyć w boczną uliczkę, aż sobie poszedł. To byłoby trochę niezręczne. „O, eee, hej. Tak tylko...”

– Przechodziłeś – kończę z chichotem.

Mało brakowało. Powinno mnie to niepokoić, ale nie mogę powstrzymać ekscytacji na myśl, że zostalibyśmy nakryci. Chcę o nas mówić całemu światu – niech zrozumieją, że to jest prawdziwe.

– Mmm. Podoba ci się ten pomysł, co? – Carl przechodzi przez pokój i bierze mnie na rękę.

Oplatam go nogami w pasie i pozwalam, by zaniósł mnie do sali konferencyjnej. Kładzie mnie na stole i nachyla się nade mną, zasłaniając światło. Przesuwa dłońmi po moich udach, gładzi nagą skórę.

– Nie masz majtek. Niegrzeczna dziewczynka.

Jedną ręką mocno przytrzymuje mi nadgarstki nad głową, drugą niecierpliwie rozpina pasek. Koniec z czekaniem. Wie, że oboje pragniemy tego samego. Już po kilku sekundach przygniata mnie swoim ciężarem, poruszamy się rytmicznie, drewno wbija mi się w plecy – jutro będzie bolało, ale teraz czuję na wargach jego gorący oddech, widzę gwiazdy, zamykam oczy. Niech boli, nic mnie to nie obchodzi.

Po wszystkim leżymy jeszcze przez jakąś godzinę północy w improwizowanej pościeli na podłodze. Słońce zdążyło już opaść nisko nad horyzont i zalewa nas ciepłym złotym światłem. Włączyłam telewizor nad biurkiem. Gra tak cicho, że dźwięki przechodzą w niemal niesłyszalny szum. Kątem oka widzę migające obrazy, zlewają się w pulsujące fale światła. Carl patrzy w sufit, gładzi mnie po włosach, co jakiś czas pociąga lekko za luźne kosmyki. Uświadamiam sobie, że to też stało się naszą nową rutyną. Znaleźliśmy własny sposób na bycie razem, nawet nie próbując.

– Na pewno pasuje ci ósmy? – pyta w końcu.

Odwracam się na brzuch, zarzucam mu ręce na pierś i patrzę w oczy.

– Oczywiście.

Wyjeżdżamy razem na noc – zatrzymamy się w anonimowym miasteczku, w małym hotelu o nazwie Srebrne Brzozy. Carl wynajął pokój już dawno, żeby mieć gdzie zostać przejazdem

w drodze na trzydzieste urodziny przyjaciela. Kiedy ostrożnie zaproponował, żebym się do niego przyłączyła, ogarnęły mnie zachwyty i przerażenie jednocześnie. Nawet teraz nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym wymknąć się tak daleko ze swojego życia i nie zostać przyłapaną, choć Francis nie jest ani trochę zainteresowany tym, gdzie przebywam i co robię. Ale kiedy wyobrażam sobie intymność wspólnego poranka – nie będę musiała wstawać w nocy z łóżka, ubierać się i wychodzić na zimno; obudzę się tuż przy nim naprawdę, a nie tylko w marzeniach – podniecenie buzuje we mnie jak ogień w kominku. Nie ma szans, żebym teraz się wycofała.

– No dobrze. Skoro jesteś pewna. Nie żebym nie chciał, na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. Po prostu wolałbym, żebyś nie robiła nic zbyt ryzykownego.

– Nic się nie stanie – zapewniam. – Już nie mogę się doczekać.

Te słowa często padają z moich ust, i z jego też. Mam wrażenie, że życie upływa nam w stanie permanentnego zawieszenia – a kiedy wreszcie się spotykamy, wspólnie spędzany czas mija w mgnieniu oka i znów wracam do ciągnącego się w nieskończoność wyczekiwania.

Carl wzdycha, poprawia się pode mną.

– A potem, wiesz, będziemy musieli powoli kończyć. Nie możemy tak tego ciągnąć w nieskończoność.

– Tak – przytakuję automatycznie.

Powtarzamy to sobie już od dawna, 8 lipca stał się symboliczną granicą, jak linia narysowana na piasku – to ma być nasz ostatni wyskok, zanim zaczniemy rozluźniać więź, którą zacieśnialiśmy przez tyle miesięcy. Teraz rozstanie wydaje mi się bardziej nierozsądne niż kiedykolwiek wcześniej. Mam ochotę mu to powiedzieć. Chcę zasugerować, że istnieje inne



rozwiązanie, ale wydaje mi się, że to nieodpowiedni moment. Słowa więzną mi w gardle.

– Nie chcę tego robić – wyznaję tylko.

– Wiem, że nie chcesz. Mnie też nie będzie łatwo, ale nie mamy wyboru.

To nie jest pytanie. Już wcześniej mówił coś podobnego. Ostatnio zapuścił się jeszcze dalej. „Ani się obejrzę, jak dobiję trzydziestki. I czym będę mógł się pochwalić? Mieszkam ze współlokatorem, nie mam dziewczyny i spotykam się z kobietą, która ma męża i dziecko. Kiedy się rozstaniemy, ty będziesz mogła skupić się na nim, a ja? Zostanę z niczym. Muszę żyć własnym życiem. Bez ciebie”. Na te słowa aż skuliłam się w sobie, zaskoczona i zraniona jednocześnie. Musiałam mieć to wypisane na twarzy tak wyraźnie, jakby na mnie nakrzyczał. Wziął mnie przepaszająco za rękę, ale nie cofnął swojego wyводу.

Jeszcze przez chwilę leżymy w ciszy, smutek unosi się w powietrzu jak dym. Coraz częściej przenika do wspólnie spędzanych chwil, zabarwiając każdy dotyk i spojrzenie nieuchwytną melancholią. Dawniej zaśmiewaliśmy się jak nastolatki, bez trudu potrafiliśmy się rozbawić. Mam wrażenie, że wszystko minęło nam w przyspieszonym tempie. Przez pięć miesięcy postarzeliliśmy się o dziesięć lat i już unosi się nad nami cień rozłąki.

Carl przekręca się na bok, żeby spojrzeć mi w oczy, odwraca moją twarz ku sobie. Jeszcze w trakcie myślę, że nikt nigdy nie całował mnie z taką uwagą, jakby próbował zapisać w pamięci każdy ruch naszych warg. Wiem, co to znaczy. Nie chcę tego stracić. Wzbiera we mnie pierwotne, niepowstrzymane pragnienie. Przyciskam się do niego mocno całym ciałem w nadziei, że odczyta moje myśli.

– Powinniśmy się zbierać – mówi po jakimś czasie.

Nie tego chciałam, ale zerkam na zegar i uznaję, że ma rację. W milczeniu kiwam głową i zaczynam się ubierać.

Droga do domu zajmuje mi zaledwie pół godziny, ale już zapada zmrok. Uświadamiam sobie, że spędziłam poza domem o wiele więcej czasu, niż gdybym rzeczywiście została w pracy po godzinach. Z niepokojem przekręcam klucz w drzwiach, ale kiedy tylko wchodzę do środka, słyszę dobiegające z salonu nierówne chrapanie Francisca.

Najpierw zaglądam do Eddiego. Śpi spokojnie, przykryty aż pod brodę. Głaszczę go delikatnie po głowie, czując palące wyrzuty sumienia. Prawie go nie widziałam w tym tygodniu. Jutro wrócę do domu wcześniej i spędzę z nim trochę czasu, może pojedziemy na plac zabaw. Po cichu wychodzę z pokoju i zamykam za sobą drzwi.

Idę na palcach do salonu. Przyglądam się Francisowi rozwalonemu na kanapie. Nie wierzę własnym oczom: zostawił listek po pigułkach na widoku. Opakowanie leży rzucone bez troski tuż obok niego. Nie pamiętam, ile ich było, kiedy ostatnio sprawdzałam, ale folia jest rozdarta aż do końca – już nic nie zostało w środku. Na ten widok płonie we mnie gorąca, bezsilna furia. Schylam się i potrząsam go mocno za ramię. Ledwo się porusza, więc próbuję jeszcze raz ze zdwojoną siłą. Wydaje z siebie jakiś odgłos – równie dobrze może to być powitanie, jak i nakaz, żeby zostawić go w spokoju. Na ułamek sekundy podnosi powieki, ale zaraz opuszcza je z powrotem.

– Na litość boską, Francis. – Słyszę w swoim głosie histeryczną nutę. Już wiem, że zaraz stracę nad sobą kontrolę. –

Co ty odpierdalasz? Rozumiesz w ogóle, co tu się dzieje? Masz jakiegokolwiek pojęcie?

Francis znów otwiera oczy – powoli i z wyraźnym dyskomfortem, jakby odginał je łomem. Posyła mi szkliste spojrzenie. Nie wiem nawet, czy mnie poznaje, a co dopiero czy rozumie moje pytania. Stoję na środku pokoju, obejmuję się mocno ramionami. Nadal czuję na sobie dotyk i zapach Carla. W jednej chwili coś ściska mnie za serce, robi mi się niedobrze. Nie mam pojęcia, jak do tego wszystkiego doszło. Łzy płyną mi po policzkach, czuję ucisk w gardle.

– Miałeś się zająć naszym dzieckiem, do jasnej cholery. A jakby się obudził i cię potrzebował? Jak mam ci zaufać? Skąd mam wiedzieć, że go nie zignorujesz? – Własna hipokryzja doprowadza mnie do płaczu na równi ze strachem o Eddiego. Nie mam pojęcia, czy między mną a moim mężem pozostał choć ślad zaufania.

Francis podciąga się nieporadnie na kanapie, pociera twarz dłonią i próbuje oprzytomnieć.

– Nie zrobiłbym tego. Znam swoje obowiązki. Opiekuję się nim.

Jego słowa sugerują pokojowe nastawienie, ale pobrzmiwa w nich jadowita nuta, wykrzywająca mu twarz w paskudnym grymasie. Nie widzę nic poza tym.

– Cóż, dobrze wiedzieć – odgryzam się. – Cieszę się, że myślisz o nim, chociaż nie... – Zatrzymuję się na chwilę. Nie wiem, czy naprawdę chcę wypowiedzieć słowa, które cisną mi się na usta – Nie o mnie – kończę z przymusem.

Francis znów marszczy brwi, jakbym zbiła go z tropu. Może to przez uczucia, jakie zasugerowałam tym stwierdzeniem – uczucia, na które od dawna nie ma między nami miejsca. Nie

wiem, dlaczego w ogóle jeszcze mi na tym zależy. On otwiera na chwilę usta i znów je zamyka, zapada się w poduszki i pozwala opaść powiekom.

Nadal buzuje we mnie złość, aż trudno mi oddychać.

– Nie chcę już tak żyć – oznajmiam głośno i wyraźnie, starannie wypowiadam każde słowo. Nie doczekawszy się reakcji, zgrzytam zębami i mocniej obejmuję się za ramiona. – Nie chcę już być twoją żoną. Mam dosyć.

Jego powieki drżą lekko, ale to jedyna odpowiedź. Przyglądam się jego ciemnym rzęsom, rysom twarzy tak podobnym do Eddiego, kościom policzkowym, które kiedyś gładziłam koniuszkami palców, kiedy spał, próbowałam przelać w niego swoją miłość przez skórę.

– Zostawiam cię – mówię na koniec.

To proste, mocne słowa, ale słyszę niepewne drżenie w swoim głosie i wiem, że on też je wychwyci i zrozumie. Oboje wiemy, że nie mówię poważnie. Jeszcze nie. Ale już niedługo to się zmieni. Już niedługo.



*Wrócili. Tym razem mnie nie zaskoczą. Kiedy tylko widzę ich pod domem, wkładam buty i zbiegam na parter. Popycham drzwi wejściowe i zaczynam grzebać w kieszeni, udając roztargnienie. Po kilku sekundach pozwalam sobie na zerknięcie w ich stronę. Przyglądam się uważniej, jakby ten widok mnie zaskoczył.*

*Zwracam się bezpośrednio do dziecka.*

*– Ty jesteś Eddie, prawda?*

*Chłopiec posyła mi niepewny uśmiech i onieśmielony wkłada piąstkę do buzi. Podnosi wzrok na babcię, która mierzy mnie wzrokiem –*

*uprzejmie, choć podejrzliwie.*

*– Opiekuję się mieszkaniem Caroline i Francisa – wyjaśniam. – Wszędzie jest pełno zdjęć Eddiego.*

*– Och, rozumiem. – Matce Caroline wyraźnie ulżyło. – Nie przyszedł tu na przeszpiegi. Mieszkanie jest po drodze z przedszkola, więc...*

*– Paddy – odzywa się nagle Eddie głośno i wyraźnie, przerywając na chwilę dotychczasowe milczenie.*

*Spogląda na mnie wyczekująco szarymi oczami. Na chwilę zbija mnie z tropu, aż wreszcie staje mi przed oczami mały srebrzysty chomik, który od czasu do czasu przypomina o swoim istnieniu, trzęsąc jak opętany kołowrotkiem. Caroline zostawiła drobiazgową instrukcję opieki nad zwierzątkiem, ale wrzucam mu tylko co jakiś czas garść jedzenia do klatki i jakoś nic strasznego jeszcze się nie wydarzyło. Większość żywych stworzeń potrzebuje do przeżycia o wiele mniej zachodu, niż sądzimy.*

*– Proszę wybaczyć – wtrąca pogodnie matka Caroline. – Dużo o nim mówi. Zabralibyśmy go ze sobą, ale mam alergię.*

*– Cóż – mówię bez zastanowienia – w takim razie powinniście go odwiedzić. Chciałbyś, Eddie?*

*Dziecko kiwa głową, jego buzię rozpromienia ekscytacja. W tej samej chwili uświadamiam sobie, że przecież nie mogę ich teraz wpuścić do mieszkania. Nie mogą zobaczyć porozwalanych ubrań i pociętych zdjęć w korytarzu. – Muszę teraz iść, ale może wpadniecie jutro po drodze ze szkoły?*

*Eddie podskakuje z radosnym piskiem. Matka Caroline posyła mi nieco wymuszony uśmiech.*

*– Dziękujemy za propozycję. W takim razie zobaczymy jutro. Miło było nam... – zaczyna, ale nie czekam, aż zapyta mnie o nazwisko. Macham im pospiesznie na pożegnanie i odchodzę. Każdy krok odbija mi się w głowie echem jak strzał z pistoletu. Nie wiem, co się właśnie*

wydarzyło, ale euforia uderza mi do głowy. Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że można zbliżyć się do kogoś poprzez dostęp do jego domu i rzeczy. Przecież to ludzie, których kochamy, mogą powiedzieć o nas najwięcej.

## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

Leżę w ciemnej sypialni, oczy mam szeroko otwarte. Wsłuchuję się w regularny oddech śpiącego głęboko Francisa. Mój wzrok powoli przyzwyczaja się do ciemności, zaczynam rozpoznawać kształty mebli. W nocy czuję się tu jeszcze dziwniej niż za dnia. Wszystko wydaje się możliwe, skłębione myśli podsuwają coraz to nowe scenariusze. Mam ochotę wstać i jeszcze raz przeszukać cały dom, aż znajdę jakąś nową wskazówkę.

Rozglądam się po surowej, minimalistycznej sypialni. Wiem, że tu już nic nie znajdę, ale to niemożliwe, żebyś miał tak mało rzeczy. Szafy i szuflady zioną pustką – przecież nie mogłeś zabrać ze sobą na tydzień wszystkiego, co posiadasz. Nawet półki i gablotki nie noszą śladów normalnego użytkowania – tu i tam stoi jakaś świeczka albo figurka, to wszystko. Nigdy nie byłeś bałaganiarzem, ale nie wyobrażam sobie, żebyś mieszkał w tak ascetycznie urządzonym miejscu. Musi tu być coś więcej. Tylko gdzie? Nagle przebiega mnie elektryzująca myśl. Odgarniam kołdrę, wyslizguję się z łóżka i biorę telefon. Wymykam się na ciemny korytarz. Ramiona pokrywa mi gęsia skórka – trochę z zimna, a trochę ze strachu.

Kiedy podnoszę głowę, widzę odpowiedź. Na suficie znajduje się biały drewniany kwadrat z małym mosiężnym kółeczkiem przytwierdzonym z jednej strony – wejście na strych. Teraz przypominam sobie, że w szafie na korytarzu widziałam długi metalowy pręt. Schodzę po narzędzie, zahaczam o kółeczko i otwieram. Do wejścia przytwierdzona jest drabina, która rozkłada się po pociągnięciu. Na strychu nie ma światła, przestrzeń pod dachowymi belkami tonie w ciemnościach. Kiedy zaglądam do środka, uznaję jednak, że wystarczy mi słabe światło latarni wpadające przez okno w dachu. Perspektywa wejścia na strych mnie przeraża, ale zaciskam zęby i mówię sobie, że nic i nikogo tam nie ma. Boję się tylko własnej wyobraźni.

Zaciskam obie ręce na drabinie i ostrożnie wchodzę szczebel po szczeblu, uważając, żeby nie narobić hałasu i nie obudzić Francisa. Serce wali mi od nagłego przyływu adrenaliny. Przełazę przez dziurę w podłodze i ląduję na czworakach na drewnianych deskach. Oświetlam je telefonem: są pokryte grubą warstwą kurzu, ale gdy mrużę oczy, dostrzegam tu i ówdzie świeże ślady. Wyglądają, jakby ktoś ciągnął po podłodze coś ciężkiego. Wstając, zauważam włącznik światła na pobliskiej ścianie. Kiedy go naciskam, pośrodku pomieszczenia zapala się naga żarówka i zalewa strych słabym pomarańczowym światłem. Teraz widzę, że w kącie leży co najmniej dziesięć wielkich białych plastikowych worków. Za nimi stoi kilka kartonowych pudeł – wszystkie są świeże, nietknięte przez kurz i pleśń.

Wstrzymuję oddech. Podchodzę bliżej z zaciśniętym gardłem, instynktownie stawiam kroki najciszej jak potrafię. Przez głowę przebiegają mi najdziksze wizje: worki pełne poszarpanych ludzkich kończyn, cieknąca krew. Sięgam po



najbliższy pakunek i rozluźniam sznurek zabezpieczający otwór. Dreszcz przebiega mi po plecach.

W środku znajduję skłębione ścierki, garnki i zastawę stołową, wrzucone do środka bez ładu i składu. Do drugiego worka też wrzucono przybory i ozdoby, które nie wyglądają nawet, jakby miały jakąś wartość pieniężną czy sentymentalną. Nie było żadnego powodu, by je chować – poza chęcią ukrycia przede mną wszystkich szczegółów twojego życia. Rozrywam worek za workiem, ale w żadnym nie widzę nic interesującego. W pudłach leżą książki. Przez jakiś czas przeglądam okładki: trochę klasyków, kilka biografii, nawet parę tytułów popularnopsychologicznych, o które nigdy bym cię nie podejrzewała.

Za kartonami kryje się jeszcze kilka worków. Te są lżejsze i bardziej miękkie od pozostałych. W przyływie mdłości uświadamiam sobie, że to muszą być ubrania. To już o wiele bardziej osobiste. Kiedy zamykam oczy, nadal potrafię sobie przypomnieć dotyk twoich ubrań przesiąkniętych zapachem wody po goleniu. Serce mi wali. Otwieram najbliższy worek, ale kiedy wkładam rękę do środka, natychmiast czuję, że coś jest nie tak. Wyciągam kilka sztuk odzieży i przyglądam im się w półmroku. Odkrywam, że to swetry w pastelowych kolorach. Sięgam głębiej, w końcu wytrząsam wszystko na podłogę. Same damskie ubrania, nic twojego. Wszystkie w rozmiarze 38, niektóre z metkami drogich marek. Przechodzi mnie dreszcz: uświadamiam sobie, że muszą należeć do Amber. W pozostałych workach znajduję to samo. Jakbyś ukrył tu całą jej garderobę.

Nic nie rozumiem. Przysiadam na podłodze. Dlaczego jest tu aż tyle ubrań i co one robią na twoim strychu? Wytrząsam zawartość ostatniego worka. Materiał wyslizguje się miękko na

ziemię, nagle słyszę stukot, twardy metal uderza o podłogę, Wygrzebuję przedmiot spod stosu ciuchów. Trzymam w dłoni jasny cynowy medalion. Kiedy go otwieram, czuję pod palcami coś znajomego, choć nie tego się spodziewałam. Postrzępiony pukiel włosów.

Instynktownie zabieram rękę, wypuszczam naszyjnik. Włosy są zbyt ciemne, by mogły należeć do Amber, chyba że jej obecny odcień to efekt intensywnego rozjaśniania. Może są twoje? Znów zaglądam do środka. Rzeczywiście, to możliwe. Mają podobny kolor i chyba taką samą grubość. Wyciągam palec, by znów je pogłodzić, i zamykam oczy, próbując sobie przypomnieć dotyk twoich włosów na mojej skórze. Nie udaje mi się uchwycić wspomnienia, ale coś we mnie przeskakuje, słabe pomarańczowe światło rozmywa mi się przed oczami, kręci mi się w głowie. Wrzucam naszyjnik z powrotem do worka razem z rzeczami Amber. Czuję się jak intruz.

Kulę się na zakurzonych deskach, cała dygoczę. Mam na sobie tylko majtki i podkoszulek. Myśli szumią mi w głowie, każda domaga się natychmiastowej uwagi. Zmuszam je, żeby zwolniły, i coś wynurza się na powierzchnię – coś, co gryzie mnie już od kilku dni. Przypominam sobie spotkanie z Amber w kawiarni i rezerwę malującą się na jej twarzy, kiedy zapytałam o mieszkańców tego domu. „Mijam się z sąsiadami na ulicy, ale to tyle”. Dlaczego miałyby kłamać? Czy już wtedy domyślała się, kim jestem, i próbowała ukryć przede mną prawdę? Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mniej jestem przekonana. Amber nie próbowała się ukrywać ani chować przede mną swojego chłopaka; zabiegała o moją przyjaźń, robiła więcej, niż było trzeba. Po chwili przypominam sobie coś jeszcze: kiedy nas odwiedziła, rozglądała się po domu, obserwowała wszystko

z uwagą. Instynkt podpowiada mi, że nie zachowywałyby się tak w miejscu, które dobrze zna. Miałam wrażenie, że chłonie każdą chwilę – jakby była tu zupełnie obca.

Wzdrygam się gwałtownie. Podciągam kolana pod brodę, zastanawiam się. Czy to możliwe, że Amber nie jest twoją dziewczyną? Może ma jakąś chorą obsesję na twoim punkcie i szpieguje cię z przeciwnej strony ulicy? Po chwili jednak przypominam sobie zdjęcie wiszące na jej lodówce i damskie ubrania w workach przede mną. To wyjaśnienie nie ma sensu. Ani o krok nie zbliżyłam się do rozwiązania.

Przyciskam palce do skroni, próbując rozmasować narastający ból. Oddech mam płytki, jestem sfrustrowana. Wiedziona impulsem chwytam za telefon i wystukuję wiadomość. „Przepraszam, że nie odbierałam. Odezwę się niedługo, obiecuję. Powiedz tylko, dlaczego nie powiedziałaś mi, że Carl tu mieszka, jeśli nie wiedziałaś, kim jestem. Proszę. Bądź ze mną szczerą, to porozmawiamy”.

Gdy tylko naciskam „wyślij”, zaczynam wątpić, czy dobrze zrobiłam, ale jest już za późno. W napięciu obserwuję ekran, czekając na odpowiedź. Instynkt podpowiada mi, że ona też nie śpi – i rzeczywiście, nie mija nawet minuta, a mój smartfon już wibruje i wyświetla ikonkę sygnalizującą otrzymanie nowej wiadomości.

*Caroline, musimy to omówić twarzą w twarz. Nie przyszedłam do was, bo rozumiem, że to dla ciebie trudna sytuacja, i nie chcę w to wciągać Francisa, ale nie będę czekała w nieskończoność.*

Ostrzeżenie jest zawoalowane, ale wyraźne. Bez trudu potrafię sobie wyobrazić Amber walącą do moich drzwi w środku

nocy z żądaniem rozmowy. Wiem, że byłaby do tego zdolna, podobnie jak ja.

Powoli przesuwam palcami po ekranie. „Przyjdę za pięć minut”. Schodzę po drabince, przemykam na palcach przez sypialnię i sięgam po ubrania, które kilka godzin temu rzuciłam na oparcie krzesła. Przeczesałam palcami włosy. Myślę, czy się umalować, ale nie chcę zapalać światła – zresztą teraz mój wygląd chyba nie ma większego znaczenia. Chcę, żeby zobaczyła mnie taką, jaka jestem. Mam trzydzieści pięć lat, a kilka ostatnich odcisnęło wyraźny ślad na mojej twarzy. Po raz ostatni zerkam na Francisa i schodzę cicho po schodach. Delikatnie otwieram drzwi wejściowe i wymykam się na ulicę.

Na dworze panuje niewiarygodna cisza. Mam wrażenie, że jestem jedynym żywym punktem w nieruchomym świecie. Schludne rzędy okien są puste i ciemne. Strzegą ich starannie przystrzyżone drzewa wyciągające odrętwiałe ramiona ku niebu. Lampy oświetlają ulicę w równych odstępach, zalewają otoczenie wąskimi snopami słabego pomarańczowego światła. W drodze pod numer czternasty kilka razy widzę przed sobą swój cień. Pocieszam się, że na świecie niewiele miejsc dorównuje pod względem bezpieczeństwa podmiejskiej ślepej uliczce. Wystarczyłby jeden krzyk, jeden nagły odgłos rozdzierający martwą ciszę, by wszystkie okna rozbłysły światłem. Za każdą firanką natychmiast pojawiłby się czujny obserwator. Ta myśl nie dodaje mi jednak otuchy. Teraz muszę zachować szczególną ostrożność. Nie chcę zostać zauważona.

Ledwo podnoszę dłoń do dzwonka, a już widzę jej sylwetkę za matową szybką w drzwiach. W głębi domu pali się lampa – światło dochodzi z niewielkiego pokoju. Domyślam się, że to twój gabinet. Amber odsuwa się w milczeniu, żeby wpuścić mnie do

środku. Nie potrafię nic wyczytać z jej twarzy. Kiedy wchodzi za mną do pokoju, widzę, że też jest bez makijażu. Wygląda jak marmurowa Madonna, niemal nieziemsko czysta i skromna. Blond włosy ma zaczesane do tyłu; przylegają jej do głowy, jakby sklejał je pot.

– Nawet nie wiem, co powiedzieć – odzywa się wreszcie.

Żadna z nas nie usiadła. Stoimy jakieś trzydzieści centymetrów od siebie, patrzymy sobie w oczy, nasze ciała odzwierciedlają to samo napięcie. Jesteśmy tego samego wzrostu, takiej samej budowy. Po raz kolejny świta mi myśl, że zostałam zastąpiona młodszą, ładniejszą wersją, bez moich grzechów i skaz.

Otwieram usta, by coś odpowiedzieć, szukam jakiejś gładkiej uwagi, która pomogłaby nam przejść przez tę dziwną chwilę, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

– Jak długo jesteście razem? – Wyciągnęłam pytanie na chybił trafił spośród dziesiątek innych unoszących mi się w głowie, ale właśnie na tej informacji najbardziej mi zależy.

Amber zastanawia się, chce być precyzyjna.

– Osiemnaście miesięcy – odpowiada po chwili.

Liczę. Listopad 2013 roku; cztery miesiące po dniu, kiedy widziałam cię po raz ostatni. Zbyt szybko. Nieprawdopodobnie szybko, zwłaszcza jak na ciebie. Zawsze mi powtarzałeś, że nikt nigdy nie rozumiał cię tak dobrze jak ja, że żadna inna kobieta nie była warta zachodu.

Amber przygląda mi się uważnie, unosi lekko głowę, może jakby szukała czegoś na swoją obronę.

– Zamieszkaliśmy tu razem po siedmiu miesiącach – dodaje. Teraz w jej tonie już zdecydowanie pobrzmiwa wyzywająca nuta. – Szybko poszło, ale kiedy poznajesz właściwą osobę, po

prostu wiesz. – Mówi sucho i zawzięcie, jakby chciała sprowokować mnie do protestu.

– Pewnie tak – przyznaję.

Kiedy zdaje sobie sprawę, że nie zamierzam jej atakować, nieco łagodnieje. Wychodzi z mroku, pozwalając, bym zobaczyła cienie na jej twarzy. Źrenice ma tak zwężone, jakby ktoś nakłuł jej ciemnozielone oczy szpilką. Próbuję wczuć się w jej sytuację – wyobrazić sobie, że to ja jestem jego obecną partnerką, a mojej pozycji zagraża kobieta z przeszłości – ale mi się to nie udaje. Nadal uwiera mnie przecucie, że nie jest prawdziwa, nie wierzę, że to twoja dziewczyna. Ma jasną, niemal lśniąca skórę, światło lampy odbija się od jej blond włosów. Dostrzegam krzywiznę jej piersi pod cienkim materiałem koszulki, widzę odstające sutki. Nagle dopada mnie wizja, jak zmarszczka na rzeczywistości – podciągasz jej bluzkę, zdejmujesz ją przez głowę.

– Posłuchaj – mówi prędko. – Na pewno wiesz, jak to wygląda. Bądź ze mną szczerą. Przyjechałaś tu, żeby się z nim zobaczyć?

– Oczywiście że nie – protestuję. Staram się, by moje słowa nie brzmiały jak puste zaprzeczenie. Wiem, że na jej miejscu myślałabym tak samo, ale i tak czuję się urażona.

– Okej – mówi powoli Amber. Nie potrafię ocenić, czy mi wierzy czy nie. – Ale twierdzisz, że kontaktował się z tobą. – Waha się, przygryza dolną wargę. – Kiedy spotkałam cię przed domem. Powiedziałaś, że twój były się do ciebie odezwał. Chodziło ci o Carla, prawda?

Twoje imię pada z jej ust z taką łatwością, wypowiada je tak zaborczo, że nie mam ochoty nic jej wyjaśniać. Jest po twojej stronie, nie po mojej. Spławi mnie, uzna, że wszystko sobie zmyśliłam. Natychmiast do ciebie zadzwoni, o ile już tego nie

zrobiła. Na samą myśl serce podchodzi mi do gardła. Muszę ją o to zapytać.

– Rozmawiałaś z nim? – udaje mi się wykrztusić. – Powiedziałaś mu, że tu jestem?

Amber kręci głową.

– Nie chciałam go denerwować. Nie ma sensu wywlekać przeszłości, chyba że nie da się tego uniknąć.

Znów wychwytyuję cień groźby. Nie jest pewna, co zamierzam zrobić.

– Rozumiem.

Nie mogę powstrzymać podziwu dla jej samokontroli. W tym aspekcie jesteśmy zupełnie różne. Ja nie utrzymałabym takiej informacji w sekrecie dłużej niż przez kilka minut... Chociaż z drugiej strony przecież od prawie tygodnia ukrywam to przed Francisem. Na czym polega różnica? Może chodzi po prostu o to, że do zatajania prawdy przed mężem jestem przyzwyczajona. Nauczyłam się dzielić nasze życie na mniejsze porcje i prowadzić skomplikowaną grę polegającą na wyciąganiu jednych elementów na światło dzienne i chowaniu innych, by cieszyć się nimi na osobności.

Amber patrzy na mnie wyczekująco. Chce usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie.

– Powiedziałaś, że się z tobą kontaktował – powtarza. – I że jest w twoim mieszkaniu. Skąd ci to przyszło do głowy?

Otwieram usta, zamierzam wszystko jej wytłumaczyć, ale nie wiem, od czego zacząć.

– Dostałam niedawno wiadomość – mówię powoli. Uświadamiam sobie, że mogę wyznać jej prawdę, nie dzieląc się przy tym prawie żadnymi informacjami. – Nie była od niego, a w każdym razie nie podpisał jej własnym imieniem. Wspomniał

w niej o moim mieszkaniu i... Było w tym coś takiego, co przypomniało mi o nim. Sądziłam, że postanowił się do mnie odezwać. Ale mogłam się mylić.

Amber zastanawia się nad moim wyjaśnieniem, ledwie zauważalnie marszcząc czoło. Opada na fotel i zachęca gestem, żebym zrobiła to samo. Nachyla się do przodu, splatając długie, smukłe palce. W zamyśleniu przesuwają po skórze paznokciami pociągniętymi blad różowym lakierem. W tym ruchu jest coś hipnotyzującego.

– Tak myślę – odzywa się w końcu. – Myślę, że się mylisz. – Te słowa nie brzmią jednak jak opinia. Wypowiada je z absolutną pewnością, jakby stwierdzała prosty fakt. – Jeśli znasz Carla, to wiesz, że on nie zmienia zdania. W jego przypadku to niemal słabość. I zdajesz sobie też sprawę, że postanowił zostawić wasz związek za sobą. – Dopiero teraz patrzy mi w oczy. Jej nieruchome, przesywające spojrzenie wytrąca mnie z równowagi. – Zaczął nowe życie.

W pierwszej chwili te słowa sprawiają mi ból. To dobrze wymierzony cios, ale jego siła natychmiast słabnie, jakby nic się nie wydarzyło. Blednie w obliczu moich dowodów – nie tylko sekretów, którymi się z nią nie podzieliłam, ale też oczywistego faktu, że jesteśmy do siebie uderzająco podobne.

– To dość dziwny sposób na rozpoczęcie nowego życia – zauważam, wskazując gestem na przestrzeń między nami.

Gdy Amber wychwytuje sens moich słów, przez jej twarz przebiega cień zwątpienia. Wzrusza jednak ramionami i odgarnia włosy za uszy.

– Ma swój typ. Nie on jeden.

Wiem, że tak naprawdę chodzi o coś więcej, ale tego nie komentuję. Pozwalam, by wsłuchiwała się w echo własnych słów.



– Jak dużo ci powiedział? – pytam zamiast tego. – O mnie. O naszym związku.

Wygląda, jakby wróciła na bezpieczniejszy grunt. Podciąga się na krzesło i znów patrzy mi w oczy.

– Wszystko. – Wykrzywia twarz i rozchyła wargi, żeby coś dodać, ale po sekundzie zaciska usta i potrząsa głową, jakby strofowała się w duchu.

Nie chcę nadawać temu enigmatycznemu słowu kontekstu, ale nie potrafię się powstrzymać. Wzbierają we mnie obrazy i wspomnienia, pędzą z narastającą prędkością do ostatecznego punktu: drogi przed hotelem Srebrne Brzozy, miejsca, w którym widziałam cię po raz ostatni. Czuję na sobie wzrok Amber. Zastanawiam się, ile z uczuć, które próbuję stłumić, daje się wyczytać z mojej twarzy. Ile tak naprawdę wie? Czy rzeczywiście rozumie? Tak długo sądziłam, że nasze sekrety istnieją tylko między tobą a mną, w ekskluzywnym, nieszczęśliwym dwuosobowym klubie. To niepisana więź, łącząca nas bez względu na odległość. Bez względu na fakty utrzymuje mnie w twoim życiu, a ciebie w moim. Na myśl, że ktoś jeszcze został dopuszczony do tej tajemnicy, ogarnia mnie dezorientacja.

– Wysłałaś mi przed chwilą esemesa. – Głos Amber rozcina gęstą zbitkę moich myśli. Przypominam sobie, dlaczego do niej napisałam. – Nie rozumiem, o co mnie pytasz. Chciałaś wiedzieć, dlaczego ci nie powiedziałam, że Carl tu mieszka?

– Tak. Kiedy pierwszego dnia poszliśmy na kawę, zapytałam, czy znasz ludzi, którzy mieszkają w naszym domu. Powiedziałaś, że nie. Dlaczego ukrywałaś przede mną, że to on?

Amber marszczy brwi, wygląda na zagubioną.

– Co ci przyszło do głowy? Carl mieszka tutaj. W tym domu, ze mną.

Trzepoczę powiekami, próbując przyswoić tę informację. To nie ma sensu, a jednak brzmi wiarygodnie. Zastawa w jej kuchni, kolorowe ściany, surowe czarno-białe ilustracje na ścianie w korytarzu. To twój gust, nie jej. Potrafię wyobrazić sobie ciebie w tym domu, tak jak nigdy nie czułam twojej obecności pod numerem dwudziestym pierwszym. Wizje twojego życia w tych pomieszczeniach zalewają mój umysł, przekonują, że Amber nie kłamie.

Mam wrażenie, że brnę przez stygnącą smołę, próbuję pochwycić jakąś wskazówkę, która co chwila wymyka mi się z rąk. Czy dom, w którym się zatrzymałam, należy do innej kobiety, z którą się spotykasz? Do kogoś, kto ufa ci na tyle, żeby wpuszczać cię do swojego mieszkania; kto wyjechał akurat wtedy, kiedy tego potrzebowałeś? Czy umieściłeś dane jej domu w internecie bez jej wiedzy? Zapisaleś ją na stronę do wymiany domami, przechwyciłeś klucze i zdobyłeś dostęp do mojego domu? A może jesteś właścicielem obu domów? Każde rozwiązanie wydaje mi się nieprawdopodobne.

– Kiedy on wraca? – pytam w końcu. Muszę zaciągnąć tę rozmowę na pewniejszy grunt. Trzeba się zająć bieżącymi sprawami; to jedyne, co teraz się liczy.

– Jutro po południu. – Amber nie potrafi stłumić radości w głosie. Jej twarz na samą myśl rozpromienia się od przyływu szczęścia.

Zaciskam dłonie w pięści, wbijam paznokcie w skórę. Wyjeżdżamy do Leeds dopiero za dwa dni – nadal nie rozumiem, jak to wszystko zaaranżowałaś, ale musisz wiedzieć, że twój plan wypalił. Postanowiłeś wrócić wcześniej. Po co miałbyś to robić? Chyba tylko dlatego, żeby się ze mną zobaczyć?

– Musimy ustalić, co dalej – oznajmia Amber prosto z mostu.  
– Będę z tobą szczerą. Uważam, że powinnaś wyjechać. Z tego spotkania nie wyniknie nic dobrego. Ani dla ciebie, ani dla Carla. Ani dla mnie – dodaje mimochodem, ale wiem, że właśnie ta myśl gryzie ją najdotkliwiej.

W pierwszym odruchu mam ochotę jej się sprzeciwić, ale zachowuję dość rozsądku, by ugryźć się w język.

– Zastanowię się nad tym. Napiszę do ciebie rano.

Amber przytakuje. Jej ciało wiotczeje w fotelu, zapada się w sobie, jakby ta rozmowa wyssała z niej całą energię.

– Okej. – Odchyła głowę, przymyka oczy.

Wstaję i ruszam do drzwi, ale kiedy kładę dłoń na klamce, nie mogę powstrzymać ciekawości, która dręczy mnie od chwili, kiedy dowiedziałam się, że to właśnie Amber zna odpowiedź.

– Co u niego? – pytam po prostu.

Amber powoli podnosi głowę, przygląda mi się spod zmrużonych powiek.

– Wszystko dobrze. Jest szczęśliwy.

Mówi to łagodnie, nie próbuje mnie sprowokować, ale każde słowo przypomina stłumiony wystrzał z pistoletu, zabijający dalsze pytania. Obracam tę odpowiedź na wszystkie strony. Nie pasuje do jej niedawnego wyznania, kiedy zwierzała mi się z twojej rezerwy i odczucia, że bywasz nieobecny. Nie mam jednak dość energii, by się zastanawiać, która wersja bardziej mi odpowiada albo która wydaje się prawdziwsza. Kiwam tylko głową i wychodzę, cicho zamykając za sobą drzwi.

Nie wiem, jakim sposobem przez kilka godzin snu od powrotu z domu Amber udało mi się pokonać całą przestrzeń materaca i skulić tuż przy Francisie. Kiedy się budzę, wargi mam

przyciśnięte do zagłębienia jego szyi, leżę w luźnym objęciu jego ramion. Nadal śpi, oddycha równomiernie, poruszając lekko kosmykami włosów, które opadły mi na twarz. Teraz, gdy spowija mnie bezpieczne ciepło jego ciała, surrealistyczne nocne spotkanie z Amber wydaje mi się snem.

Francis porusza się, przeciąga i ziewa.

– Dzień dobry – mruczy, przyciskając mnie mocniej. – Dobrze mieć cię przy sobie.

Wciskam mu twarz w ramię, oczy nagle pieką mnie od bezsensownych łez.

– Hej.

Francis gładzi mnie lekko po głowie, przesuwa dłoń niżej, na kark, i przyciska lekko, żebym na niego spojrzała. Mrugam pospiesznie, przeganiając łzy.

– Dobrze spałeś?

Marszczy lekko brwi, przygląda mi się uważnie.

– Dobrze, ale w którymś momencie się obudziłem i zobaczyłem, że cię nie ma. Dokąd poszłaś?

– Nie mogłam zasnąć. Zeszłam na trochę na dół – wyjaśniam prędko. Zbyt późno uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, czy wstał, żeby mnie poszukać. Cała sztywnieję, ale on nie daje nic po sobie poznać.

– Wiesz co – odzywa się w końcu. – Naprawdę się o ciebie martwię. Od początku tego tygodnia. Wiem, że mieliśmy spięcia, zwłaszcza wtedy w muzeum, i przepraszam, że dałem się ponieść emocjom, ale nie tylko o to chodzi. Wydajesz się... zaniepokojona. Zestresowana. – Milknie, jakby szukał ostatecznego określenia na moje zachowanie. – Nieobecna.

Na dźwięk tego słowa przechodzi mnie dreszcz. Nieobecność – dystans – to w naszym związku niebezpieczna rzecz. Jeszcze

nie tak dawno powrót do domu oznaczał spędzanie czasu z mężczyzną, który bardziej niż mojego męża przypominał robota, hologram z jego twarzą. Z początku próbowałam z tym walczyć, reagowałam złością, przelewałam podwójne emocje w pustkę powstałą po jego zniknięciu. Nie potrafię określić, kiedy wściekłość przeszła w obojętność, która odrętwiała mnie aż do kości i wysysała ze mnie ostatnie resztki miłości. Ale wiem, co umocniło tę obojętność, co pozwoliło jej się zakorzenić. Ty. I nawet teraz, po takim czasie, znów mi to robisz.

Obejmuję go za szyję, próbuję wrócić do rzeczywistości.

– Wiem – szepczę. – Przepraszam. Po prostu...

Odwracam się na plecy, wpatruję się w ciepłe plamki słońca tańczące po suficie.

– Nie podoba mi się tu – mówię szczerze. – Wiem, że cieszyliśmy się na wyjazd, ale dziwnie się czuję. Brakuje mi Eddiego i naszego mieszkania. Tęsknię za domem. – Utwierdzam się w podjętym wczoraj postanowieniu. Amber miała rację. Mam szansę odciąć się od tego bałaganu, zanim ogarnie mnie pokusa dalszego kontaktu z tobą. – Moglibyśmy dzisiaj wrócić.

Francis patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Dzisiaj? – powtarza. – Przecież i tak wyjeżdżamy już jutro wieczorem, co to za różnica? Chyba zapomniałaś, Caro, że ktoś w tym tygodniu korzysta z naszego mieszkania. Nie możemy go wyrzucić dzień wcześniej.

– Nie zapomniałam – protestuję, czując w ustach gorzki smak ironii. – Ale... – Kończą mi się argumenty. Nie ma żadnego sposobu na wytłumaczenie, że nie zamierzasz przebywać w Leeds do jutra; pewnie już pakujesz swoje rzeczy i przygotowujesz się na długą podróż powrotną. – Na pewno dałoby się to jakoś rozwiązać – dodaję nieporadnie. – Moglibyśmy

pojechać gdzie indziej, zatrzymać się na noc w hotelu gdzieś po drodze.

– Niby po co? – chce wiedzieć Francis. – Niepotrzebne marnowanie pieniędzy. Słuchaj, rozumiem cię. Ale naprawdę sądzę, że możemy jeszcze odwrócić sytuację. Przecież nie było aż tak źle, prawda? Zróbmy dziś coś miłego. Przyznaję, skończyły mi się atrakcje turystyczne, ale na pewno coś wymyślimy.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale wyciekła ze mnie cała wola walki. Nie przychodzi mi do głowy żaden racjonalny sprzeciw. Francis przykładą swoją dłoń do ust i całuje zachęcająco, uznając milczenie za znak, że się zgadzam.

– Okej – oznajmia rześko, wygrzebując się z łóżka. – Skoczę pod prysznic, a potem się zastanowimy, na co mamy ochotę.

Kiedy znika w łazience, owijam się kołdrą. Nagle robi mi się zimno. Już analizuję swoje zachowanie, zastanawiam się, czy mogłam się bardziej postarać. Przekonuję samą siebie, że wszystko będzie dobrze. Wyjdziemy na cały dzień, wrócimy późnym wieczorem. Wsiądę z samochodu i ruszę prosto do domu, nawet nie rozejrzę się po ulicy. To żadna różnica, czy będę kilkadziesiąt metrów czy kilkaset kilometrów od ciebie. Nie roztaczasz wokół siebie żadnej niewidzialnej aury, która przybierałaby na sile, kiedy jesteś w pobliżu. Wszystko jedno.

Wiem jednak, że nie ma sensu się oszukiwać – to nic nie da. Pomimo wszystko jakaś obłąkana część mnie nie chce wyjeżdżać ani trzymać się od ciebie z daleka. Chcę cię zobaczyć.

Zamykam na chwilę oczy. Nienawidzę samej siebie. Nie wiem nawet, kogo tak naprawdę pragnę. Ty, którego znałam, nigdy nie zrobiłbyś czegoś takiego, nie wysłałbyś tej złowrogiej fotografii. Kiedy o tym myślę, sięgam po telefon i znów otwieram skrzynkę, patrzę na dowody. Szok jest tak samo świeży jak za pierwszym

razem: bezlitośnie okaleczone zdjęcia, czarne plamy w miejscu mojej twarzy. Wpatruję się w ekran tak długo, że rozmywa mi się przed oczami. Po chwili jednak znów się koncentruję i nagle widzę coś, czego nie zauważyłam wcześniej, jak na magicznym obrazku, który ujawnia swoją prawdziwą naturę dopiero, kiedy przestajemy jej szukać.

W kadr załapał się skrawek lustra. Na korytarzu panuje półmrok, flesz błyska na szkle, ale dostrzegam ledwo widoczny profil postaci trzymającej aparat. Brakuje twarzy, ale widzę długie włosy, smukłe ramiona i krzywiznę szyi. To kobieta. Nie ty.

## Dom

*Francis, lipiec 2013*

Bardziej od myśli, że osiągnęliśmy dno, przeraża mnie jedynie strach, że możemy upaść jeszcze niżej. W ciągu ostatnich miesięcy zdarzyło mi się to już kilka razy. Dno – mroczne miejsce, więzienie bez drzwi i okien, piwnica śmierdząca rozkładem i zniszczeniem. Za każdym razem, kiedy na nie spadam, uruchamia się jakiś ukryty mechanizm, podłoga drży i leci w dół, a ja uświadamiam sobie, że do tej pory znajdowałem się jedynie w poczekalni. Zawsze można upaść jeszcze niżej. Codziennie odkrywam tę prostą prawdę na nowo.

Dziś przeszedłem samego siebie. Dochodzi ósma rano, letnie słońce wpada przez wysokie okna. Całą noc nie spałem. Ani na chwilę nie odpłynąłem w niespokojny sen, nie straciłem przytomności przed ekranem, by po kilkudziesięciu minutach wrócić na ziemię z gwałtownym szarpnięciem, jakbym nagle uderzył o ziemię. Siedzę w jednej pozycji od dziesięciu godzin, oczy mam szeroko otwarte. Nie, żebym wiele pamiętał. Kiedy próbuję odkopać jakieś wspomnienia z tej nocy, mam wrażenie, że szukam roztrzaskanych kawałków drewna we wzburzonych morskich falach. Oczy bolą mnie od światła. Pomimo gorąca cały drzę.



W głębi domu rozlega się jakiś hałas. Słyszę piski i krzyki dziecka, nieporadne podśpiewywanie bez słów. Eddie. Znam to imię, ale wydaje mi się puste i obojętne. Miłość do niego zupełnie straciła kształt, przypomina znoszony za duży płaszcz, który nie chce już na mnie leżeć tak jak dawniej. W końcu rozpadnie się i zniknie – jak wszystko inne.

Do pokoju wchodzi kobieta w bluzce bez rękawów i czarnej spódnicy z przezroczystymi wstawkami, spod których widać krótką jedwabną podszewkę. Kiedy kobieta się odwraca, materiał wzlatuje lekko i znów opada. Jej włosy są miękkie, pachną różami. Nie mamy ze sobą kompletnie nic wspólnego. Myśl, że ta kobieta patrzyła mi kiedyś w oczy i z niepowstrzymanym zachwytem wyznawała miłość – że lgnęła do mnie jak ćma do światła – jest tak niepojęta, jakby to wszystko tylko mi się przyśniło. Mam wrażenie, że obudziłem się w zupełnie innym życiu, które nie ma nic wspólnego z tamtym.

Caroline przegląda się w lustrze, rozprowadza szminkę na wargach.

– Zaraz wychodzimy – oznajmia.

– Dokąd idziecie?

Nie mam pojęcia, dlaczego zawracam sobie głowę pytaniem. Życie toczy się swoim torem, który nie ma wiele wspólnego ze mną. Niektóre nawyki utrzymują się jednak dłużej niż inne. Nadal chcę wiedzieć, gdzie przebywa i co robi albo przynajmniej jakie wyjaśnienie dla mnie przygotowała.

Caroline zatrzymuje się, patrzy prosto na mnie.

– Do moich rodziców. – Wymawia każde słowo powoli i wyraźnie, jakby zwracała się do dziecka. – Zabieram Eddiego na weekend, pamiętasz?

– To dopiero w następny. – Owszem, coś mi świta. Czuję żalostną iskierkę satysfakcji, że coś przeniknęło mi do mózgu. Ale to nie miało być dziś, a w każdym razie tak mi się wydaje.

– Dziś jest ósmego lipca, Francis – wyjaśnia Caroline. – Tak jak planowaliśmy od początku. Zaraz wychodzimy, wrócimy w niedzielę rano. Pojutrze.

Posyłam jej ostre spojrzenie. To brzmi jak sarkazm, jakby tłumaczyła coś kretynowi. Ale kiedy patrzę jej w oczy, dostrzegam w nich powagę. Chyba myśli, że naprawdę nie rozumiem, co się do mnie mówi.

– Pewnie, wiem. – Wzruszam ramionami. – To na razie. Bawcie się dobrze. Zadzwoń.

Caroline zarzuca torebkę na ramię, przez chwilę poprawia pasek. Myśli przelatują przez jej twarz jak motyle, każda wyraźniejsza od poprzedniej.

– Na twoim miejscu wykorzystałabym ten czas na zastanowienie się, co dalej – odzywa się w końcu, nie podnosząc wzroku. – Wiesz, jak się z tym czuję. Nie uważam, żeby ten związek do czegoś zmierzał. I albo zajebicie szybko przekonasz mnie, że jest inaczej, albo sam wiesz, co się stanie.

Pomimo wulgaryzmu jej głos jest smutny i spokojny. Jeśli w ogóle do kogoś się zwraca, to do samej siebie.

Ta myśl niesie ze sobą mgliste pocieszenie. Jeśli nie potrafisz nawet spojrzeć mi w oczy, uznaję, to nie myśl, że możesz mi mówić, co mam robić. Już po chwili zapominam, że w ogóle się odzywała.

Eddie wbiega do salonu. Czerwona koszulka, niebieskie buty. Bez ostrzeżenia rzuca się prosto na mnie, tryka mnie głową w brzuch. Krzywię się i chwytam go za ramiona, odsuwam od siebie. Wyciąga ku mnie ręce, obejmuje mnie za szyję.

– Pa, tato.

Przez krótką chwilę patrzymy sobie w oczy. Eddie, ostatnia osoba na świecie, która mnie nie ocenia – i to tylko dlatego, że nie ma jeszcze do tego odpowiednich narzędzi. Jest za mały, żeby rozumieć, co się dzieje. Prędzej czy później jego wzrok zmaćci jednak podejrzliwość, wargi wykrzywią się z niesmakiem i on też się ode mnie odwróci.

Rozlega się trzaśnięcie drzwiami i już ich nie ma. Próbuję przeanalizować swoje uczucia. To przypomina grzebanie ostrym patykiem w rzeczonym mule. Osamotnienie. Ulga. Dwie strony tego samego medalu. Nie znoszę samotności, a mimo to ten stan wydaje mi się naturalny, nieunikniony. Dwa dni. Wygrzebuję opakowania pigułek, które trzymam wciśnięte między poduszki kanapy, łykam kilka niebieskich krążków. Zaczynam liczyć, ile mi zostało, ale co chwila tracę rachubę. Lepiej nie ryzykować. Nie, żeby jeszcze jakoś na mnie działały – pamiętam, jakiego kopa dawały mi kiedyś. Od miesiąca nie uzyskałem takiego haju, wymyka mi się jak słodkie wspomnienie dawnej kochanki. Mimo to nie mogę bez nich funkcjonować. Odmierzają moje oddechy. Tylko dzięki nim jeszcze jakoś ciągnę.

Wysyłam wiadomość do jednego z moich źródeł i proszę, żeby odłożył mi trochę. Nie stać mnie, ale teraz to już bez różnicy. Coś mi mówi, że nie zostanę tu na tyle długo, by musieć ogarnąć ten bajzel. Kiedy ostatni raz zajrzałem na konto bankowe, zobaczyłem absurdalnie wysoką sumę. Dopiero po chwili dostrzegłem niepozorny minus z przodu. Czasami widzę rzędy ujemnych liczb wirujące dookoła w zupełnej ciszy. To równoległy świat, powoli zajmujący miejsce cofającej się rzeczywistości.

Wstaję i podchodzę do okna, wdycham słodkie, ciepłe powietrze. Mam dziś sesję w klinice. Nastolatka, przychodzi do

mnie od miesiący. Z początku nawet w czymś jej pomagałem. Mógłbym odwołać, tak jak większość wizyt, nagle jednak czuję dziwny przyływ energii. Perspektywa podróży pociągiem i popołudnia w klinice niespodziewanie wydaje się całkiem wykonalna. Nawet przyjemna. Może kłamałem, mówiąc, że pigułki nic już mi nie dają. Nadal coś w tym jest, choć trudno to przewidzieć i zdefiniować. Cóż, równie dobrze mogę z tego skorzystać.

W klinice okno, które otworzyło mi się na chwilę w głowie, znów zatrzaskuje się na głucho. Zimno tu. Pożółkłe dywany, zagrzybiona tapeta, spłowiałe abażury. Nie powinno mnie tu być. Ściany otaczają mnie jak strażnicy, pochylają się do wewnątrz, zasłaniają światło i odbierają mi przestrzeń. To miejsce próbuje się mnie pozbyć.

Trudno, już za późno. Idę do gabinetu. Wszystko już na mnie czeka, każda rzecz jest na swoim miejscu. Pudełko chusteczek na niskim stoliku. Dzbanek z wodą i dwie małe szklanki. Lampa w kącie rzuca ciepłe światło. Słyszę za sobą kroki dziewczyny. Nie pamiętam jej imienia. Zerkam na różową podziałkę wystającą z teczki. Melody. To nie do końca imię. Oznacza też coś innego, chociaż nie potrafię sobie przypomnieć, co dokładnie. Nieważne.

– Jak się dziś czujesz? – pytam.

Mój głos brzmi dziwnie, obco. Jest stłumiony, jakby przefiltrowany przez kilka warstw dźwięku. Dziewczyna przekrzywia głowę i patrzy na mnie wyczekująco. Muszę powtórzyć.

– Aa – mówi obojętnie, jakby spodziewała się czegoś innego, lepszego. – Chyba w porządku. Kiepski tydzień. Z mamą znowu były problemy.

Wciąga mnie na mokradła wspomnień, wygrzebuje pokłady błota. Próbuję słuchać. Coś o kłótni, ktoś podniósł głos, powiedział coś przykrego. Rozdrapuje dawne rany, zastanawia się, czy można jeszcze ocalić tę relację. Słowa sypią się jedno za drugim, ale mój mózg odsiewa je i wyrzuca, bo serce tłucze mi się o żebra, dłonie mam mokre od potu. Wiem, że kiedyś cudze problemy miały dla mnie jakieś znaczenie, ale teraz nie liczy się już nic i nikt poza mną.

Melody wciąż mówi, ale w jej oczach pojawia się nowy wyraz. Patrzy na mnie z powątpiewaniem, jakby się zastanawiała, kim jest ten typ, przed którym zwierza się ze swoich sekretów. Nie goliłem się od tygodni, nie pamiętam, kiedy ostatni raz brałem prysznic, a na koszuli mam zaschniętą plamę wielkości dłoni.

Stukam palcami o blat stolika. Przestaję. To wygląda, jakbym się niecierpliwił, jakby jej historia mnie nudziła.

– Możesz powtórzyć? – pytam, bo zamilkła, jakby nadeszła kolej, żebym zaoferował jej coś w zamian. Kłopot w tym, że nie mam pojęcia, co właśnie usłyszałem.

– Powiedziałaś – powtarza Melody, podobnie jak Caroline zwalnając i robiąc długie pauzy między słowami – że czuję się, jakbym przyszła na świat w niewłaściwej rodzinie.

– Ciekawe – stwierdzam.

To naprawdę interesujące. Mój umysł nagle przyspiesza, myśli wirują i pędzą z prędkością stu kilometrów na godzinę, jaskrawe piłeczki wypadają w przypadkowej kolejności z bębna maszyny losującej, bez żadnego porządku ani planu.

– Widzisz, niewykluczone, że twoja matka myśli to samo. Że urodziłaś się w niewłaściwej rodzinie, a ona urodziła jakieś obce stworzenie, upiora. – Coraz bardziej podoba mi się ten pomysł, ale dziewczyna odsuwa się gwałtownie, jakbym ją uderzył. Jej

oczy wypełniają się łzami i zanim zdążę zareagować, podrywa się z fotela i wybiega z gabinetu.

Nie ruszam się z miejsca. Nigdy dotąd nie przytrafiło mi się coś takiego. Dzisiejszy dzień jest pełen przełomów. Z korytarza dochodzi odległe echo jej głosu. Wyjaśnia coś płacząco i ze wzburzeniem, odpowiada jej uspokajający szept. Rozmowa trwa kilka minut. Dziewczyna mija mój gabinet, nawet nie zaglądając do środka, i opuszcza klinikę, a na pożegnanie trzaska głośno drzwiami.

– Francis.

To Sara, w tych swoich zakrzywionych okularach w rogowej oprawie. Ma cienkie mysie włosy i zawsze ubiera się w długie zwiewne sukienki. Kojarzy mi się z hipiską, którą ktoś wyprał z całej wolnej miłości i chęci dobrej zabawy. Ta myśl wydaje mi się tak śmieszna, że mam ochotę się nią podzielić. Nie zdążam jednak, bo Sara zaplata ręce na piersi i znów zaczyna gadać. Jej głos jest stonowany, lecz natarczywy.

– Nie udało mi się dowiedzieć, co dokładnie powiedziałaś Melody, ale bardzo ją zdenerwowałaś.

– Zdenerwowałem?

Próbuję prześledzić naszą rozmowę i zrozumieć, o co może chodzić. Powiedziałem coś interesującego, dającego do myślenia. To nic osobistego. Ja też jestem upiorem. Nie mam swojego miejsca. Nie przynależę do zadowolonej z siebie, zgentryfikowanej przestrzeni zajmowanej przez moją rodzinę ani do pozornie idealnej komórki społecznej, jaką powinienem tworzyć z żoną i dzieckiem. Może właśnie to należało jej powiedzieć.

– Tak – potwierdza stanowczo Sara. – I muszę zwrócić ci uwagę, że to nie pierwsza skarga na ciebie w ostatnich kilku

tygodniach. Nie wspominając nawet o wszystkich odwołanych sesjach. Na pewno rozumiesz, że to bardzo trudna sytuacja. Wszystkim nam zależy na twoim dobrym samopoczuciu, ale są pewne granice. Pacjenci nam ufają. Musimy mieć pewność, że ich nie zawiedziesz. Jeśli potrzebujesz wsparcia, możesz się o nie zwrócić. Akurat ty powinieneś wiedzieć najlepiej, że to żaden wstyd...

W tym momencie się wyłączam, bo doskonale wiem, do czego zmierza. Jej wargi nadal się poruszają, wydają z siebie różne dźwięki. Ostre spojrzenie, łagodne słowa. Myli się, jeśli sądzi, że przemówi mi do rozsądku. Gdybym miał w dłoni pistolet, pociągnąłbym za spust.

– Pierdolę – oznajmiam i podnoszę się z fotela. – Rzucam to.

Przepycham się obok niej w drzwiach. Ledwo jej dotknąłem, ale jej wargi układają się w zaskoczony mały „o”. Przyciska dłoń do boku, jakbym dźgnął ją w żebra. Tak naprawdę jednak zraniłem tylko jej dumę. Ludzie, którzy tak łatwo się obrażają, nie powinni w ogóle mieć prawa do życia.

Ulica, pociąg, droga do domu. Dźwięki otoczenia huczą mi w głowie, ręce i nogi mam obolałe i napięte. Barwne plamy tańczą przed oczami, ludzie suną po chodniku jak po tafli lodu. Koniec. Nie muszę już wkładać maski i udawać, że potrafię słuchać cudzych problemów i zaoferować rozwiązanie. W ogóle już nie potrafię słuchać. Mogę otrzepać ręce i zająć się czymś nowym. Cokolwiek to jest.

Po powrocie do domu włączam telewizor i wrzucam pizzę do piekarnika. Zjadam całą w pięć minut, tłuszcz brudzi mi ręce, usta wypełnia tani, sztuczny smak. Natrafiam na program o Wielkim Kanionie. Wpatruję się w oszalamiające panoramiczne krajobrazy. Uświadamiam sobie, że na zewnątrz

znajduje się cały wielki świat, do którego nie mam dostępu. Ta wiedza posyła mnie w głąb mojego prywatnego kanionu, prosto do miejsca tak znajomego, że czuję się w nim jak w domu – bardziej niż w tych czterech ścianach. Zaczynam pisać do Caroline: „Przypomnij mi, żebym ci powiedział o czarnym kanionie”. Kilka miesięcy temu taka enigmatyczna wiadomość natychmiast wpędziłaby ją w histerię. Co się dzieje, Francis? Wszystko w porządku? Czasami szybciej wracała do domu z wieczornych wyjść, by jak najszybciej znaleźć się znów przy mnie. Nawet mi się to podobało. Widziałem, że jej zależy. Tym razem jednak telefon milczy. Leży obok mnie jak cegła. Nie mam nawet do kogo zadzwonić.

Siedzę na kanapie jeszcze przez kilka godzin. Przesuwam paznokciem po świeżym opakowaniu pigułek, wyciskam i połykam jedną po drugiej, a kiedy myślę, że powinienem już odpuścić, biorę jeszcze kilka, aż świat rozmyje mi się przed oczami i stracę kontakt z rzeczywistością. Ale nie dzieje się nic spektakularnego. Budzę się czternaście godzin później z morderczym bólem głowy, każda kość wbija się w staw jak nóż. Wszystko inne byłoby zbyt proste. Nawet teraz nie potrafię wybrać łatwego rozwiązania.

---

*Nie należało wysłać jej zdjęcia. To była impulsywna decyzja. Cóż, przy takim mnóstwie mejli, jakie wyprodukowała, coś musiało się przebić i mnie sprowokować. Nawet mała waląca łapami w klawiaturę napisała by w końcu Makbeta – po paru godzinach albo kilku milionach lat. Caroline nie potrzebowała aż tyle czasu, żeby trafić w mój słaby punkt. To zarzut, że nic nie robię, wymusił reakcję. Założenie, że tylko*



bezczylnie siedzę i biernie czekam, aż coś się wydarzy. Oczywiście jak wszystkie najlepsze obelgi, to przypuszczenie zabolalo, bo wzbudziło we mnie obawę, że jest w nim ziarno prawdy.

Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, dlaczego ton jej wiadomości nagle się zmienił – pełne napięcia pytania, zawołowane groźby – ale kiedy znów spojrzałam na zdjęcie, dostrzegłam moją sylwetkę w lustrze z brzegu kadru. Wystarczył rozmazany odbłysek flesza, żeby przebić romantyczną bańkę. To musiało nią niezle wstrząsnąć, rzucić nieprzyjemne, ostre światło na własny tok myślenia. Kiedy byłam Carlem, mogła sobie wmawiać, że dawny ukochany włamał się do jej życia, bo nie mógł bez niej wytrzymać. Teraz pozbawiłam ją złudzeń, a mimo to nic nie rozumie. Aż tak przepisała sobie własną przeszłość. Nie potrafi przyjąć do wiadomości, że tamtej nocy stało się coś o wiele ważniejszego niż tylko ta jedna rzecz, z której uczyniła sens życia.

Cóż, nie mogę nad tym rozmyślać w nieskończoność. Mam dzisiaj gości. Muszę przygotować mieszkanie, żeby wyglądało idealnie – a przynajmniej te części, które mogliby zobaczyć. Wypolerowałam wszystkie powierzchnie, posprzątałam śmieci i strzępy ubrań. Zdjęłam ze ściany wszystkie zdjęcia przedstawiające Caroline – muszę przyznać, że bez nich niewiele zostało, ale może nie zauważą. Teraz zmywam naczynia, sprzątam i szoruję kuchnię i łazienkę, przez cały ten czas myśląc o chwili, kiedy goście przekroczą próg mieszkania i znajdziemy się tu we troje. Zaprojektowałam sobie idealną wizję, dopracowaną w najdrobniejszych szczegółach, zawiesiłam ją poza czasem. Jeszcze nie wiem, co z nią zrobię. Ale im bardziej się zbliża, tym mocniej wierzę, że właściwe rozwiązanie objawi mi się samo: zstąpi na mnie jakaś nieziemską inspiracją i zrozumie, jak wszystko naprostować, wymazać ostatnie dwa lata i zacząć od nowa.

## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

Jesteśmy w oświetlonym neonami wariatkowie, ukrytym głęboko w trzewiach betonowego centrum handlowego. To ostatnie miejsce, w którym mam ochotę przebywać. W powietrzu unosi się zapach smażonych frytek, dudnienie basów i wrzaski małych dzieci. Francis postanowił, że powinniśmy wybrać się na sentymentalną wycieczkę na kręgielnię, którą odwiedzaliśmy czasem jeszcze przed narodzinami Eddiego. Kiedy wszedł do sypialni, żeby mi to zaproponować, nadal wpatrywałam się w zdjęcie naszego korytarza, próbowałam się skoncentrować, krew huczała mi w uszach. W oszołomieniu nie potrafiłam odmówić. Przez jedną nierozsądną chwilę wydawało mi się nawet, że dobrze mi to zrobi – chwila przerwy na przewietrzenie umysłu i zastanowienie nad tą skomplikowaną mieszanką rozczarowania, ulgi, zaskoczenia i strachu. W tym chaosie jednak nie mam szans skoncentrować się na czymkolwiek. Każdy zgrzyt i uderzenie działają mi na nerwy.

– Dobra, ja zaczynam! – Francis z ożywieniem waży kule w dłoniach, wybiera odpowiednią. – Przygotuj się na lańsko.

Pewnym krokiem podchodzi do toru i rzuca, wkładając w to więcej siły niż precyzji. Kula z turkotem wpada do rynny. Od tego dźwięku aż bolą mnie zęby.

– No cóż... – wzdycha, wzruszając ramionami i posyła mi nadąsane spojrzenie przez ramię. – Wyszedłem z wprawy. Zaraz sobie przypomnę.

Próbuję się uśmiechnąć, ale twarz mam sztywną, jakby zdrętwiały mi wszystkie mięśnie. Pomimo że w niewielkiej przestrzeni roi się od gości, panuje tu straszliwy ziąb. Klimatyzacja bezlitośnie pompuje lodowate powietrze, całe ramiona mam pokryte gęsią skórką. Podnoszę kulę, podchodzę do wyznaczonego miejsca i zmuszam ramię do wyrzutu. Patrząc za jaskrawopomarańczowym kształtem turlającym się prosto na centralny kręgiel. W ostatniej chwili kula jednak ślizga się i skręca, przewraca dwa albo trzy kręgle i znika.

– A to pech! – zawodzi kpiąco Francis, poklepując mnie po ramieniu w geście udawanego współczucia.

– I tak miałam więcej szczęścia od ciebie – odgryzam się odruchowo.

Słucham naszych przekomarzań jakby z boku. Nagle ogarnia mnie desperacja: wiem, że powinnam się cieszyć tą chwilą, zrelaksować się i dobrze bawić z mężem, bez zagęszczania sobie powietrza cieniami z przeszłości i obrzydliwymi, mrocznymi myślami, które uparcie wciskają się między nas. Wyciągam rękę i chwytam jego dłoń nadal spoczywającą na moim ramieniu, zaciskam palce na jego cieplej skórze. Właśnie to jest prawdziwe, a mimo to nie potrafię pozbyć się myśli, że wystarczy, bym powiedziała jedno słowo, i wszystko rozsypie się w pył. Jedno wyznanie, jedna decyzja – i całe to starannie, mozolnie odbudowane życie pęknie i zniknie. Nieważne, co zrobię – wystarczy, by jedno z nas odwróciło się i odeszło, bym straciła całą wartość. Gramy dalej, ale dręczące myśli nie dają mi spokoju. Jesteś jakoś związany z kobietą widoczną na zdjęciu, które mi

wysłałeś. Nie może być inaczej. Czy zaplanowaliście to wszystko razem? Może jest w tobie zakochana i odwala za ciebie brudną robotę? To jednak nie ma sensu – gdybyś chciał wejść do mojego mieszkania i przekonać się, jak wygląda moje życie, po co miałbyś wysłać kogoś innego? Chyba że jesteście razem. Ale te zdjęcia w korytarzu... Nie wierzę, żebyś zrobił coś takiego, to do ciebie nie pasuje. Nie zaakceptowałbyś takiego posunięcia. To zbyt subtelne, zbyt złowrogie jak na ciebie. Nawet gdybyś chciał mnie skrzywdzić, na pewno nie zrobiłbyś tego w taki sposób. Nie bawiłbyś się w takie podchody i oszustwa. A to może oznaczać tylko jedno... Że nie masz z tym nic wspólnego.

Ale to też bez sensu. Nie wierzę, że zupełnie przypadkiem mieszkasz po drugiej stronie ulicy. Nieważne, od której strony na to spojrzeć, chodzę w kółko i wracam po własnych śladach do punktu wyjścia. Kim jest ta kobieta? Co robi w moim mieszkaniu, czego ode mnie chce?

Gęsta, ciemna fala myśli unosi się w odległym zakamarku umysłu. Powstrzymuję ją, zaciskając pięści z wysiłku. Pomieszczenie zaczyna wirować, spłówiały psychodeliczny wzór na podłodze tańczy mi pod stopami jak zepsuty obraz w telewizorze.

– W dziesiątkę! – Francis podnosi ręce w górę. – Pozamiatane. – Podbiega i całuje mnie na pocieszenie. – No, nie przejmuj się. Nie poszło ci aż tak źle...

Spoglądam na tabelę wyników i uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, jak minęła gra. Widzę, że uzbierałam sześćdziesiąt osiem punktów, ale nie przypominam sobie ani jednego rzutu poza pierwszym. Znowu straciłam czas, wyszłam z własnego życia. Pragnienie autodestrukcji przegryza się przez moje mechanizmy

obronne jak każde inne uzależnienie. W końcu zaczyna przenikać do środka.

Przybieram lekki ton, gratuluję Francisowi i przytulam go mocno, wdychając znajomy zapach jego wody po goleniu. Wtapiam się w jego bezpieczną, solidną sylwetkę.

– Jesteś głodna?

Kiwam głową, choć nie wyobrażam sobie, że mogłabym coś przelknąć, a od zapachu smażeniny i unoszącego się w powietrzu tłuszczu robi mi się niedobrze.

– Okej, pójdę zamówić nam po burgerze – mówi Francis. – Spróbujesz zająć stolik?

Rusza oświetlonym neonami korytarzem w stronę kafeterii. Idę kawalek za nim, bezmyślnie rozglądając się po rzędach żółtych stolików. Dostrzegam wolne miejsce pośrodku i podchodzę do niego, siadam na twardym plastikowym krzeselku. Tuż obok mnie pięcioosobowa rodzina walczy o ostatnią porcję frytek. Dzieci skarżą się i piszczą na siebie nad upačkanym keczupem stolikiem, najmłodsze z rodzeństwa wali piąstkami w wysokie krzeselko i wrzeszczy co sił w płucach, szargając moje i tak już mocno postrzępione nerwy. Szukam innego miejsca, ale w restauracji jest pełno ludzi. Poddaję się, zapadam się w siebie.

Czuję w kieszeni brzęczenie telefonu, żołądek skręca mi się z niepokoju. Przez chwilę myślę, że to Amber daje znać, że wróciłaś – wszystko ci powiedziała i jesteś oburzony, że tu za tobą przyjechałam. Na ekranie pojawia się jednak esemes od Jess. Gapię się zdezorientowana na ikonkę. To sygnał, biała flaga w dziczy, przypominająca, że moje życie nie składa się wyłącznie z tych kilku elementów. Otwieram wiadomość.

*Hej! Dobrze się bawisz? Jak ci się układa z F? Widziałam twoje nowe zdjęcie profilowe na FB – trochę dziwne?! Nie załapałam żartu? LOL. No nic, mam nadzieję, że pogadamy niedługo :-\**

Marszczę brwi, próbuję sobie przypomnieć. Mam w profilu zdjęcie z zeszłego lata – zrobione na plaży z Eddiem, kiedy pojechaliśmy na jednodniową wycieczkę do Margate. Od miesiący go nie zmieniałam. Prawie już nawet nie używam Facebooka, z wyjątkiem okazjonalnego podglądania dawnych znajomych.

Złowieszczy dreszcz przebiega mi po plecach. Prędko otwieram aplikację w telefonie, wchodzę na swój profil. Z początku nie widzę nawet, co przedstawia zdjęcie. To nieskładna mieszanina linii i kształtów, ciemnych plam i kolorów. Powiększam, przyglądam się z bliska. Widzę roztrzaskany, zniekształcony samochód, wyrzucony na pobocze jak zniszczona zabawka. Okna są potłuczone, na ziemi leżą odpryski szkła. Przez dziurę w przedniej szybie widać zaplamione krwią siedzenia.

Tym razem dreszcz, który mną wstrząsa, jest silny i tak intensywny, że wydaję z siebie gwałtowny, syczący wydech. Kątem oka dostrzegam Francisa przeciskającego się przez tłum. Niesie tacę z burgerami i frytkami. Powinnam schować telefon, ale nie mogę wypuścić go z dłoni, palce mam sztywno zaciśnięte na obudowie. Nie mogę się dłużej ukrywać. Prawda patrzy mi prosto w twarz. Muszę odwzajemnić to spojrzenie. Uświadamiam sobie, że gdzieś w duszy zawsze zdawałam sobie z tego sprawę – nie paraliżuje mnie zaskoczenie, lecz poczucie winy. Nie wiem jeszcze, kim jest kobieta w moim mieszkaniu, ale już rozumiem, skąd się tam wzięła.

## Dom

*Caroline, lipiec 2013*

Podróż pociągiem z Eddiem upływa w dobrej atmosferze. Mama przyjeżdża po nas na stację, macha wesoło przez przednią szybę, wjeżdżając na parking. Eddie natychmiast ją dostrzega i aż podskakuje w miejscu z niecierpliwością.

– Babcia! Babcia! – popiskuje, ciągnąc mnie radośnie za rękaw. Kiedy tylko auto zatrzymuje się przed nami, Eddie podbiega i ciągnie za klamkę, wita się pospiesznie i rozsiada na foteliku z tyłu.

– No to pa – mówię z udawanym oburzeniem i nachylam się, żeby zapiąć mu pasy.

Mama śmieje się, zerkając na Eddiego.

– Na pewno nie chcesz pojechać z nami na chwilę do domu?

– Nie, muszę się zbierać.

Źle się czuję na samą myśl o własnych spiętrzonych kłamstwach. Nawet w moich oczach wydają się nieprzemyślane i oczywiste. Francis w każdej chwili może zadzwonić do domu moich rodziców i poprosić, by zawołali mnie do telefonu. Jeśli to zrobi, nie będę mieć żadnej niewinnej wymówki. Mimo to wątpię, żeby taki scenariusz rzeczywiście się ziścił – a nawet jeśli, to może nie będzie tak źle. Przez ostatnie kilka tygodni coraz częściej czuję wzbierającą we mnie energię, zapowiedź eksplozji.

Prędzej czy później napięcie stanie się nie do zniesienia i puszczą mi hamulce.

– Jak wolisz – stwierdza pogodnie mama, opiera się o zagłówek i znów włącza silnik. – Powiedz „pa, pa”, Eddie!

Synek spogląda na mnie przez szybę, uśmiecha się blado. Jego oczy są jasne, niezmacone niepokojem.

– Pa... – bąka cicho i posyła mi buziaka.

Na chwilę ogarnia mnie tak silna tęsknota, że prawie biegnę za samochodem i macham, żeby się zatrzymał. Mogłabym pojechać z nimi, spędzić weekend z dzieckiem i rodzicami, zachować czyste sumienie. To byłoby takie proste. Kojące. Ale nie ruszam się z miejsca, a oni znikają za zakrętem. Zostaję sama. Ściskam w dłoniach niewielką torbę podróżną, wypchaną nową drogą bielizną, zalotnymi strojami kąpielowymi i ubraniami, które mierzyłam godzinami w źle oświetlonych przymierzalniach, wyobrażając sobie, jak ten widok podziela na Carla. Już wkrótce każdy skrawek materiału będzie nosić na sobie niewidzialny ślad jego dotyku. Ciężar w sercu natychmiast znika. Tak bardzo pragnę być przy nim, że wszystko inne traci znaczenie.

Jadę pociągiem na King's Cross i wybiegam na ulicę, rozglądam się za samochodem, który miał wynająć. Jego kolega organizuje urodziny w jakiejś głuszy, dobre trzydzieści kilometrów od naszego hotelu. Z niepokojem przyglądam się autom, nigdzie go nie widzę. Zastanawiam się, czy zmienił zdanie. Wspólny wyjazd, nawet na tak krótki czas, wydaje się czymś odbiegającym od ustalonej normy: pospiesznych wieczorów w jego mieszkaniu, kilkugodzinnych spotkań wciśniętych w resztę mojego życia. Nagle jednak słyszę, że



zatrzymuje się za mną auto. Kiedy się odwracam, on uśmiecha się do mnie przez opuszczoną szybę i poklepuje siedzenie obok.

– Wskakuj.

Serce trzepocze mi w piersi. Okrążam samochód, wślizguję się na fotel pasażera i całuję Carla na powitanie. Był u fryzjera po naszym ostatnim spotkaniu. Gładzę koniuszkami palców świeżo przystrzyżone włosy na jego karku, rozkoszując się delikatnym drapaniem na skórze.

– Podoba ci się? – pyta, wyprowadzając auto z powrotem na ulicę.

– Bardzo.

Carl kieruje jedną ręką. Drugą kładzie mi na nodze, przesuwa nieznacznie po moim udzie, wygładzając materiał spódniczki.

– To dobrze – mówi łagodnie. Czuję, jak mięśnie brzucha zaciskają mi się z pożądania, przechodzi mnie głęboki, szybki dreszcz. Wyciągam przed siebie ręce, wbijam paznokcie w kolana, próbuję odzyskać nad sobą kontrolę. Kiedy podnoszę głowę, zauważam, że Carl mnie obserwuje, zerka na przemian na mnie i na drogę. – Zdjęłaś obrączkę. Tym razem będzie na poważnie.

– Pomyślałam, że może skorzystamy z basenu – wyjaśniam.

To tylko w połowie prawda. Pamiętam, jak siedziałam w pociągu i obracałam pierścionki na palcu. Były ciasne, skóra zaczerwieniła mi się boleśnie, wreszcie je ściągnęłam. Teraz leżą w portfelu, bezpieczne i niewidzialne. Nigdy wcześniej tego nie zrobiłam, ale gdy patrzę na pustą lewą dłoń, wzbiera we mnie nagle poczucie swobody i euforii.

– Jasne. – Carl kiwa głową, ale błysk w jego oczach mówi mi, że tak łatwo go nie nabiorę.

– Nie, żebym nie była poważna... – dodaję. – Nic z tych rzeczy...

Moja dłoń przemyka się ku niemu. Wodzę palcami po wewnętrznej stronie jego uda, czuję jego napięte mięśnie. Powoli przesuwam rękę coraz wyżej, aż wreszcie Carl syczy przez zęby i mnie przegania.

– Kontroluj się – mówi. – Chcę tam dojechać żywy.

Włącza radio, muzyka wypełnia samochód. Śmiejemy się, odurzeni wyczuwalnym napięciem między nami. Słońce wpada przez przednią szybę i w tej jednej chwili czuję, że wypala we mnie cały smutek i zwątpienie. Wszystko jest idealne.

Dojeżdżamy do hotelu kilka minut po czternastej. To małe, niepozorne miejsce o ceglanych ścianach przykrytych zielonym dachem. Na pobielonych drzwiach wisi tabliczka z niezdarne namalowanym logo i nazwą Srebrne Brzozy wypisaną zapętlonymi literami. Stoję obok Carla i czekam, aż nas zamelduje. Rozmawia z recepcjonistką o godzinach otwarcia restauracji i basenu, a ja przez cały ten czas doszukuję się w jej oczach podejrzliwości, której przecież wcale tam nie ma. Kobieta uśmiecha się i podaje nam klucz, a ja nagle uświadamiam sobie, że jesteśmy normalną parą, jak każda inna. Idę za nim prędko przez korytarz do naszego pokoju, upajając się tą myślą. Wiruje mi w głowie tak prędko, że ledwo nadążam ubrać ją w słowa, nawet dla siebie samej: wyobrażam sobie, że jesteśmy razem, zaczynamy wszystko od nowa i wyruszamy wspólnie w podróż przez życie – nie w ślepią uliczkę, tylko w prawdziwą drogę, która może uszczęśliwić nas oboje na bardzo, bardzo długo.

– Nie tak źle, co? – Carl otwiera drzwi.

Bordowe ściany, podwójne łóżko nakryte kapą w tym samym kolorze, poduszki z białą lamówką. Na ścianie wisi obrazek:

abstrakcyjne pole maków o płatkach rozbryzniętych na płótnie jak krew. Powietrze jest ciepłe, zasłony są zaciągnięte, lampka nocna zalewa pokój miękkim światłem. Serce wali mi od natłoku myśli. Rzucam torbę na podłogę i wtulam się w Carla.

– Podoba mi się. – Przyciskam się do niego całym ciałem, lekko unoszę biodra, ocieram się o jego twarde krocze. Muska moje usta wargami. Raz, drugi. – Masz ochotę popływać?

– Pewnie. Jeśli chcesz.

Powoli wodzi dłońmi po moim ciele. Wędrują pod pasek spódniczki i odsuwają lekko majtki od bikini, które mam już pod ubraniem. Cała drzę, ale kiwam głową. Nie chcę, żeby to się wydarzyło zbyt szybko, nie dzisiaj. Ja też potrafię czekać.

Patrzy mi w oczy. Dostrzegam swoje odbicie w jego źrenicach. Mija długa chwila, w końcu Carl się uśmiecha i wypuszcza powietrze z płuc.

– Grzeczna dziewczynka.

Odsuwa się ode mnie, udając brak zainteresowania. Niespiesznie poprawia koszulę. Nawet nie zauważyłam, kiedy rozpięłam mu kilka guzików.

Basen okazuje się niewielkim pomieszczeniem wyłożonym białymi kafelkami. Pod ścianami stoją doniczki z roślinami o lśniących zielonych liściach, wyglądają jak zrobione z nawoskowanego plastiku. Woda błyszczy turkusowym błękitem. Jest zimna, schodzę ostrożnie krok po kroku, piszcząc głośno, kiedy zanurzam uda i dół od bikini. Carl jest już w środku i płynie na drugą stronę, rozbryzgując krople na boki. Zaciskam zęby i opadam cała pod powierzchnię. Kiedy się wynurzam, mam na twarzy idiotyczny uśmiech – ogarnia mnie dziwna, euforyczna radość, jaką czuję za każdym razem, kiedy unoszę się na wodzie. Podpływam do Carla, a on wciąga mnie w objęcia.

Oplatam go nogami, odgarniam mu włosy z oczu i przyglądam nad czołem.

– Uwielbiam to – wyznaję. – Od zawsze.

– Widzę. Zabawne. Nie znałem cię od tej strony.

Mówi to lekkim tonem, ale nie mogę powstrzymać myśli, jak tak naprawdę niewiele o sobie wiemy. Całuję go w usta. Moje nogi unoszą się nad nim, zawieszane w stanie chwilowej nieważkości. Nagle mam ochotę wyznać mu o sobie wszystko, co tylko przyjdzie mi do głowy – dobre i złe rzeczy, wyrzucić to już z siebie i pozwolić, żeby poznał mnie lepiej niż ktokolwiek dotąd. Nie wiem jednak, od czego miałabym zacząć, więc ostatecznie tylko przygryzam wargę i wyslizguję mu się z ramion, odpływam.

Zostajemy w basenie jeszcze prawie pół godziny. Rozmawiamy o tym, jak nam minął tydzień, wspominamy nieważne programy telewizyjne, spędzamy kilka minut w saunie. Drewno prawie parzy mi plecy. Mam wrażenie, że na zawsze wypali na mojej skórze wspomnienie tej chwili. Carl patrzy na mnie z wyższego poziomu, oświetlony słabą czerwoną lampką. Ciemny zarost podkreśla linię jego szczęki, ciemne oczy płoną w półmroku. Pot spływa mi między łopatkami, aż wiercę się z niecierpliwości. Chcę poczuć na sobie jego gorące wargi, język zlizujący pot z mojego ciała. Tak bardzo go pragnę, że nie mogę sobie tego dłużej odmawiać. Jestem oszołomiona i bezbronna. Mam wrażenie, że rozgrzane ściany sauny opadają na mnie ze wszystkich stron.

– Jezu – dyszę, podnosząc się z ławeczki. Odczuwam pożądanie tak silne, że prawie mnie przeraża. – Muszę wyjść.

Na zewnątrz świeci słońce, ale wiatr wpadający przez uchylone okno jest cudownie chłodny. Idziemy na spacer po niewielkim terenie otaczającym hotel, mijamy trawnik

i przysiadamy na ławce na skraju ogrodu różanego. Carl mnie obejmuje, opieram się o jego pierś i patrzę na hotel. Ogarnia mnie dziwne wrażenie, że te chwile są ulotne i trwałe zarazem – cokolwiek się wydarzy, nigdy ich nie zapomnę.

– Żałuję, że nie możesz jutro ze mną jechać – odzywa się nagle.

Nigdy wcześniej nie powiedział nic takiego. Pomimo łączącej nas głębokiej więzi nie próbowaliśmy przekraczać wyraźnie zarysowanej granicy dzielącej nasze życia. Nie przedstawiliśmy się rodzinie ani przyjaciółom, nie mogliśmy publicznie przyznawać się do naszego związku – nie zrobiliśmy żadnej z tych rzeczy, które urzeczywistniłyby go w oczach świata, a może nawet w naszych.

– Ja też żałuję – przyznaję.

Słowa więzną mi w gardle. Wiem, że gdybym to zaproponowała, zbyłby mnie śmiechem. Nie istnieję dla niego poza ściśle ograniczoną prywatną przestrzenią, którą sobie stworzyliśmy. Carl wie, jakie są zasady gry, i dawno się z tym pogodził. Po raz pierwszy zastanawiam się, co tak naprawdę znaczy dla niego poruszanie się po tej ziemi niczyjej. Wyobrażam sobie, jak wpatruje się nocami w sufit i zastanawia się, co właściwie robi ze swoim życiem, dlaczego marnuje na mnie swój czas. Może wolałby, żebyśmy nigdy się nie poznali.

– Hej – szepcze, odgarniając mi włosy za ucho. – Nie rób takiej smutnej miny.

– Ale ja jestem smutna. – Mój głos jest tak cichy, że łatwo byłoby go zignorować. Zmuszam się, by spojrzeć mu w oczy, zaledwie kilka centymetrów od mojej twarzy, i mówię głośniej. – Nie chcę, żeby to się skończyło.

Carl wzdycha. Dalej gładzi moje włosy, rytmicznie i z czułością.

– Ja też nie chcę, Caro. Ale musimy to zrobić, i to już niedługo. Zdaję sobie sprawę, że od dawna o tym rozmawiamy. Wiesz, że zawsze chciałem z tobą być i nie potrafiłem się temu oprzeć, ale to nie ma sensu. To nie jest... – Przerzywa, próbuje uporządkować myśli. – Na pewno rozumiesz, że nie mogę być w poważnym związku z mężatką.

Biorę głęboki oddech, wzbierają we mnie słowa, które noszę w sobie od dawna. Jeszcze nigdy nie byłam tak blisko tego wyznania. Chcę mu powiedzieć, że nie wiem, co właściwie robię jeszcze z Francisem – żyjemy jak obcy ludzie, mijamy się na cienkim czarnym lodzie, zataczając jak najszerze kręgi na peryferiach nieszczęśliwego małżeństwa. A teraz siedzę tu z Carlem i mam większą niż kiedykolwiek pewność, że jestem w nim zakochana. Boję się, że jeśli pozwolę mu odejść, będę tego żałować do końca życia. Nie wiem, dlaczego nie mam siły mu tego powiedzieć.

Łzy napływają mi pod powieki i widzę, że jego oczy też się zaszkliły. Kiedy mnie całuje, oboje płaczemy, czuję świeżą wilgoć na jego policzkach.

– Daj spokój – mówi Carl po chwili, wyciera oczy wierzchem dłoni. – To głupie. Nie mamy wiele czasu, powinniśmy się nim nacieszyć. Chodźmy na obiad. Dobrze?

– Dobrze.

Osuszam twarz rękawem, trzepoczę rzęsami, by odpędzić ostatnie łzy. Wiem, że Carl ma rację. To nie jest dobry moment na taką rozmowę. Wracamy przez trawnik, trzymając się za ręce. Znów porywa mnie fala szczęścia, splukuje wspomnienie

ostatnich kilku minut, jakby to nigdy się nie wydarzyło. Nie będę o tym myśleć. Nie teraz.

Siadamy do obiadu w niemal pustej restauracji. Śmiejemy się z plastikowych kwiatów wetkniętych nieporadnie do wazonika na stole, długo przeglądamy zalaminowane menu, a ostatecznie i tak wybieramy posiłek niemal na ślepo. Dobrotliwa starsza kelnerka przynosi nam wino i uśmiecha się promiennie, gdy zauważa, że trzymamy się za ręce. Bije od niej aura serdecznej aprobaty. Myślę, jak łatwo mogłabym zetrzeć jej ten uśmiech z twarzy. Wystarczyłoby powiedzieć, co tak naprawdę tu się dzieje. Pociągam łyk chłodnego, świeżego wina. Nagle bardzo bawi mnie myśl, że miałabym odgrywać rolę jakiejś córki Koryntu. Nie jestem taką kobietą. Nie czuję się tak.

– Całkiem dobre, nie? – komentuje Carl w połowie obiadu, wskazując na jedzenie gestem sugerującym lekkie zaskoczenie.

– Muszę przyznać, że bardzo dobre – podbijam stawkę i otwieram szeroko oczy w wyrazie zaskoczenia. Jedzenie jest przeciętne, ale w tej chwili wszystko wydaje mi się dziesięć razy lepsze niż w rzeczywistości. – Oczywiście nie tak dobre jak twoja kuchnia.

Do tej pory tylko raz miałam okazję spróbować jego jedzenia. Któregoś wieczoru przyrządził pospiesznie makaron, kiedy oboje byliśmy zbyt napięci i podnieceni, żeby zawracać sobie głowę wyjściem do restauracji przed seksem. On jednak kiwa głową, jakby przyjmował zasłużoną pochwałę.

– No – przytakuje, nie siląc się na fałszywą skromność. – Jestem w tym niezły. I jeszcze w paru innych rzeczach – dodaje, posyłając mi filuterny uśmiech.

W jednej chwili wstajemy od stołu i szybko przechodzimy przez restaurację, zatrzymując się tylko na moment, by zostawić

kelnerce numer pokoju i prośbę o doliczenie posiłku do rachunku. Serce mi wali, kolana z każdym krokiem coraz bardziej miękną. Carl otwiera drzwi. Ledwo wchodzę do środka, od razu je zatrzaskuje i przyciska mnie do nich całym ciałem, aż uderzam plecami o twarde drewno. Chwyta mnie za ręce i unosi je nad głowę, przytrzymuje moje nadgarstki dłońią i mnie całuje, wpycha mi język w usta, przygryza wargę tak mocno, że czuję na języku metaliczny posmak krwi.

– Powiedz, że tego chcesz – szepcze mi do ucha.

Wyrzucam z siebie rozpalone słowa, których nigdy nie spodziewałam się wypowiedzieć, wyginam niecierpliwie biodra, on wolną dłońią podrywa moją spódnicę i ściąga ją jednym ruchem.

Bierze mnie na ręce i już po chwili jesteśmy w łóżku, zauważam nasze odbicie w wysokim lustrze naprzeciwko. Wplątam palce w jego włosy, widzę jego ciało na moim, silne, twarde mięśnie jego ramion rysują się pod skórą, kiedy zdejmuje koszulę. Nie rozsunęliśmy zasłon, lampka nocna rzuca cienie naszych splecionych ciał na przeciwległą ścianę. Słyszę własny oddech, prędkie i płytkie, oplątam Carla ramionami, a on wchodzi we mnie jednym ruchem bioder. Z początku poruszamy się powoli, jego dłonie gładzą moją skórę niespiesznie i z rozmysłem. Mówi coś, ale nie słyszę.

– Mocniej – dyszę. – Tak.

– Poproś ładnie – nakazuje, wpatrując się we mnie płonącymi oczami.

– Przepraszam – jęczę, czując, jak cały się napina. – Proszę.

On tylko patrzy mi w oczy, a potem robi wszystko, czego pragnę, choć niczego więcej się nie domagam – nie muszę, bo on dobrze wie, jak doprowadzić mnie do obłędu. Potrafił to od



początku, bo jest między nami chemia, jakiej nie dałoby się nauczyć ani wytłumaczyć.

– Nigdy nie będę miała cię dość – szepczę, a on tylko uśmiecha się przewrotnie, jakby chciał powiedzieć, że nie muszę nic dodawać, bo to tak oczywiste, że nawet ślepy by zauważył.

Później leżymy w łóżku i rozmawiamy, a kiedy niebo na zewnątrz ciemnieje i pierwsze krople deszczu zaczynają stukać o szybę, znów zbliżamy się do siebie. Kładę się na nim, moje włosy opadają mu na pierś, czuję jego mocne, ciepłe dłonie na skórze. Szepczę, że uwielbiam to z nim robić, on odwzajemnia się tym samym. Tak niewiele dzieli mnie od wyznania, co naprawdę czuję, ale nadal nie mogę tego zrobić. Dużo później, kiedy Carl śpi tuż przy mnie, a deszcz przechodzi w gorącą letnią burzę, wpatruję się w jego twarz w mroku i wtedy mówię mu wszystko, wiedząc, że mnie nie słyszy i nie muszę czekać na odpowiedź.



*Gdy słyszę brzęczyk domofonu, w pierwszej chwili sama w to nie wierzę. Całe popołudnie przesiedziałam w salonie. Nie potrafiłam skupić się na niczym dłużej niż minutę. Po prostu byłam. Czekałam. Oddychałam. Te dwie czynności kosztowały mnie tyle wysiłku, że nie mam w sobie już ani krzty energii. Zdążyłam pogodzić się z myślą, że nie przyjdą. Teraz jednak dzwonek rozlega się ponownie. Podchodzę do odbiornika, mówię „Halo?” i słyszę głos, który – już to wiem – brzmi jak Caroline. Kobieta zasypuje mnie wyjaśnieniami i usprawiedliwieniami, choć przecież to ja ich zaprosiłam.*

*Wpuszczam ich do budynku. Słucham pospiesznych kroczków Eddiego na schodach, babcia idzie nieco wolniej za nim. Nie mam czasu*

na przygotowanie. Już tu są, stoją na progu, chłopiec zerka na mnie i niemal natychmiast traci zainteresowanie. Pędzi do klatki chomika stojącej w kącie pokoju i otwiera górne drzwiczki.

– Dziękujemy, że mogliśmy wpaść – mówi matka Caroline. – Eddie ponoć cały dzień opowiadał o tym w przedszkolu. Nie zajmujemy pani wiele czasu.

Jej słowa są uprzejme, ale wzrok wędruje po mieszkaniu, zdradzając niepewność. Chyba instynktownie wyczuwała coś podejrzanego i drogą eliminacji doszła do wniosku, że to muszę być ja. Cisza trwa odrobinę za długo. Dość długo, bym się zorientowała, że należało ją czymś wypełnić.

– Zrobię nam herbaty – oznajmia w końcu. – Wiem, gdzie co leży.

Nastuchuję jej krzątania w kuchni. Odgłos napełnianego czajnika, postukiwanie kubków na blacie. Nawet nie zauważyłam, kiedy przysunęłam się bliżej Eddiego. Siedzi w kucki na podłodze. Trzyma chomika w dłoniach, grucha i mruczy coś do niego we własnym sekretnym dziecięcym języku, zwierzątko węszy w powietrzu. Jasne włosy opadają chłopcu na czoło.

– On jest mój – oznajmia wyraźnie, nie patrząc na mnie. Podnosi jednak głos, żeby nie było żadnych wątpliwości, do kogo się zwraca. – Ja się nim opiekuję.

– Widzę – odpowiadam. Przez chwilę milczę, ważę słowa, które pojawiły się w mojej głowie. Zbierają się w grupki, odbijają od siebie jak baloniki z helem. – A tobą kto się opiekuje?

Chłopiec wzrusza ramionami, nadal zajęty stworzonkiem trzymanym w dłoniach.

– Dużo ludzi – odpowiada.

– Mama? – pytam, a on kiwa głową. – Co mama by dla ciebie zrobiła?

Eddie wreszcie podnosi głowę. Jego wielkie szare oczy pochmurnieją, spogląda na mnie z podejrzliwością wykraczającą poza swój wiek.

*Wychwycił zmianę w moim głosie i wie, że to coś znaczy, nawet jeśli nie potrafi tego zrozumieć. Wpatruje się we mnie czujnymi, nieruchomymi oczami, nawet nie mrugając. Puls huczy mi w skroniach, kręci mi się w głowie.*

*– Powiedz, zabiłaby dla ciebie?*

## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

Jakoś udaje mi się przebrnąć przez lunch. Przełykam kęs za kęsem, ignorując mdłości zaciskające mi gardło. Za każdym razem, kiedy podnoszę jedzenie do ust, myślę o niej. Kobieta bez twarzy – jest w moim mieszkaniu i wie o mnie rzeczy, do których nie powinna mieć dostępu.

Po jedzeniu snuję się za Francisem po centrum handlowym, później idziemy na spacer do parku i wracamy pociągiem do Chiswick. Mój mąż jest w doskonałym humorze i całą drogę trajkocze jak najęty. Dochodzi piąta, kiedy wysiadamy na stacji i ruszamy w stronę domu. Francis zerka na mnie, nachyla się i stuka mnie lekko palcami w czoło.

– Halo, jest tu ktoś?

To niewinne sformułowanie wystarcza, by wytrącić mnie z równowagi.

– Przepraszam, wiem, że niewiele się odzywam. Jestem zmęczona, to wszystko.

– Skoro tak twierdzisz. – Wzrusza ramionami.

Wkładam klucz do zamka i odwracam się przez ramię, by spojrzeć na Francisca. Patrzy mi w oczy – spokojnie, głęboko. Wie, że kłamię. Nie wie tylko, co chcę przed nim ukryć.

– Przepraszam – mamroczę po raz drugi.

Zdaję sobie sprawę, że nie mogę wiecznie trwać w tym napięciu, zanurzając się coraz głębiej w swoich lękach, aż mnie uduszą. Niedługo będę musiała coś zrobić. Znów myślę o powrocie. Kiedy zobaczyłam to zdjęcie na Facebooku, przestałam czuć się bezpiecznie. Nie chcę, żeby ta kobieta przebywała w moim domu. Nie mam pojęcia, do czego może się posunąć.

– Francis... – zaczynam, ale natychmiast przygryzam wargę.

Już o tym rozmawialiśmy i wiem, że raczej nie przekonam go do wcześniejszego powrotu. A nawet gdybyśmy wyjechali przed czasem, co by to dało? Wyobrażam sobie, jak wchodzimy razem do mieszkania, już prawie widzę zdumienie na jego twarzy, gdy próbuję wyrzucić tę kobietę, odmawiając jakichkolwiek wyjaśnień. To się nie uda. Muszę zachować prawdę w tajemnicy, a w tym celu należy się upewnić, że ich ścieżki nigdy się nie przetną.

Nie mogę jednak czekać beczynnie. Niespodziewanie uświadamiam sobie, co należy zrobić – i wiem, że muszę zadziałać, zanim stracę pewność siebie i zmienię zdanie.

– Wiesz co – odzywam się nagle. – Chyba muszę się wykąpać. Poczuję się lepiej. Cała się lepiej.

To tylko w połowie kłamstwo. Odczuwam silną potrzebę, by rozebrać się do naga i zanurzyć w jak najgorętszej wodzie, oczyścić się ze wszystkich koszmarów, które przecież nigdy mnie nie opuszczają.

– W porządku. – Francis znów wzrusza ramionami, nieco udobruchany. – To idź do łazienki, a ja się zajmę kolacją.

Prędko idę na górę i nopuszczam wodę do wanny, ściągam ubranie. Nie zanurzam się jednak. Zamiast tego siadam na podłodze, opieram się o brzeg wanny i wyciągam z kieszeni

telefon. Drżącą ręką wybieram numer domowy naszego mieszkania. Przyciskam aparat do ucha, liczę sygnały. Sześć. Siedem. W połowie ósmego odzywa się poczta głosowa. Rozłączam się, ale coś mi podpowiada, żeby natychmiast zadzwonić jeszcze raz. Znów nikt nie odbiera.

Za trzecim razem po czwartym sygnale ktoś odbiera. Po drugiej stronie nie słyhać jednak żadnego rozpoznawalnego dźwięku, może tylko bardzo cichy oddech. Nabieram powietrza do płuc i przygotowuję się na rozmowę. Nigdy nie zaszłam tak daleko nawet w wyobraźni, a co dopiero w rzeczywistości. Cisza rozlewa się między nami, puchnie i nabrzmiewa, przerywa ją tylko ciche trzeszczenie na linii. Zdaję sobie sprawę, że kobieta nie powie nic pierwsza, ale cierpliwie słucha.

– To ja, Caroline – odzywam się w końcu.

Cisza, lekki ruch po drugiej stronie. Może poprawia ubranie albo przesuwa dłonią po czole.

– Wiem.

Mówi cicho i niskim głosem, z takim opanowaniem, jakby wypłynęły z niej wszystkie emocje. Kiedy tylko milknie, nie potrafię przypomnieć sobie jego brzmienia.

– Nie życzę sobie pani w moim domu – oznajmiam. Do tej chwili sama nie wiedziałam, że tak zamierzam to rozegrać: chłodna, nieco wyniosła, oburzona żona i matka z klasy średniej. – Sugeruję, żeby natychmiast pani go opuściła i nie kontaktowała się ze mną więcej. Mogę zadzwonić na policję.

Tym razem słyszę ciche prychnięcie, ale nic poza tym. Dociera do mnie głupota własnych słów. Ta kobieta prawie się ze mną nie kontaktowała, z wyjątkiem odpowiedzi na moje wiadomości. Zamiana mieszkaniami nie jest nielegalna, a gdy przyglądam się faktom, które mogłabym przedstawić, widzę, jak są ulotne. Sama

ledwie łączę je w całość. Zawołowane wskazówki i nawiązania do przeszłości, które tylko dla mnie mają jakiegokolwiek znaczenie. Żadnych gróźb, żadnego zastraszania. Poza tym kto jak kto, ale ona musi wiedzieć, że w tej sytuacji pójdzie na policję to ostatnie, co bym zrobiła. Wprawdzie nie zdaje sobie sprawy, że nawet teraz na widok umundurowanego funkcjonariusza na ulicy robi mi się sucho w ustach i miękną mi kolana ani że przez wiele miesięcy śniły mi się zimne puste korytarze i cele za ciężkimi metalowymi drzwiami, ale wie, że się ukrywam, że buduję całe swoje życie na unikaniu prawdy o sobie. Nigdy mnie nie spotkała, a mimo to dobrze mnie zna.

– Przepraszam – mówię. Mój głos zdradza wzbierające łzy. Przełykam je z trudem. – Nie wiem, co mam pani powiedzieć.

Uporczywa, wyczekująca cisza. Kobieta nie odkłada słuchawki.

– Kim pani jest? – pytam.

– Szkoda czasu na zadawanie pytań. Przecież znasz wszystkie odpowiedzi.

Kiedy to mówi, dociera do mnie, że ma rację. Oczywiście, że wiem kto to. Tylko jedna osoba mogłaby to zrobić, tylko jej mogłoby tak na tym zależeć. Myślę o Eddiem, o jego czystych szarych oczach i idealnie zaokrąglonych policzkach. O tym, jak jego buzia zmienia się i wyostrza z każdym dniem. Kiedy zamykam oczy, widzę go jak na filmie, klatka po klatce. Potrafię cofnąć się aż do dnia, kiedy po raz pierwszy wzięłam go na ręce.

– Jesteś jej matką, prawda?

Znów cisza. Tym razem jednak mam wrażenie, że coś pękło, uwalniając zgromadzone między nami napięcie. Pozostała tylko mgielka smutku i samotności, która skrapla się na linii i spływa mi prosto do serca, wypełniając je tak szczelnie, że trudno mi

oddychać. Łzy płyną mi po twarzy. Straciłam już rachubę, ile razy wyrzuty sumienia doprowadziły mnie do płaczu, ile razy siedziałam w samotności, próbując pozbyć się tych myśli. Teraz jednak milczę, bo wiem, że moje uzalanie się nad sobą to ostatnia rzecz, jaka interesuje tę kobietę.

– Nie otrząsnęłaś się po tym mężczyźnie – odzywa się w końcu. – Prawda? Wszystko inne udało ci się upchnąć w najdalszy zakamarek, jakby nigdy się nie wydarzyło. Ale nie jego.

Ze wstydem myślę o wiadomościach, które jej wysyłałam, kiedy jeszcze sądziłam, że piszę do ciebie. Z każdego słowa było błaganie o uwagę, desperacka potrzeba kontaktu. Zastanawiam się, czy ta kobieta zdaje sobie sprawę, dlaczego nie mogłam o tobie zapomnieć. Jeśli będę zaprzętać sobie głowę wspomnieniami o tobie, zabraknie w niej miejsca na prawdziwe demony. Potrzebowałam cię, musiałam cierpieć z tęsknoty za tobą, by odciąć się od innych myśli. Teraz jednak zaciskam usta i milczę. Po jakimś czasie kobieta znów zaczyna mówić.

– Wierzysz w sprawiedliwość, Caroline?

– Ja... – Mam wrażenie, że to pułapka. Cokolwiek powiem, przekreśli moje słowa. – Wierzę w wiele rzeczy. W sprawiedliwość, odkupienie, pokutę. – Mam ochotę dodać do tej listy przebaczenie, lecz gryzę się w język. – Ale wiara to nie to samo, co rzeczywistość.

To najlepsza odpowiedź, na jaką mnie stać.

Kobieta znów milczy, jakby się nad tym zastanawiała.

– Jutro to wszystko się skończy – oznajmia wreszcie. – Nie zamierzam z nikim o tym rozmawiać. Nie chcę się z tobą widzieć. Nie chcę z tobą więcej rozmawiać. To ostatni raz, kiedy nasze ścieżki się przecinają.



To powinno dodać mi otuchy, ale z każdym jej słowem czuję coraz większy niepokój. Coś jest nie tak, wychwytyuję jakiś podtekst, którego nie potrafię zidentyfikować. Już otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale kobieta się rozłącza.

Powoli odkładam telefon i przeczesuję wilgotne włosy palcami. Gorąca para z wanny unosi się w powietrze, przysłania lustro i okno lekką mgiełką. Całe ciało mam pokryte cienką warstewką potu. Ocieram oczy przedramieniem, brudząc skórę tuszem do rzęs przemieszanym ze łzami. Przewijam całą rozmowę w myślach. Jej słowa były rzadkie i oszczędne, podszyte ulotnymi komunikatami, które wbijała w gęstą ciszę. Dobrze wie, co się wydarzyło tamtej nocy. Nie mam pojęcia, jak się tego dowiedziała, ale jakoś jej się udało.

Kręci mi się w głowie. Jeśli nie odetchnę świeżym powietrzem, to zaraz zemdleję. Wstaję i podchodzę chwiejnie do okna, otwieram je do połowy. Opieram się o parapet i wystawiam twarz ku błękitowi nieba.

Po chwili czuję się stabilniej, ale nie ruszam się z miejsca. Zamiast tego rozglądam się po ulicy, chłonę jej spokój i symetrię. Słońce odbija się od czerwonych dachów, sprawiając, że lśnią jak świeżo wypolerowane. Wymuskane ogródki ciągną się bliźniaczo jeden przy drugim. Najpierw dostrzegam cień na trawie, sunący pewnie po chodniku. Coś w jego ruchu przyciąga moją uwagę, jeszcze zanim zdaję sobie sprawę, że na niego patrzę. Serce wali mi jak oszalałe, świeży pot występuje mi na nagie ciało. Postać idzie prosto do celu, nie waha się, nie rozgląda na boki. Prosto do drzwi numeru czternastego.

Słońce kryje się za chmurą. Wychylam się przez okno, wbijam palce w brzeg parapetu. Powinnam być na to przygotowana, ale teraz, kiedy znajduję się tak blisko, uświadamiam sobie, że żaden

wysiłek nie powstrzymałby łez napływających mi do oczu z nadmiaru uczuć, których nawet nie potrafię nazwać. To ty. Wróciłeś do domu.

## Dom

*Caroline, lipiec 2013*

Carl wiąże krawat przed lustrem. Obserwuje przy tym moje odbicie. Leżę za nim na łóżku. Już jest spóźniony – dopiero dziesięć minut temu zaczął się ubierać i nawet teraz wyszykował się tylko od pasa w górę. Ma na sobie białą koszulę i ciemną marynarkę, a poniżej tylko czarne bokserki. Wiem, że gdybym się postarała, mogłabym go zatrzymać, przynajmniej na chwilę, ale ciało mam ciężkie od seksualnego wyczerpania. No i wiem, że nie zegnamy się na długo, choć jemu tak się wydaje.

– O której wracasz do domu? – pyta. – Kurwa mać. – Grzebie przy węźle, niecierpliwie rozwiązuje materiał. – Nie chce wyjść jak należy.

– Nie możesz się skupić? – mruczę, przeciągając się uwodzicielsko w pościeli. Carl posyła mi uśmiech. – Pewnie wyjdę za godzinę albo dwie – stwierdzam leniwie, zatrzymując swój mały sekret dla siebie.

Już na początku postanowiłam, że tu zostanę, zrobię mu niespodziankę, kiedy wróci z imprezy. Odbieram Eddiego dopiero jutro koło południa, a w domu nic na mnie nie czeka.

Carl wkłada spodnie i buty, przeczesuje ciemne włosy palcami.

– No to leczę – oznajmia obojętnie, ale kiedy siada obok mnie, dostrzegam smutek w jego oczach. Mam ochotę zdradzić mu, że czeka nas jeszcze jedna wspólna noc, ale gryzę się w język. Chcę zobaczyć zadowolenie na jego twarzy po powrocie.

– Na razie – mówię tylko i przyciągam go do pocałunku. Gładzę jego marynarkę koniuszkami palców. – Bardzo ładnie – szepczę. – Podobasz mi się w takim wydaniu.

– Wiem, Caro. Uwierz mi, że wiem – wzdycha i niechętnie wyplątuje się z moich objęć. – Może wyślę ci jakieś zdjęcie po powrocie.

– Świetny pomysł.

Znowu wzbiera we mnie chęć wyznania prawdy, ale prędko ją tłumię i patrzę, jak Carl rusza ku drzwiom. Odwraca się, żeby ostatni raz na mnie spojrzeć, wychodzi na korytarz i lekko zamyka je za sobą.

Po jego wyjściu pokój wydaje mi się boleśnie pusty, jakby Carl zabrał ze sobą całą energię. Ściany są grube, dźwiękoszczelne. Nawet wstrzymując oddech, słyszę tylko cichy szum, delikatne echo wody przepływającej przez rury. Wczorajsza burza oczyściła powietrze, słońce znów wyszło zza chmur. Złote promienie sączą się przez cienkie czerwone zasłony i ogrzewają moje nagie ciało leżące w kałuży światła. O tym nie pomyślałam – nie mam pojęcia, czym się zająć przez kolejne dziesięć albo jedenaście godzin do jego powrotu. Utknęłam tu bez samochodu, w promieniu kilku kilometrów nie ma żadnych sklepów. Nie zabrałam nawet książki.

Włączam telewizor i przez kilka minut skaczę po kanałach, ale nic nie przyciąga mojej uwagi. Nie mogę się skoncentrować. Wprawdzie to ostatnia rzecz, o jakiej mam ochotę teraz myśleć, ale nie mogę odpędzić wizji Francisa siedzącego samotnie

w domu, bez żony i dziecka w pobliżu. Oczyma wyobraźni widzę, jak zastanawia się nad swoim życiem i uświadamia sobie, że tak będzie ono wyglądać, jeśli się rozstaniemy – i że bez nas nie będzie miał kompletnie żadnego zajęcia. Przez jedną nierozsądną chwilę mam ochotę do niego zadzwonić. Ale nie wiem, co mogłabym mu powiedzieć, więc porzucam ten pomysł. Mam wyciszony telefon – specjalnie się od niego odcięłam. Nie chciałam, by cokolwiek zakłóciło mi wyjazd. Wbrew własnej woli zerkam na ekran, spodziewając się zalewu nieskładnych wiadomości, ale nic nie przyszło. Nie jestem pewna, czy czuję ulgę, zaskoczenie, urazę, a może jeszcze coś innego.

Potrząsam głową i zmuszam się, żeby wstać z łóżka. Pójdę na basen, popływam i posiedzę w saunie, potem może zapytam recepcjonistkę, czy ma jakieś magazyny, które mogłabym pożyczyć na godzinę albo dwie. Dziwnie się czuję w tej wymuszonej samotności. Kiedyś ucieszyłam się na samą myśl o całym dniu tylko dla siebie w hotelu, ale teraz chcę, żeby był przy mnie Carl. Wyobrażam go sobie za kierownicą: na jego twarzy maluje się niepewność, nagle podejmuje decyzję, zawraca i jedzie z powrotem do mnie. Tak mnie wciągnęła ta fantazja, że kiedy otwieram drzwi i widzę tylko pusty, cichy korytarz, jestem niemal zaskoczona.

Godziny mijają powoli, przepycham je mozolnie jak wielkie, ciężkie kamienie. Co pięć albo dziesięć minut patrzę na zegarek i nie mogę uwierzyć, że upłynęło tak mało czasu. Jem lunch w hotelowej restauracji i znów idę popływać, aż włosy tak nasiąkają mi chlorem, że muszę później wypłukać ostry, chemiczny zapach pod prysznicem. Kładę się na łóżku i myślę o wczorajszej nocy, aż cała wibruję z pożądania. Dotykam się sprawnymi, mechanicznymi ruchami, w kilka sekund

rozładowując napięcie. Wracam do punktu wyjścia. Zamawiam butelkę wina i wypijam ją w niecałą godzinę, choć nawet nie mam ochoty na alkohol, po prostu chcę się czymś zająć. O dziewiątej zaczyna się ściemniać. Lekko kręci mi się w głowie i chyba już od kilku godzin nie ruszałam się z miejsca.

Kiedy słyszę kroki zbliżające się do drzwi, włącza się we mnie czerwony alarm, wszystkie zmysły budzą się i iskrzą. Siadam gwałtownie, wyprostowana jak struna. Nagle dociera do mnie koszmarne nieprzewidziana ewentualność – może Carl nie jest sam. Zobaczył na parkiecie dziewczynę, nawiązali kontakt wzrokowy. Pocałował ją w ciemnym korytarzu, zaproponował, żeby pojechała z nim na noc do hotelu. Nigdy nie pytałam, czy przez ostatnie sześć miesięcy spotykał się z kimś jeszcze, bo wiem, że żadne słowa nie usprawiedliwią tego, jak się czuję na samą myśl o jego dłoniach gładzących ciało innej kobiety. Nie chcę się z tym mierzyć, ale przez te kilka sekund, kiedy słyszę kliknięcie karty w zamku i widzę ruch klamki, zastanawiam się, czy nie będę zmuszona do konfrontacji.

Drzwi otwierają się powoli. Carl staje na progu. Jest sam. Przez chwilę patrzymy na siebie w ciszy. W pierwszej chwili na jego twarzy maluje się szok, ale szybko ustępuje miejsca radości, jakiej nie dałoby się sfalszować: jego wargi rozciągają się w mimowolnym uśmiechu, kąciki ust marszczą ze szczęścia i zaskoczenia.

Przechodzi przez pokój i powoli odkłada torbę na komodę.

– Proszę, proszę – mówi. – A ty co tutaj...

Nie ma czasu dokończyć zdania, bo zrywam się z łóżka i padam mu w ramiona. Natychmiast chwyta mnie w mocne objęcia, przyciąga do siebie i kryje twarz w mojej szyi – i już wiem, że dał sobie spokój z udawaniem obojętności.

– Dobrze cię widzieć – szepcze niewyraźnie, moje włosy tłumią jego głos.

Powtarzam to samo wyznanie i odsuwam się nieco, gładzę go koniuszkami palców po skroniach, chłonę każdy szczegół. Chcę wyryć ten moment na zawsze w pamięci.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – mówi. – Wiesz, dzisiaj nie było źle, ale bez przerwy o tobie myślałem. Żałowałem, że nie możesz być ze mną, aż w końcu uznałem, że nie ma sensu dłużej tam siedzieć. Stwierdziłem, że równie dobrze mogę czuć się chujowo tutaj. – Śmieje się kpiąco. – Teraz żałuję tylko, że nie wróciłem wcześniej. Dlaczego jeszcze tu jesteś?

– Bo chcę – odpowiadam po prostu.

Nagle wszystko wzbiera we mnie niepowstrzymaną falą, serce podchodzi mi do gardła. Już wiem, że zaraz mu to powiem. Chcę, żebyśmy byli razem. Już nigdy nie ubiorę się o północy, nie wyjdę od niego, żeby jechać do domu, do innego mężczyzny. Dzisiaj mu to powiem.

– Wszystko w porządku? – niepokoje się Carl.

Od nadmiaru emocji mam ściśnięte gardło. W milczeniu patrzę mu w oczy, próbując wyczytać, co się w nich kryje. Zastanawiam się, jak zareaguje na moje wyznanie.

– Tak, tak.

Jestem rozgorączkowana – ogarnia mnie euforia, uczucia uderzają mi do głowy po długim, bezcelowym dniu. Chcę wyjść, przewietrzyć się, przygotować na powiedzenie wszystkiego, co zamierzam mu dziś wyznać.

– Słuchaj, wyjdźmy gdzieś – rzucam pod wpływem impulsu. – Nie jadłam kolacji. Moglibyśmy przejechać się do pubu, na pewno jest tu jakiś w pobliżu. Usiądziemy na dworze. Może nad rzeką. Chodź – przekonuję natarczywie, ciągnąc go za rękaw.

Carl się uśmiecha, ale przeciera oczy i ciężko siada na łóżku.

– Sam nie wiem, jestem padnięty. Godzinę jechałem z powrotem, to był długi dzień. A poza tym mam lepszy pomysł na spędzenie wieczoru niż siedzenie w pubie... – dodaje, nachylając się do mnie. Wsuwa mi dłoń pod bluzkę, jego palce rysują ścieżki na mojej skórze, sięgają ku zapięciu stanika. Ciemne oczy lśnią zachęcająco w półmroku.

Trudno się oprzeć takiej pokusie, ale nie potrafię strząsnąć z siebie uczucia, że muszę znaleźć się gdzie indziej, choćby na chwilę. Dopiero teraz, kiedy Carl wrócił, uświadamiam sobie, jak bardzo dusiłam się w tych czterech ścianach. Powietrze zrobiło się gęste i ciężkie po całym dniu, a ja chcę, żeby ta chwila była idealna. Zamierzam spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, że go kocham, wykrzyczeć to w otwartą przestrzeń. Jestem odurzona tymi słowami i ich znaczeniem. Nigdy dotąd tak się nie czułam – widzę świat jako nasączony światłem i setkami barw, nagle wszystko staje się możliwe.

Zrywam się z łóżka, wkładam buty, narzucam płaszcz.

– Mogę prowadzić – proponuję. – Nie musisz nic robić, tylko jedź ze mną.

Carl posłusznie wstaje i podchodzi do mnie – widzę, że mój entuzjazm jest zaraźliwy. W jego oczach pojawia się błysk ekscytacji; patrzy tak, jakby widział mnie po raz pierwszy.

– Okej, skoro tak mówisz. Czego sobie tylko życzysz, kotku. – Przyciąga mnie do siebie i całuje mocno, wpycha mi język w usta. – Ale nie na długo – zastrzega. – A kiedy wrócimy, będziesz grzeczna, prawda? Jeszcze zaczniesz myśleć, że masz coś do powiedzenia.

– Ty tu rządzisz – przytakuje.



Uśmiechamy się mimowolnie. Nie potrafimy się oprzeć tym małym gierkom. Wyławiam kluczyki z jego kieszeni. Idziemy powoli korytarzem, prosto na parking.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – pyta Carl, gdy zajmuję fotel kierowcy.

– Jasne – zapewniam prędko. – Wszystko w porządku.

Kiedy uruchamiam silnik, nagle przypominam sobie o wypitej butelce wina. Waham się. Nie mam ochoty mówić ci, że piłam – nie chcę, byś pomyślał, że podjęłam decyzję o odejściu od męża pod wpływem alkoholu. Mam jasny umysł; wydaje mi się wręcz, że od lat nie byłam równie przytomna. Poza tym o tej porze na drogach jest już praktycznie pusto, zwłaszcza w tej okolicy.

Zwątpienie podgryza mnie lekko, ale postanawiam je zignorować. Znów wypełnia mnie poczucie władzy, świadomość, że wszystko nareszcie znajduje właściwe miejsce i nic tego nie zatrzyma. Włączam światła, krętą drogę przed hotelem zalewają strumienie bladożółtego światła. Cienie tańczą na horyzoncie, powykrzywiane gałęzie drzew kołyszą się na lekkim wietrze. Wyprowadzam auto na ulicę. Przez uchylone okno wpada zimny powiew, włoski na przedramionach stają mi dęba.

– Pojedziemy do tego miasteczka, które mijaliśmy po drodze – proponuję. – Na pewno coś będzie otwarte. Okej?

Carl się śmieje i opiera głowę o fotel.

– Nie mam tu nic do gadania, pamiętasz? Masz nade mną władzę. – Wyciąga rękę i kładzie mi dłoń na kolanie, podciąga sukienkę do połowy uda. – To jakiś obłąd – stwierdza kwaśno. – Jedziemy nie wiadomo dokąd, chociaż mógłbym cię właśnie pieprzyć do nieprzytomności.

Te słowa przeszywają mnie jak uderzenie prądu – są dzikie, nieprzyzwoite, wygłodniałe – i na chwilę droga rozmywa mi się przed oczami. Potrząsam lekko głową, mocniej zaciskając dłonie na kierownicy. Kątem oka dostrzegam drżącą strzałkę prędkościomierza i zwalnięm. Nie powinnam jechać za szybko. Czuję dziwne mrowienie w kościach. Sygnalizuje mi, że nie mam pełnej kontroli nad sytuacją.

– Przestań – nakazuję. Słyszę desperacką nutę we własnym głosie, dyszę, wciągając ostre, zimne powietrze.

Carl mi się przygląda. Czuję na sobie jego wzrok wędrujący po moim ciele.

– Uwielbiam patrzeć, jak to na ciebie działa. Nie chodzi tylko o seks, ale... – Urywa, odwraca twarz do okna, wpatruje się w noc.

Wiem, co chce powiedzieć, nawet jeśli nie wyraża tego na głos. Próbuję nakłonić go myślami, żeby dokończył. Chcę usłyszeć, że mnie kocha, zanim sama mu to wyznam. Przekręcam głowę, próbując pochwycić jego spojrzenie, odrywam wzrok od drogi przed nami. Nagle dostrzegam coś kątem oka i uświadamiam sobie, że zbliżamy się do nieoświetlonego zakrętu.

Odwracam się gwałtownie, adrenalina wypełnia mi żyły. Wiem, że muszę szybko skręcić, ciągnę za kierownicę, samochodem ostro zarzuca w lewo – kalkuluję, że na ułamek sekundy będę musiała najechać na chodnik, ale zdążę zahamować, zanim w coś uderzymy. Wszystko będzie dobrze. Carl jednak wychyla się do przodu, krzyczy coś niezrozumiale, i wtedy ją widzę. Idzie szybko po chodniku z nisko opuszczoną głową i rękami w kieszeniach, ciemne włosy i zielony szalik powiewają za nią na wietrze. Z obrzydliwym targnięciem uświadamiam sobie, że jest za blisko, nie zdołam jej ominąć.

Z całej siły wciskam hamulec, mój wrzask rozcina powietrze, w tej samej chwili słyszę i czuję uderzenie – mocne i gwałtowne, ciało dziewczyny wali z głuchym łomotem o przednią szybę i natychmiast zsuwa się na ziemię, zostawiając mi przed twarzą jaskrawą plamę świeżej krwi. Samochód szarpie i zatrzymuje się w miejscu. Siedzimy w ciszy i w absolutnym bezruchu, ale jest już za późno.

Ręce trzęsą mi się niekontrolowanie, nagły ból promieniuje wzdłuż kręgosłupa. Wzrok mam wbity w kierownicę. Nie mogę podnieść głowy.

– Jezu Chryste. – Wyrywa mi się. – Kurwa mać. – To nie brzmi jak mój głos.

– Musimy wysiąść – mówi Carl. Z trudem odwracam głowę w jego stronę. Widzę, że krwawi, odprysk szkła z pękniętej szyby skaleczył mu rękę. – Może... ona może...

Rozpinam pasy i otwieram drzwi, choć dłonie nadal tak mi dygoczą, że ledwo zahaczam palcami o klamkę. Kiedy tylko ją widzę, uświadamiam sobie, że nie ma żadnej nadziei, ale mimo to padam przed nią na kolana i nachylam się, zmuszam się, żeby na nią spojrzeć. Jej ręka jest wykrzywiona pod nienaturalnym kątem, odrzucona od ciała. Prawa strona twarzy zmieniła się w krwawą pulpę, spod której niemal prześwituje kość. Jest młoda. Szesnaście, może siedemnaście lat. Ciemna strużka rozmytego tuszu do rzęs rozcina ocalały policzek, zielony jedwabny szalik nasiąka krwią. Siła uderzenia zrzuciła jej szkarłatne szpilki z bosych stóp. Nie rusza się. Oczy ma wpółotwarte. Każdy szczegół uderza mnie jak oddzielny przeblysł, seria brutalnych klatek filmu wyświetlanych jedna po drugiej i natychmiast gasnących w mroku.

Carl sprawdza jej puls, schyla głowę. Nie muszę pytać.

Przez kilka chwil klęczymy obok siebie w ciszy, milczymy. Mam pustkę w głowie, wszystkie myśli zmieniają się w natrętny szum.

– Co teraz? – pytam. – Co my teraz zrobimy?

Z jego twarzy odpłynęła cała krew.

– Nie wiem. Chyba musimy zadzwonić na policję.

Powoli kiwam głową, próbuję złapać oddech, podnoszę się z ziemi. Teraz myśli pędzą sto kilometrów na godzinę, szaleńczo przewijają nadchodzący scenariusz. Wyjechałam samochodem po ciemku, nietrzeźwa, dziesiątki kilometrów od rodziny, w towarzystwie innego mężczyzny. A teraz jeszcze ta dziewczyna w zielonym szaliku, z ciemnymi włosami i makijażem nałożonym starannie zaledwie kilka godzin temu, ta dziewczyna nie żyje. Zabiłam ją. Zabiłam ją.

– Caro – mówi Carl szorstkim głosem, rozbrzmiewa w nim niemal złość. – Musisz stąd iść.

Podnoszę na niego wzrok.

– O czym ty mówisz? – szepczę.

– Musisz stąd spierdalać, jak najszybciej. Zadzwonię na policję. Zajmę się tym. Rozumiesz? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, bierze głęboki wdech. – Samochód jest wynajęty na moje nazwisko. Tak samo jak hotel. Żaden ślad nie prowadzi do ciebie. Nie ma powodu, żebyś była w to zamieszana.

– Co ty wygadujesz? – Podnoszę głos, łzy zaczynają płynąć mi po twarzy. Dławię się, kwaśna fala wymiotów podchodzi mi do gardła. – Nie mogę. – Przelykam. – To moja wina. Nie mogę tak po pros...

– Kurwa mać, Caro! – Stoimy twarzami do siebie, dziewczyna leży pod naszymi nogami jak na surrealistycznym obrazie. Ulica jest opustoszała, między nami świszcze zimny wiatr. – Nie

zgrywaj idiotki. Wiesz, jak to się dla ciebie skończy. Piłaś. Wiedziałem o tym, a mimo to pozwoliłem ci usiąść za kierownicą, jak ostatni idiota. Nie ujdzie ci to na sucho. Trafisz do więzienia, może na wiele lat. Masz syna. Życie. A ja? Gówno mam. Jestem trzeźwy. Zdarzył się wypadek. Tak będzie lepiej! – krzyczy, zaciskając pięści. W jego głosie pobrzmiwa histeria. Nagle wygląda strasznie młodo. – Wiesz o tym, więc nie baw się w męczeństwo. Po prostu stąd odejź. Proszę.

– A co potem? – Tylko tyle udaje mi się wykrztusić. Łzy nadal ciekną mi po twarzy.

– A potem nic. – Na chwilę zapada cisza. – To wszystko. Koniec. Czas się pożegnać i odejść.

Jego słowa wiszą między nami, wysysają z powietrza cały tlen. Ciemny krajobraz kołysze się i wiruje wokół mnie, przez chwilę mam wrażenie, że zemdleję.

– Nie mówisz poważnie – szepczę. – Musimy przejść przez to razem. Nie poradzimy sobie bez siebie. Nie możemy tak po prostu...

– Owszem, możemy – ucina Carl z przerażającą determinacją. – Nie ma sensu się sprzeczać. To jedyne rozwiązanie. Zawsze tak miało być, a teraz już nie ma innego wyjścia. Mówię poważnie. Żadnych wiadomości, żadnych telefonów. Musisz trzymać się od tego z daleka. I ode mnie też.

– Kocham cię. – Nie tak to miało wyglądać. Czuję kwaśny posmak w ustach, powietrze jest przesycone gorącym, ostrym zapachem krwi, cała dygoczę. – Kocham cię.

– Caro – mówi cicho Carl. Po raz pierwszy słyszę w jego głosie czułe drżenie. – Nie powinnaś tego mówić. To... niepotrzebne. – Marszczy lekko brwi, przesuwa dłonią po czole. – Sam nie wiem.

Chyba też cię Kocham. Ale właśnie dlatego to musi się tak skończyć. Nie zmienię zdania.

Powoli dociera do mnie, co usłyszałam. Opada mnie dziwny, nierealny spokój, jak we śnie. Uświadamiam sobie, że nie mogę z tym walczyć. Wszystko wokół nas zamiera. Znowu zerkam na drogę. Dziewczyna leży nieruchomo, jej krew rozlewa się po betonie, spływa w szczeliny w ziemi. Wbrew sobie czekam, aż podniesie głowę, otworzy oczy. Nic takiego się jednak nie dzieje, łzy na moich policzkach już obeschły, co chwila wstrząsają mną drgawki szoku i mdłości. Robię pierwszy krok.

Patrzę mu prosto w oczy. Widzę w nich przejmujący, surowy ból. Ledwo mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Bez zastanowienia zbliżam się do niego, jego usta znajdują moje. Zamykam oczy. Carl całuje mnie łagodnie i powoli. Już wiem, że robi to po raz ostatni.

Kiedy odsuwamy się od siebie, nagle ogarnia mnie absurdalna nadzieja, że mogę to wszystko jakoś odwrócić, znaleźć magiczne słowa, które przywrócą tę dziewczynę do życia i przeniosą nas w przyszłość, jaką sobie zaplanowałam. Byliśmy tak blisko, prawie po drugiej stronie. Ale już nic tego nie zmieni. Odwracam się i ruszam przed siebie ciemną, pustą drogą. Każdy krok odbija się w mojej głowie głośnym echem.

Kiedy docieram do kolejnego zakrętu, odwracam się przez ramię. Carl stoi tyłem do mnie, ekran telefonu oświetla mu twarz. Zastanawiam się, jakie słowa za chwilę wypowie. Myślę, co się wydarzy po przyjeździe policji. Zaczną go przesłuchiwać, przyglądać mu się podejrzliwie, ostrożnie, z obrzydzeniem. Nie mogę sobie tego wyobrazić. Idę dalej, noga za nogą. Najbliższa stacja jest osiem kilometrów stąd. To zajmie mi ponad godzinę.

A kiedy już tam dotrę, nie będę miała dokąd jechać – tylko do domu.

Nadal idę. Jestem sama. Jeszcze nie wiem, co mnie czeka. Nie znam treści dziesiątek wiadomości, które będę wysyłać w pustkę, bez szans na odpowiedź. Nie spodziewam się koszmarów, które co noc będą wyrwać mnie ze snu, ani poczucia bezradności i wyrzutów sumienia przesywających moje ciało i umysł tak gwałtownie i bezlitośnie, że stracę wolę życia. Wiem jednak, że są rzeczy, które ranią człowieka na zawsze, od środka. Nie można tego wyleczyć, nie ma ucieczki. Jedyne, co można zrobić, to zakopać wspomnienia tak głęboko, żeby nie udało im się wydostać na powierzchnię. Znaleźć jakiś sposób na udawanie, że życie zaczęło się na nowo. Nagle uderza mnie chore olśnienie: to możliwe. To niemal przerażająco proste. Już teraz wydaje mi się, że ostatnie dziesięć minut przytrafiło się komuś innemu. Ta kobieta, która wysiadła z samochodu, już nie istnieje. To nie byłam ja. To nie byłam ja. Ona została razem z nim i zniknęła na zawsze z mojego życia.



*– Zabiłaby dla ciebie?*

*Chłopiec patrzy na mnie uważnie, próbuje zrozumieć. Zna te słowa, ale nigdy nie słyszał ich ułożonych w taką konstrukcję. Z powagi malującej się na jego buzi wnioskuje, że zdaje sobie sprawę, jak wiele znaczą. Oboje milczymy, siedzimy nieruchomo, zamknięci w naszej małej bańce. Eddie trzyma chomika na kolanach, ściska zwierzątko delikatnie w dłoniach. Powoli opuszcza powieki. Klękam tuż przed nim, szorstki dywan lekko drapie mi skórę na kolanach. Wszystkie te drobne*

rzeczy wypełniają przestrzeń w pokoju tak szczelnie, że nie pozostawiają już miejsca na oddychanie.

To olśnienie. Kurtyna unosi się nad ciemną sceną, rozbłyskują światła reflektorów. Nagle wszystko staje się tak okrutnie oczywiste, że aż sprawia mi fizyczny ból. Już rozumiem, co tu robię i dlaczego ich zaprosiłam. Teraz to wszystko ma sens. Kiedy ktoś niszczy nam życie, chcemy go skrzywdzić. Chcemy mu zrobić dokładnie to samo, co zrobił nam. To jest prawdziwa sprawiedliwość. Tutaj, nie na sterylnej sali sądowej, z nieadekwatnymi do wagi przewinienia orzeczeniami i karami – których i tak uniknęła. Tu kryje się coś głębszego, bardziej pierwotnego. Kiedy w dziczy rzuca się na nas drapieżne zwierzę, nie mamy czasu do namysłu. Trzeba walczyć. Ta kobieta swoją bez troską odebrała mi cały sens istnienia. A potem po prostu sobie poszła, nie oglądając się za siebie. Ty odebrałaś coś mnie, ja zabiorę tobie.

Podnoszę się z podłogi i podchodzę do drzwi balkonowych. Wychodzę na zewnątrz. Zimne powietrze zalewa mi płuca. Spoglądam na ulicę pełną samochodów, czuję siłę grawitacji – prawie ją widzę – ciągnącą cały świat w dół. Nie zaskakuje mnie odgłos jego kroków. Chłopiec staje obok mnie, też przyciąga go ta nieuchwytna siła. Przekrzywia lekko głowę. Oczy ma szeroko otwarte, skupione na mojej twarzy. Każda sekunda ciągnie się w nieskończoność. Zbliżam się do niego. Teraz muszę działać szybko. Szybkie, spontaniczne szarpnięcie w czasie, które zmieni wszystko.

Moje dłonie znajdują się kilka milimetrów od jego ramion, kiedy nagle się porusza. Nie rozumie, ale instynktownie cofa się w bezpieczną przestrzeń mieszkania. Zostaję sama na balkonie, wiatr chłosta mi twarz, a łzy wzbierają tak prędko, że aż się nimi dławię. Ledwo mogę oddychać. Oczywiście, że nie mogłabym tego zrobić. Bawię się w kogoś, kim nie jestem i nigdy się nie stanę. Co za absurd. Nie znajdę żadnych odpowiedzi – ani tu, ani nigdzie indziej. Sam pomysł odebrania komuś



*życia jest odrażający. Po raz pierwszy uderza mnie gwałtowna, bezlitosna myśl, że nigdy nie zdołam naprawić tego, co zostało zniszczone.*

## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

Stoję przy oknie w łazience jeszcze kilka minut po tym, jak zamknęły się za tobą drzwi wejściowe. Wpatruję się w okna twojego domu, próbuję wypatrzeć za szybą jakiś ruch. Wyobrażam sobie, jak przechodzisz przez salon, nalewasz sobie drinka, siadasz na kanapie. Amber sadowi się obok ciebie, zarzuca ci nogi na kolana, wyciąga się na poduszkach i pyta, jak ci minął tydzień. A może odłożyliście rozmowę na później i poszliście od razu na górę.

Uświadamiam sobie, że cała drzę. Dostałam gęsiej skórki. Woda w wannie wystygła, na mętnej powierzchni unoszą się resztki piany. Mechanicznym ruchem wyciągam korek i znów się ubieram. Przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze. Tusz do rzęs zaczął mi spływać, podkład robi się tłusty. Podnoszę rękę, żeby go zetrzeć, ale nawet ta drobna czynność wydaje się zbyt skomplikowana i w końcu bezradnie opuszczam zwiotczałą dłoń.

Słyszę w głowie głos kobiety – jej cichy, opanowany ton, obojętne ostatnie słowa. Głos po drugiej stronie słuchawki, setki kilometrów stąd, dobiegający z mojego domu. Ona jest tam, a ja tutaj, tak blisko ciebie, że czuję się jak naelektryzowana... Nagle odnoszę wrażenie, że wszystko poszło nie tak. Nie chcę, żeby przebywała w moim domu, i nie zamierzam dłużej tu siedzieć.

Chcę wracać. Natychmiast. Gdzieś z tyłu głowy wykluwa mi się ohydny, niewyraźny lęk. Myślę o Eddiem. Wprawdzie wiem, że przy babci nic mu nie grozi, ale nie podoba mi się, że ta kobieta znajduje się tak blisko niego. Zwłaszcza teraz, gdy odkryłam jej tożsamość.

Ta myśl dodaje mi sił. Szarpię drzwi do łazienki i pędzę do sypialni. Wyciągam spod łóżka walizkę, pospiesznie wrzucam rzeczy do środka. Powiem Francisowi, że musimy jechać. Że zaszedł jakiś nagły wypadek i nie ma wyjścia. Szumi mi w głowie, nie wymyślę nic konkretnego. Trudno, jakoś sobie poradzę. Jestem w połowie pakowania, kiedy na dole rozlega się dzwonek do drzwi.

Zamieram i nasłuchuję. Z kuchni dobiega głos Francisa:

– Caro, możesz otworzyć? Stoję przy patelni!

Rozglądam się po na wpół opróżnionym pokoju. Sprawdzę, kto przyszedł, a potem wrócę i dokończę pakowanie. Zbiegam na dół, zerkając przez witrażowe szybki na postać stojącą na ganku. Smukła kobieta o długich włosach. Kiedy otwieram drzwi, widzę, że Amber wygląda, jakby nie spała od tygodnia. Oczy ma zapadnięte i otoczone ciemnofioletowymi sińcami z wyczerpania.

– Carl wrócił – oznajmia z właściwą sobie bezpośredniością, gdy tylko mnie widzi. – Powiedziałam mu, że tu jesteś.

Mimo że się tego spodziewałam, aż wzdrygam się w duchu.

– Skomentował to jakoś? Jak zareagował? – chcę wiedzieć.

Amber rozkłada ręce.

– Jest w szoku – mówi po chwili. – Próbuje jakoś to sobie wytłumaczyć, zrozumieć, co się stało. Jak my wszyscy – dodaje, a w jej oczach na chwilę pojawia się chłodny błysk. – No, mniejsza z tym. Możemy wyjść na zewnątrz?

Jestem zaskoczona, waham się. Wizja kobiety przebywającej w moim domu nie daje mi spokoju.

– Muszę wracać – mówię. – Miałaś rację.

– Owszem, miałam, ale najpierw muszę z tobą porozmawiać – ucina Amber.

Słyszę w jej głosie niemal dziką natarczywość, przez którą jej „muszę” wydaje się silniejsze od mojego. Wciąż kłębią się we mnie dziesiątki pytań bez odpowiedzi, ciągnące mnie ku niej. No i jesteś jeszcze ty, zaledwie kilka metrów stąd, po drugiej stronie ulicy.

– To nie zajmie dużo czasu – zapewnia prędko, wyczuwając moje zwątpienie. – Mogłybyśmy wyskoczyć do parku. Francis? – podnosi wesoło głos. – To ja, Amber. Ukradnę ci Caroline na pół godzinki, okej? Muszę się jej poradzić w jednej sprawie.

Cisza.

– Eeee... Okej – dobiega w końcu niepewna odpowiedź z kuchni.

Patrę Amber w oczy, ale ona tylko wzrusza ramionami. Nie mam innego wyjścia – wkładam buty i podążam za nią. Idzie pewnym, zwawym krokiem, skręca w boczną ścieżkę prowadzącą do parku nad rzeką. Przez całą drogę się nie odzywa, więc nie mogę powstrzymać spekulacji. Co chce mi powiedzieć? Nadal sądzi, że przyjechałam tu specjalnie. Że śledzę cię jak jakaś żalosna stalkerka, która desperacko pragnie znów być blisko ciebie.

– Nie jestem taka, jak ci się wydaje – odzywam się wbrew własnej woli, słabo i niepewnie. Muszę się na chwilę zatrzymać i odetchnąć, by powstrzymać drzenie, które mogłoby sugerować słabość. – Nie próbuję wejść między ciebie i Carla.

Amber kręci się w prawo i lewo w poszukiwaniu dobrego miejsca na rozmowę.

– Tutaj – oznajmia. Rusza żwawo w stronę ocienionej ławki nad brzegiem rzeki, ukrytej pod baldachimem wierzbowych gałęzi. Przysiada na jednym końcu, podciąga kolana pod brodę i czeka, aż do niej dołączę. – Nie wiem, czy mówisz prawdę czy nie, Caroline. Nie mam jak tego sprawdzić. Ale nie dlatego chciałam z tobą porozmawiać.

Powoli siadam na ławce. Amber nie patrzy na mnie jak na przedmiot nienawiści czy nawet litości. Na jej twarzy maluje się raczej ostrożna kalkulacja, jakby się zastanawiała, czy jestem ostatnim elementem układanki, którą próbuje połączyć w całość.

– A dlaczego? – pytam.

Odgarnia włosy z czoła i przeczesuje je dłonią, chwytając końcówki w palce i ciągnie lekko. Ten gest wydaje mi się tak znajomy, że zastanawiam się, czy ja też tak robię.

– Nie byłam z tobą całkiem szczerą tamtego pierwszego dnia w kawiarni. Powiedziałam ci, że nie znam Sandry.

– Sandry? – powtarzam, ale już wiem, o kogo chodzi. To słowo uwiera mnie w język. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek wcześniej je wypowiedziałam.

– Tak, kobiety spod numeru dwudziestego pierwszego. To jej dom.

– Okej. – Teraz serce wali mi z innego powodu. – Więc ty... – zaczynam, ale nie wiem, co powiedzieć dalej.

Amber krzywi się prawie niedostrzegalnie. Splata palce w koszyczek i wpatruje się w swoje dłonie.

– Od początku ją kojarzyłam. Wprowadziła się niedługo po nas. Wiesz, bez przerwy widuję sąsiadów na ulicy, ale na nią trafiałam jakoś częściej. Zawsze gdzieś się kręciła, kiedy akurat

wychodziłam. To wybierała się do sklepu, to pracowała w ogrodzie. Niewiele rozmawiałyśmy, ale wydawała się miłą, no a kiedy przeprowadzasz się w nowe miejsce... Nie mam tu rodziny ani znajomych, a Carl strasznie często pracował poza domem. Zaczęłam mieć wrażenie, że ją znam. – Amber wzrusza ramionami i kątem oka monitoruje moją reakcję.

Spoglądałam na równe rzędy domów ciągnące się w oddali. W takich miejscach wszystko wydaje się bardziej znajome, niż jest w rzeczywistości. Codzienny widok tych samych ludzi chodzących wydeptanymi ścieżkami sprawia, że dopisujemy sobie rzeczy, których tak naprawdę nie ma.

– Rozumiem – przytakuję.

– Kiedy się tu przeprowadziliśmy, nie było między nami najlepiej – wyznaje. Niechętny błysk w jej oczach mówi mi, że to ważne. Nie przyznałaby się do tego, gdyby nie musiała. – Nasz związek daleko zaszedł w krótkim czasie. Jeszcze się do niego nie przyzwyczaiłam. Czasami miałam wrażenie, że zamieszkałam z prawie obcym człowiekiem, a on nie zawsze mi pomagał. Szczerze mówiąc... – Amber nieco podnosi głos, słowa płyną coraz szybciej. – Nie sądzę, żeby chodziło o ciebie ani o to, co się stało. Zupełnie nie. Opowiedział mi o wszystkim na początku, kiedy jeszcze prawie się nie znaliśmy. Chyba musiał się tym z kimś podzielić, może nawet nie było dla niego ważne z kim. Nie mówię, że mnie nie kocha – dodaje ostrzegawczo, posyłając mi czujne spojrzenie. – Ale wtedy... nie wiem. To był dziwny okres.

– Domyślam się – przytakuję automatycznie, bo zamilkła, jakby czegoś oczekiwała, ale myślę tylko o tobie. O tym, jak wylądowałaś w tym miejscu z kobietą, którą pokochałaś, żeby nie zwariować, jak dniami i nocami próbowałaś podźwignąć się po wszystkim, co cię spotkało. Nie wiem, dlaczego nigdy dotąd nie

postrzegałam cię w ten sposób. Zawsze miałam cię za samowystarczalnego, nieprzeniknionego. Przekonywałam się, że przecież sobie poradzisz, że otrzepałeś się po mnie i nie chcesz mnie już nigdy więcej widzieć. W najmroczniejszych chwilach prawie myślałam, że ucieszyłeś się z szansy na odejście przy jednoczesnym odegraniu roli kozła ofiarnego, która oczyściła cię z jakiegokolwiek winy. To ja byłam złamana. Nie zostało we mnie już dość miejsca, by wyobrazić sobie ciebie w takiej samej sytuacji.

– No, mniejsza z tym – ciągnie Amber. – Któregoś dnia zaprosiłam ją na kawę. Jakiś czas siedziałyśmy u mnie w domu i rozmawiałyśmy. Nic poważnego, wiesz... Takie tam pogaduchy, żeby dzień szybciej zleciał. Z czasem zaczęłyśmy widywać się regularnie, kiedy Carl wyjeżdżał na kilka dni. Była ode mnie dużo starsza, ale trochę mi się to podobało. Może głupio zabrzmie, ale miałam wrażenie, że ona się mną opiekuje. Byłam samotna, wiesz? Chciałam tylko mieć z kim porozmawiać.

Podczas opowieści Amber nieświadomie rozkłada ręce, jakby odkrywała przede mną prawdę o swojej izolacji.

– Aż któregoś dnia pokłóciliśmy się z Carlem przez telefon, akurat wyjechał do pracy. Powiedziałam, że nie wiem, dlaczego w ogóle zawracamy sobie głowę i czy kiedykolwiek przestanie żyć przeszłością. Nie odpowiedział, po prostu się rozłączył. Właśnie skończyliśmy rozmowę, kiedy zapukała Sandra. Zapomniałam, że ją zaprosiłam. Byłam zapłakana. Zapytała, co się stało, a ja...

– A ty jej powiedziałaś – kończę za nią, bo nagle rozumiem, o co tu chodzi. Wszystko staje się jasne. Czuję, że pod rękawami bluzy dostaję gęziej skórki. – Wszystko jej powiedziałaś.

Amber kiwa głową.

– Nie rozumiesz, jak się z tym czułam. W kółko rozmyślałam o wszystkim, co mi wyznał i jak to zrobił. Kiedy mówił o waszym romansie i o wypadku, to brzmiało, jakby czytał sprawozdanie z kartki: wszystkie słowa poukładane jedno przy drugim. Chciał podać to dalej. Ja też czułam taką potrzebę.

Próbuję wczuć się w sytuację tej kobiety. Wyobrażam sobie, że siedzę naprzeciwko Amber i słucham o tym, jak zginęła moja córka. Uświadamiam sobie, że człowiek, którego uważałam za sprawcę, wziął na siebie cudzą winę, a prawdziwa winowajczyni odeszła wolno. Nie mogę tego zrobić – nie potrafię wyjść z własnej głowy na dość długo, by wnikać w cudzy umysł – ale chyba pojęłam najważniejsze, mignęło mi przed oczami. To wystarcza, żebym się wzdrygnęła.

– Co powiedziała? – pytam niemal wbrew sobie. – Jak zareagowała?

Amber ledwo zauważalnie wzrusza ramionami.

– Trudno powiedzieć. Była bardzo... opanowana. W ogóle niewiele mówiła. Ale kiedy się nad tym zastanowić, właśnie wtedy zaczęła traktować mnie inaczej.

– Jak to? – Mój głos lekko drży. Biorę głęboki wdech, próbuję się uspokoić.

– Trudno mi to wytłumaczyć. Stała się o wiele bardziej... natarczywa. Zazwyczaj pod nieobecność Carla spotykałyśmy się może raz w tygodniu, ale nagle zaczęła przychodzić coraz częściej, w którymś momencie prawie codziennie. Zaczęłam sobie uświadamiać, że nie mamy ze sobą aż tak wiele wspólnego. Przy tak częstych spotkaniach szybko skończyły nam się tematy do rozmów, mimo to ona dalej mnie odwiedzała. To, co teraz powiem, zabrzmii trochę dziwnie, ale w którymś momencie zaczęłam zauważać, że różne rzeczy znikają nam z domu.



Parasolka, mój ulubiony sweter, woda po goleniu Carla. Nie miałam żadnego dowodu, że to ona je zabrała, ale...

– Rozumiem – mówię prędko.

Przypominam sobie, jaka byłam wstrząśnięta, kiedy zacisnęłam palce na flakonie i po dwuletniej przerwie znowu poczułam jego zapach. To zostało starannie zaplanowane. Sandra stworzyła starannie zaprojektowaną mapę wskazówek i fałszywych tropów, by zwabić mnie w pułapkę.

– Nie podobało mi się to. – Głos Amber przerywa moje myśli. – Przez ostatnie kilka miesięcy próbowałam się od niej odciąć. Wychodziłam z domu, kiedy spodziewałam się wizyty, coraz szybciej kończyłam spotkania. Podziałało, bo już tyle się nie widzimy. Ale ona... nadal tam jest. – Zauważam, że po jej ciele przebiega nagły dreszcz. Wpatruje się w jakiś odległy punkt niewidzącym wzrokiem. – A potem... Oczywiście potem pojawiłaś się ty – kończy, wyrywając się z zamyślenia.

– To dlatego mnie zaczepiłaś? – chcę wiedzieć. – Bo sądziłaś, że ją znam?

– Cóż... – Amber przez chwilę wygląda na nieco zmieszana. – To nie był jedyny powód. No wiesz, w innych okolicznościach może nawet byśmy się zaprzyjaźniły...

Ona chyba też zdaje sobie sprawę, jak absurdalnie brzmią te konwencjonalne uprzejmości, bo jej wargi na chwilę wyginają się w półuśmiechu. Prawie natychmiast znów poważnieje.

– Ale owszem – ciągnie – chyba pomyślałam, że może wyciągnę z ciebie coś więcej na jej temat. Ty jednak powiedziałaś, że jej nie znasz, więc uznałam, że lepiej z niczym się nie zdradzać, bo oczywiście nie wiedziałam, czy mówisz prawdę. Przecież byliśmy sobie obce. W którymś momencie zaczęłam nawet myśleć, że Sandra cię wysłała, żeby sprawdzić, co o niej

gadam za plecami... – Amber przerywa, bierze głęboki wdech, wsłuchując się w echo własnych wyrzuconych naprędce słów.

– Nie okłamałam cię. Nigdy... – Już zamierzam powiedzieć, że nigdy nawet z nią nie rozmawiałam, ale przypominam sobie dzisiejszy telefon i jej cichy, wyraźny głos w słuchawce. – Nigdy jej nawet nie widziałam – kończę.

Amber kiwa głową.

– Nie twierdzę, że ci nie wierzę, ale czegoś tu nie rozumiem. Wiem, że sobie tego nie wyobraziłam. Jest w niej coś dziwnego. Wiesz, kiedy przyszedłam do was w odwiedzinach, pierwszy raz znalazłam się w jej domu. Zawsze spotykałyśmy się u mnie. Rozejrzałam się szybko, ale niewiele znalazłam, tylko parasolkę. Powiesiła ją niczym jakiś talizman. Po jaką cholere? ktoś miałby robić coś takiego? Sama nie wiem, po prostu... – Przerywa, zbiera myśli. – Nie chodzi tylko o parasolkę. To wszystko jest jakieś dziwne.

Znów urywa i mocniej przyciąga kolana do piersi. Jasne włosy opadają jej na twarz, pomiędzy blond kosmyków wyglądają zielone oczy. Pomiedzy jej brwiami pojawia się coraz głębsza bruzda. Spogląda na mnie niepewnie. Nagle robi mi się jej szkoda. Wpakowała się w coś, czego nie rozumie i nie może zmienić. Wie, że coś jest nie tak, ale nie wie co – a ja nie chcę jej tego wyjaśniać. Jeśli ktoś powinien to zrobić, to ty.

– Rozmawiałaś o tym z Carlem? – podsuwam. – On też zna Sandrę?

Amber kręci głową.

– Jak już mówiłam, spotykałam się z nią pod jego nieobecność. Może wspomniałam o niej raz czy dwa na początku, ale potem już nie. Powiedziałaby, że głupio zrobiłam, pozwalając

jej tak się do mnie przyczepić. Zawsze powtarza, że jestem zbyt miękka.

Po tych słowach milknie, jakby uświadomiła sobie, że nie chcę albo nie muszę znać tych szczegółów. Ma rację. Wyobrażam sobie, jak ją karcisz, mówiąc, że jest zbyt miła i ludzie będą to wykorzystywać. Już sama myśl sprawia mi ból.

Moje milczenie ją niepokoi. Patrzy mi prosto w oczy, znów nabiera dystansu.

– Ona ma z tym wszystkim coś wspólnego, prawda? Z twoim przyjazdem? Z tobą i Carlem? – Kiedy nie odpowiadam, zmienia pozycję, próbując ukryć dyskomfort. – To mnie przeraża. Nie chcę czuć, że ktoś mnie obserwuje.

Te słowa coś we mnie odblokowują. Uświadamiam sobie, że – oczywiście – właśnie o to tu chodzi. Ta kobieta pojawiła się tutaj, bo chciała cię obserwować. Niektórzy ludzie odwracają się od tragedii i zakopują ją jak najgłębiej, a inni wolą patrzeć jej prosto w twarz. Ona chciała być blisko. Może tylko w ten sposób jakoś sobie z tym radzi – czuje, że odzyskała choć odrobinę kontroli nad życiem, nawet jeśli musi codziennie torturować się wspomnieniami. Ale wobec mnie posunęła się krok dalej. To nie tylko podglądanie.

Amber czeka na moją odpowiedź, przygryza niespokojnie wargę.

– Nikt cię nie obserwuje – zapewniam. Nie jestem z nią całkiem szczerą, ale staram się być tak blisko prawdy, jak tylko potrafię. Oczy zachodzą jej łzami. Nagle chcę, żeby zniknęła. – Wszystko dobrze. Poważnie.

– Nie wydaje mi się. – Kręci głową i marszczy lekko brwi.

– Naprawdę, Amber, to się niedługo skończy. Obiecuję.

To dziwne, ale wierzę we własne słowa. Mam wrażenie, że sytuacja nabiera tempa, czas zawęża się do chwili ostatecznej decyzji, choć jeszcze nie wiem, na czym polega wybór.

Amber otwiera usta, jakby chciała zaprotestować, ale rezygnuje. Potrzebna jej ta pociecha – tak bardzo, że postanawia przyjąć ją za dobrą monetę bez dalszych pytań.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – szepcze.

Siedzimy jeszcze kilka minut w ciszy. Jesteśmy wyczerpane.

– Chodź – odzywam się w końcu. – Wracamy.

– Okej.

Ruszamy w drogę powrotną. Zauważam, że ramiona Amber nieco się rozluźniły – jakby poczuła ulgę, choć nasza rozmowa nie przyniosła odpowiedzi na wszystkie pytania. Mogła przekazać komuś swój ciężar. Tak wygląda życie. Podajemy cierpienie dalej, rozciągamy je, rozcieńczamy. Czekamy, aż tak bardzo się rozwodni, że stanie się prawie niewyczuwalne.

Kiedy skręcamy w Everdene Avenue, czuję, że Amber sztywnieje. Patrzy na ulicę i wciąga gwałtownie powietrze. Zobaczyła was pierwsza. Stoisz naprzeciwko Francisa, po drugiej stronie ulicy. Patrzycie na siebie, słońce wisi między wami i świeci mi w oczy, nie widzę waszych twarzy. Żaden z was nie rusza ku temu drugiemu, ale też się nie cofa. Jakby czas się zatrzymał.

Wtem Francis podnosi wzrok i spogląda na ulicę. Widzi mnie i Amber. Chwilę później podążasz za jego spojrzeniem, odwracasz się i szybkim krokiem ruszasz ścieżką do domu, Francis odchodzi w przeciwną stronę, pod numer dwudziesty pierwszy. Ogarnia mnie koszarne wrażenie, że coś rozerwie mnie na dwoje od środka. Nogi jednak niosą mnie już do Francisa, idę za nim na drugą stronę ulicy. Odwracam się szybko

przez ramię. Widzę, że Amber biegnie ku tobie, spoglądasz mi w oczy i natychmiast znów odwracasz twarz. Kładziesz jej dłoń na ramieniu i prowadzisz do środka.

## Dom

*Francis, sierpień 2014*

Nowy dzień. Każdego poranka, kiedy otwieram oczy, jest pierwszy dzień. Czysta karta. Mam przed sobą szesnaście godzin świadomości, z którymi mogę zrobić, co tylko zechcę. Mogę pracować, iść na spacer, oglądać telewizję, słuchać muzyki, spędzić popołudnie z rodziną albo przyjaciółmi, jechać na drugi koniec miasta, wybrać się do muzeum. Mogę robić wszystko – pod warunkiem że nie będę brał pigułek.

Chodzę tam i z powrotem po łazience. Ciepłe, miękkie promienie słońca co chwila padają mi na twarz. Biorę prysznic, myję zęby, ubieram się. Kiedy spoglądam w lustro, widzę zarys swoich kości policzkowych. Mam gładką skórę, oczy jasne i czyste. Zmiana zachodziła powoli, ale teraz, jedenaście miesięcy po odstawieniu, znów przypominam dawnego siebie. Dobrze wyglądam. To prosta, przyjemna myśl.

Otwieram okno w łazience, wpuszczam do środka łagodny letni wiatr. Zapowiada się łatwy dzień. Jeden z tych, kiedy czuję się na siłach, by osiągnąć każdy cel, jaki sobie wyznaczę – robić karierę, naprawiać zniszczone relacje z ludźmi. Nie zawsze tak jest. Czasami mam wrażenie, że chodzę po cienkiej jak włos linii, i nie wierzę, że sztorm kotłujący się w mojej umęczonej głowie da się kiedykolwiek okiełznać. Czuję się wówczas skazany na

porażkę, a moja egzystencja przypomina czarną chmurę, spod której nie mogę się wydostać; rzuca tak gęsty cień, że niemal tłumi moje słowa i myśli. Ale nie dziś.

– Tato, tato! – dobiega mnie zza ściany podśpiewywanie Eddiego.

Otwieram drzwi do jego pokoju. Leży w łóżku i macha do mnie z szerokim uśmiechem. Kiedy zacząłem wyrywać się z kilkuletniego snu, obecność synka okazała się prawdziwym szokiem. Był tu przez cały czas, ale ja dopiero co wróciłem. Nagle znaleźliśmy się tu razem, ojciec i syn. Ku własnemu zaskoczeniu odkryłem, że jego oczekiwania wcale mnie nie przytłaczają. Mam do niego dużo cierpliwości. Jestem stanowczy, ale sprawiedliwy. Zabieram go na zakupy albo do parku, a on drepcze tuż obok, mocno zaciskając małą łapkę na moich palcach. Kiedy kładę go wieczorem do łóżka, czuję na twarzy jego ciepły, słodki oddech. To drobne rzeczy. Dawniej, jeśli w ogóle udawało mi się je zauważyć, były raczej jak żyłki rozcinające mi serce – przypominały mi o życiu, którym nie mogłem dłużej się cieszyć, kompletnie poza moim zasięgiem. Teraz właśnie na tych drobiazgach buduję swój świat. Jest mniejszy niż ten dostępny innym ludziom, ale mi to odpowiada. Przynajmniej na razie.

– Dzień dobry.

W drzwiach staje Caroline. Wślizguje się do pokoju i opiera o ścianę. Posyła mi uśmiech. Ma na sobie ciemnozielony podkoszulek, ledwo sięgający jej do ud, i skąpe czarne majtki. Wspomnienie wczorajszej nocy staje mi przed oczami: jej twarz odwrócona nieprzytomnie na bok, spocone uda oplatające się wokół mnie w mocnym, gorącym uścisku. Na samą myśl muszę stłumić wzbierającą falę pożądania. Czasami ciężko mi myśleć o czymkolwiek innym. To jedna z pierwszych rzeczy, które

wróciły po odstawieniu pigułek. Oszałamiająca świadomość, że znów mam chęć i siłę pieprzyć własną żonę, była z początku wręcz trudna do przyswojenia. Caroline patrzy na mnie, jakby czytała mi w myślach.

– Wychodzisz niedługo? – pyta.

– Mam sesję przed południem – przytakuje.

Nowa pacjentka, wizyta umówiona na ostatnią chwilę. Powoli odbudowuję swoją karierę. Nowa klinika, nowy gabinet. Kolejna czysta karta. Przyjmuję tylko tylu podopiecznych, iloma mogę efektywnie się zająć, nie przejmuję się tym, co myślą inni. Daję sobie przestrzeń na oddech. Robię to porządnie, od podstaw. Nie jest idealnie, ale zmierzam we właściwym kierunku.

– Dobrze – mówi Caroline i podchodzi do Eddiego, bierze go za rękę i wyciąga z pościeli prosto w swoje objęcia. – Będę w domu, kiedy wrócisz. Mam dziś wolne, pamiętasz? Zabiorę go do przedszkola, a potem może zjemy razem lunch?

– Świetny pomysł – przytakuje.

Nagle czuję ostre swędzenie u nasady nosa – to sygnał nadchodzących łez. Nie zawsze udaje mi się zachować kontrolę nad emocjami. Czasami nie mam pojęcia, skąd się biorą i co oznaczają. Nauczyłem się z nimi nie walczyć. Pozwalam, żeby przychodziły, kiedy chcą, a potem starannie pakuję je do właściwego pudełka. „Zabierz swoje uczucia na lunch, a potem każ im spierdalać” – powiedział mi niedawno terapeuta. Tak więc właśnie robię. Pozwalam, żeby na chwilę ogarnął mnie ten dziwny, bolesny smutek, a potem się otrząsam i wracam do rzeczywistości.

Caroline podchodzi ze mną do drzwi wejściowych i oplata mnie ramionami, przywiera do mnie całym ciałem. Potrzebuje dziś bliskości, wypełnia ją pożądanie. Nie mam z tym problemu.



To miła odmiana po tych długich, mrocznych miesiącach, kiedy wymykała mi się przez palce jak woda, uciekała przed moim dotykiem.

– Do zobaczenia później – mruczy.

– Na razie – mówię i całuję ją na pożegnanie.

Odsuwam się i patrzę na nią, chłonę każdy szczegół. Na jej twarzy pojawiły się zmarszczki, których kilka lat temu nie było. Widzę w jej oczach zmęczenie, ale mimo to nadal jest piękna. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej – bo teraz znów należy do mnie.

Idę na stację ulicą zalaną słońcem. Drzewa są pełne soczyście zielonych liści, po błękitnym niebie nie płynie ani jedna chmurka. Wszystko jest idealne, jak w filmie. Myślę o Caroline i zapachu jej perfum, który owionął mnie, kiedy zarzuciła mi ramiona na szyję. Coś w tej wizji lekko drży. Nie odpędzam niepokoju – wiem, że nie powinienem go ignorować. Te wspomnienia nadal żyją między nami, nie ma sensu udawać, że jest inaczej. Co jakiś czas uświadamiam sobie nagle, z gorzkim zaskoczeniem, że był w niej inny mężczyzna. Wmówił jej, że się w nim zakochała. Za każdym razem boli tak samo jak za pierwszym. To nigdy nie zniknie. Muszę z tym żyć, jak z całą resztą.

Idę dalej, rozmyślając o tamtej lipcowej nocy sprzed roku, kiedy wróciła do domu zapłakana i nie chciała mi powiedzieć, co się stało. Stała na środku salonu, łzy płynęły jej po twarzy, zamknęła się w jakiejś sobie tylko znanej przestrzeni, do której nie mogłem się przedostać. Spowijała mnie ciężka, gęsta mgła. Należało to uznać za ostatni dzwonek, ale ja tylko zapadłem się jeszcze głębiej. Następne tygodnie wspominam jako poszarpaną sekwencję przerywanego snu, bełkotliwych obelg i nieudanych prób zawarcia pokoju, a wszystko to punktowane kolejnymi

dawkami pigulek, aż zupełnie zapomniałem, kim jestem i gdzie się znajduję. Aż nadszedł nieruchomy spokój pewnego wrześnieowego wieczoru, kiedy Caroline przyszła do mnie i oznajmiła, że odchodzi.

– Rano zabieram Eddiego do rodziców – powiedziała. – Zostawiam cię. Mam tego dość. Nie chcę tak dłużej żyć.

Jedynie, co udało mi się wyłapać, to ulga w jej głosie. Usta miała blade i mocno zaciśnięte, brodę nieco wysuniętą w hardym geście. Podjęła decyzję i przynajmniej w jakiejś części odczuwała z tego powodu zadowolenie. Dotarło do mnie, że nie mogę pozwolić jej odejść. Dziwne, że aż takiego wstrząsu potrzebowałem, by to pojąć. Całą noc nie spałem, ale nie wziąłem już ani jednej pigułki. Po raz pierwszy od tygodni wytrzymałem bez nich dłużej niż kilka godzin. Nigdy nie zapomnę tego odrealnionego wrażenia, jakie mi towarzyszyło, kiedy wynurzałem się z powrotem na powierzchnię – jakby wypełniały mnie powoli bańki powietrza i ciągnęły do góry. Opadała ze mnie stara skóra, rodziłem się na nowo.

Długo musiałem ją przekonywać, żeby została. Od świtu zapewniałem, że nadszedł czas na zmianę. Kiedy tylko zaczęliśmy rozmawiać, zobaczyłem, że jej decyzję, choć już podjętą, da się odwrócić. Nie zdołała przeciąć więzi ze mną tak ostatecznie, jak sądziła. Prawie natychmiast dostrzegłem, że nie wierzy w ani jedno moje słowo – ale chce uwierzyć, a to już połowa sukcesu.

Dochodziła szósta rano, a ja już zdążyłem wyrzucić z siebie tyle, na ile fizycznie pozwolił mi organizm. Czulem ogłuszające dudnienie w głowie. Przedmioty, które otaczały mnie od miesięcy, nagle się wyostrzyły i zmaterializowały. A kiedy skończyłem mówić, zaczęła ona.

– Jeśli mamy jeszcze raz spróbować, ja też muszę ci coś wyznać – wyszeptała.

Trudno było jej mówić o romansie z Carlem. Nigdy nie widziałem takiego smutku w jej oczach, takiego wahania. To było poważniejsze, niż sądziłem. Trwało wiele miesięcy. Wymyśliła sobie, że to jakaś wielka, namiętna miłość. Nie wiedziałem – nadal nie wiem – ile z tego pokrywało się z rzeczywistością, ale w jej oczach uczucie było prawdziwe, i to wystarczyło. Romans dobiegł już końca – nie chciała mi powiedzieć, jak do tego doszło, ale było oczywiste, że już po wszystkim. To nie miało znaczenia. Nie czułem żadnego bólu ani złości. Te emocje nadeszły później, ale w tamtej chwili istniała wyłącznie spokojna ulga, jaką przyniosła wzajemna szczerłość. Przez te kilka godzin wyznaliśmy sobie więcej niż przez ostatnie miesiące, może nawet lata. Wyłożyliśmy wszystkie karty na stół i zobaczyliśmy, że nasze małżeństwo zmieniło się w kompletny bajzel. A mimo to powietrze było rześkie i czyste, wdychałem je i wydychałem. Oboje nadal byliśmy żywi.

Tak zagubiłem się we własnych myślach, że nie zauważyłem, kiedy wsiadłem do pociągu. Ruszamy. Słońce pada mi na dłonie splecione na kolanach. Obrączka jest teraz o wiele za luźna, ale nadal mam ją na palcu. Przetrwaliśmy, przynajmniej jak dotąd.

Do gabinetu wchodzi drobna, szczupła kobieta pod pięćdziesiątkę: ubrana elegancko, ale neutralnie, ciemne włosy ścięte na boba. Ledwo zdążyłem zajrzeć do notatek ze wstępnego wywiadu. Brzmi jak typowa depresja, ale kiedy tylko ją widzę, ogarnia mnie dziwne przecucie, że nie będzie w tym spotkaniu nic typowego.

Może sędzę tak dlatego, że kobieta zatrzymuje się na chwilę w progu i przygląda mi się uważnie, po czym omiata wzrokiem pomieszczenie. Ludzie rzadko koncentrują się na takich rzeczach. Są zbyt pochłonięci własnymi problemami – właśnie dlatego tu przychodzą. Ona jednak patrzy bardzo uważnie. Szczególnie interesuje ją biurko: stoi na nim niewielka doniczka z rośliną o czerwonych kwiatach, a obok zdjęcie Caroline i Eddiego oprawione w ramkę. Trzymam je przodem do siebie, więc kobieta widzi jedynie tylną stronę, ale wpatruje się w nią tak, jakby naprawdę chciała sprawdzić, co przedstawia fotografia. Dłonie ma splecione w ciasny węzeł, mięśnie szczęki napięte, jakby zaciskała zęby.

– Dzień dobry – odzywam się. – Pani Sandra, tak? Zapraszam, proszę usiąść.

Kobieta wchodzi do pokoju, przenosi wzrok na parę foteli. W końcu wybiera ten bliżej mnie, obok okna, przykryty fioletową kapą. W milczeniu zajmuje miejsce. Ma ciemnoniebieskie oczy, nieprzeniknione niczym ze szkła. Nie mruga.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałbym, żeby na początek sama opowiedziała mi pani trochę o sobie i o tym, co panią martwi.

Kobieta prawie niedostrzegalnie kiwa głową, jakby moja wypowiedź potwierdziła jej przypuszczenia. Gdy zaczyna mówić, z początku muszę się wysilać, by w ogóle ją usłyszeć. Jej głos jest opanowany i cichy, niemal hipnotyzujący. Zarysowuje obraz dość przeciętnego życia. Kilka lat temu rozwiodła się z mężem, ale mówi o tym bez żalu i złości. Po rozwodzie została sama z córką o imieniu Robyn.

Dopiero po chwili zauważam coś dziwnego w jej sposobie mówienia o córce. Raz opowiada o niej w czasie teraźniejszym,

a po chwili w przeszłym. Przeskakuje między wspomnieniami, zaciera granice lat. Kiedy wyjaśnia, że Robyn od ponad roku nie żyje, robi to mimochodem, jakby dopiero sobie o tym przypomniała. Nie musi o tym mówić, bo to zdarzenie przeniknęło aż do jej DNA. Jest wpisane w każdą sekundę jej życia, w każdy oddech.

– Bardzo mi przykro – mówię, żeby wypełnić czymś bolesną ciszę, ale ona nie reaguje.

Zaczyna opowiadać o śmierci córki. Słucham, ale czuję na karku niepokojące mrowienie, mięśnie ramion zaczynają mi sztywnieć. Nie zajmuję się pomocą w żałobie. Specjalizuję się w terapii małżeńskiej i rodzinnej. Jakim cudem przypisali tę kobietę do mnie? Wprawdzie nie zdążyłem wczytać się dogłębnie w notatki, ale nie zauważyłem ani słowa na temat straty córki. To jednak mało prawdopodobne, żeby nie napomknęła o śmierci w wywiadzie wstępnym. Przecież widzę, że dlatego do mnie przyszła. Po co to ukrywała?

– Długo próbowałam znaleźć w tym jakiś sens – mówi głucho, nie zdradzając emocji. – Kłopot w tym, że szukałam czegoś, czego nie ma. Samochód za szybko wjechał w zakręt. Nie ma innego wytłumaczenia. Nie było też żadnego powodu, dla którego Robyn znalazła się tam akurat wtedy. Kilka sekund nieuwagi zniszczyło życie jej i mnie. To się po prostu wydarzyło. Roztrząsania donikąd nie prowadzą.

Kiwam głową. Zastanawiam się, czy nie wtrącić czegoś na temat przejścia od zrozumienia do akceptacji faktów, ale coś mnie powstrzymuje. Poza tym nie wiem, co czuje ta kobieta, ale na pewno nie akceptację. Jest widocznie spięta, wychyla się dziwnie do przodu, jakby szykowała się do ucieczki. Jej wzrok

wyduje się nieobecny, jakby znajdowała się dziesiątki kilometrów stąd, mimo że patrzy prosto na mnie.

– Widziałam sprawcę na sali sądowej. Pomyślałam: ledwo zaczął własne życie, a już zniszczył moje. Czy to brzmi niesprawiedliwie? – Nic nie mówię, tylko przechylam lekko głowę w wyrazie neutralnej zachęty. – Był młody. Skruszony, wręcz szokowany. Nie wyglądał jak pirat drogowy. Chciałam go znienawidzić. I do pewnego stopnia mi się to udało.

Przerywa na chwilę, z uwagą wpatruje się w chmury za oknem. Gdy znów zaczyna mówić, wzrok nadal ma utkwiony w obłokach, jakby wylewała myśli prosto ku niebu.

– Dostał sześć miesięcy, wyszedł po trzech. Nic dziwnego. To był wypadek, błąd. A mimo to... Śmieszne. Oczywiście nic nie mogłoby mi wynagrodzić straty, ale to... Nawet nie zbliżyło się do cierpienia, jakie spowodował. Wykształciłam coś w rodzaju obsesji na jego punkcie. Nie mam problemu, żeby się do tego przed panem przyznać – dodaje z łagodną, rozbijającą bezpośredniością. – Powiedzmy, że śledziłam jego postępy. Długo to trwało, ale zobaczyłam dość dużo, by stwierdzić, że nie jest szczęśliwy. Raczej nie. Tego bym nie zniosła. Zaczęłam myśleć, że czas sobie odpuścić. Nie chodzi mi o to, że miałabym o niej zapomnieć albo mu wybaczyć. Ale uznałam, że nie ma już nad czym się zastanawiać. Skończyły mi się pytania i uczucia.

– Ale coś się zmieniło – podsuwam, bo spogląda na mnie wyczekująco, jakby nakazywała mi zabrać głos.

Na jej wargi po raz pierwszy występuje blady uśmiech. Bardziej przypomina eksperyment, ćwiczenie ekspresji. Zupełnie do niej nie pasuje, ale przez moment dostrzegam w jej twarzy jakąś zmianę. Kiedyś musiała być atrakcyjna, wręcz czarująca.

– Owszem – przytakuje z aprobatą: zauważyłem jej niewypowiedzianą sugestię. Nie pierwszy raz pacjent próbuje mnie tak testować, ale nigdy dotąd nie spotkałem się z tak intensywną reakcją. Promieniuje od niej prawdziwy głód, jakby z całych sił pragnęła nagrodzić mnie swoimi sekretami. – Jak już wspomniałam, wyrok był symboliczny, ale kiedy usłyszałam decyzję, pomyślałam: cóż, zawsze coś. Przynajmniej sprawa się rozwiązała. Ale niedawno odkryłam, że prawda jest nieco inna. Cała sprawa została zbudowana na kłamstwie. Człowiek, który odpowiadał przed sądem, nie działał sam. Nawet nie prowadził samochodu. Była z nim kobieta. Jego kochanka. Domyślam się, że kłamał, by ją chronić. Nie obchodzi mnie jego motywacja. Ale obchodzi mnie sprawiedliwość. Mam wrażenie, że oni niewiele wiedzą na ten temat. Szczególnie ona.

Sandra mówi coraz głośniej. Teraz w głosie pobrzmiwają agresja i złość – oczy jej płoną, dłonie zaciskają się mocno na kolanach.

– Myśli pan, że coś takiego powinno się zdarzyć? Czy należy pozwolić, żeby ktoś odwrócił się od tragedii, którą spowodował, i wrócił spokojnie do własnego życia? Rozumie pan, o co mi chodzi? Rozumie pan, dlaczego to jest czymś złym?

Jej pytania nie są hipotetyczne. Strzela nimi do mnie jak z pistoletu. Zaczynam się zastanawiać, czy nie jest po prostu niepoczytalna – zwykła fantastka – i ile w jej słowach jest prawdy. Może wszystko zmyśliła.

– Rozumiem, co chce pani powiedzieć – odzywam się wreszcie. – I dlaczego tak się pani czuje.

Kiedy tylko wypowiadam te słowa, kobieta wyraźnie się odpręży. Zapada się w fotel i bierze długi oddech. Wściekłość, która biła od niej jeszcze przed chwilą, słabnie, wreszcie znika.

– To dobrze. Tak myślałam. – W jej spojrzeniu połyskuje coś nieprzyjemnie osobistego. – Nie sądzę, żeby ta kobieta zasługiwała na to, co ma. Ta Caroline.

Na dźwięk tego imienia coś odruchowo się we mnie podrywa, jak zawsze, kiedy słyszymy słowo, które coś dla nas znaczy i dotyczy ważnej osoby w naszym życiu. Głos Sandry nasącza je goryczą. Wisi między nami przez chwilę w powietrzu.

– Często o niej myślę – kontynuuje kobieta. – I o jej kochanku, Carlu Jacksonie.

Tym razem mam wrażenie, że ktoś uderzył mnie w głowę. Przez lata praktyki nauczyłem się zachowywać opanowany wyraz twarzy nawet w obliczu najdzikszych zwierzeń i deklaracji, jakimi rzucali we mnie pacjenci. Wysłuchiwałem niezliczonych opowieści o zdradach i obsesjach, o kłamstwach i obłędzie, zawsze z wystudiowaną, neutralną miną. Teraz jednak nie mogę powstrzymać grymasu. Zawzięty błysk w jej oczach mówi mi dwie rzeczy. Po pierwsze, ta kobieta dobrze wie, kim jestem. A po drugie... ona nie kłamie. To wszystko prawda.

Na dłuższą chwilę zapada cisza. Wiele myśli przebiega mi przez głowę. Wspominam tygodnie i miesiące po tamtym wieczorze, kiedy Caroline wróciła zapłakana do domu. Przypominam sobie, jak często wstawiała w środku nocy, a ja znajdowałem ją stojącą w korytarzu, wpatrzoną w ścianę. Jak budziła się tuż przy mnie rozpalona i lepka od potu, wyrwana ze snu przez koszmary, o których nie mogła albo nie chciała mi opowiedzieć. I jak oznajmiła – zwięźle i bez żadnych wyjaśnień – że sprzedaje swój samochód, bo nie będzie już prowadzić. Owszem, wszystko się zgadza, ale nie mam pojęcia, jak się z tym czuję i co to znaczy. Wiem tylko, że nie mogę dalej o tym rozmawiać.



– Obawiam się, że skończył nam się czas na dziś – oznajmiam. Mamy jeszcze dobre dwadzieścia minut, ale oboje wiemy, o co mi tak naprawdę chodzi. Wstaję i ruszam do drzwi. – Jeśli chciałaby pani umówić się na kolejną wizytę, proszę się zwrócić do recepcjonistki, ale obawiam się, że ta godzina nie będzie w przyszłości dostępna. Mam komplet pacjentów, więc nie będę mógł z panią pracować.

Kobieta podnosi się powoli z fotela: drobna, schludna i opanowana.

– Nie potrzebuję więcej wizyt. Już załatwiłam to, po co przyszłam.

W jej głosie nie pozostał ślad po wcześniejszej mściwej złości. Na jej miejsce zakrada się głęboki smutek, jakby zdawała sobie sprawę, że spotkanie nie sprostało jej oczekiwaniom. Że nic nigdy nie będzie dość dobre.

Zakłada ciemne włosy za uszy i bez słowa opuszcza gabinet. Kiedy przechodzi obok mnie, prędko odwraca głowę w stronę biurka. Zauważam, że szuka spojrzeniem fotografii, przygląda jej się chłodno. Ostatnie, co widzę, to jej profil, gdy odwraca się i wyrzywa z mojej orbity na korytarz. Błada skóra napina się mocno na kościach policzkowych, a rysy promieniają dziwnym pięknem.

Kiedy znika za drzwiami, zamykam gabinet od środka i znowu siadam. Bardzo długo nie ruszam się z miejsca. Myślę o swojej żonie i o życiu, które prowadziła w tajemnicy przede mną. O sekretach, które zakopała w najciemniejszym zakamarku pamięci, bo nie ufa mi na tyle, żeby się nimi podzielić. Zastanawiam się, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby tamtej nocy pojechała w innym kierunku. Czy wtedy zniknęłaby na dobre z mojego życia?

Chcę czuć wściekłość, ale nic takiego się nie pojawia. Ogarniają mnie smutek i litość. I coś jeszcze – nagła pewność, której źródło znajduje się zbyt głęboko, bym potrafił je zidentyfikować. Uświadamiam sobie, że zamiast nas zniszczyć, wizyta tej kobiety mogła odnieść zupełnie przeciwny skutek. Teraz jestem silniejszy. Mogę dźwigać nowy ciężar i nie załamać się pod nim. Rozumiem swoją żonę lepiej, niż ona zdaje sobie z tego sprawę. Poczekam, aż postanowi być ze mną szczerą. Nieważne, jak długo to potrwa.

---

*Matka Caroline wraca do pokoju. Wszystko przyspiesza, jak przewijany na podglądzie film, pełen trzasków i przeskoków. Podchodzi prędko do Eddiego, bierze go za rękę, drugą podnosi klatkę chomika. Staje w drzwiach, w jej szeroko otwartych oczach widzę niezrozumienie. Chyba pyta, czy może mi jakoś pomóc. Dławię się łzami, nie udaje mi się odpowiedzieć, i już po sekundzie kobieta ciągnie chłopca na klatkę schodową, schodzą szybko. Zauważam, jak delikatnie zamknęła za sobą drzwi – jakby chciała uciec możliwie najdyskretniej.*

*Stoję i czekam. Może właśnie dzwoni na policję i mówi, żeby ktoś po mnie przyjechał. Zabawne, jaki spokój ogarnia mnie na tę myśl. Wreszcie ktoś przejąłby kontrolę i wszystko ogarnął. Przypominam sobie, jak pojechałyśmy z Robyn na wycieczkę do pałacu Buckingham w jej czwarte urodziny. Zobaczyłyśmy oddział maszerujących funkcjonariuszy, a Robyn zapytała, kim są ci panowie. Wyjaśniłam, że to policjanci i że są od pilnowania porządku. Pokiwała główką w wełnianej czapce. Było zimno, każdy jej oddech zmieniał się w ledwie widoczny obłoczek pary.*

Chciałabym móc wyrzucić ją z pamięci. Oczyszczyć się ze wszystkich wspomnień i obudzić pewnego dnia na nowo, z pustką w głowie. Zamiast tego od dwóch lat przyglądam się tym ludziom, rozkładam ich życie na części pierwsze, snuję fantazje, które nigdy się nie spełnią. Obserwuję codzienne życie Carla i jego nowej dziewczyny. Umawiam się na wizytę w klinice męża Caroline. Z początku miałam nadzieję, że samą swoją obecnością zdołam coś zmienić. Ale to przecież niemożliwe. Przesiedziałam tydzień w jej domu, rzuciłam w jej rodzinę smętną małą petardą – i nic.

Bez zastanowienia przynoszę z sypialni kupkę wycinków ze zdjęć. Wracam do salonu, klękam na podłodze i przyglądam się skrawkom jej twarzy. Sięgam do kieszeni i wyciągam pognieciony list na żółtym papierze, z którym nie rozstaję się od miesiący. Patrzą w kółko na jej uśmiechniętą twarz i pełne rozpacz słowa, które do niego napisała, próbuję powiązać je ze sobą. Codziennie myślę o tym, co się stało, napisała. Ledwo mogę z tym żyć. Nie wiem, czy bez ciebie w ogóle będzie to możliwe.

To tylko zwykła kobieta. Nie bezlitosny, wyrachowany szatan, jakiego się spodziewałam. Prawda jest o wiele trudniejsza do przełknięcia. Patrzą w jej oczy i myślę o tych wszystkich chwilach, kiedy wyobrażałam sobie, co bym jej powiedziała, gdybyśmy stanęły twarzą w twarz. Sądziłam, że wylałabym na nią strumienie jadu, że zasypałabym ją słowami, których do końca życia nie zdołałaby zapomnieć. Teraz dociera do mnie, że pewnie zabrakłoby mi sił. Może nic bym nie powiedziała.

Słońce wpada do pokoju przez cienkie firanki, zalewa go dziwnym ostrym światłem. Czuję ból w skroniach, ale ręce i nogi mam wiotkie i rozluźnione. Wreszcie znalazłam spokój. Uświadamiam sobie, że źle się do tego wszystkiego zabrałam, od niewłaściwej strony. Teraz już wiem, co należy zrobić.

## Poza domem

*Caroline, maj 2015*

Francis zatrzaskuje mi drzwi wejściowe tuż przed nosem. Pospiesznie wygrzebuję klucz z kieszeni i wciskam go do zamka, pędzę przez korytarz, próbując się domyślić, w którą stronę poszedł. Znajduję go w kuchni. Stoi plecami do drzwi, dłonie ma zaciśnięte w pięści, wzrok wbity w ścianę.

– Francis – dyszę.

Kiedy odwraca się w moją stronę, widzę, że jest wściekły – chyba nigdy nie widziałam go aż tak rozjuszonego. Sztywne szczęki, usta wygięte w podejrzliwy, pełny obrzydzenia grymas.

– Co? – pyta ostro. – Przyszłaś mi wreszcie powiedzieć, co tu się odpierdala?

Ostatni desperacki strzęp nadziei, że nie rozpoznał mężczyzny po drugiej stronie ulicy, wymyka mi się przez palce. Zobaczył cię, nie mogę dłużej przed tym uciekać.

– Francis – powtarzam. – Wiem, że to dla ciebie potworny szok. Przysięgam, nie zrobiłam nic, żeby cię skrzywdzić.

Jego twarz nie zmienia wyrazu.

– Co on tu robi? – zaczyna i potrząsa gwałtownie głową. – Nie. Co my tu robimy? O, tego chciałbym się dowiedzieć. To jakaś chora gierka? Zaciągnęłaś mnie na wakacje po sąsiedzku

z kochasiem, żeby móc sobie wyskoczyć na szybki numererek, kiedy nie będę patrzeć? Podnieca cię coś takiego?

– Oczywiście, że nie – jękam. Zalewa mnie fala gorąca, od której aż kręci mi się w głowie. – Nic mnie już z nim nie łączy. Daję ci słowo, że nie zorganizowałam tego specjalnie. Nie miałam pojęcia, że on tu mieszka, naprawdę, ja...

– Bardzo ciekawe – ucina pogardliwie Francis. Jest szorstki, ale panuje nad sobą. Wolałabym, żeby zaczął wykrzykiwać obelgi, stracił kontrolę, ale to nie w jego stylu. – Więc to zupełny przypadek, że wpadłem na niego akurat w tej jednej chwili, kiedy wyszedłem wyrzucić śmieci. Ze wszystkich domów w całym kraju zupełnym zbiegiem okoliczności trafiliśmy akurat na ten kilka metrów od niego. Niebawale. Człowiek zaczyna wierzyć w przeznaczenie, co? Jakby było zapisane w gwiazdach, że...

– Proszę, przestań.

Biorę głęboki oddech, chcę coś powiedzieć, ale przerasta mnie ogrom nagromadzonych sekretów, cała ohydna prawda o tamtej nocy w Srebrnych Brzozach i wszystko, co do niej doprowadziło. Zamykam oczy. Kiedy je otwieram, on już nie krzywi się pogardliwie. Na jego twarzy malują się niepokój i zagubienie. Nie wie, czy powinien czuć urazę, wściekłość, a może coś zupełnie innego. Jest w tym jakaś bolesna bezbronność.

– Nic z tego nie rozumiem, Caro. – W jego głosie nadal pobrzmiwa złość, ale mówi ciszej, wolniej. Próbuje dać mi przestrzeń na odpowiedź.

Zmuszam się, by spojrzeć mu w oczy. Wiem, że prędzej czy później będę musiała dać mu to, czego ode mnie oczekuje, ale chyba nie zdołam zrobić tego w tej chwili. Nie mogę wyznać mu całej prawdy teraz, kiedy cały świat zachwiał mu się w posadach.

– Ja też tego nie rozumiem. – Nawet nie mrugam.

Francis milczy, próbuje wyczytać coś z mojej twarzy.

– W takim razie to on. Wszystko jakoś zaplanował – stwierdza w końcu.

– Nie. – Kręcę głową.

Francis wydaje z siebie sfrustrowane prychnięcie.

– Nie widzę innego wytłumaczenia.

– Nie – powtarzam. – To bez sensu. Przecież on mnie tu sobie nie życzy. Sam widziałeś, nie chciał ze mną rozmawiać. Odwrócił się i poszedł. – Czuję ukłucie w sercu, szybkie jak rozbłysk światła, ale niemożliwe do pomylenia z czymkolwiek innym. Próbuję odepchnąć je od siebie, ale moja twarz musiała coś zdradzić, bo w oczach Francisa nagle pojawia się ból.

– Nadal go kochasz?

Podświadomie spodziewałam się tego pytania. Dociera do mnie, że od kilku dni sama je sobie zadaję: analizuję wspomnienia, trącam je ostrożnie, by sprawdzić, jak bardzo mnie ranią, pozwalam im znów wciągnąć mnie pod powierzchnię. Wiem, że powinnam zaprzeczyć, słowa już cisną mi się na usta – ale tego nie robię. Francis ma rację. Zasluguje na szczerłość, choć sama nie wiem, czy mam dla niego jakąś odpowiedź.

Długo się zastanawiam,

– Wciąż za nim tęsknię. Nie wiem, czy potrafię odróżnić jedno od drugiego. – Przerывam, zastanawiam się. Francis słucha uważnie. – Już go nawet nie znam. Ale nie potrafię tak do końca zapomnieć.

Na pewno nie to chciał usłyszeć, ale nie wygląda na rozłoszczony. W jego spojrzeniu widzę raczej litość. Zbliżam się do niego, biorę go za rękę, nasze palce się splatają. Przyciskam

twarz do jego piersi, słucham szybkiego łomotania serca tuż przy czole.

– Dalej kocham ciebie – szepczę, ale nie jestem pewna, czy mnie słyszysz. – Wiesz o tym, prawda?

Po kilku sekundach Francis się odsuwa.

– Widzisz, Caroline, kłopot w tym, że trudno stwierdzić, kiedy kłamiesz – oznajmia lekko.

Przygryzam wargę, ale mam dość rozsądku, by się nie odzywać. Francis zerka na kuchenkę. Sos do makaronu zredukował się do lepkiej wulkanicznej masy, dymi i syczy w garnku. Francis wyłącza palnik. Przesuwa dłonią po czole, wzdycha.

– Nie mam siły dłużej się dziś nad tym zastanawiać – oznajmia. – Idę do sypialni. Muszę się położyć.

Myślę o rozpoczętym pakowaniu, o desperackiej potrzebie wcześniejszego powrotu. Wyobrażam sobie Sandrę wężącą w naszym domu. Już wiem, że nie zmuszę go do wyjazdu dziś wieczorem – za dużo się wydarzyło.

– Okej – mówię cicho, przetykając dyskomfort. Jeszcze jedna noc. Już odliczam godziny. – Przyjdę do ciebie niedługo.

Francis kiwa głową i rusza do drzwi.

Noc upływa mi powoli na rozmyślaniach. Co jakiś czas zapadam w lekki, niespokojny sen. Obserwuję cienie za oknem, stopniowo rozplywające się w szarości poranka.

Jest tak cicho i spokojnie, jakby nic nigdy się nie wydarzyło. Ty, Francis, Amber... Wszystko znika, zostawiając pustą przestrzeń, którą wreszcie mogą zająć wypierane od lat obrazy. Niechciane wspomnienia przebijają się przez ściany pamięci, zalewają mi umysł. Kiedy tylko na kilka sekund tracę kontrolę

nad świadomością, pojawia się przede mną dziewczyna – idzie po cichu przez pokój, snuje cienką nić łączącą rzeczywistość ze snami. Jej długie ciemne włosy powiewają na wietrze, zielony szalik zwisa z ramienia. Scena rozgrywa się w kółko, za każdym razem odtwarzając ułamek sekundy, który może tylko sobie wyobraziłam, ale nigdy się nie dowiem, czy na pewno: odwraca się, otwiera szeroko oczy, nasze spojrzenia spotykają się tuż przed uderzeniem, po czym wszystko znika w eksplozji tłuczonego szkła. Nagły wstrząs wyrywa mnie brutalnie ze snu, przenosząc z sennych wspomnień do ciemnej sypialni, ale po chwili wszystko się powtarza. Raz za razem.

W którymś momencie musiałam wreszcie zasnąć na dłużej niż kilka minut, bo kiedy znów otwieram oczy, za oknem świeci słońce i nie widzę obok siebie Francisa. Znajduję tylko kartkę na poduszce: „Wychodzę na spacer, żeby przewietrzyć głowę. Wrócę za parę godzin. Potrzebuję trochę czasu dla siebie. Do zobaczenia niedługo”. Czuję ucisk w żołądku. Nie mam pojęcia, o czym myśli i co czuje ani jak bardzo ta długa noc wypaczyła wieczorną rozmowę.

Zwlekam się z łóżka, ubieram i schodzę bez celu do kuchni. Przez chwilę stoję w miejscu i zastanawiam się, co robić. Wokół panuje nierealny spokój – parapet zalewa złota plama światła, drobinki kurzu tańczą w słońcu. Nagle sygnał nowej wiadomości wyrywa mnie z zamyślenia. Nie mam nadawcy esemesa w kontaktach, ale znam ten numer na pamięć.

*Jeśli chcesz porozmawiać, możemy się spotkać. Idę właśnie do Garden Café przy Castle Street.*



Z jakiegoś powodu nie jestem zaskoczona. Może dlatego, że ta wiadomość jest bardzo w twoim stylu. Brzmi tak znajomo, że nie wydaje się ani trochę nie na miejscu. Nie zmieniłeś się: zbudowałeś komunikat na tym, czego ja mogłabym chcieć. Na twoje oczekiwania nie ma miejsca, może w ogóle nie istnieją. Z początku uważałam to za czarujący przejaw troski, ale po jakimś czasie zachwył przeszedł we frustrację. Nigdy nie wiedziałam – i nadal nie wiem – czy twoje potrzeby pokrywały się z moimi ani czy to w ogóle było dla ciebie istotne.

Bez zastanowienia wychodzę z domu i skręcam w główną ulicę prowadzącą do wyznaczonego miejsca. To ta sama kawiarnia, w której byłam z Amber. Pamiętam, że w odległym kącie w głębi pomieszczenia stały dwie skórzane kanapy. Już wiem, że właśnie tam cię znajdę.

Dopiero kiedy skręcam w Castle Street, świta mi myśl, że przecież nie musiałam tu przychodzić – a nawet nie powinnam. Mogłam wysłać ci uprzejmą odpowiedź sugerującą, że nie mamy sobie nic do powiedzenia, albo w ogóle nie reagować. Miałam taką możliwość – a jednak nie.

Otwieram drzwi i spoglądam na kanapę. Siedzisz zgarbiony nad gazetą, pochylasz nisko głowę nad artykułem, choć wiem, że nie czytasz. Nagle mam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Nie da się tego uniknąć. Zawsze wiedziałam, że to się kiedyś wydarzy, więc dlaczego nie dziś?

Przez chwilę stoję w progu i przyglądam ci się z bliska. Jesteś wyższy, niż zapamiętałam, twarz masz węższą. Wyglądasz na starszego, jakby wyostrzyły ci się rysy. Twoje włosy są krótsze niż dawniej i masz na sobie zieloną kurtkę, której nigdy wcześniej nie widziałam. A jednak pomimo wszystkich różnic idealnie

wpisujesz się w obraz utrwalony w mojej pamięci. Jest w tym widoku coś właściwego, jakbyśmy nigdy się nie rozstali.

Staję niecały metr od ciebie, kiedy podnosisz głowę i spoglądasz na mnie. Bez zastanowienia uśmiecham się do ciebie, a ty do mnie. To instynkt, niezrozumiały odruch. Natychmiast wydaje mi się, że ostatnie dwa lata zniknęły i znów jest czerwiec 2013 roku, kiedy każda chwila razem była słodka i cenna.

Coś musiało się zmienić w mojej twarzy, bo mrugasz gwałtownie i uśmiech ustępuje miejsca niezręcznemu zażenowaniu.

– Hej – mówisz i wskazujesz, żebym usiadła na kanapie naprzeciwko.

Czuję się jak idiotka, bo łzy już wzbierają mi pod powiekami i czuję szczypanie u nasady nosa. Twój głos brzmi dokładnie tak, jak zapamiętałam.

Opadam na siedzenie. Patrzymy na siebie w milczeniu, słabe światło rzuca cień na twoją twarz. Podkreśla twoje kości policzkowe, zmienia zarys szczęki w ostrą płaskorzeźbę. Uświadamiam sobie, że prawie nie mrugam. Narasta we mnie głód tak gwałtowny, że sama jestem nim zaskoczona – nie chcę przegapić ani sekundy. Wiem, że to ważne, tak długo czekałam na tę chwilę. Nie mogę pozwolić, by przeciekła mi przez palce. Dygoczę od adrenaliny; nie wiem, co mam myśleć, nie potrafię odwrócić wzroku.

Po chwili ciszy wzdychasz i przesuwasz dłońmi po stole w geście rezygnacji – a może próbujesz mnie o coś poprosić.

– To jest, kurwa, dziwne – stwierdzasz po prostu. – Nie mam pojęcia, co tu się dzieje. Powiedz szczerze, przyjechałaś tu za mną?

– Nie – protestuję natychmiast. – Rozumiem, dlaczego tak myślisz, ale to nie tak, Carl. Nawet gdybym wiedziała, gdzie mieszkasz, nie zrobiłabym tego. A już na pewno nie po takim czasie. – Ani nigdy, myślę, ale tego nie wypowiadam. Wiesz równie dobrze jak ja, że świeżo po rozstaniu posunęłabym się do wszystkiego, że twoje odejście popchnęło mnie na skraj obłędu i powstrzymywał mnie wyłącznie strach.

Patrzysz na mnie uważnie, twoje oczy lśnią w miękkim świetle lampy. Nigdy dotąd nie patrzyłeś na mnie tym chłodnym, oceniającym wzrokiem, którym tak często obrzucałeś innych. Nie podoba mi się to.

– Okej – stwierdzasz w końcu. – Ale musisz przyznać, że to bardzo duży zbieg okoliczności.

– Nie powiedziałam, że to zbieg okoliczności. – Biorę głęboki wdech. Nie wiem, od czego zacząć. Czuję się zupełnie nieprzygotowana. – Znasz tę kobietę, w której domu się zatrzymałam? Spod dwudziestki jedynki?

Marszczysz brwi, jesteś zbity z tropu.

– Nie, nie powiedziałbym – zaprzeczasz niemal natychmiast. – Nie znam żadnego z sąsiadów. Co to ma do rzeczy?

Wzdycham ciężko, uświadamiając sobie, że nie ma sensu dłużej uciekać przed prawdą. Nie mogę wiecznie się ukrywać.

– Wytłumaczę ci.

Prawie w tej samej chwili czuję ulgę. Opowiadam ci o zaproszeniu do zamiany domami; o wskazówkach i aluzjach, na które natrafiałam od przyjazdu; o mejlach, które wymieniałam z Sandrą, i powolnym odkryciu, że nic nie jest takie, jak mi się wydawało. Wyjaśniam, kim jest kobieta przebywająca w moim domu i co tam robi. Że oboje się myliliśmy – sądziliśmy, że

możemy zamknąć za sobą drzwi do przeszłości, lecz zapomnieliśmy, że ona nie dotyczy wyłącznie nas.

Słuchasz w milczeniu, pozwalasz mi mówić. Kilka razy podnosisz gwałtownie wzrok, otwierasz szeroko oczy w wyrazie strachu albo zaskoczenia, ale nie odzywasz się, dopóki nie skończę. A nawet wtedy pozwalasz, by cisza ciągnęła się jeszcze dobre pół minuty.

– Tego się nie spodziewałem – odzywasz się w końcu. Nie okazujesz żadnych emocji. Nieobecny ruchem drapiesz się po brodzie. Natychmiast dopada mnie fizyczne wspomnienie szorstkiego zarostu pod moimi palcami; jest tak wyraźne, jakbym właśnie cię dotykała. – Wiem, że to mało powiedziane.

Próbuję sobie wyobrazić, jak poczułabym się na twoim miejscu, gdyby ktoś zrzucił na mnie wszystkie te informacje w kilku zdaniach, zamiast dawkować je koszmarne powoli przez cały tydzień.

– Wiem – przytakuję.

– Nie mam pojęcia, co robić – mamroczesz, jakbyś zwracał się do siebie, a nie do mnie. – Nie mogę... – Niecierpliwie wypuszczasz powietrze z płuc. – Nie mogę teraz o tym myśleć. Nie zastanawiałem się nad tym wszystkim od miesiący. Od lat.

– Nie wierzę – wyrywa mi się, choć natychmiast uświadamiam sobie, że owszem, wierzę. Potrafisz się wyłączyć, zapakować myśli do pudełka i wyrzucić klucz. To prawdziwy dar.

– Nie twierdzę, że nie obchodzi mnie, co się stało – dodajesz ostro. – Przesiedziałem trzy miesiące w więzieniu, wiesz? Miałem wtedy dość czasu, żeby wszystko przemyśleć. I uwierz mi, że to zrobiłem. W takim miejscu łatwo się skupić. To było... – Na chwilę urywasz, krzywisz się. – Jak najgorszy dzień świstaka. Codziennie ta sama odczłowieczająca rutyna. Nie miałem zbyt

wiele do roboty, więc musiałem myśleć. Nawet mi się to śniło. Uderzenie, krew. Jej ciało na ziemi. Ale kiedy wreszcie wyszedłem, powiedziałem sobie, że nie zniszczę sobie życia czymś, czego nie mogę zmienić. To nie znaczy, że mnie to nie obchodzi – powtarzasz. Następuje krótka, ostra pauza. Milknie na chwilę, patrzysz mi w oczy. Twoje następne słowa brzmią tak, jakbyś sam nie wiedział, że zamierzałeś je wypowiedzieć. – Ani że ty mnie nie obchodzisz.

– Nigdy nie odpowiedziałeś na żadną z moich wiadomości – wyrzywa mi się.

Myślę o tamtym ostatnim długim liście i o wszystkich mejlach, które pisałam do ciebie tygodniami, kiedy uświadomiłam sobie, że się nie dowiem, czy list w ogóle do ciebie dotarł. Włączałam w mejlach opcję śledzenia odbioru, więc wiem, że je przeczytałeś. Co do jednego. Czasami kilka razy. Ale nigdy nie odpisałeś.

– Bo mówiłem poważnie. – Starannie dobierasz słowa. – To musiało się wtedy skończyć. Ty też zdajesz sobie z tego sprawę. Na pewno sądziłaś, że zmienię zdanie, ale nie mogłem nic na to poradzić. Wiedziałem, że nie zmienię. I nie zmieniłem.

Twój ton jest defensywny, ale pobrzmiwa w nim też duma. Zawsze uważałeś to za jedną ze swoich najlepszych cech: jesteś zdeterminowany, zawsze dotrzymujesz słowa. Nikt ci nigdy nie powiedział, że trzymanie się za wszelką cenę raz powziętego postanowienia nie musi być czymś właściwym. A nawet jeśli powiedział, to nie chciałeś słuchać.

Pieką mnie oczy. Zmuszam się, by nie mrugać – wiem, że wtedy popłyną z nich łzy. Cała dygoczę. Przypominam sobie, jak siedziałam zgarbiona nad stołem w środku nocy i zapisywałam kolejne żółte kartki historią naszego romansu, desperacko

szukając słów, które wymusiłyby jakąś odpowiedź. Chciałam sprawić, byś zatęsknił za mną tak bardzo, że musiałbyś do mnie wrócić. Nagle w tyle głowy pojawia mi się mglista, podejrzliwa myśl.

– Zatrzymałeś list, który do ciebie wysłałam? – pytam szeptem.

Po twojej twarzy przebiega cień, odwracasz wzrok.

– Tak, nawet po przeprowadzce go nie wyrzuciłem, chociaż nie wiem dlaczego. Ale teraz nie wiem, gdzie jest. Od miesiąca na niego nie patrzyłem. Pewnie leży gdzieś w moich rzeczach.

Nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że się mylisz, ale czuję to w kościach. Wszystkie te drobne detale, których nie mógł znać nikt poza mną i tobą. Bładoróżowe kwiaty w łazience, piosenka płynąca z głośników, zdjęcie parku, w którym leżeliśmy na trawie. Kiedy Amber powiedziała, że z domu zaczęły znikać różne rzeczy, mogła wymienić tylko te, o których istnieniu wiedziała. Coś wskakuje na swoje miejsce, jakby obiektyw w mojej głowie wreszcie złapał ostrość. Próbuję wyobrazić sobie te żółte kartki w dłoniach Sandry i czuję wyłącznie litość.

– Nigdy sobie nie wybaczyłam własnej głupoty. Nie tylko tego, że bezmyślnie postanowiłam prowadzić po alkoholu, ale przede wszystkim tego, że uciekłam przed konsekwencjami. Trzeba było się z nimi zmierzyć. Byłam to winna tej dziewczynie. Zamiast tego odeszłam, jakby jej śmierć nic nie znaczyła. – Po raz pierwszy wypowiedziałam te słowa na głos.

Potrząsas głową.

– Nie mów tak. Nie ma po co. Przecież nie cofniesz tego, co już się stało. Masz rację, byłeś głupia. Ja też, bo cię nie powstrzymałem. Nie mogę sprawić, że poczujesz się lepiej. Ale to, co się stało później... Jeśli to ci w czymś pomoże, to nadal

uważam, że dobrze zrobiłaś, odchodząc. Nawet teraz. Nie mówię, że nigdy nie byłem zły, że nie miałem ci tego za złe. Ale ani przez chwilę nie wątpiłem, że lepiej było wziąć winę na siebie.

Mówisz z takim przekonaniem. Zawsze zazdrościłam ci tego wewnętrznego kompasu, tej pewności, że decyzje, które podejmujesz, są właściwe. Nigdy nie odniosłam wrażenia, że dręczy cię ta niepewność, która mnie gryzła niemal bez przerwy, zmuszając do oglądania każdej myśli i motywacji pod światło.

– Cieszę się, że tak czujesz – odpowiadam powoli, choć nie jestem pewna, czy to prawda.

W głębi duszy pragnę, byś czuł to samo co ja. W tej twojej spokojnej akceptacji losu nie ma miejsca na zwątpienie i tęsknotę. Myślę jednak o Amber i o tym, jak opowiadała mi o tobie, zanim zorientowała się, kim jestem. Przedstawiła mi obraz wiecznie nieuchwytnego mężczyzny, który ukrywa się we własnej odległej przestrzeni. Zastanawiam się, czy myśli nawiedzające cię w samotności mają ten sam kolor i kształt co te, którymi dzielisz się teraz ze mną.

– Jesteś szczęśliwy?

Wiem, że zadałam to pytanie bez uprzedzenia, ale nie mam czasu na owijanie w bawełnę ani udawanie, że nie wydaje mi się, bym miała prawo o to pytać.

Marszczysz lekko brwi i wzruszasz ramionami, zdradzając zniecierpliwienie. Przesuwasz dłonią po stole, przez ułamek sekundy dotykasz niechcący moich palców. Zabierasz gwałtownie rękę, jakbym cię poparzyła. Czuję nagły dreszcz przebiegający przez całe ciało i myślę, jakie to dziwne – kiedyś leżałeś przy mnie zupełnie nagi i obejmowałeś tak mocno, że twój pot wsiąkał mi w skórę, a teraz nie możesz pozwolić, by połączył nas nawet najdrobniejszy fizyczny kontakt.

– Pewnie – odpowiadasz. – Na ile to możliwe.

– Z nią? Z Amber?

Zmarszczka między twoimi brwiami się pogłębia. Nie podoba ci się, że wymawiam jej imię. Przez chwilę czuję między nami jej obecność, jakby jej duch przysiadł obok ciebie na kanapie i zwinął smukłe ciało w znak zapytania. Ktoś nie pasuje do tego obrazka. Albo ona, albo ja.

– Tak – oznajmiasz. – Jesteśmy szczęśliwi.

Przyglądasz mi się teraz uważnie, obserwujesz moją reakcję, próbujesz ocenić, co się kryje za tym pytaniem. Przez te kilka sekund ciszy zachodzi między nami wyczuwalna zmiana. Jakby wreszcie pękła jakaś bariera i nagle nie mogę przestać myśleć, jak wyglądał nasz związek. W twoich oczach widzę to samo.

– Jest inaczej niż z tobą – dodajesz tak cicho, że ledwo cię słyszę. – Bardziej... prawdziwie, mniej... – Przerывasz. – Sam nie wiem. Mniej czegoś innego.

Kiwam głową. Też nie potrafię znaleźć właściwego słowa, ale czuję ucisk w piersi i przypominam sobie, jak dobrze było mi w twoich objęciach, kiedy czułam twoje wargi na swoich, i wiem, że cokolwiek to było, już nie wróci – ani w twoim życiu, ani w moim. Bez względu na to, co dostaliśmy w zamian.

– Czyli pogodziliście się z Francisem – stwierdzasz.

To brzmi jak zmiana tematu, ale oboje wiemy, że wcale tak nie jest. Nawet teraz nie potrafisz do końca ukryć suchej pogardy w głosie, choć po takim czasie nie powinno jej już być.

– Dalej nad tym pracujemy – wyjaśniam ostrożnie.

Nagle ogarnia mnie agresywna chęć przekonania cię, że moje małżeństwo jest szczęśliwe. Mam ochotę opowiedzieć ci, jak bardzo Francis się zmienił, ile wysiłku w to włożył, jak wiele



razem osiągnęliśmy. Chcę udowodnić, że jest tego wart. Ale czy w ogóle by cię to obeszło? Bo niby dlaczego?

– Nie jest łatwo – dodaje. To też prawda. – Raz bywa lepiej, raz gorzej.

Czasami wstaję z łóżka i widzę, że po salonie chodzi obcy człowiek z twarzą mojego męża, opętany neurotycznymi lękami. Jego nastroje potrafią się zmieniać jak w kalejdoskopie, nie pozwalają się przewidzieć ani kontrolować. Wiemy, że każdy dzień to nowy początek i że Francis nadal nie jest do końca pewien, jak mu pójdzie. Gdy o tym myślę, ziemia nagle kołysze się i zapada. Chwytam za krawędź stołu, zamykam na chwilę oczy.

Kiedy je otwieram, znów napotykam twoje spojrzenie.

– Cóż, Caro, jesteś dorosła. Sama podejmujesz decyzje.

Przytakuję, choć nie ufam sobie na tyle, by użyć głosu. Nie da się wyrazić tych myśli słowami. Zresztą to cię już nie dotyczy.

Powoli przeczesujesz włosy palcami, odgarniasz kosmyki opadające na czoło. Mam wrażenie, że lampa nad naszymi głowami świeci jeszcze słabiej niż przed chwilą. Nagle całą sobą czuję, jak blisko siebie jesteśmy. Tak łatwo byłoby wyciągnąć ramiona i wziąć twoją twarz w dłoń.

– Naprawdę cię kochałem – wyznajesz w końcu. – Chcę, żebyś to wiedziała.

– Wiem – szepczę i nagle uświadamiam sobie, że niepotrzebnie zmarnowałam tyle miesięcy na dręczenie się tym pytaniem. Przecież zawsze zdawałam sobie z tego sprawę, może nawet lepiej i wyraźniej niż ty.

Podnosisz się z kanapy. Z nagłym szarpnięciem uświadamiam sobie, że to już koniec rozmowy. Przygotowujesz się do wyjścia. Trzęsą mi się kolana, ale zmuszam się, by stanąć

przy tobie. Uśmiechasz się, kładziesz mi rękę na ramieniu i przyciągasz do siebie, obejmujesz. Wtulam twarz w twoją szyję, wdycham zapach wody kolońskiej. Dotyk twojej skóry jest tak znajomy i obcy zarazem, że nie mogę powstrzymać łez. Już wiem, że to nasze ostatnie pożegnanie.

– Cieszę się, że się dziś spotkaliśmy – mówisz w moje włosy.

– Ja też – szepczę.

Stoimy tak przez chwilę, przyciskam się do ciebie mocno całym ciałem. Nasze wargi są centymetry od siebie. Przez chwilę wydaje mi się, że zwrócimy się ku sobie z taką samą łatwością jak zawsze. Pamiętam twoje pocałunki tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Brakuje tak niewiele, że aż kręci mi się w głowie. Twoje ramiona nagle sztywnieją, oddychasz szybko i płytko. Po kilku sekundach jednak przetykasz ślinę i odsuwamy się od siebie. Nie mam pojęcia, które z nas podjęło tę decyzję.

– Na razie. Trzymaj się – wyrzucasz z siebie i prędko odchodzisz.

Nie chcę patrzeć, jak się oddalasz. Wbijam wzrok w blat stołu, oczy nadal mam pełne łez. W ostatniej chwili zmieniam zdanie. Podnoszę gwałtownie głowę, ale już za późno.

Zniknąłeś, a razem z tobą opuściło mnie znalezione na kilka sekund poczucie spokoju i pewności.

Dociera do mnie, że to się nie zmieni. Nie istnieją żadne słowa, którymi dałoby się na dobre zakończyć naszą historię. Moglibyśmy widywać się codziennie i rozmawiać do bladego świtu, a ja nadal bym tego nie pojęła. Jestem już zmęczona poszukiwaniem odpowiedzi, których nie ma. Próbami zdefiniowania miłości, którą do ciebie czułam albo czuję. Zastanawianiem się, jakie to ma znaczenie. Nieważne. Jest jak jest.

## Powrót

*Caroline, maj 2015*

Po twoim wyjściu siedzę w kawiarni jeszcze tylko kilka minut, ale kiedy dźwigam się z kanapy i otwieram drzwi, oczy zaczynają mnie boleć od światła zalewającego ulicę. Czuję na twarzy lekki powiew chłodnego wiatru. Ruszam z powrotem do domu.

Nadal trochę drzę, czuję tępy ból w rękach i nogach. Prawie się z tego cieszę. Pozbywam się ostatnich resztek gorączki, która trawiła mnie z taką siłą, że ledwie udało mi się ujść z życiem. Z bezrozumną euforią odgrywam w głowie ostatnie kilka minut. Pod czaszką tłoczy mi się tyle sprzecznych myśli, że zlewają się w bezkształtną masę.

Skrećam w lewo w drogę prowadzącą na Everdene Avenue, kiedy nagle czuję wibrowanie telefonu. Wyciągam komórkę i zauważam wiadomość głosową, nagrałą zaledwie dziesięć minut temu. Kiedy automat zaczyna nagranie, przez pierwsze kilka sekund panuje cisza, potem ktoś wydaje z siebie sfrustrowane westchnienie, wreszcie odzywa się głos mojej matki. „Hej, Caroline”.

Natychmiast wyczuwam, że coś jest nie tak. Staję jak wryta na chodniku. Wprawdzie jej milczenie trwa zaledwie ułamek sekundy, ale w tej maleńkiej szczelinie czasu myślę: Eddie. Coś mu się stało. Mama dzwoni, by powiedzieć, że mój syn nie żyje.

Ta myśl uderza gwałtownie, wypalając ścieżkę przez mózg. Muszę oprzeć się o ścianę, zamykam oczy.

„Nie chcę cię martwić” – ciągnie mama. Wprawdzie w jej głosie nadal pobrzmiwa napięcie, ale wiem, że nie tak zapowiada się wieści o tragedii. Wciągam gwałtownie powietrze, wstrząsa mną spazm, jakby właśnie ocalono mnie przed utonięciem. „Byliśmy dziś z Eddiem w waszym mieszkaniu. To długa historia, ale poznaliśmy tę panią, która się u was zatrzymała. Szczerze mówiąc, wygląda na bardzo wzburzoną. Nie wiem, co się dzieje, ale wydało mi się to trochę niepokojące, Caroline, więc chciałam z tobą porozmawiać. Nic nam nie jest, nie martwcie się, ale... No, mniejsza z tym. Zadzwoń, kiedy będziesz mogła”.

Serce wali mi jak oszałałe. Wybieram numer. Mama odbiera niemal natychmiast. Nie bawię się w żadne wstępny, przechodzę prosto do sedna.

– Co się stało?

– Nie wiem, jak to opisać – wzdycha mama. – Ta kobieta... Wpadliśmy na nią przypadkiem i zaprosiła nas do mieszkania, żeby Eddie mógł odwiedzić Paddy’ego. Wydawała się bardzo miła, ale kiedy dziś przyszliśmy, nagle się załamała. Zaczęła płakać, nie rozumiałam, co mówi. Nie mam pojęcia, co jej chodziło po głowie. Może to głupie, ale nie podoba mi się, że mieszka u was ktoś taki. Wiem, że wracacie wieczorem, ale pomyślałam, że i tak powinnaś wiedzieć i...

– Wracamy teraz – przerywam. – Właśnie się pakuję, będziemy w domu najszybciej, jak tylko się da. Jeśli dobrze pójdzie, przyjedziemy za trzy, może cztery godziny.

– Cóż, może to dobry pomysł – przyznaje mama ze słyszalną ulgą. – Przepraszam, nie chciałam cię niepokoić na urlopie.

Dobrze się bawiliście?

Znów czuję ucisk w gardle. Łzy, które wyschły kilka minut temu, znów zaczynają mnie dławić. Zaciskam dłoń na telefonie i wsłuchuję się w cichy szum na linii. Zanim udaje mi się wykrztusić jakąś odpowiedź, w słuchawce rozlega się seria szmerów i szelestów, a potem głośny oddech mojego synka.

– Mamo – odzywa się.

Na dźwięk tego słowa łzy odchodzą w niepamięć. Głośno i wyraźnie wypowiadam jego imię.

– Tęsknię za tobą – mówi Eddie.

– Właśnie wracamy z tatusiem. Będziemy dzisiaj w domu.

– To dobrze. – Jego głos brzmi dziwnie dorośle, jest uważny i zamyślony. – Jak wrócisz, będziesz mogła położyć mnie spać.

– Oczywiście – przytakuję. Ogarnia mnie silna potrzeba, by powiedzieć mu coś, czego nigdy nie zapomni, przekonać go, że rozumiem, co jest naprawdę ważne, nawet jeśli na tak długi czas o tym zapomniałam. – Kocham cię – zaczynam, ale nie udaje mi się dodać nic więcej, bo niechcący naciska niewłaściwy przycisk i nas rozłącza.

Myślę, czy nie oddzwonić, ale zamiast tego chowam telefon do kieszeni i zaczynam biec, każdy krok dudni mi w głowie. Nie mogę dłużej czekać. Pędem pokonuję resztę drogi do domu, przekręcam klucz w zamku, pospiesznie otwieram drzwi wejściowe. Już z korytarza widzę Francisa w salonie – właśnie zapina walizkę. Prostuje się i otrzepuje ręce. Patrzy mi prosto w oczy, odwzajemniam jego spojrzenie. Rozumiemy się.

– Musimy wracać – oznajmia.

W milczeniu kiwam głową, oszołomiona tym nagłym poczuciem więzi. Oboje niezależnie podjęliśmy tę samą decyzję.

Rozglądam się po pokoju. Nagie ściany, puste powierzchnie. Nie muszę zapisywać tego widoku w pamięci. Już wiem, że będzie mi towarzyszyć przez wiele, wiele lat. Przez chwilę mam ochotę zostawić właścicielce jakiś znak albo wiadomość, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Sięgam więc tylko po torebkę, idę korytarzem i zamykam drzwi frontowe, nie oglądając się za siebie.

Francis idzie przez podjazd i otwiera samochód. Nagle rodzi się we mnie decyzja.

– Ja poprowadzę – oznajmiam.

Zatrzymuje się w pół ruchu, nie zdejmuje dłoni z klamki.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Robię krok do przodu i wyjmuję mu kluczyki z dłoni. Są chłodne i gładkie. Zajmuję fotel kierowcy i wsuwam kluczyk do stacyjki. Kładę dłonie na kierownicy. Spoglądam na drogę przez przednią szybę.

Ruszam, wyprowadzam auto na ulicę. Okazuje się, że to łatwe. Dziwne – ale łatwe.

Z początku jadę powoli, uważnie obserwuję drogę, poświęcam temu całą uwagę. Przez prawie dwa lata prowadziłam wyłącznie w koszmarach: dłonie ociekały mi potem, w głowie huczało i nawet we śnie wiedziałam, że to się źle skończy. Teraz jest zupełnie inaczej. Jadę przed siebie, jestem spokojna i uważna, jakbym nigdy nie miała przerwy.

Dopiero na autostradzie znów się odzywam. Nie odwracam głowy, nie chcę odrywać wzroku od drogi, żeby spojrzeć Francisowi w oczy.

– Muszę ci o czymś opowiedzieć. – Nie mam pojęcia, od czego zacząć. – Rozstałam się z Carlem, bo coś się wydarzyło. – Biorę

głęboki wdech, zaciskam palce na kierownicy. Nad nami rozlewa się pusty przestwór nieba, tu i tam punktowany niewielkimi szarymi chmurami.

– Caro, nie musisz mi nic mówić.

Kiedy to słyszę, łamię swoje postanowienie i zerkam na niego, ale po sekundzie znów przenoszę spojrzenie na drogę. Francis spogląda na mnie smutno i z czułością.

– Już wiem. O wypadku.

Potrząsam głową. Nie dociera do mnie, co usłyszałam.

– Nie. Skąd miałbyś...?

– Dowiedziałem się już jakiś czas temu. Posłuchaj, najważniejsze, żebyśmy wrócili do domu. Potem o wszystkim porozmawiamy. Kilka miesięcy temu przyszła do mnie nowa pacjentka. Tamta dziewczyna... była jej...

– Córką – kończę za niego, bo kiedy tylko zaczął mówić, uświadomiłam sobie, że na całym świecie tylko cztery osoby poza mną wiedzą, co się wydarzyło, a Sandra jest jedyną, która mogła się z nim skontaktować. Jedyną, która miała w tym interes.

– Musimy o tym porozmawiać – protestuję cicho. – Musimy...

– Wiem – przerywa mi Francis. – Porozmawiamy. Zaufaj mi.

Przygryzam mocno wargę, szukam odpowiedzi, i nagle uświadamiam sobie, że nie ma takiej potrzeby. Spływa na mnie głęboki spokój. Teraz muszę tylko prowadzić.

Zaufaj mi. Te słowa odbijają mi się echem w głowie. Nie ma żadnego powodu, żeby komuś ufać, żadnego uzasadnienia. Albo się to czuje, albo nie. Teraz czuję to całą sobą – w cieplej ciszy między nami, rozgrzewającej naszą małą prywatną bańkę. Przez ostatnie dwa lata byliśmy niemal nierozłączni, a jednak dziś po raz pierwszy czuję z Francisem tak intymną więź.

Ta myśl jest gwałtowna i smutna zarazem. Myślę o ramionach innego mężczyzny, które obejmowały mnie niecałą godzinę temu, i uświadamiam sobie, że nie ma sensu czepiać się kurczowo marzeń, skoro tuż obok jest coś, co chcę utrzymać. Nie mam pojęcia, jak będzie wyglądać nasze małżeństwo za pięć lat ani nawet za pięć tygodni, ale chcę żyć tu i teraz, ze swoją rodziną. Zmęczyłam się wędrowaniem przez własne życie jak duch, obecna tylko ciałem, ale nigdy umysłem.

Resztę drogi przebywamy w milczeniu. Godziny zlewają się ze sobą, krajobraz miga za oknem. Na miejsce docieramy tuż przed trzecią po południu. Starannie parkuję pod blokiem i wyłączam silnik. Ręce mi drżą. Zrobiłam to, udało się – ale to jeszcze nie koniec. Przyglądam się oknom na trzecim piętrze, próbując stwierdzić, czy kobieta nadal tam jest.

Na samą myśl fala mdłości podchodzi mi do gardła, ale nie mogę się teraz wycofać. Odwracam się do Francisca i kładę rękę na jego dłoni.

– Muszę iść pierwsza. Proszę, poczekaj tu na mnie.

Francis otwiera usta, jakby chciał zaprotestować, lecz nagle znów je zamyka i kiwa głową. Opiera się o zagłówek, przygląda mi się z uwagą i namysłem. On też zdaje sobie sprawę, że coś tu dobiega końca. Kiedy zostawimy to za sobą, życie przybierze inny kształt i wreszcie będziemy mogli się przekonać, czy warto dalej nad nim pracować.

Wysiadam z auta. Obejmuję się ciasno ramionami i ruszam w stronę budynku. Wchodzę na trzecie piętro, wsłuchana w dźwięk własnych kroków na klatce schodowej. Spodziewam się, że będzie na mnie czekać w progu, ale drzwi są zamknięte. Sięgam do kieszeni po klucze i otwieram drzwi, popycham je lekko.



Już w progu wyczuwam niepokojącą, intensywną obecność i dziwną pustkę jednocześnie. Powietrze jest ciężkie i gęste, jakby wypełnił je niewidzialny dym.

Drzwi do salonu są uchylone. Podchodzę cicho.

– Jest pani tam? – zaczynam niepewnie, ale dostrzegam coś przez szparę w drzwiach, mignięcie zieleni. Przykładam dłoń do drewna, popycham lekko i wchodzę do pokoju.

Kobieta ma jakieś pięćdziesiąt lat, brązowe włosy do ramion i smukłe ciało. Jest ubrana w dyskretnie stylową koszulową sukienkę, bladoniebieską, w tym samym odcieniu, co jej otwarte oczy.

Zwisa z żyrandola, kołysze się lekko na wietrze wpadającym przez otwarte drzwi balkonowe. Szalik, który ostatni raz widziałam w świetle reflektorów samochodu powiewający nocą na wietrze, zacisnął się na jej szyi.

Przez minutę stoję nieruchomo. Potem przysiadam na dywanie i ją obserwuję, doszukując się ruchu palców, drgnienia powieki, które powiedziałyby mi, że to jeszcze nie koniec. Nic. To jej ostatnia wiadomość.

– Tak bardzo cię przepraszam.

Mój szept rozbrzmiewa wyraźnie w ciszy. Kilka słów nie wystarczy, ale muszę to powiedzieć. Siedzę przy niej jeszcze przez jakiś czas – spoglądam na jej twarz, smutne bruzdy wokół ust – i zastanawiam się, kim była dawniej. Zanim została matką bez dziecka. Nie mogę powiedzieć, że na jej miejscu zachowałabym się inaczej. Nie mam pojęcia, do czego bym się posunęła.

Podnoszę się z dywanu i wyglądam przez okno, patrzę na samochód zaparkowany na dole. Myślę, że powinnam zadzwonić do Francisa, do mamy, na policję. Wiem, że kiedy to zrobię,

chwila ciszy pęknie, a razem z nią zniknie ten zszokowany spokój. Wszystko się zmieni. Jeszcze nie wiem, czego się spodziewać. Widzę przed sobą tylko cienie i mgłę. Mrok, w który wchodzę, oferuje dziwną wolność. Otwieram się na nią. Postanawiam zaufać przyszłości.

## Odejście

*Caroline, wrzesień 2015*

Agent nieruchomości przyjeżdża punkt dwunasta. Jest ubrany w elegancki garnitur, włosy ma przylizane i zaczesane do tyłu. Wygląda, jakby dopiero co skończył liceum. Tuż za nim nieśmiało drepcze uśmiechnięta młoda para. Kobieta trzyma dłoń na okrągłym ciężarnym brzuchu.

– Możemy się rozejrzeć? – Agent przepycha się do środka i robi zamaszysty ruch ręką, prowadząc parę do salonu, jakby to on był tu właścicielem.

– Jasne. Gdyby chcieli państwo jeszcze czegoś się dowiedzieć, proszę pytać – proponuję.

Zostaję w korytarzu, nasłuchując trajkotania agenta: wspaniałe południowe światło, oryginalne detale, świetna izolacja. Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, co tu się wydarzyło, ale nawet jeśli coś wie, nie daje tego po sobie poznać. Samobójstwo nie podbija zainteresowania lokalem, więc nie ma o czym wspominać. Policja wszystkim się zajęła i szybko zamknęła sprawę – nie było potrzeby zaglądać pod powierzchnię oczywistych faktów. Nie ma o czym mówić.

Ze swojego miejsca widzę, jak para wędruje za agentem od pokoju do pokoju. Obserwuję twarz kobiety: jej oczy są uważne i zamyślane. Mruży powieki, przygląda się przestrzeni, jakby

wyobrażała sobie, że opróżnia pomieszczenia i wypełnia je własnymi rzeczami, nadając mieszkaniu nowy kształt.

Na koniec znów idą do salonu. Agent wymyka się na chwilę, żeby odebrać telefon. Słyszę, jak wyszczekuje instrukcje, tłumacząc coś pewnie jeszcze młodszemu koledze. Para naradza się szeptem. Oboje gestykują, zerkają na siebie, porównują swoje reakcje. Kobieta podchodzi do drzwi balkonowych, staje pod żyrandolem. Pogodny wyraz znika na chwilę z jej twarzy. Wzdryga się, jakby nadepnęła na grób.

– Chyba pomalowałabym tę ścianę na jaśniejszy kolor. Od razu zrobiłoby się lżej. – Kiedy to mówi, spogląda w stronę drzwi i dostrzega mnie w korytarzu. Rumieni się, widząc, że dała się przyłapać na krytyce. – Bardzo ładne mieszkanie – dodaje głośniej, posyłając mi ostrożny uśmiech.

– Dziękuję. – Robię kilka kroków naprzód, zaplatając ręce na piersiach.

– Zostają państwo w tej okolicy? – pyta kobieta.

– Wynajmiemy coś w pobliżu na jakiś czas – wyjaśniam, kiwając lekko głową. – Potem zobaczymy, co dalej.

– Ach, rozumiem – przytakuje, chociaż oczywiście nie ma pojęcia, o czym tak naprawdę mówię.

Z korytarza dobiega odgłos krzątania. Słyszę podekscytowaną, prędką paplaninę Eddiego, jego małe piąstki uderzają o drzwi. Klucz chrzęści w zamku. Francis pozwala Eddiemu pobiec przodem, żeby się ze mną przywitał. Schyliłam się i przytulam synka mocno, chłonę ciepło jego ciała, wtulam twarz w miękkie, gładkie włosy.

Agent znów wpada do pokoju, pospiesznie wciskając telefon do kieszeni.

– Przepraszam, już jestem. Wszystko obejrzałem?

Para wydaje z siebie kilka zgodnych pomruków i zegna się z nami w korytarzu. Francis zerka na mnie, unosząc brwi.

– I jak? Spodobało im się?

– Chyba tak. Trudno powiedzieć.

– Cóż, niedługo się dowiemy.

Przez ułamek sekundy się waha, po czym nachyla się, przyciąga mnie do siebie i całuje w kącik ust w geście spóźnionego powitania. Odwzajemniam pocałunek, choć nasze wargi ledwo się spotykają. Minęły już trzy miesiące, a my nadal jesteśmy ze sobą tak ostrożni, że balansujemy na granicy niezręczności. Jeszcze nie odnaleźliśmy dawnej bliskości, ale mam wrażenie, że ostre krawędzie w naszym małżeństwie powoli się wygładzają.

Kolejna krótka pauza. Francis wskazuje głową na telefon wystający z kieszeni mojej koszuli.

– Jakież wieści? – pyta lekko.

– Nie. Już prawie od tygodnia nic – odpowiadam, kręcąc głową.

Myślę o tych wszystkich wiadomościach, którymi Amber zasypywała mnie przez ostatnie miesiące: były ich dziesiątki, może nawet setki. Z początku myślałam, że może po prostu chce mieć na mnie oko, ale ostatnio zaczynam sądzić, że próbuje podtrzymać ten kontakt, bo dostrzegła we mnie jakieś echo samej siebie – tak jak ja w niej. Jestem jedyną osobą, która zna jej ukochanego, i chyba powoli sobie uświadamia, że czeka ją niełatwe zadanie. Nigdy nie odpowiadam na jej wiadomości, ale nie zablokowałam jej numeru. Dobrze wiem dlaczego. Myślę, że pewnego dnia będę dość silna, by zerwać tę ostatnią nitkę.

Francis nie komentuje.

– Zabiorę się za obiad – oznajmia, podnosząc torbę z zakupami. – Eddie, pomożesz mi w kuchni?

Eddie truchta za nim, nadal trajkocząc o filmie, który dziś widzieli. Słucham go i czuję, że uśmiech unosi mi kąciki ust, cała wypełniam się miłością do synka. Ale za tym ciepłym uczuciem natychmiast podąża inne: mroczny ciężar wyrzutów sumienia, pojawiający się jak nieunikniony element reakcji łańcuchowej. Boję się, że mam o wiele więcej, niż mi się należy, że stąпам po cienkiej linii szczęścia, która w każdej chwili może pęknąć. Już się do tego przyzwyczaiłam. Zamykam oczy, oddycham głęboko i czekam, aż mi przejdzie.

Gdy ucisk w piersi słabnie, podchodzę do okna i wyglądam na ulicę. Para siedzi na przystanku, czeka na autobus. Młodzi rozmawiają z ożywieniem, zwróceniu ku sobie. Dłonie kobiety rysują kształty w powietrzu, jakby wsuwała na miejsce kolejne elementy niewidzialnej konstrukcji.

Myślę o jej twarzy, kiedy stała w salonie. O nagłej pustce w jej oczach i widocznym dreszczu. Może to tylko zbieg okoliczności, ale w głębi duszy wierzę, że został tu jakiś ślad, którego nie uda się zatrzeć nową warstwą farby ani ładnym abażurem. Często czuję w środku nocy, jakby to miejsce otaczała jakaś niewidzialna aura. Obecność kobiety, która przebywała kiedyś w moim mieszkaniu, przyciąga mnie tu jak magnes, wyrywa mnie z łóżka i każe podejść do ciemnego okna. Czasami zastanawiam się, czy w tamtym domu, setki kilometrów stąd i zaledwie kilka kroków od twojego miejsca na świecie, też została taka energia. Może tam też unosi się cień dni, które w nim spędziłam, a mój duch wyrywa nowych mieszkańców z niespokojnych snów, pełnych miłości i tęsknoty.

## Podziękowania

Stworzenie tej powieści wymagało ode mnie dużo wiary i odwagi. Miałam dość szczęścia, by spotkać na swojej drodze wielu ludzi, którzy postanowili wspierać mnie w pisaniu. Jestem wdzięczna zwłaszcza mojej fenomenalnej agentce Caroline Wood z Felicity Bryan Agency, która natychmiast dostrzegła potencjał drzemający w mojej książce, pomogła mi ją oszlifować, a następnie z wielkim profesjonalizmem i wnikliwością zajęła się reprezentacją, dzięki czemu trafiłam pod skrzydła najlepszych wydawców. Podziękowania należą się również wspinałemu zespołowi redakcyjnemu w Transworld, który od początku pracował nad *Zamianą* z pasją i energią, jakiej nawet nie śmiałybym oczekiwać. Szczególnie doceniam pracę mojego redaktora Frankiego Graya, który wykazał się niezwykle redaktorską uważnością, nie zapominając przy tym o moich oczekiwaniach wobec tej powieści. *Zamiana* została otoczona opieką przez wydawców w wielu krajach na całym świecie – podziękowania należą się zwłaszcza Pam Dorman i Jeramie Orton w Stanach Zjednoczonych. Jestem wdzięczna za Wasz wkład redaktorski i entuzjazm na każdym etapie pracy.

Przechodząc na bardziej osobisty grunt, chciałabym podziękować mojej rodzinie i przyjaciołom, którzy kibicowali mi podczas pisania, rozumiejąc, że praca twórcza składa się ze wzlotów i upadków. Szczególna wdzięczność należy się Charlotte

Duckworth, która była moją pierwszą czytelniczką i niewyczerpanym źródłem wsparcia emocjonalnego. Jenny Duggin – dziękuję, że ani na chwilę nie przestałaś we mnie wierzyć. Book Frisbees – jestem wdzięczna za profesjonalne rady i głos rozsądku w chwilach zwątpienia. Dziękuję też moim rodzicom, Nigelowi i Elaine, za niewzruszone wsparcie, i mężowi Danielowi, który ani na chwilę nie pozwolił mi stracić z oczu tego, co naprawdę ma znaczenie. I Saskii – za przypominanie mi, że życie jest równie ważne co pisanie.



# Spis treści

Strona tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
***	7
Poza domem	9
Dom	16
Poza domem	29
W domu	39
Poza domem	55
Dom	66
Poza domem	79
Dom	93
Poza domem	110
Dom	123
Poza domem	137
Dom	150
Poza domem	161
Dom	174
Poza domem	187
Dom	194
Poza domem	207
Dom	224
Poza domem	234
Dom	239

Poza domem	252
Dom	259
Poza domem	274
Dom	286
Poza domem	300
Powrót	315
Odejście	323
Podziękowania	327